

Stephen King

Oczy Smoka

(The eyes of the dragon)

Przełożyła: Sylwia Twardo

Powieść tę dedykuję najlepszemu przyjacielowi Benowi Straubowi i mojej córce Naomi King

1

Onegdaj w kraju zwanym Delain żył sobie król, który miał dwóch synów. Delain było bardzo starym królestwem i miało już setki władców, a może nawet tysiące; jeśli coś trwa dostatecznie długo, nawet historycy nie potrafią spamiętać wszystkiego. Roland Dobry nie był ani najlepszym, ani najgorszym władcą, jaki rządził państwem. Bardzo starał się nie wyrządzić nikomu krzywdy i w zasadzie to mu się udawało. Pragnął też dokonywać wielkich czynów, ale niestety pod tym względem niezbyt mu się powiodło. W rezultacie był dosyć poślednim królem; wątpił, czy po śmierci będą go długo pamiętali. A śmierć mogła nastąpić w każdej chwili, bo postarzał się i szwankowało mu serce. Został mu może rok, a może trzy lata życia. Każdy, kto go znał, i każdy, kto przyjrzał się jego poszarzałej twarzy i drżącym rękóm, zgadzał się, że najdalej za pięć lat nowy król zostanie ukoronowany na wielkim placu u stóp Iglicy... i że będzie to łaska boska, jeśli nie wcześniej. Tak więc wszyscy w królestwie, od najbogatszego barona i najbardziej wystrojonego dworaka po najuboższego chłopca poddanego i jego obdartą żonę, myśleli i mówili o następcy tronu, starszym synu Rolanda, Piotrze.

Jeden człowiek zaś myślał, planował i głowił się nad innym problemem: jak sprawić, żeby młodszy syn Rolanda, Tomasz, został ukoronowany zamiast Piotra. Tym człowiekiem był królewski czarnoksiężnik Flagg.

2

Chociaż król Roland był stary – przyznawał się do siedemdziesiątki, ale z pewnością przekroczył już ten wiek – jego synowie liczyli sobie niewiele lat. Przyszło mu ożenić się późno, gdyż nie spotkał kobiety, która by mu się spodobała, a jego matka, wielka królowa wdowa z Delainu, sprawiała na Rolandzie i wszystkich innych, nie wyłączając jej samej, wrażenie nieśmiertelnej. Rządziła królestwem już pięćdziesiąt lat, gdy pewnego dnia podczas podwieczorku włożyła sobie do ust świeżo ukrojony kawałek cytryny, aby złagodzić kłopotliwy kaszel, jaki dokuczał jej w ciągu ostatniego tygodnia czy trochę dłużej. Podczas tego właśnie podwieczorku występował zongler ku rozrywce królowej wdowy i jej dworu. Zonglował pięcioma sprytnie wykonanymi kryształowymi kulami. Dokładnie w chwili gdy królowa wkładała do ust plasterki cytryny, zongler upuścił jedną ze swych szklanych piłeczek. Roztrzaskała się ona na kamiennej posadzce wielkiej Sali Wschodniej z głośnym hukiem. Zaskoczona tym królowa wdowa wciągnęła powietrze, a jednocześnie do tchawicy wpadł jej kawałek cytryny, którym udusiła się. Cztery dni po jej śmierci odbyła się koronacja Rolanda na

placu Iglicy. Żongler jej nie oglądał; trzy dni wcześniej został ścięty na katowskim pniu umieszczonym za Iglicą.

Król bez następców wywołuje u wszystkich niepokój, zwłaszcza gdy ma lat pięćdziesiąt i łysieje. Tak więc w żywotnym interesie Rolanda leżało jak najprędzej się ożenić i mieć wkrótce potomka. Jego najbliższy doradca, Flagg, jasno mu to wykazał. Ponadto uzmysłowił mu, że osiągnąwszy pięćdziesiątkę ma przed sobą niewiele lat na spłodzenie następcy. Flagg poradził królowi, żeby szybko brał sobie żonę, nie czekając na damę ze szlacheckiego rodu, która mu się spodoba. Jeśli dama taka nie trafiła mu się, zanim osiągnął lat pięćdziesiąt, powiedział Flagg, to prawdopodobnie nie pojawi się już nigdy.

Roland dostrzegł mądrość tej rady i zgodził się z nią, nie mając ani przez moment pojęcia, że Flagg o rzadkich włosach i bladej, prawie zawsze ukrytej pod kapturem twarzy wiedział o jego najtajniejszym sekrecie: nigdy nie spotkał kobiety swoich snów, albowiem nigdy naprawdę o niej nie marzył. Kobiety napawały go niepokojem. I nigdy nie podobała mu się czynność, dzięki której w brzuchach kobiet pojawiały się dzieci. Czynność ta także budziła w nim uczucie niepewności.

Ale dostrzegł mądrość zawartą w radach czarnoksiężnika i w sześć miesięcy po pogrzebie królowej wdowy w królestwie odbyło się znacznie szczęśliwsze wydarzenie – zaślubiny króla Rolanda z Sashą, która miała zostać matką Piotra i Tomasza.

Rolanda nie darzono ani miłością, ani nienawiścią w Delainie. Sashę natomiast kochali wszyscy. Gdy umarła przy urodzeniu swego drugiego syna, królestwo ogarnęła najczarniejsza żałoba, która trwała przez rok i dzień. Sasha była jedną z sześciu kandydatek na żonę, jakie Flagg podsunął królowi. Roland nie znał żadnej z nich, a wszystkie należały do tej samej klasy i grupy majątkowej. Wszystkie miały w żyłach krew szlachecką, ale żadna nie wywodziła się z królewskiego rodu; każda była łagodna, przyjemna i cicha. Flagg nie sugerował nikogo, kto mógłby zająć jego miejsce najbliżej królewskiego ucha. Roland wybrał Sashę, gdyż sprawiała wrażenie najcichszej i najłagodniejszej z całej szóstki i budziła w nim najmniejszy lęk. Tak więc pobrali się. Sasha z Zachodniej Baronii (bardzo niewielkiej) miała wtedy siedemnaście lat, o trzydzieści trzy mniej niż jej mąż. Nigdy nie widziała mężczyzny bez spodni do nocy poślubnej. Gdy przy tej okazji zobaczyła jego sflaczały członek, zapytała z wielkim zainteresowaniem: – Co to jest, mężu? – Gdyby powiedziała cokolwiek innego albo zadała pytanie nieco innym tonem, wydarzenia tamtej nocy, a zarazem cała ta historia mogłyby przybrać inny bieg; pomimo specjalnego napoju, jaki Flagg dał mu godzinę wcześniej pod koniec uczt weselnej, Roland mógłby po prostu dyskretnie zwiać. Ale ujrzał ją wtedy dokładnie taką, jaka była – bardzo młodą dziewczynę, która wiedziała jeszcze mniej na temat robienia dzieci niż on sam, i zauważył też, że usta jej wyrażały życzliwość, więc pokochał ją, jak wszyscy inni w Delainie mieli ją pokochać. To Żelazo Króla – powiedział.

- Nie jest podobne do żelaza – rzekła Sasha z powątpiewaniem.
- Jeszcze nie jest wykute – odparł.
- Aha, a gdzie jest kuźnia?
- Jeśli mi zaufasz – powiedział, kładąc się obok niej do łóżka – pokażę ci, bo sprowadziłaś ją ze sobą z Zachodniej Baronii, chociaż nic o tym jeszcze nie wiesz.

3

Lud Delainu pokochał ją, bo była dobra i życzliwa. To królowa Sasha założyła Wielki Szpital, królowa Sasha tak długo płakała nad okrucieństwem szczucia niedźwiedzi na placu, aż król wreszcie go zakazał, królowa Sasha wyblała umorzenie podatków królewskich w roku wielkiej suszy, gdy nawet liście Wielkiego Starego Drzewa poszarzały. Czy Flagg knuł przeciwko niej, zapytacie? Na początku nie. Sprawy te z jego punktu widzenia nie znaczyły wiele, albowiem był on prawdziwym czarnoksiężnikiem i żył już od wielu setek lat.

Pozwolił nawet na umorzenie podatków, gdyż rok wcześniej flota Delainu zmiotła z powierzchni ziemi piratów anduańskich, którzy dręczyli południowe wybrzeża królestwa od ponad stu lat. Czaszka króla Andui szczyrzyła zęby z pala umieszczonego za murami pałacu, a skarbiec Delainu wzbogacił się o odzyskane łupy. Przy ważniejszych problemach, sprawach wagi państwowej nadal usta Flagga znajdowały się najbliżej ucha króla Rolanda, więc z początku Flagg był zadowolony.

4

Chociaż Roland pokochał swoją żonę, nigdy nie udało mu się polubić tej czynności, którą większość mężczyzn uważa za tak przyjemną, czynności, dzięki której na świecie pojawia się zarówno najędzniejszy kuchcik, jak i następca najwyższego tronu. Roland spał w innej sypialni niż Sasha i nie odwiedzał jej często. Wizyty jego zdarzały się nie więcej niż pięć do sześciu razy w roku, a czasami w kuźni wcale nie udało się wykuć żelaza mimo stosowania coraz mocniejszych napojów Flagga i mimo niezłomnej słodczy Sashy.

Ale cztery lata po ślubie w jej łożu zrobiono Piotra. Tej właśnie nocy Roland nie potrzebował napoju Flagga, zielonego i pienistego, który zawsze przyprawiał króla o lekki zawrót głowy, jakby postradał zmysły. Owego dnia polował w Rezerwacie razem z dwunastoma swoimi ludźmi.

Polowanie było tym, co Roland zawsze najbardziej lubił – zapach lasu, rześki posmak

powietrza, dźwięk rogu, dotyk łuku, gdy opuszcza go strzała zmierzająca właściwym kursem. W Delainie znano proch, ale stanowił on rzadkość, a polowanie z metalową rurą uważano zawsze za niskie i niegodne.

Sasha czytała w łóżku, gdy przyszedł do niej z błyskiem radości na swej czerstwej, brodatej twarzy, ale odłożyła książkę na pierś i słuchała z uwagą, jak opowiadał gestykując. Pod koniec cofnął się, żeby pokazać, jak napiął łuk i wystrzelił Młot na Wrogów – wielką strzałę swego ojca – w poprzek niewielkiej dolinki. Wtedy ona zaśmiała się, klasnęła w dłonie i zdobyła jego serce.

Rezerwat Królewski był już prawie całkiem przetrzebiony. W tamtych cywilizowanych czasach rzadko znajdowało się tam większe sztuki zwierzyny płowej, a od niepamiętnych czasów nie widywało się smoków. Większość ludzi śmiałaby się, gdyby im powiedziano, że na to mityczne stworzenie można by natknąć się w tym nudnym lesie. Ale na godzinę przed zachodem słońca tego dnia, gdy Roland i jego drużyna mieli już wracać do domu, właśnie wtedy znaleźli... a raczej zostali znalezieni.

Smok niezdarnie wyłonił się z krzaków trzeszcząc łamanymi gałęziami. Miał lśniące zielonkawomiedziane łuski i ział ogniem z osmalonych nozdrzy. Nie był to bynajmniej mały smok, lecz samiec przed pierwszym wytopem. Większa część drużyny zamarła, nie będąc w stanie napiąć cięciwy ani nawet się poruszyć.

Stwór przyglądał się drużynie myśliwych – jego zwykle zielone oczy stały się żółte – zatrzepotał skrzydłami. Nie odleciał jednak – w ciągu najbliższych pięćdziesięciu lat i przez dwa wytopy jego skrzydła nie będą w stanie unieść ciężaru ciała w powietrze – ale niemowleca błonka, która utrzymuje skrzydła przy ciele smoka, dopóki nie ukończy on dziesięciu do dwunastu lat, opadła już i jeden ich ruch wytworzył podmuch, na skutek którego główny łowczy spadł na plecy z konia gubiąc róg.

Roland jako jedyna osoba nie uległ kompletnemu bezwładowi i choć był zbyt skromny, żeby powiedzieć to żonie, jego następne działania cechowało prawdziwe bohaterstwo, jak również zapał myśliwski. Smok mógłby spokojnie upiec żywcem większość zaskoczonych drużyny, gdyby nie szybka akcja Rolanda. Skłonił on swego konia do zrobienia kilku kroków naprzód i nasadził na cięciwę wielką strzałę. Napiął łuk i strzelił. Grot trafił prosto w cel – jedyne miękkie, skrzelowate miejsce poniżej gardła, przez które smok wciąga powietrze do wytwarzania ognia. Czerw padł martwy podpalając ostatnim oddechem krzaki dookoła siebie. Paziowie szybko ugasilili ogień, niektórzy wodą, inni piwem, a niejeden moczem – lecz gdy się nad tym zastanowić, większość moczu też była piwem, bo Roland udając się na polowanie, zabierał ze sobą mnóstwo tego trunku i nikomu go nie skąpił.

Ogień został ugaszony w pięć minut, a smoka wypatroszono w piętnaście. Można jeszcze było zagotować wodę nad jego dymiącymi nozdrzami, gdy złożono na ziemi wnętrzności. Ociekające krwią serce o dziewięciu komorach zaniesiono z wielką ceremonią Rolandowi. Zjadł

je na surowo, jak nakazywał zwyczaj, i bardzo mu smakowało. Żałował tylko, że najprawdopodobniej drugi raz mu się coś takiego nie trafi.

Może to właśnie serce uczyniło go tak silnym tej nocy. Może wystarczyła radość polowania i świadomość, że zadziałał szybko i z zimną krwią, gdy inni siedzieli ogłupiali w siodłach (oczywiście poza głównym łowczym, który leżał ogłupiały na plecach). Jakikolwiek był tego powód, gdy Sasha klasnęła w ręce i zawołała: – Cudownie, mój dzielny mężu! – prawie wskoczył jej do łóżka. Sasha powitała go z otwartymi ramionami i uśmiechem, który odzwierciedlał jego triumf. Tej nocy po raz pierwszy i ostatni Roland cieszył się uściskami swej żony na trzeźwo. W dziewięć miesięcy później – jeden miesiąc na każdą komorę smoczego serca – Piotr urodził się w tym samym łożu, a w całym królestwie zapanowała radość – mieli wreszcie następcę tronu.

5

Myślicie pewnie – jeżeli chciało się wam nad tym zastanowić – że Roland przestał używać dziwnego zielonego napoju Flagga po urodzeniu Piotra. Nic podobnego. Nadal popijał go od czasu do czasu. Czynił tak, gdyż kochał Sashę i chciał jej sprawić przyjemność. Gdźieniedzie uważa się, że seks stanowi przyjemność tylko dla mężczyzn, a kobiety zadowolone są, gdy zostawia je się w spokoju. Ale lud Delainu nie hołdował takim dziwacznym poglądom – zakładano, że kobiecie również sprawia przyjemność uczestnictwo w akcie, dzięki któremu na ziemi pojawiają się najmilsze stworzenia. Roland zdawał sobie sprawę, że nie poświęcał żonie należytej uwagi w tej dziedzinie, ale postanowił dołożyć wszelkich starań, – nawet jeśli oznaczało to zażywanie napoju Flagga. Jeden tylko Flagg wiedział, jak rzadko król udawał się do łożnicy swej małżonki.

Jakieś cztery lata po urodzeniu Piotra, w dzień Nowego Roku, nawiedziła Delain ogromna zamieć. Była to największa zamieć, jaka kiedykolwiek miała miejsce za ludzkiej pamięci, poza jeszcze jedną – ale o tym później.

Kierując się impulsem niezrozumiałym nawet dla samego siebie Flagg przygotował królowi napój o podwójnej mocy – może to wiatr tak na niego podziałał. Normalnie Roland skrzywiłby się z niesmakiem i prawdopodobnie odstawiłby napój, ale zamieć wywołała podniecenie, dzięki któremu bal sylwestrowy był szczególnie wesoły, a Roland upił się. Ogień płonący w kominku przypomniał mu ostatni ziejący oddech smoka, więc król wiele razy przepijał do swego portretu umieszczonego na ścianie. Gdy w końcu wypił jednym haustem zielony napój, opadło go złe pożądanie. Opuścił natychmiast salę jadalną i odwiedził Sashę. Usiłując kochać się z nią, sprawił jej ból.

– Mężu, proszę – zawołała łkając.

– Przepraszam – wymamrotał. – Chrr... – Leżąc obok niej zapadł w ciężki sen i pozostawał bez świadomości przez następne dwadzieścia godzin. Nigdy nie zapomniała dziwnego zapachu wydobywającego się z jego ust tej nocy. Przypominał woń gnijącego mięsa, odór śmierci. Co też, zastanawiała się, takiego on zjadł... albo wypił?

Roland nigdy więcej nie dotknął napoju Flagga, ale Flagg i tak był usatysfakcjonowany. Dziewięć miesięcy później Sasha urodziła Tomasza, swojego drugiego syna. Umarła przy porodzie. Takie rzeczy zdarzały się i chociaż zasmuciło to wszystkich, nikt się nie dziwił. Wydawało im się, że wiedzieli, co się stało. Ale jedynymi ludźmi, którzy naprawdę znali rzeczywiste okoliczności, była Anna Crookbrows, położna, i Flagg, czarnoksiężnik królewski. Cierpliwość Flagga do Sashy i jej wtrącania się w nie swoje sprawy wyczerpała się.

6

Piotr miał zaledwie pięć lat, gdy umarła jego matka, ale zachował ją w serdecznej pamięci. Uważał, że była słodka, kochająca i dobra. Ale pięć lat to młody wiek, więc pamiętał ją mgliście. Zachował tylko jedno wyraźne wspomnienie – jak został przez nią skarcony. Znacznie później wspomnienie owej karcącej uwagi okazało się dla niego niezmiernie ważne. A związane było ono z serwetką.

Na początku każdego piątego miesiąca roku na dworze odbywała się uczta ku czci wiosennych nasadzeń. Gdy Piotr miał pięć lat, po raz pierwszy pozwolono mu wziąć w niej udział. Obyczaj nakazywał, żeby Roland siedział u szczytu stołu, następca tronu po jego prawej ręce, a królowa na drugim końcu. W rezultacie Piotr znajdował się podczas posiłku poza jej zasięgiem, więc Sasha starannie pouczyła go zawczasu, jak ma się zachować. Chciała, żeby dobrze wypadł i wykazał się przyzwoitymi manierami. No i oczywiście wiedziała, że podczas uczyt będzie zdany na własne siły, jako że jego ojciec nie miał pojęcia o właściwym zachowaniu.

Niektórzy z was zapytają, dlaczego zadanie uczenia Piotra dobrych manier spadło na Saszę. Czyżby chłopak nie miał guwernantki? (Miał, i to dwie). Czy nie było służących, którzy obsłużyliby książętko? (Całe bataliony). Sztuka polegała nie na tym, żeby zmusić ich do zajęcia się Piotrusiem, ale żeby trzymać ich od niego z daleka. Sasha chciała sama go wychowywać, a w każdym razie na ile się dało. Kochała go gorąco i pragnęła mieć go przy sobie dla swoich własnych, egoistycznych powodów. Ale również zdawała sobie sprawę, że jego wychowanie to poważna odpowiedzialność. Chłopczyk miał pewnego dnia zostać królem i ponad wszystko Sasha chciała, żeby był dobry. Dobry chłopiec, jak sądziła, stanie się dobrym królem.

Wielkie uczyt w Sali Głównej nie cechował zbyt ni ład i większość nianiek nie martwiłaby się o to, jak zachowa się chłopczyk przy stole. Przecież zostanie kiedyś królem! – powiedziałyby

nieco zaskoczone pomysłem, że należy go korygować w tak trywialnych sprawach. Czy to ważne, że rozleje sos? Albo że nakapie sobie na kryzę, czy też nawet wytrze o nią ręce? Czyż dawnymi czasy nie zdarzało się, że król Alain wymiotował na talerz, a potem rozkazał swemu trefnisiowi podejść bliżej i zjeść „tą pyszną gorącą zupkę”? Czyż król Jan nie miał zwyczaju odgryzać łebków żywym pstrągom i wrzucać trzepoczące się ciała za staniki dziewczkom podającym do stołu? Czyż ta ucztą nie zakończy się jak zwykle tym, że jej uczestnicy zaczną obrzucać się jedzeniem?

Niewątpliwie tak mogło się stać, ale gdy obyczaje upadły do poziomu rzucania jedzeniem, Piotr dawno już znajdował się w łóżku. Sasha przede wszystkim miała za złe podejście wyrażone w słowach „czy to ważne”. Uważała, że jest to najgorsza rzecz, jaka może utkwic w głowie dziecka, którego przeznaczeniem jest zostać królem.

Tak więc Sasha udzieliła chłopcu dokładnych wskazówek, a potem obserwowała z uwagą jego zachowanie i maniery – i to było w porządku, ponieważ zachowywał się w większości wzorowo. Ale wiedziała, że nikt poza nią nie powie mu, jakie zrobił błędy, i że musi uczynić to teraz, w tym krótkim okresie, kiedy chłopak ją uwielbia. Tak więc, gdy skończyła go chwalić, powiedziała:

– Jedną rzecz zrobiłeś źle, Piotrusiu, i nie chcę, żeby się to kiedykolwiek powtórzyło.

Piotr leżał w łóżeczku, a jego ciemnoniebieskie oczy popatrzyły na nią z powagą.

– Co takiego, mamó?

– Nie użyłeś serwetki – powiedziała. – Zostawiłeś ją złożoną obok talerza, a ja patrzyłam na to z przykrością. Jadłeś kurczaka palcami, i to jest w porządku, bo tak właśnie się go je. Ale kiedy odłożyłeś kostki na talerz, wytarłeś palce w koszulę, i to jest źle.

– Ale ojciec... i pan Flagg... i inni panowie...

– Do licha z Flaggiem i do licha z wszystkimi panami w Delainie! – zawołała z taką mocą, że Piotr skulił się w swoim łóżku. Bał się i wstydził, że przez niego na jej policzkach zakwitł rumieniec. – To, co robi ojciec, jest w porządku, bo jest on królem, a wszystko, co robi król, jest zawsze właściwe. Ale Flagg nie jest królem, bez względu na to, jak bardzo by chciał, i panowie nie są królami ani ty też nie jesteś królem, tylko małym chłopcem, który nie zawsze potrafi się zachować.

Zobaczyła, że się przestraszył i uśmiechnęła się. Położyła mu dłoń na czole.

– Nie bój się, Piotrusiu – powiedziała. – To drobiazg, ale jest on ważny – bo gdy nadejdzie czas, zostaniesz królem. A teraz przynieś swoją tabliczkę.

– Ale pora spać...

– Do licha ze spaniem. Może poczekać. Leć po tabliczkę. Piotr pobiegł po tabliczkę.

Sasha wzięła kredę umocowaną z boku i starannie wyrysowała trzy litery.

– Potrafisz przeczytać to słowo, Piotrze?

Piotr skinął głową. Umiał przeczytać tylko kilka słów, chociaż znał już większość dużych liter. A to było właśnie jedno z tych słów.

– Tu jest napisane BÓG.

– Zgadza się. A teraz napisz to na odwrot i zobacz, co uzyskasz.

– Na odwrot? – zapytał z powątpiewaniem Piotr.

– Tak właśnie.

Piotr napisał, jak mu kazano, a litery, jakie stawiał, wyglądały dziecinnie i koślawo w porównaniu ze starannym pismem matki. Ze zdziwieniem zobaczył, że napisał inne słowo z liter, jakie znał.

– P i e s! Mamo! To jest pies! [Po angielsku „Bóg” to *God*, a „pies” – *dog*]

– Tak jest. Pies – smutek w jej głosie natychmiast zgasił podniecenie Piotrusia. Matka wskazała najpierw na słowo BÓG, a potem na PIES. – To są dwie natury człowieka – powiedziała. – Nigdy o nich nie zapominaj, bo pewnego dnia zostaniesz królem, a królowie rosną wysocy i stają się wielcy – tak wysocy jak smoki po dziewiątym wytopie.

– Ojciec nie jest ani wielki, ani wysoki – zaprotestował Piotr. Roland w rzeczywistości był raczej niski i miał krzywe nogi. Ponadto miał wielki brzuch, który urósł mu od ciągłego popijania piwa i miodu.

Sasha uśmiechnęła się.

– A jednak jest. Królowie rosną niewidocznie, Piotrusiu, i ma to miejsce w jednej chwili, gdy ujmują berło, a na głowę założona jest im korona na placu Iglicy!

– Naprawdę? – oczy Piotra stały się wielkie i okrągłe. Pomyślał, że rozmowa odbiegła daleko od jego zaniedbania użycia serwetki podczas bankietu, ale wcale nie żałował, że kłopotliwy temat został zastąpiony tak ciekawym. Ponadto postanowił już sobie, że nigdy więcej nie zapomni o serwetce – skoro jest tak ważne dla matki, jest to również niezmiernie ważne i dla niego.

– O tak. Królowie rosną ogromnie i dlatego muszą być bardzo ostrożni, bo tak wielka osoba może zgnieść mniejsze po prostu idąc na spacer albo odwracając się, albo nagle siadając na niewłaściwym miejscu. Źli królowie często w ten sposób postępują. Myślę też, że nawet dobrzy królowie nie mogą zawsze uniknąć czegoś takiego.

– Chyba nie rozumiem...

– To słuchaj dalej – postukała znów w tabliczkę. – Nasi kapłani mówią, że natura ludzka częściowo wywodzi się od Boga, a częściowo od Kozłonogiego. Wiesz, kto to jest Kozłonogi, Piotrze?

– Diabeł.

– Tak. Ale poza opowieściami mało jest na świecie diabłów, Piotrusiu, najczęściej źli ludzie są raczej podobni do psów niż diabłów. Psy są przyjazne, ale głupie, podobnie mężczyźni i kobiety, kiedy się upiją. Gdy psy są podniecone i czegoś nie rozumieją, mogą ugryźć. Gdy

ludzie są podnieceni i nie rozumieją, o co chodzi, zaczynają się bić. Psy są świetne jako zwierzęta domowe, bo są wierne, ale jeśli człowiek nie jest niczym więcej niż zwierzak, to moim zdaniem kiepski z niego człowiek. Psy bywają odważne, ale bywają też tchórzami wyjąłymi w mroku i uciekającymi z podwiniętym ogonem. Pies gotów jest lizać rękę zarówno złego, jak i dobrego pana, gdyż nie zna różnicy między dobrem a złem. Pies zje pomyje, zwymiotuje to, czego jego żołądek nie zniesie, i przyjdzie po jeszcze.

Zamilkła na chwilę, być może zastanawiając się, co też działo się w tym właśnie momencie na sali bankietowej – kobiety i mężczyźni ryczący pijackim śmiechem, rzucający w siebie jedzeniem, od czasu do czasu odwracający się niedbale na stronę, żeby zwymiotować koło swoich krzeseł. Roland zachowywał się podobnie, co czasami zasmucało ją, ale nie krytykowała go za to ani nie czyniła mu wyrzutów. Taki był. Mógł obiecać, że się zmieni, żeby jej sprawić przyjemność, a nawet mógłby wprowadzić obietnicę w czyn, ale wtedy przestałby być sobą.

– Rozumiesz to, Piotrze? Piotr skinął głową.

– Świetnie. To teraz powiedz mi – pochyliła się do niego – czy pies używa serwetki?

Upokorzony i zawstydzony Piotr spojrział w dół na kołdrę i potrząsnął głową. Najwyraźniej rozmowa nie oddaliła się wcale od tematu, jak sądził. Może dlatego, że wieczór obfitował we wrażenia, a może dlatego, że był już bardzo zmęczony, w jego oczach pojawiły się łzy i spłynęły mu po policzkach. Walczył z nadchodzącym łkaniem. Zduślił je w gardle. Sasha zauważyła to i przepełnił ją podziw.

– Nie płacz nad nie używaną serwetką, kochanie – powiedziała – bo nie jest to moim celem.

– Wstała, unosząc swój wielki już brzuch. Narodziny Tomasza były już blisko. – Poza tym zachowałeś się bez zarzutu. Każda matka w królestwie byłaby dumna z syna, który zachowałby się w połowie tak dobrze jak ty, i moje serce jest pełne podziwu. Powiedziałam ci o tym tylko dlatego, że jestem matką księcia. Jest to czasem trudne, ale nie da się tego zmienić, a prawdę mówiąc, nie zrobiłabym tego, gdybym nawet mogła. Ale pamiętaj, że pewnego dnia czyjeś życie może zależeć od tego, co uczynisz, a nawet od tego, co ci się przyśni. Być może nie od tego, czy użyjesz serwetki po pieczonym kurczęciu, ale nigdy nic nie wiadomo. Może. Zdarzało się już, że życie ludzkie zależało od drobniejszych spraw. Proszę cię tylko, żebyś zawsze pamiętał o cywilizowanej stronie twojej natury. Dobrej stronie – stronie Boga. Czy możesz mi to obiecać?

– Obiecuję.

– No więc wszystko jest dobrze – pocałowała go leciutko. Na szczęście i ty, i ja jesteśmy młodzi. Porozmawiamy sobie o tym więcej, gdy będziesz w stanie lepiej mnie zrozumieć.

Nigdy sobie nie porozmawiali, ale Piotr nie zapomniał lekcji: zawsze używał serwetki, nawet gdy nikt inny tego nie robił.

Tak więc Sasha umarła. Nie odegra już ona większej roli w tym opowiadaniu, ale jest jeszcze jedna rzecz, o której powinniście wiedzieć: miała dom dla lalek. Ten dom był bardzo duży i piękny, prawie zamek w miniaturze. Gdy nadeszła pora zamążpójścia, Sasha starała się sprawiać wrażenie wesołej, ale było jej przykro opuszczać wszystkich i wszystko w wielkim domu w Zachodniej Baronii, gdzie dorastała – no i trochę się niepokoiła. Powiedziała matce:

– Nigdy dotąd nie byłam zameżna, więc nie wiem, czy mi się to spodoba.

Ale ze wszystkich dziecinnych rzeczy, jakie zostawiła, jednej żałowała najbardziej – domu dla lalek, który miała od dzieciństwa.

Roland, który był dobrym człowiekiem, dowiedział się o tym w jakiś sposób i chociaż także niepokoił się co do przyszłości (on także nigdy przedtem nie był żonaty), znalazł czas, żeby zamówić u Quentina Ellendra, najlepszego rzemieślnika w kraju, nowy dom dla lalek dla swojej żony.

– Chcę, żeby to był najpiękniejszy dom dla lalek, jaki kiedykolwiek miała młoda dama – powiedział Ellendrowi. – Chcę, żeby raz na niego spojrzała i zapomniała, iż kiedykolwiek miała inny.

Jak niewątpliwie zdajecie sobie sprawę, jeśli Roland mówił szczerze, to grubo się mylił. Nikt nigdy nie zapomina ulubionej zabawki, chociażby nowa była o wiele ładniejsza. Sasha nigdy nie zapomniała swojego starego domku dla lalek, ale nowy też bardzo jej się podobał. Tylko kompletny idiota nie byłby nim zachwycony. Ci, którzy go widzieli, utrzymywali, że było to najlepsze dzieło Quentina Ellendra, co najprawdopodobniej jest prawdą.

Był to dom wiejski w miniaturze, bardzo podobny do domu, w jakim Sasha mieszkała z rodzicami przed swoim zamążpójściem pośród łagodnych wzgórz Zachodniej Baronii. Wszystko w nim było miniaturowe, ale tak sprytnie wykonane, że można by przysiąc, że działa... i większość rzeczy działała!

Na przykład piec naprawdę się nagrzewał i dało się na nim zgotować maleńkie porcje jedzenia. Jeśli wrzuciło się do środka kawałek węgla, nie większy niż pudełko zapalek, palił się cały dzień... a jeśli włożyło się niezgrabny palec dorosłej osoby do kuchni i dotknęło pieca, gdy płonął w nim ogień, można się było oparzyć. Nie znalazłbyś w domu kurków i toalet ze spuszczaną wodą, bo w Królestwie Delainu nie znano czegoś takiego – i nie zna się do dziś – ale jeśli ktoś się postarał, mógł napompować wody z ręcznej pompy nie większej niż mały palec. Znajdowała się w tym mini-domku szwalnia z kołowrotkiem, który naprawdę prządł, i warsztatem tkackim, który naprawdę tkął. Szpinet w salonie grał, jeśli dotykało się klawiszy wykałaczką, a dźwięk miał czysty. Ludzie, którzy widzieli dom, mówili, że to cud i że

niewątpliwie Flagg musiał mieć w tym swój udział. Gdy opowieści takie docierały do Flagga, uśmiechał się tylko i nie mówił nic. Nie miał nic wspólnego z domem dla lalek – uważał sam pomysł za idiotyczny – ale wiedział też, że nie zawsze trzeba się do czegoś przyznawać i opowiadać ludziom, jakim się jest wspaniałym człowiekiem, żeby osiągnąć wielkość. Czasami wystarczyło mądrze wyglądać i trzymać usta na kłódkę.

W domu lalek Sashy znajdowały się prawdziwe kashamińskie dywany, prawdziwe aksamitne zasłony, prawdziwe porcelanowe talerze; chłodnia naprawdę trzymała zimno. Boazerię w sali przyjęć i frontowym przedpokoju wykonano z wypieszczonego grabowego drewna. Wszystkie okna zostały oszklone, a nad szerokimi drzwiami frontowymi znajdował się wielobarwny witraż.

Był to więc najpiękniejszy dom dla lalek i mógł stanowić przedmiot marzeń każdego dziecka. Sasha klasnęła w ręce z zachwytem, gdy odsłonięte go na uczcie weselnej, i podziękowała zań swemu mężowi. Potem poszła do warsztatu Ellendra i nie tylko złożyła mu podziękowanie, ale też skłoniła się przed nim nisko, co samo w sobie stanowiło rzecz niesłychaną – w owych czasach królowe nie kłaniały się prostym rzemieślnikom. Roland był zadowolony, a Ellender, którego wzrok pogorszył się znacznie podczas pracy nad domem, głęboko wzruszony.

Ale Sasha nie zapomniała o swoim ulubionym domku dla lalek, który zostawiła w domu, chociaż w porównaniu z nowym wydawał się bardzo zwykły, i nie spędzała wielu deszczowych poranków bawiąc się nim – przestawiając meble, zapalając ogień w piecu i patrząc, jak dymią kominy, udając, że odbywa się uroczysta herbata albo wielkie przyjęcie na cześć królowej – jak czyniła przedtem nawet jako starsza już dziewczyna – piętnastoletnia czy szesnastoletnia. Jeden z powodów był bardzo prosty. Niewielka to rozrywka przygotowywać się do przyjęcia na niby, na które przyjdzie królowa, gdy się nią jest. A może był to jedyny powód. Stała się dorosła i odkryła, że bycie dorosłą to niezupełnie to samo, co przypuszczała jako dziecko.

Wtedy wydawało jej się, że podejmie świadomą decyzję i odłoży swoje lalki, gry i zabawy na niby do lamusa. Teraz odkryła, że nic takiego się nie stało. Zamiast tego zauważyła, że przestało ją to interesować. Bawiły ją coraz mniej i mniej, aż przyjemności dzieciństwa przysypał pył zapomnienia.

8

Piotr, chłopczyk, który pewnego dnia miał zostać królem, miał dziesiątki, a prawdę mówiąc – tysiące zabawek: setki ołowianych żołnierzyków, z którymi toczył wielkie bitwy, i dziesiątki koni na biegunach. Miał gry, piłki, kukielki i kolorowe kulki. Miał szczudła, na których sięgał pięciu stóp. Miał magiczną skocznnię, na której mógł skakać, i tyle papieru, ile zechciał,

w czasach gdy zaczęto go dopiero produkować i tylko bardzo bogaci ludzie mogli sobie nań pozwolić.

Ale ze wszystkich zabawek w zamku chłopiec najbardziej lubił dom lalek swojej matki. Nigdy nie widział domku, jaki zostawiła w Zachodniej Baronii, więc dla niego był to dom domów. Przesiadywał przy nim godzinami, gdy na dworze lał deszcz albo gdy zimny wiatr wiał przez niebieskie, wypełnione śniegiem gardło. Gdy zachorował na Dziecięcy Tataż (który my nazywamy ospą wietrzną), kazał służącemu ustawić dom na specjalnym stole przymocowanym nad łóżkiem i bawił się nim dopóty, aż nie wyzdrowiał.

Uwielbiał wyobrazać sobie maleńkie ludziki zapełniające dom; czasami wydawali mu się tak prawdziwi, że niemal ich widział. Przemawiał za nich różnymi głosami i wszystkie sam wymyślił. Stanowili oni królewską rodzinę. Był więc król Roger, wielce potężny i odważny (choć niezbyt wysoki i o krzywych nogach), który niegdyś zabił smoka. Była też piękna królowa Sara, jego żona, a także ich mały synek, Piotruś, który ich kochał i był kochany. Nie mówiąc już o wszystkich wymyślonych sługach, którzy ślali łóżka, palili w piecu, przynosili wodę, gotowali posiłki i łatali ubrania.

Ponieważ był chłopcem, niektóre z historii, jakie wymyślał w związku z domem, okazywały się nieco bardziej krwiożercze niż opowieści, jakie układała Sasha jako mała dziewczynka. W jednej z nich piraci anduańscy otoczyli dom pragnąc wdrzeć się do środka i wymordować całą rodzinę. Była to przesławna bitwa. Dziesiątki piratów zabito, ale w końcu okazało się, że jest ich jednak za dużo. Szykowali się do ostatniego ataku. Ale zanim ruszyli do akcji, królewska straż przyboczna – tę rolę odegrały ołowiane żołnierzyki Piotra – nadeszła i zgładziła przekłete anduańskie wilki morskie co do jednego. W innym opowiadaniu smoki zagnieździły się w pobliskim lesie (zazwyczaj pobliski las znajdował się pod kanapą Sashy przy oknie) i chciały spalić dom swym wściekłym oddechem. Ale Roger i Piotruś wypadli ze swoimi łukami i zabili je wszystkie. – Aż ziemia poczerniała od ich ohydnej krwi – opowiadał Piotr ojcu, królowi, przy kolacji, a Roland wydał ryk aprobaty.

Po śmierci Sashy Flagg powiedział Rolandowi, że jego zdaniem chłopiec nie powinien bawić się domami lalek. Może stać się zniewieściały. No i nie byłoby dobrze, gdyby rozeszło się to pośród ludzi. A takie historie zawsze się rozchodzą. Zamek jest pełen służby. Służący widzą wszystko i klepią językami.

– Ale on ma tylko sześć lat – powiedział niepewnie Roland. Flagg ze swoją białą, godną twarzą ukrytą pod kapturem i ze swymi magicznymi zaklęciami zawsze pozbawiał go pewności siebie.

– Sześć lat to wiek, w którym należy zacząć kształcić chłopca we właściwym kierunku, panie – powiedział Flagg. – Zastanów się nad tym. Twój osąd będzie niewątpliwie, jak zawsze, słuszny.

Zastanów się nad tym – powiedział Flagg, no i właśnie tak uczynił król Roland. Trzeba mu przyznać, że nie zastanawiał się nad niczym równie głęboko podczas dwudziestu paru lat swojego panowania jako władca Delainu.

Może wam się to wydać dziwne, jeśli pomyślicie o wszystkich obowiązkach króla – ważnych sprawach, takich jak nakładanie podatków na pewne rzeczy lub zdejmowanie ich z innych, ogłaszanie wojny, nakładanie kar albo okazanie łaski. Czym, powiecie, była decyzja, by pozwolić małemu chłopcu bawić się domkiem dla lalek lub nie, w porównaniu z tym wszystkim?

Może niczym, a może czymś. Sami podejmijcie decyzję. Powiem wam tylko, że Roland nie należał do najinteligentniejszych władców Delainu. Zastanawianie się zawsze stanowiło dlań ciężką pracę. Czuł się wtedy tak, jak gdyby w głowie obracały mu się ogromne kamienie. Oczy mu łzawiły i pulsowało w skroniach. Jeśli myślał nad czymś bardzo usilnie, zatykał mu się nos.

Gdy był chłopcem, nauka pisania wypracowań, matematyka i historia przyprawiały go o taki ból głowy, że pozwolono mu ich zaprzestać, gdy osiągnął dwanaście lat, i zająć się tym, co robił najlepiej, to znaczy polowaniem. Starał się bardzo być dobrym królem, ale zawsze czuł, że nie jest dostatecznie dobry i wystarczająco inteligentny, by rozwiązywać problemy królestwa lub podejmować dużo właściwych decyzji, i wiedział, że jeśli dokona złego wyboru, ucierpią na tym ludzie. Gdyby usłyszał, jak Sasha opowiadała Piotrowi o królach po ucztach, zgodziłby się z nią całkowicie. Królowie są naprawdę więksi niż inni ludzie i czasami – bardzo często – żałował, że nie jest mniejszy. Jeśli kiedykolwiek w życiu zastanawialiście się, czy się nadajecie do wykonania jakiegoś zadania, to wiecie, co czuł. Ale czego możecie nie wiedzieć, to tego, że taki niepokój zaczyna po pewnym czasie żywić się samym sobą. Nawet jeśli na początku poczucie, że się do czegoś nie nadajecie, nie jest zgodne z prawdą, może się nią stać z czasem. Tak właśnie było z Rolandem, który z upływem lat polegał coraz bardziej i bardziej na Flaggu. Czasami martwił się, że Flagg jest królem we wszystkim poza imieniem – ale niepokoje takie nachodziły go tylko późnym wieczorem. W dzień czuł do Flagga wdzięczność za pomoc.

Gdyby nie Sasha, Roland mógłby zostać o wiele gorszym królem niż w rzeczywistości, a to dlatego, że cichy głosik, który czasami słyszał, gdy nie mógł zasnąć, był o wiele bliższy prawdy niż to, co słyszał za dnia. Albowiem Flagg rzeczywiście rządził królestwem i był bardzo złym człowiekiem. Trzeba będzie o nim później powiedzieć trochę więcej, niestety, ale teraz dajmy mu spokój, i bardzo dobrze.

Sasha przełamała nieco wpływ, jaki Flagg wywierał na Rolanda. Jej rady były dobre i praktyczne, i o wiele łagodniejsze i sprawiedliwsze niż rady czarnoksiężnika. Nigdy nie lubiła Flagga – mało kto go lubił w Delainie, a wielu drżało na sam dźwięk jego imienia – ale jej niechęć była umiarkowana. Prawdopodobnie odnosiłaby się do niego inaczej, gdyby wiedziała, jak bacznie Flagg jej się przygląda i jaką rosnącą, jadowitą nienawiść do niej żywi.

Aż raz Flagg spróbował otruć Sashę. Miało to miejsce wkrótce potem, jak poprosiła Rolanda o ułaskawienie dwu dezertków, którym, jak tego chciał Flagg, miano ściąć głowy na placu Iglicy. Twierdził on, że dezertki dają zły przykład. Jeśli pozwoli się komuś wykręcić od płacenia najwyższej kary, inni zechcą pójść w jego ślady. Jedyne sposoby, żeby ich do tego zniechęcić, powiedział, to pokazać im głowy tych, którzy już tego spróbowali. Inni potencjalni dezertki przyjrzą się tym spuchniętym głowom o martwych oczach i dwa razy się zastanowią nad powagą ich służby dla króla.

Ale Sasha dowiedziała się od jednej ze swych pokojówek faktów, o których Roland nie wiedział. Matka pewnego chłopca poważnie zachorowała. W rodzinie byli jeszcze trzej młodszy bracia i trzy młodsze siostry. Wszystkim groziła śmierć w czasie srogich zimowych mrozów, jakie zwykle zdarzały się zimą w Delainie, gdyby chłopak nie opuścił obozu, pojechał do domu i narębał drzewa dla matki. Młodszy poszedł z nim, bo był najlepszym przyjacielem starszego, krwią zaprzysiężonym bratem. Sam chłopak potrzebowałby dwu tygodni, żeby narębać drewna na całą zimę. Gdy pracowali obaj, zajęło im to tylko sześć dni.

Fakty te rzuciły nowe światło na całą sprawę. Roland bardzo kochał swoją matkę i z radością by dla niej umarł. Zbadał sprawę i stwierdził, że opowiadanie Sashy było zgodne z prawdą. Dowiedział się też, że dezertki uciekli dopiero wtedy, gdy sadystyczny sierżant kilkakrotnie odmówił przekazania ich prośby o zwolnienie swemu zwierzchnikowi i że natychmiast wrócili do obozu, gdy tylko cztery sagi drewna zostały narębane, chociaż wiedzieli, że czeka ich sąd wojskowy i topór kata.

Roland wybaczył im. Flagg skinął głową, uśmiechnął się i powiedział tylko: – Wola twoja jest wolą Delainu, panie. – Nawet za wszystko złoto w Czterech Królestwach nie pozwoliłby Rolandowi zobaczyć chorobliwej furii, jaką spowodował opór króla wobec jego woli. Łaska okazana chłopcom wywołała zadowolenie w Delainie, gdyż wielu poddanych Rolanda znało fakty, a ci, którzy ich nie znali, zostali o nich szybko poinformowani przez innych. Pamiętano o mądrej i życzliwej decyzji Rolanda, gdy wprowadzał mnę, mniej ludzkie ustawy (które z reguły były pomysłami czarnoksiężnika). Ale Flaggowi nie robiło to różnicy. Chciał, żeby chłopców zgładzono, a Sasha pomieszała mu szyki. Czemu Roland nie poślubił innej? Nie znał żadnej z nich i nie interesował się kobietami. Czemu nie inna? No nic, nieważne. Flagg uśmiechał się słysząc o akcie łaski, ale w sercu przysięgł sobie, że wkrótce pójdzie na pogrzeb Sashy.

Tej nocy, gdy Roland podpisał akt łaski, Flagg udał się do swego ponurego laboratorium w piwnicy. Tam przywdział grubą rękawicę i wydobyl jadowitego pajaka z klatki, w której trzymał go przez dwadzieścia lat, karmiąc nowo narodzonymi myszami. Każda z myszy, jakie

dawał pająkowi, była zatruta i umierająca; Flagg chciał w ten sposób zwiększyć i tak niezwykle silną moc trucizny samego pająka. Miał on kolor krwistoczerwony i rozmiary szczura. Rozdęte ciało drgało jadem ściekającym po jego żądle przezrzystymi kroplami, które wypalały dymiące dziury w blacie roboczego stołu czarnoksiężnika.

– A teraz giń, mój śliczny, i zabij królową – szepnął Flagg i zgniótł pająka przez rękawiczkę wykonaną z magicznej siatki stalowej odpornej na truciznę, ale i tak tej nocy, gdy poszedł już spać, ręka mu spuchła, zaczerwieniła się i pulsowała niemile.

Trucizna z rozgniecionego, poskręcane go ciała pająka spłynęła do kielicha. Mag nalał do morderczego płynu brandy i zamieszał. Gdy wyjął z naczynia łyżkę, jej miseczka utraciła swój kształt. Królowa wypije łyk i padnie martwa na podłogę. Jej śmierć będzie szybka, ale niezmiernie bolesna, pomyślał z zadowoleniem.

Sasha miała zwyczaj wypijać kieliszek brandy co wieczór, bo często miała trudności z zaśnięciem. Flagg zadzwonił na służącego i polecił mu zanieść kielich królowej.

Sasha nigdy się nie dowiedziała, że tej nocy otarła się o śmierć.

Kilka chwil po przygotowaniu morderczego napoju, zanim jeszcze sługa zapukał do drzwi, Flagg wylał go do otworu ściekowego umieszczonego na środku pokoju i stał słuchając, jak sycząc i bulgocząc spływa w dół. Jego twarz wykrzywiła nienawiść. Gdy syczenie umilkło, cisnął z całej siły kryształowym pucharem o ścianę. Naczynie roztrzaskało się z hukiem.

Sługa zastukał i został wpuszczony.

Flagg pokazał mu, gdzie połyskiwały kawałki szkła. – Stłukłem puchar – powiedział. – Sprzątnij tu. Szczotką, idioto. Jeśli dotkniesz odłamków, będziesz tego żałował.

10

Wylał truciznę do ścieku w ostatniej chwili, bo zrozumiał, że mógłby łatwo zostać wykryty. Gdyby Roland kochał młodą królową odrobinę mniej, Flagg zaryzykowałby. Ale bał się, że Roland oszalały z żalu po śmierci żony nie spocznie, aż nie znajdzie mordercy i umieści jego głowę na samym czubku Iglicy. Była to jedyna zbrodnia, za którą zemsty dopilnowałby bez względu na to, kto ją popełnił. Ale czy znalazłby mordercę?

Prawdopodobnie tak.

W końcu co jak co, ale polować Roland potrafił.

Więc Sasha ocalała – tym razem – chroniona strachem Flagga i miłością męża. Tymczasem mag wciąż znajdował u króla posłuch w większości spraw.

Jeśli zaś chodzi o domek dla lalek – to można w tej sprawie powiedzieć, że Sasha wygrała, chociaż Flagg zdążył już wcześniej się jej pozbyć.

11

Wkrótce potem, jak Flagg czynił swoje pogardliwe uwagi o domkach dla lalek i zniewieściałych królewiczach, Roland wślizgnął się niepostrzeżenie do bawialni królowej i patrzył, jak jego syn się bawi. Król stał tuż za drzwiami ze zmarszczoną brwią. Myślał o wiele intensywniej niż normalnie, co oznaczało, że wielkie głązy toczyły się w jego głowie i zatkał mu się nos.

Zobaczył, że Piotr używa domku dla lalek, żeby opowiadać sobie historie na niby, a bajki te wcale nie świadczyły o jego zniewieściałości. Były to krwawe i groźne historie o armiach i smokach. Innymi słowy, opowiadania te całkiem pasowały do gustów króla. Zapragnął on przyłączyć się do syna i pomóc mu układać jeszcze piękniejsze opowiadania, w których występowałby dom dla lalek i cała wymyślona rodzina. Przede wszystkim jednak król spostrzegł, że Piotr bawił się domkiem dla lalek Sashy, żeby zachować ją w swoim sercu, i Rolandowi to spodobało się najbardziej, bo sam także bardzo tęsknił za żoną. Czasami czuł się tak samotnie, że zbierało mu się na łzy. Królowie, oczywiście, nigdy nie płaczą... a nawet jeśli raz czy dwa po śmierci Sashy obudził się mając moką poduszkę, to co z tego?

Król wyszedł z pokoju równie cicho, jak się w nim przedtem pojawił. Piotr nawet go nie zauważył. Przez większą część nocy Roland nie spał myśląc intensywnie nad tym, co zobaczył, i chociaż z trudnością potrafił znieść niezadowolenie Flagga, następnego ranka, zanim zdążył stracić pewność siebie, odbył z nim prywatną audiencję, na której poinformował go, że przemyślał sprawę i zdecydował, żeby pozwolić Piotrowi bawić się domem dla lalek tak długo, jak tylko zechce. Powiedział, że jego zdaniem nie przynosi mu to żadnej szkody.

Wyrzuciwszy to z siebie czekał z niepokojem na protesty Flagga. Ale nic takiego nie nastąpiło. Flagg tylko uniósł brwi, co Roland ledwo dostrzegł w głębokich cieniach rzucanych przez kaptur, jaki czarnoksiężnik zawsze nosił, i rzekł: – Twoja wola, panie, jest wolą królestwa.

Roland wyczuł z intonacji Flagga, że uważa on jego decyzję za niewłaściwą, ale ton jego głosu powiedział mu też, że Flagg nie zamierza więcej mówić na ten temat. Poczuł ogromną ulgę, że udało mu się tak łatwo wykręcić. Tego samego dnia czarnoksiężnik zaproponował, żeby podnieść podatki rolnikom ze Wschodniej Baronii mimo suszy, która zniszczyła większość zbiorów poprzedniego lata, a Roland zgodził się skwapliwie.

Prawdę mówiąc fakt, że stary głupiec (bo tak Flagg nazywał Rolanda w myślach) postąpił wbrew jego woli w sprawie domu dla lalek, nie stanowił dla czarnoksiężnika poważnego

problemu. Ważniejszą sprawą było podniesienie podatków we Wschodniej Baronii. A Flagg miał pewien sekret, który napawał go radością. W końcu udało mu się zamordować Saszę.

12

W owych czasach, gdy królowa czy inna kobieta z panującego rodu miała odbywać połóg, wzywano akuszerkę. Wszyscy lekarze byli mężczyznami, a żaden mężczyzna nie mógł asystować kobiecie, która właśnie miała rodzić dziecko. Akuszerka, która odbierała Piotra, nazywała się Anna Crookbrows i mieszkała na Trzeciej Południowej Alei. Wezwano ją znowu, gdy nadeszła pora Tomasza. Anna przekroczyła już pięćdziesiątkę i była wdową, gdy zaczął się drugi poród Sashy. Miała jedyne dziecko, który w dwudziestym roku życia zapadł na Drżączkę – chorobę zawsze zabijającą swoją ofiarę w straszliwych bólach po kilku latach cierpienia.

Bardzo kochała swojego chłopca i w końcu gdy wszystkie sposoby okazały się nieskuteczne, udała się do Flagga. Miało to miejsce dziesięć lat wcześniej, przed urodzeniem obu książąt, a także przed ślubem Rolanda. Flagg przyjął ją w swej wilgotnej suterenie, gdzie podczas rozmowy zaniepokojona kobieta od czasu do czasu słyszała żalosne krzyki więźniów przez lata trzymany z dala od blasku słońca. Pomyślała też, że jeśli lochy są blisko, to jeszcze bliżej znajduje się izba tortur. Sam apartament Flagga też nie poprawił jej samopoczucia. Na podłodze widniały wielobarwne, dziwaczne rysunki namalowane kredą. Gdy mrugnęła, rysunki zdawały się zmieniać. W klatce wiszącej na długich czarnych kajdanach krakała dwugłowa papuga, która czasami coś sobie opowiadała – jedna głowa mówiła, a druga słuchała. Butwiejące książki robiły do niej nieprzyjemne miny. Pająki tkwały w ciemnych kątach. Z laboratorium dobiegała mieszanina dziwnych chemicznych zapachów. Mimo wszystko wyjąkała, z czym przychodzi, a potem czekała w męce niepokoju.

– Mogę wyleczyć twego syna – powiedział wreszcie.

Radość przekształciła brzydką twarz Anny Crookbrows w prawie piękną. – O, panie! – szepnęła i nic więcej nie przyszło jej do głowy, więc tylko powtórzyła: – O, panie!

Ale w mrokach kaptura biała twarz Flagga pozostała daleka i zamyślona, więc Anna zaczęła znowu się bać.

– Czym możesz mi zapłacić za taki cud? – zapytał.

– Wszystkim – szepnęła i rzeczywiście gotowa była na wszystko. – O, panie Flagg, wszystkim!

– Chcę jednej uprzejmości – rzekł. – Czy zrobisz to dla mnie?

– Z radością!

– Jeszcze nie wiem, co to będzie, ale gdy nadejdzie pora, dam ci znać.

Upadła przed nim na kolana, a on pochylił się w jej stronę. Kaptur opadł ukazując jego okropne oblicze. Była to blada twarz trupa z czarnymi dziurami zamiast oczu.

– Ale jeśli mi odmówisz, kobieto...

– Nie odmówię! O, panie, nie odmówię! Nigdy! Nigdy! Przysięgam na imię mego drogiego męża!

– W porządku. Przyrowadź tu syna jutro wieczorem, gdy już zapadnie zmrok.

Przywiodła biednego chłopca następnego wieczoru. Trząśł się i drżał, głowa kiwała mu się głupawo i przewracał oczami. Po brodzie ciekła mu ślina. Flagg podał jej ciemnooliwkowego koloru napój w kielichu. – Niech to wypije – powiedział – poparzy mu usta, ale ma wypić co do kropli. A potem zabierz go z moich oczu.

Szepnęła coś chłopcu do ucha. Drżenie wzmogło się na chwilę, gdy próbował skinać głowę. Wypił wszystek płyn, a potem z krzykiem zwinął się z bólu.

– Zabierz go stąd – rozkazał Flagg.

– Właśnie, zabierz go stąd! – zawołała jedna z głów papugi.

– Zabierz go stąd, tu nie wolno krzyczeć! – wrzasnęła druga.

Zaprowadziła go do domu pewna, że Flagg go zamordował. Ale następnego dnia drzączka minęła i chłopiec wrócił do zdrowia.

Mijały lata. Gdy rozpoczął się poród Tomasza, Flagg wezwał ją i coś jej szepnął do ucha. Byli sami w jego tajemnych komnatach, ale mimo to takie polecenie lepiej wygłosić szeptem.

Twarcz Anny Crookbrows śmiertelnie pobladła, pamiętała jednak słowa Flagga: „Jeśli odmówisz”...

W końcu król będzie miał dwoje dzieci. A ona miała tylko jedno. Jeśli zaś król zechce się znowu ożenić i mieć jeszcze więcej – proszę bardzo. W Delainie kobiet nie brakowało.

Poszła tedy do Sashy i przemawiała pokrzepiająco, a w krytycznym momencie w rękę jej zabłyśł maleńki nóż. Nikt nie zauważył, jak zrobiła nieduże nacięcie. Chwilę później Anna zawołała:

– Przyj, królowo! Przyj, dziecko nadchodzi!

Sasha parła. Tomasz pojawił się na świecie z taką łatwością, jak dziecko zjeżdżające na zjeżdżalni. Ale życie Sashy wypłynęło razem z jej krwią na prześcieradła. Dziesięć minut po przyjściu Tomasza na świat jego matka nie żyła.

Tak więc Flagg nie przejmował się zbytnio drobną sprawą domku dla lalek. Najważniejsze, że Roland starzał się, nie było już żadnej wścibskiej królowej, a on miał nie jednego syna, lecz dwu do wyboru. Piotr oczywiście był starszy, ale tak naprawdę nie miało to większego znaczenia. Można się go pozbyć, jeśli okaże się niezdatny do celów Flagga. W końcu to dziecko, które nie potrafi się obronić.

Mówiłem już wam, że Roland podczas całego swojego panowania zastanawiał się dłużej

i usilniej jedynie nad tym, czy pozwolić Piotrowi bawić się domkiem lalek Sashy tak sprytnie wykonanym przez wielkiego Ellendra. Powiedziałem też, że rezultatem owego namysłu była decyzja niezgodna z życzeniem Flagga. Wyjaśniłem też, że Flagg uważał całą sprawę za drobną.

Ale czy było tak naprawdę? O tym musicie sami zdecydować, gdy już wysłuchacie mnie do końca.

13

A teraz niech w mgnieniu oka minie wiele lat – jedną z zalet opowiadań jest to, że czas może mijać bardzo szybko, gdy nie dzieje się nic ciekawego. W prawdziwym życiu nigdy to się nie zdarza, co prawdopodobnie można by poczytać za zaletę. Czas mija szybciej tylko w opowiadaniach, a czym jest historia jak nie wielką opowieścią, w której wieki zastępują upływające lata?

Podczas owych lat Flagg obserwował obu chłopców z uwagą – przyglądał się im zza pleców starzejącego się króla, planując, który z nich powinien go zastąpić, gdy Rolanda już nie stanie. Nie potrzebował wiele czasu, żeby wybrać młodszego Tomasza. Gdy Piotr osiągnął siedem lat, Flagg wiedział na pewno, że mu się nie podoba. Gdy miał lat dziewięć, Flagg dokonał dziwnego, nieprzyjemnego odkrycia: nie tylko nie lubił, ale także bał się go.

Chłopiec rósł silny, prosty i przystojny. Miał ciemne włosy, ciemnoniebieskie oczy, jak u ludzi z Zachodniej Baronii. Czasami gdy nagle podnosił wzrok w pewien sposób przechylając głowę, przypominał swojego ojca. Ale poza tym był synem Sashy tak pod względem wyglądu, jak i zachowania. Odwrotnie niż krzywonogi i niezgrabny ojciec (Roland poruszał się z wdziękiem tylko na koniu) Piotr był wysoki i zręczny. Lubił i umiał polować, ale nie stanowiło to dla niego wszystkiego. Również nauka sprawiała mu przyjemność – zwłaszcza lekcje geografii i historii.

Jego ojciec nie rozumiał i nie miał cierpliwości do dowcipów; większość z nich trzeba mu było wyjaśniać, co psuło całą zabawę. Roland lubił, gdy trefnisie udawali, że poślizgnęli się na skórcie od banana albo zderzyli się głowami, albo gdy aranżowali obrzucanie się ciastem w wielkiej sali. Roland uważał to za dobrą zabawę. Piotr błyskawicznie chwycił o wiele subtelniejsze dowcipy, tak jak ongiś Sasha, a jego radosny chłopięcy śmiech często rozbrzmiewał w pałacu; słysząc to służący uśmiechali się z aprobatą.

O ile większość chłopców na miejscu Piotra, poznawszy swoją wybitną pozycję w systemie społecznym, nie chciałoby bawić się z nikim spoza swojej klasy, Piotr zaprzyjaźnił się z chłopcem o imieniu Ben Stada, gdy obaj osiągnęli wiek lat ośmiu. Rodzina Bena nie wywodziła się z królewskiego rodu i chociaż Andrzeja Stada, ojca Bena, łączyło po stronie matki bardzo

odległe pokrewieństwo z jakimś szlachečnym rodem, to nawet nie można ich było zaliczyć do szlachty. „Człowiek wolny” to prawdopodobnie najpochlebniejsze określenie, jakie dałoby się zastosować do Andrzeja Staada i „syn człowieka wolnego” do jego chłopaka. Co więcej, niegdysz zamożna rodzina Staadów przeżywała ciężkie czasy i chociaż książę mógłby znaleźć sobie dziwniejszych przyjaciół, nie znalazłoby się takich wielu.

Spotkali się na zabawie dla farmerów, gdy Piotr miał osiem lat. Zabawa dla farmerów odbywała się co roku i większość królów i królowych w najlepszym razie uważała ją za męczący obowiązek; zazwyczaj pokazywali się tylko na chwilę, wypijali tradycyjny toast, a potem oddalali się życząc farmerom dobrej zabawy i dziękując im za kolejny urodzajny rok (to też należało do obyczaju, nawet jeśli zbiory okazały się kiepskie). Gdyby Roland należał do tego rodzaju monarchów, Piotr i Ben nie mieliby nigdy szansy poznać się. Ale, jak już się zapewne domyśliliście, Roland uwielbiał zabawę dla farmerów, oczekiwał jej co roku z niecierpliwością i zazwyczaj zostawał do samego końca (i nieraz wynoszono go pijanego i chrapiącego rozgłośnie). A więc tak się złożyło, że Piotr i Ben stanowili parę w wyścigu w workach na trzy nogi i wygrali go... chociaż zwycięstwo okazało się znacznie trudniejsze, niż na to wyglądało. Prowadząc prawie o sześć długości wywrócili się niebezpiecznie, a Piotr rozciął sobie ramię.

– Przebacz mi, książę! – zawołał Ben. Zbladł i być może wyobrażał już sobie lochy (a na pewno robili to jego rodzice z niepokojem obserwując wyścig; Andy Staad lubił mawiać, że ze szczęścia mieli tylko jego brak), ale raczej przykro mu było, że, jak sobie wyobrażał, sprawił komuś ból, albo zaskoczyło go, że krew przyszłego króla okazała się czerwona jak jego własna.

– Nie wygłupiaj się – powiedział niecierpliwie Piotr. – To moja wina, a nie twoja. Wstawaj szybko. Doganiają nas.

Dwaj chłopcy zamienieni w niezgrabnego trójnogiego stwora przez worek, którym mocno związano prawą nogę Piotra i lewą Bena, zdołali się podnieść i niezręcznie ruszyli dalej. Obu upadek pozbawił tchu, a co więcej, spowodował, że stracili prawie całą przewagę. Do linii mety, gdzie tłoczyli się rolnicy (no i oczywiście Roland stojący pośród nich i czujący się jak najbardziej na swoim miejscu) i radośnie wiwatowali, zbliżało się dwu wiejskich chłopców. Wydawało się całkiem pewne, że wyprzedzą Piotra i Bena na ostatnich dziesięciu jardach wyścigu.

– Szybciej, Piotrek! – ryknął Roland, wychylając wielki kufel miodu z takim entuzjazmem, że większość wylał na siebie. W podnieceniu wcale tego nie zauważył. – Jak zając, synu! Kicaj jak zając! Te chłopaki są tuż za wami!

Matka Bena zaczęła pojękiwać cichutko przeklinając los, który sprawił, że jej syn znalazł się w jednej parze z księciem.

– Jeśli przegrają, wrzuci naszego Bena do najgłębszego lochu na zamku – jęknęła.

– Milcz, kobieto – powiedział Andy. – Nie zrobi nic takiego. To dobry król. – Był o tym

przekonany, ale jednak się bał. W końcu jak pech to pech.

Tymczasem Ben zaczął chichotać. Sam nie wierzył własnym uszom, ale właśnie to robił.

– Kicać jak zając?

Piotr też się zaśmiał. Nogi bolały go okropnie, a krew ciekła mu po prawej ręce, pot spływał po twarzy, która zaczęła przybierać ładny śliwkowy kolor, ale nie mógł się powstrzymać.

– Tak właśnie powiedział.

– No to skaczemy!

Nie bardzo przypominali zające, gdy przekraczali linię mety; przypominali parę dziwacznych, kulawych wron. Tylko cudem nie upadli. Udało im się zrobić trzy niezręczne skoki. Trzeci przeniósł ich przez linię mety, gdzie upadli wyjąc ze śmiechu.

– Zajączek! – zawołał Ben wskazując na Piotra.

– Sam jesteś zajączek! – odkrzyknął Piotr, wskazując na Bena.

Objęli się ramionami i wciąż jeszcze się śmiali, gdy krzepcy farmerzy (a pośród nich Andrzej Staad, który na całe życie zapamiętał połączony ciężar obu chłopców) ponieśli ich do Rolanda, który założył im na szyję błękitne wstęgi. Potem niezgrabnie ucałował każdego z nich w policzek i wylał im na głowy resztki zawartości swego kufla, co wywołało istną burzę wiwatów. Nawet najstarsi dziadkowie nie pamiętali takiego wyścigu.

Resztę dnia chłopcy spędzili razem i rychło doszli do wniosku, że jest to przyjaźń na całe życie. Jednak nawet chłopiec ośmioletni ma pewne obowiązki (a jeśli kiedyś ma zostać królem, to tym bardziej), więc nie spędzali ze sobą tyle czasu, ile by chcieli, ale czynili to, ilekroć nadarzała się okazja.

Niektórzy krzywili się na tę przyjaźń twierdząc, że nie jest rzeczą właściwą, aby przyszedł król przyjaźnić się z chłopcem wywodzącym się z rodziny nie lepszej niż zwykli przerzucacze gnoju. Większość jednak aprobowała ten stan rzeczy; niejednen raz mówiło się w delaińskich miodopitniach, że Piotrowi dostało się samo najlepsze – rozum po matce i miłość ludu po ojcu.

Piotr nie miał w sobie nic małostkowego. Nie przechodził okresu, w którym wyrывa się skrzydła muchom albo podpala psom ogony, żeby potem patrzeć, jak uciekają. Co więcej, włączył się w sprawę konia, który miał zostać zlikwidowany przez Yosefa, głównego królewskiego koniuszego... i właśnie wtedy, gdy wieść o tym dotarła do Flagga, czarnoksiężnik zaczął bać się starszego syna królewskiego i zastanawiać, czy rzeczywiście zostało mu tyle czasu na usunięcie go z drogi, jak mu się przedtem wydawało. Albowiem w sprawie klaczy ze złamaną nogą Piotr wykazał się odwagą i poświęceniem, które Flaggowi wcale się nie spodobały.

Przechodząc przez stajenny dziedziniec Piotr zobaczył konia przywiązanego do ogrodzenia tuż za główną stodołą. Koń unosił jedną ze swoich tylnych nóg. Piotr patrzył, jak Yosef splunął w dłoń i chwycił ciężki drewniany młot. Było jasne, co zamierza zrobić. Przerażony i skonsternowany chłopiec podbiegł do Yosefa.

– Kto kazał ci zabić tego konia? – zapytał.

Yosef, krzepki sześćdziesięciolatek, miał w pałacu bardzo pewne stanowisko. Nie zamierzał znosić, żeby jakiś smarkacz mieszał się w jego sprawy, nawet jeśli był księciem. Zmierzył więc Piotra ciężkim spojrzeniem, które miało zmieść go z powierzchni ziemi. Chłopiec mający wtedy dopiero dziewięć lat zdołał je wytrzymać. Wydawało mu się, że łagodne brązowe oczy klaczy przemawiają do niego. „Kimkolwiek byś był, jesteś moją ostatnią szansą. Proszę, zrób, co tylko możesz”.

– Mój ojciec, ojciec mojego ojca, a jeszcze przedtem jego ojciec – rzekł Yosef widząc, że musi coś powiedzieć, chce, czy nie chce. – Właśnie oni mi to powiedzieli. Koń ze złamaną nogą nie przyda się żadnej żywej istocie, a najmniej sobie samemu. – Uniósł odrobinę młot. – Ten młotek wydaje ci się narzędziem zbrodni, ale gdy dorośniesz, zrozumiesz, że w takich przypadkach jak ten zadaje on cios łaski. A teraz odsuń się, żebyś się nie pochlapał.

Uniósł oburącz młot.

– Odłóż go – powiedział Piotr.

Yosef stał jak skamieniały. Nikt nigdy nie wtrącał się do jego spraw w taki sposób.

– Ejże! Co ty mi tu mówisz?

– Słyszałeś. Powiedziałem, żebyś odłożył ten młot. – Gdy Piotr wymawiał te słowa, głos jego stał się niższy. Yosef nagle zrozumiał – ale tak naprawdę – że stoi przed nim, na jego zapyłonym podwórku, przyszedł król i wydaje mu rozkaz. Gdyby Piotr rzeczywiście to powiedział, gdyby wykrzykiwał: – „Odłóż to, odłóż to, powiedziałem przecież, pewnego dnia zostanę królem, słyszysz, królem, więc odłóż ten młot!” – Yosef zaśmiałyby się tylko pogardliwie, splunął i zakończył życie klaczy ze złamaną nogą jednym ruchem swych masywnych ramion. Ale Piotr nie musiał nic takiego mówić; ton jego głosu i wyraz oczu stanowiły rozkaz.

– Twój ojciec dowie się o tym, książątko – rzekł Yosef.

– A jak mu o tym powiesz, usłyszy o tym po raz drugi – odparł Piotr. – Pozwolę ci dokończyć swoją pracę bez przeszkód, panie główny koniuszy, jeśli odpowiesz mi pozytywnie na jedno pytanie.

– Zadaj je więc – powiedział Yosef. Musiał przyznać, że wbrew jego woli chłopiec wywarł na nim wrażenie. Gdy Piotr oznajmił mu, że pierwszy powie o całej sprawie ojcu, Yosef uwierzył mu – prawda lśniła w oczach chłopca. No i nigdy nie nazwano go jeszcze panem głównym koniuszym, co mu się raczej spodobało.

– Czy konia tego widział weterynarz? – zapytał Piotr. Yosefa zatkało.

– To jest twoje pytanie?

– Tak.

– Na wszystkich bogów, nie! – zawołał, a widząc, że Piotr drgnął, zniżył głos, kucnął przed chłopcem i spróbował mu wyjaśnić. – Koń ze złamaną nogą jest stracony, Wasza Wysokość. Zawsze. Kość nigdy się dobrze nie zrasta. Może wdać się zakażenie krwi. Konia to okropnie boli. Okropnie. A w końcu albo pęknie mu serce, albo dostaje zapalenia mózgu i wpada w szal. Rozumiesz teraz, co miałem na myśli, mówiąc, że jest to cios łaski?

Piotr spuścił głowę i zastanawiał się z powagą przez dłuższy czas. Yosef milczał kucając przed nim i podświadomie przyjmując pozę wyrażającą szacunek, pozwalając mu rozmyślać tak długo, jak tylko zechce.

Piotr podniósł głowę i zapytał:

– Mówisz, że wszyscy tak uważają?

– Wszyscy, Wasza Wysokość. Mój ojciec...

– To zobaczymy, co powie weterynarz.

– Och... hm! – ryknął koniuszy i cisnął młotem przez podwórze. Młot wpadł do zagrody dla świń rozbryzgując błoto. Świnie chrząkały i kwiczały przeklinając go w swojej świńskiej łacinie. Yosef, podobnie jak Flagg, źle znosił opór, więc nie zwrócił na nie uwagi.

Podniósł się i odszedł. Piotr patrzył za nim z obawą, że nie ma racji i czeka go chłosta za tę sprawę. Po chwili główny stajenny zatrzymał się na środku podwórza, a na jego twarzy pojawił się niechętny uśmiech, jak promień słońca w pochmurny poranek.

– Idź po tego weterynarza – powiedział. – Sam go tu przyprowadź. Znajdziesz go w izbie weterynaryjnej na końcu Trzeciej Wschodniej Alei, jak mi się wydaje. Masz na to dwadzieścia minut. Jeśli nie wrócisz w tym czasie, mój młot rozwali głowę tej klaczy, książę, nie książę.

– Tak jest, panie główny koniuszy! Dziękuję! – zawołał Piotr i ruszył pędem.

Gdy zdyszany wracał z młodym weterynarzem, był pewien, że klacz już nie żyje; słońce wskazywało, że minęło trzy razy po dwadzieścia minut. Ale Yosef, powstrzymywany przez ciekawość, czekał.

Leczenie koni i weterynaria dopiero co pojawiły się w Delainie, a młody człowiek był dopiero trzecim lub czwartym przedstawicielem tego zawodu, nic więc dziwnego, że Yosef patrzył na niego z powątpiewaniem. Sam zaś weterynarz wcale nie odczuwał zachwyty, gdy spocony książę o szeroko rozwartych oczach wyciągnął go z izby weterynaryjnej, ale niezadowolone jego zmalało, gdy okazało się, że jest tu pacjent. Klęknął przed klaczą i łagodnie obmacywał złamaną nogę nucając pod nosem. Klacz raz drgnęła, gdy badanie sprawiło jej ból. – Spokojnie, malutka – powiedział łagodnie doktor – spokojnie. – Klacz uspokoiła się. Piotr patrzył na to wszystko kurcząc się z niepokoju. Yosef przyglądał się stojąc z założonymi rękoma obok opartego o ścianę młota. Uznał, że facet jest młody, ale wie, co robi.

W końcu lekarz skinął głową i wstał otrzępując z rąk stajenny kurz.

– No i co? – zapytał z niepokojem Piotr.

– Zabij ją powiedział krótko lekarz do Yosefa, zupełnie nie zwracając uwagi na Piotra.

Yosef natychmiast uniósł młot, gdyż nie spodziewał się innego zakończenia tej sprawy. Ale nie odczuwał też satysfakcji, że racja okazała się po jego stronie; rozpacz malująca się na twarzy chłopca przemówiła mu do serca.

– Zaczekaj! – zawołał Piotr i chociaż jego drobna buzia wyrażała wielki smutek, jego głos stał się znów niższy, tak że sprawiał wrażenie należącego do kogoś znacznie, znacznie starszego.

Weterynarz spojrział na niego z zaskoczeniem.

To znaczy, że ona umrze na zakażenie krwi? – zapytał Piotr.

– Co? – zapytał weterynarz patrząc na chłopca z uwagą.

– Czy umrze na zakażenie krwi, jeśli się ją zostawi? Pęknie jej serce? Dostanie szafu?

Lekarz najwyraźniej w świecie nic z tego nie rozumiał.

O czym ty mówisz? Zakażenie krwi? Nic tu takiego nie ma. Prawdę mówiąc złamanie zrasta się bardzo ładnie. – Popatrzył na Yosefa z lekkim niesmakiem. – Znam te historie. To wszystko nieprawda.

– Jeśli tak myślisz, to jeszcze się musisz wiele nauczyć, przyjacielu – powiedział Yosef.

Piotr nie zwrócił na niego uwagi. Teraz on nic nie rozumiał. Zapytał więc młodego weterynarza: – To dlaczego powiedział pan głównemu koniuszemu, żeby zabić konia, który może wyzdrowieć?

– Wasza Wysokość – odparł lekarz energicznie. – Ta klacz powinna mieć kładzione okłady codziennie rano i wieczorem co najmniej przez miesiąc, żeby nie wdała się infekcja. Można to robić, ale jaki będzie skutek? Ta klacz na zawsze pozostanie kulawa. A klacz, która kuleje, nie może pracować. Kulawa klacz nie może biegać, żeby próżniacy mogli stawiać na nią pieniądze. Koń, który kuleje, może tylko jeść i jeść i nigdy nie zarobi na swoje utrzymanie. Dlatego też należy go zabić.

Uśmiechnął się z zadowoleniem. Udało mu się zgrabnie przedstawić argumenty.

Gdy jednak Yosef znów chwycił za młot, Piotr powiedział: – Ja będę kładł okłady. A jeśli któregoś dnia nie będę mógł, zrobi to za mnie Ben Staad. A ona wyzdrowieje, bo będzie moim koniem i będę jej dosiadał nawet wówczas, gdy będzie tak kulawa, że przyprawi mnie o chorobę morską.

Yosef wybuchnął śmiechem i klepnął chłopca w plecy tak, że aż mu szczęknęły zęby.

– Masz dobre serce i odwagę, chłopcze, ale w twoim wieku łatwo składa się obietnice, a potem się tego żałuje. Moim zdaniem nie dotrzymasz jej.

Piotr spokojnie popatrzył na koniuszego.

– Dotrzymam słowa.

Yosef natychmiast przestał się śmiać. Przyjrzał się chłopcu i zobaczył, że rzeczywiście ma on zamiar to zrobić... a przynajmniej tak mu się wydaje. Twarz jego miała zdecydowany wyraz.

– Hm, nie mogę tu tkwić przez cały dzień – powiedział weterynarz wracając do swej poprzedniej energicznej postawy. – Przedstawiłem wam moją diagnozę. Rachunek prześlę zwykłym trybem do skarbu państwa... Może zapłacisz go ze swojej pensji, Wasza Wysokość. Ale to już nie moja sprawa. Do widzenia.

Piotr i główny koniuszy patrzyli, jak odchodzi przez podwórze rzucając długi popołudniowy cień.

– Gada bzdury – powiedział Yosef, gdy weterynarz znalazł się za bramą, poza zasięgiem głosu, a więc nie mogąc mu zaprzeczyć. – Posłuchaj mnie, Wasza Wysokość, to oszczędzi ci zmartwienia. Żadna klacz z rozwaloną nogą nigdy nie uchroni się przed zakażeniem. Bóg to tak urządził.

– Chciałbym porozmawiać o tym z ojcem – rzekł Piotr.

– Musisz, moim zdaniem – powiedział poważnie Yosef... ale gdy Piotr już odszedł, uśmiechnął się. Uważał, że chłopiec dostanie konia. Ojciec ma obowiązek złożyć mu skórę za mieszanie się w sprawy starszych, ale główny stajenny wiedział, że Roland, osiągnąwszy już późny wiek, liczył ogromnie na swoich synów, może trochę bardziej na Piotra niż na Tomasza, sądził więc, że chłopiec otrzyma swojego konia. Oczywiście czeka też go smutek, kiedy klacz zemrze, ale jak słusznie zauważył weterynarz, to już nie jego problem. Znał się na hodowli koni, a wychowanie książąt wolał pozostawić innym.

Piotr rzeczywiście dostał chłostę za mieszanie się do spraw głównego koniuszego, ale chociaż nie stanowiło to wielkiej pocięchy dla jego obolałego siedzenia, rozum podpowiadał mu, że fakt, iż chłostę sprawił mu osobiście ojciec zamiast zlecić to podwładnemu, który usiłowałby przez jej złagodzenie uzyskać dla siebie jakieś przyszłe korzyści, był dla niego wielkim zaszczytem.

Piotr nie mógł spać na plecach przez trzy dni i jeść na siedząco przez prawie tydzień, ale główny koniuszy trafnie ocenił także sprawę klaczy – Roland pozwolił Piotrowi ją zatrzymać.

– Nie stracisz na nią dużo czasu, Piotrze – rzekł Roland. – Jeśli Yosef mówi, że ona umrze, to tak się na pewno stanie. – Twarz Rolanda trochę zbladła, a ręce drżały mu lekko. Bicie sprawiło mu większy ból niż Piotrowi, który był jego ukochanym synem, chociaż Roland naiwnie myślał, że nikt poza nim samym o tym nie wie.

– Nie jestem pewien – powiedział Piotr. – Myślę, że ten lekarz od koni zna się na rzeczy.

I okazało się, że tak. Klacz nie dostała zakażenia krwi i przeżyła, a w końcu kulą tak nieznacznie, że nawet Yosef musiał to przyznać. – Przynajmniej kiedy nie jest zmęczona – dodał. Piotr był bardziej niż skrupulatny w robieniu okładów. Zmieniał je trzy razy dziennie i jeszcze czwarty raz przed pójściem spać. Ben Staad zastępował go kilkakrotnie, ale zdarzało się to

bardzo rzadko. Piotr nazwał klacz Peonią i od tego czasu stali się wielkimi przyjaciółmi.

Flagg niewątpliwie miał rację w jednej sprawie – gdy radził Rolandowi, żeby nie pozwolił Piotrowi bawić się domem dla lalek: służący są wszędzie, widzą wszystko i lubią gadać. Kilkoro służby widziało scenę na stajennym podwórku, ale jeśli każdy sługa, który utrzymywał potem, że był jej świadkiem, rzeczywiście się tam znajdował, tego gorącego letniego dnia podwórzec musiałby być pełen ludzi. Nic takiego oczywiście nie miało miejsca, więc wielu z nich musiało kłamać, co oznaczało, że Piotr został uznany za postać godną uwagi. Mówili o tej sprawie tyle, że stała się ona czymś w rodzaju ósmego cudu w Delainie. Yosef też o niej opowiadał; no i nie należy zapominać o młodym weterynarzu, ale słowo Yosefa znaczyło wiele, jako że cieszył się on wielkim szacunkiem. Zaczął nazywać Piotra „młodym królem”, czego nigdy przedtem nie robił. – Moim zdaniem Bóg ocalił klacz, bo młody król tak dzielnie się za nią wstawiał – powiedział. – A i harował jak niewolnik przy okładach. Jest dzielny; ma serce smoka. Pewnego dnia zostanie królem jak się patrzy. Aj! Trzeba by wam słyszeć jego głos, gdy powiedział mi, żebym wstrzymał młot!

Była to wspaniała opowieść i na jej konto Yosef pił przez następne siedem lat, aż Piotr został aresztowany za dokonanie ohydnej zbrodni, osądzony i skazany na uwięzienie w celi na szczycie Iglicy przez resztę życia.

15

Pewnie zastanawialiście się już, jaki jest Tomasz, i niektórzy z was zdążyli może go obsadzić w roli czarnego charakteru, jako chętnego współuczestnika w intrydze Flagga mającej na celu odebranie korony jej prawowitemu dziedzicowi.

Ale naprawdę wcale tak nie było, chociaż mogło się tak wydawać, a Tomasz oczywiście odegrał pewną rolę. Nie sprawiał wrażenia, muszę przyznać, dobrego chłopca, przynajmniej na pierwszy rzut oka. No i oczywiście nie był dobrym chłopcem w taki sposób jak Piotr, ale żaden brat nie potrafiłby sprawić bardzo dobrego wrażenia przy Piotrze, co Tomasz rozumiał, gdy osiągnął lat cztery – było to w rok po słynnym wyścigu w workach, a dokładnie wtedy, gdy miał miejsce incydent na stajennym podwórzu. Piotr rzadko kłamał i nigdy nie oszukiwał. Piotr był inteligentny i dobry, wysoki i przystojny. Wyglądem przypominał matkę, którą tak kochał król i cały lud Delainu.

Jak mógł Tomasz dorównać komuś tak znakomitemu? Proste pytanie i prosta odpowiedź. Nie mógł.

W odróżnieniu od Piotra Tomasz kropka w kropkę przypominał swojego ojca. Sprawiało to starszemu panu pewną przyjemność, ale nie taką jak większości mężczyznom, których synowie są

do nich bardzo podobni. Patrząc na Tomasza miał wrażenie, że przygląda się sobie w krzywym zwierciadle. Wiedział, że cienkie blond włosy szybko posiwieją i zaczną wypadać; w wieku lat czterdziestu Tomasz będzie łysy. Wiedział, że Tomasz nigdy nie osiągnie wysokiego wzrostu, a jeśli odziedziczył też po ojcu zamiłowanie do piwa i miodu, urośnie mu wielki brzuch, zanim dojdzie do lat dwudziestu pięciu. Już teraz stawiał krzywo stopy i Roland podejrzewał, że chód Tomasza będzie równie kaczy jak jego własny.

Tomasz nie był kimś, kogo można by nazwać dobrym chłopcem, ale to nie oznaczało wcale, że stawał się z tego powodu chłopcem złym. Czasami był smutnym chłopcem, często chłopcem zmieszanym (odziedziczył po ojcu także i to, że nadmierne myślenie powodowało zatykanie się nosa, a w głowie krążyły wielkie głązy), niejednokrotnie chłopcem zazdrośnym, ale zły nie był na pewno.

Komu zazdrościł? No jak to, oczywiście swojemu bratu. Zazdrościł Piotrowi. Nie chodziło tylko o to, że Piotr ma zostać królem. O nie! Nie chodziło też o to, że ojciec wolał Piotra albo że służący woleli Piotra, albo że nauczyciele woleli Piotra, bo zawsze umiał lekcje i nie trzeba go było zmuszać do nauki. Nie chodziło też o to, że wszyscy woleli Piotra albo że Piotr miał przyjaciela od serca. Była jeszcze jedna sprawa.

Ilekcję ktokolwiek patrzył na Tomasza, a zwłaszcza jego własny ojciec, Tomaszowi wydawało się, że myśli tak: Kochaliśmy twoją matkę, a twoje nadejście ją zabiło. No i co dostaliśmy w zamian za ból i śmierć, o którą ją przyprawiłeś? Nieciekawego chłopczyka z okrągłą, pozbawioną podbródka twarzą, nierozgarniętego chłopca, który nie potrafił nauczyć się wszystkich wielkich liter przed ukończeniem ośmiu lat. Twój-brat Piotr umiał je, gdy miał sześć lat. Co więc dostaliśmy? Niewiele. Po co się pojawiłeś, Tomku? Na co możesz się przydać? Jako zabezpieczenie sukcesji? Tylko do tego? Jako zabezpieczenie sukcesji na wypadek, gdyby Bezcenny Piotr spadł ze swojej kulawej klaczy i skreślił kark? To wszystko? No cóż, nie jesteś nam potrzebny. Nie chcemy cię. Nie chcemy cię...

Tomasz odegrał bardzo brzydką rolę w uwięzieniu swojego brata, ale mimo to naprawdę nie był zły. Jestem o tym przekonany i mam nadzieję, że z czasem wy także się ze mną zgodzicie.

16

Pewnego razu, mając już siedem lat, Tomasz spędził cały dzień nad modelem żagłówki dla Rolanda. Pracował nie mając pojęcia, że Piotr okrył się tego dnia chwałą na strzelnicy łuczniczej, czego świadkiem był ojciec. Zazwyczaj Piotr nie miewał świetnych wyników w łucznictwie – przynajmniej w tej dziedzinie Tomasz okazał się o wiele lepszy od swego starszego brata – ale tego właśnie dnia Piotr jak w natchnieniu trafił do celu. Tomasz bywał smutny, zmieszany, no

i bardzo często miewał pecha.

Tomaszowi na myśl przyszła łódź, bo czasami, w niedzielne popołudnia, ojciec lubił chodzić nad fosę otaczającą pałac i bawić się modelami najrozmaitszych jednostek pływających. Takie niewyszukane rozrywki sprawiały Rolandowi wielką przyjemność, a Tomasz nigdy nie zapomniał dnia, kiedy ojciec zabrał go – i nikogo więcej – ze sobą. W owych czasach ojciec miał doradcę, do którego zadań należało uczyć Rolanda, jak się robi łodzi z papieru, czym król zajmował się z ogromną satysfakcją. Tego dnia stary, omszały karp wychynął z mętnej wody i połknął w całości jedną z Rolandowych łodzi. Roland śmiał się jak dzieciak i oznajmił, że to jest lepsze niż opowieść o morskich potworach. Mówiąc to mocno przytulił Tomasza. Tomek nigdy nie zapomniał owego dnia – blasku słońca, wilgotnego, lekko tracącego pleśnią zapachu wody w fosie, ciepła ojcowskich ramion i jego drapiącej brody.

Tak więc pewnego dnia, gdy czuł się szczególnie samotnie, przyszedł mu do głowy pomysł, żeby zrobić dla ojca żaglówkę. Nie wyszła ona zbyt doskonale, z czego Tomasz zdawał sobie sprawę – był prawie tak samo nieudolny w pracach ręcznych, jak w uczeniu się lekcji. Ale wiedział też, że ojciec mógłby zatrudnić każdego rzemieślnika w Delainie – nawet samego wielkiego Ellendra, który teraz już prawie kompletnie oślepl – do robienia dla siebie łodzi gdyby mu się tak spodobało. Zasadnicza różnica, jak sądził Tomasz, polegała na tym, że własny syn Rolanda spędzi cały dzień na rzeźbieniu dla niego łodzi na niedzielę.

Tomasz cierpliwie siedział przy oknie wydobywając łódź z kawałka drewna. Używał ostrego noża i zadrasnął się nim wiele razy, a raz skaleczył się całkiem poważnie. Ale mimo że bolały go ręce, nie ustawał w pracy. Rozmyślał przy tym, jak to on i ojciec pójdą niedzielnym popołudniem i spuszczą łódź na wodę, tylko we dwójkę, bo Piotr będzie albo jeździł po lesie na Peonii, albo bawił się z Benem. A on się nawet wcale nie przejmie, jeśli przypłynie ten sam karp i pożre jego drewnianą łódkę, bo wtedy ojciec wybuchnie śmiechem, przytuli go i powie, że to jest lepsze niż opowieść o morskich potworach, które pożerały w całości anduańskie klipry.

Ale gdy przyszedł do królewskiej komnaty, był tam Piotr i Tomasz musiał czekać przez co najmniej pół godziny z łodzią ukrytą za plecami, podczas gdy ojciec wychwalał łucznicze umiejętności brata. Tomasz widział, że Piotrowi było głupio słuchać tej lawiny pochwał. Widział też, że Piotr zauważył, iż Tomasz chce rozmawiać z ojcem i że usiłuje mu to dać do zrozumienia. Ale to nic nie znaczyło, nic a nic. Tomasz i tak go nienawidził.

Wreszcie Piotr zdołał się wyrwać. Tomasz podszedł do ojca, który spojrzał na niego całkiem życzliwie, teraz gdy już nie było tu Piotra.

– Coś dla ciebie zrobiłem, tato – powiedział nagle onieśmielony. Trzymał za plecami łódź w dłoniach, które stały się wilgotne i lepkie od potu.

– Naprawdę, Tomku? – rzekł Roland. – To bardzo ładnie z twojej strony.

– Bardzo ładnie, panie – powiedział Flagg, który kręcił się w pobliżu. Mówił niedbale, ale

przyglądał się Tomaszowi z wielkim zainteresowaniem.

– Co to jest, chłopcze? Pokaż mi!

– Pamiętałem, jak bardzo lubisz puszczać łodzie w fosie w niedzielne popołudnia, tato, i... – rozpaczliwie chciał powiedzieć „i chciałem, żebyś mnie znowu kiedyś ze sobą zabrał, więc zrobiłem to”, ale stwierdził, że takie słowa nie chcą mu przejść przez gardło – i dlatego zrobiłem ci łódkę... Pracowałem nad nią cały dzień... pokaleczyłem się... i... i... – Siedząc przy oknie i rzeźbiąc łódź Tomasz wymyślił długą, elokwentną mowę, którą miał wygłosić przed wystawieniem zza pleców łodzi i wręczeniem jej ojcu z reweransem, ale teraz mało co z niej sobie przypominał, a to, co pamiętał, nie miało sensu.

Okropnie zmieszany wysunął łódź z jej niezgrabnie łopoczącym żaglem zza pleców i podał ją Rolandowi. Król obracał ją w swych wielkich dłoniach o krótko obciętych paznokciach. Tomasz stał i przyglądał mu się, zupełnie sobie nie zdając sprawy, że przestał oddychać.

Wreszcie Roland podniósł oczy.

– Bardzo ładnie. Bardzo ładnie. Bardzo ładnie, Tomku. To kajak?

– Żaglówka. – Chciał krzyknąć: nie widzisz żagla?

Wiązanie węzłów zajęło mi całą godzinę i to nie moja wina, że jeden się rozwiązał i żagiel się telepie!

Król dotknął palcem pasiastego żagla, który Tomasz wyciął z poszewki na poduszkę.

– Rzeczywiście... no tak, jasne. W pierwszej chwili myślałem, że to kajak, a to jakaś dziewczucha, która robi pranie. – Mrugnął do Flagga, który uśmiechnął się mdło w przestrzeń i nic nie powiedział. Tomasz nagle poczuł, że zbiera mu się na wymioty.

Roland spojrzał poważniej na swego syna, a potem skinął na niego, żeby podszedł bliżej. Nieśmiało, mając wciąż nadzieję, że wszystko będzie dobrze, Tomasz usłuchał.

– To dobra łódź, Tomku. Mocna jak ty sam, trochę niezgrabna jak ty, ale dobra – tak jak ty. A jeśli chcesz dać mi naprawdę piękny prezent, pracuj na lekcjach strzelania z łuku, żeby zdobyć odznaczenie pierwszej klasy, tak jak dzisiaj Piotr.

Tomasz zdobył odznaczenie na niższym kursie łucznictwa rok wcześniej, ale ojciec w swojej radości z sukcesu Piotra najwyraźniej w świecie o tym zapomniał. Tomasz nie prostował omyłki; stał tylko patrząc na łódkę w wielkich dłoniach ojca. Na policzki i czoło wypłynął mu ceglasty rumieniec.

– W końcu zostało tylko dwu chłopców – mówił dalej Roland – Piotr i syn lorda Towsona. Instruktor nakazał, żeby cofnęli się jeszcze o czterdzieści konerów. Chłopak Towsona wyglądał na załamane, ale Piotr tylko podszedł do znaku i założył strzałę. Zauważyłem jego spojrzenie i powiedziałem do siebie: „Wygrał! Jeszcze nie zdążył wypuścić strzały, a jednak już wygrał!” I tak się stało! Mówię ci, Tomku, szkoda, że przy tym nie byłeś! Powinieneś...

Król mówił dalej odkładając łódź, nad którą Tomasz spędził cały dzień, nie zwracając już na

nią uwagi. Tomasz stał i słuchał uśmiechając się sztucznie, a ceglasty rumieniec ani na chwilę nie zszedł mu z twarzy. Ojcu nigdy nie zechce się zabierać na fosę łodzi, którą wyrzeźbił – bo niby czemu? Łódź przypominała stan, w jakim w tej chwili znajdował się Tomasz. Piotr prawdopodobnie potrafiłby wyrzeźbić lepszą z zamkniętymi oczami i dwa razy szybciej. A przynajmniej na pewno bardziej spodobałaby się ojcu.

Po męczącym, nieskończeniu długim oczekiwaniu Tomaszowi pozwolono wreszcie uciec.

– O ile wiem, chłopiec bardzo się napracował nad tą łodzią – zauważył niedbale Flagg.

– Pewnie tak – powiedział Roland. – Żałosne, nieprawdaż? Trochę przypomina psie gówno z wystającą chustką do nosa.

I łódź, jaką ja sam zrobiłbym w jego wieku, dodał w myślach.

Tomasz nie mógł słyszeć myśli... ale złośliwa sztuczka akustyki sprawiła, że usłyszał słowa Rolanda, gdy wychodził z Wielkiej Sali. Nagle okropny ucisk w żołądku stał się tysiącrotnie silniejszy. Pobiegł do swojej sypialni i z wymiotował do umywalki.

Następnego dnia, kręcąc się przy kuchniach, Tomasz zauważył na poły kulawego starego kundla grzebiącego w śmieciach. Chwycił kamień i cisnął. Kamień trafił do celu. Pies zaskomlał i upadł poważnie okaleczony. Tomasz wiedział, że brat, chociaż o pięć lat starszy, nie potrafiłby rzucić tak celnie nawet na odległość o połowę krótszą – ale marna to była pociecha, bo wiedział, że Piotrek po pierwsze nigdy nie rzuciłby kamieniem w biednego, głodnego psa, zwłaszcza tak starego i zgrzybiałego jak ten.

Na chwilę współczucie przepełniło serce Tomasza, a do oczu napłynęły mu łzy. A potem, zupełnie bez przyczyny, przypomniał sobie, jak jego ojciec mówi: „Przypomina psie gówno z wystającą chustką do nosa”. Zebrał garść kamieni i podszedł do leżącego na boku, oszołomionego i krwawiącego z ucha psa. Z jednej strony chciał go zostawić w spokoju albo może wyleczyć, tak jak Piotr wyleczył Peonię – żeby był jego własnym psem i zawsze go kochać. Ale z drugiej strony chciał mu zrobić krzywdę, jak gdyby zranienie go mogło złagodzić jego własny ból. Stał nad zwierzęciem niezdecydowany, aż wreszcie przyszła mu do głowy okropna myśl:

Przypuścmy, że ten pies jest Piotrem.

To przeważało szalę. Tomasz stał nad psem i ciskał kamieniami, aż zwierzę zdechło. Nikt go nie widział, ale gdyby go ktoś zobaczył, na pewno by pomyślał: Oto bardzo, bardzo niedobry, a może nawet z gruntu zdeprawowany chłopiec. Ale osoba, która widziałaby to okrutne morderstwo, nie była świadkiem tego, co stało się dzień wcześniej – nie widziała Tomasza wymiotującego do umywalki i płaczącego rozpaczliwie. Był on bowiem często chłopcem zmieszonym, nierzadko pechowym, ale nadal ośmielał się twierdzić, że nigdy nie był naprawdę zły.

Powiedziałem też, że nikt nie widział kamienowania kundla koło zabudowań kuchennych,

ale to nie jest całkowicie prawdą. Flagg zobaczył je wieczorem w swoim magicznym kryształce. Zobaczył je... i bardzo się ucieszył.

17

Roland... Sasha... Piotr... Tomasz. Została mi jeszcze jedna osoba, nieprawdaż? Jest bowiem piąta mroczna postać. Nadeszła pora, żeby pomówić o Flaggu, acz może się to okazać nieprzyjemne.

Niekiedy lud Delainu nazywał go Flaggiem Kapturnikiem; czasami po prostu Czarnym – bo chociaż jego twarz przypominała blade oblicze trupa, był on zaiste czarnym człowiekiem. Mówiono, że dobrze się trzyma, co było wyrazem zaniepokojenia raczej niż komplementem. Przybył do Delainu z Gar łąnu za czasów dziadka Rolanda. W owych czasach był szczupłym, surowym mężczyzną około czterdziestki. Teraz, w końcowych dniach panowania Rolanda, wyglądał na szczupłego, surowego mężczyznę około pięćdziesiątki. Ale między tymi dwoma punktami w czasie nie minęło dziesięć lat ani nawet dwadzieścia, lecz siedemdziesiąt sześć. Niemowlęta, które bezzębnymi ustami ssały pierś matki, gdy Flagg po raz pierwszy pojawił się w Delainie, dorosły, weszły w związki małżeńskie, miały dzieci, zestarzały się i potraciwszy zęby zmarły w swoich łóżkach albo na kominie. A przez cały ten czas Flagg wyglądał, jakby postarzał się tylko o dziesięć lat. To magia, szeptano, no i oczywiście dobrze jest, gdy na dworze ma się czarnoksiężnika, prawdziwego specjalistę, a nie prestidigitatora, który zna sztuczki z monetami albo potrafi ukryć śpiącego psa w rękawie. Ale w głębi serca wiadano, że we Flaggu nie ma nic dobrego. Gdy przechodził łypiąc spod kaptura swymi przekrwionymi oczami, Delaińcy szybko znajdowali jakąś sprawę po drugiej stronie ulicy.

Czy naprawdę pochodził z Garlanu o rozległych horyzontach i uśpionych purpurowych górach? Nie wiem. Był to i nadal jest magiczny kraj, gdzie czasami latają dywany i gdzie świątobliwi mężowie wywabiają dźwiękiem fletu liny z wiklinowych koszyków, wspinają się po nich i znikają u ich szczytu, żeby już nigdy nie powrócić. Wielu poszukiwaczy wiedzy z bardziej cywilizowanych krain takich jak Delain i Andua udało się do Garlanu. Większość z nich znikła równie skutecznie i nieodwołalnie jak tajemniczy mistycy wspinający się po linach unoszących się w powietrzu. Ci zaś, którzy pojawili się znowu, nie zawsze wracali zmienieni na lepsze. Tak, Flagg mógł przybyć do Delainu z Garlanu, ale jeśli tak się stało, nie miało to miejsca za czasów dziadka Rolanda, ale o wiele, wiele wcześniej.

W rzeczywistości przybywał do Delainu niejednokrotnie. Za każdym razem miał inne imię, ale zawsze przynosił ze sobą takie same nieszczęścia i śmierć. Tym razem nazywał się Flagg. Poprzednio znano go jako Billa Hinch i był wtedy Lordem Królewskim Najwyższym Katem.

Chociaż od tego czasu minęło dwieście pięćdziesiąt lat, matki wciąż używały jego imienia do straszenia niegrzecznych dzieci. – Jeśli natychmiast się nie uciszysz, to przyjdzie Bili Hinch i zabierze cię! – mawiały. Jako Lord Najwyższy Kat trzech najkrwawszych królów w długiej historii Delainu, Bili Hinch zakończył swym toporem życie setek, a niektórzy mówili, że tysiący więźniów.

Przedtem jeszcze, czterysta lat przed Rolandem i jego synami, przybył jako śpiewak imieniem Brownson, który stał się bliskim doradcą króla i królowej. Brownson znikł bez śladu wywoławszy wielką i krwawą wojnę między Delainem i Anduą.

A przedtem...

No, ale po co to ciągnąć? Nie jestem pewien, czy mi na tym zależy. Gdy upłynie dostatecznie dużo czasu, nawet bajarze zapominają swoje opowieści. Flagg za każdym razem miał inną fizys i inny fach, ale dwie rzeczy zawsze pozostawały te same. Pojawiał się w kapturze, jak gdyby nie miał twarzy i nigdy sam nie zostawał z królem, lecz zawsze naszeptywał w mroku, wlewał truciznę do królewskich uszu.

Kim on naprawdę był, ten czarny człowiek?

Nie wiem.

Dokąd wędrował między swoimi wizytami w Delainie?

O tym też nie mam pojęcia.

Czy go ktokolwiek podejrzewał?

Tak, kilka osób – przede wszystkim historycy i opowiadacze bajek tacy jak ja. Podejrzewali, że człowiek, który teraz nazywał się Flagg, był już przedtem w Delainie i nigdy nie w dobrych zamiarach. Ale bali się mówić. Człowiek, który żył pośród nich przez siedemdziesiąt sześć lat, a wyglądał, jakby postarzał się o dziesięć, był niewątpliwie czarnoksiężnikiem; człowiek, który żył dziesięć razy, a może jeszcze dłużej... ktoś taki mógł być samym szatanem.

Czego chciał? Na to pytanie chyba potrafię odpowiedzieć.

Chciał tego, czego zawsze pragną ludzie źli: mieć władzę i używać jej do złych celów. Stanowisko króla nie interesowało go, bo głowy królów nazbyt często znajdowały się na pikach u zamkowych murów, kiedy coś poszło nie tak. Ale królewscy doradcy... ci, co knują w ukryciu... tacy ludzie zazwyczaj znikali niczym nocne cienie o świcie, gdy tylko zaczynał pracować topór kata. Flagg był chorobą, gorączką szukającą chłodnego czoła, które można by rozpalić. Ukrywał swe działania tak, jak ukrywał swoją twarz. A gdy pojawiały się większe kłopoty – jak to się zwykle dzieje po pewnym czasie – zawsze znikał niczym cień o świcie.

Później, gdy rzeź się już skończyła i gorączka minęła, gdy dokończono już odbudowę i znowu znalazło się coś godnego zniszczenia, Flagg pojawiał się także.

Tym razem Flagg zastał Królestwo Delain w irytująco dobrym stanie. Landry, dziadek Rolanda, był starym, durnym, łatwo ulegającym wpływow pijakiem, ale atak serca zabrał go zbyt szybko. W tym momencie Flagg wiedział, że Lita, matka Rolanda, to ostatnia osoba, jaką chciałby widzieć na tronie. Brakło jej urody, ale miała dobre serce i silną wolę. Taka królowa nie stanowiła dobrej pożywki dla tego rodzaju szaleństwa, jakie reprezentował Flagg.

Gdyby pojawił się wcześniej za panowania Landry'ego, wystarczyłoby mu czasu na usunięcie Lity z drogi, tak jak zamierzał uczynić z Piotrem. Ale miał na to zaledwie sześć lat, czyli o wiele za mało.

Jednakże przyjęła go na doradcę, a to już było coś. Nie lubiła go, ale uznawała głównie dlatego, że umiał doskonale wróżyć z kart. Lita uwielbiała słuchać ploteczek na temat swojego dworu i rządu, a plotki te miały podwójną wartość – traktowały nie tylko o tym, co miało miejsce, lecz także o tym, co się wydarzy. Trudno jest zrezygnować z tak przyjemnej rozrywki, nawet jeśli wyczuwa się, że osoba umiejąca robić takie sztuczki może okazać się niebezpieczna. Flagg nigdy nie relacjonował królowej poważniejszych wiadomości, jakie czasami widział w kartach. Chciała wiedzieć, kto ma kochankę albo kto pokłócił się z żoną czy z mężem. Ciemne intrygi i plany morderstw nie interesowały jej. Od kart oczekiwała niewinnej rozrywki.

Podczas bardzo długiego panowania Lity Flagg ku swojemu niezadowoleniu stwierdził, że jego głównym osiągnięciem było to, iż udało mu się nie zostać wyrzuconym.

Utrzymał się na dworze, i to wszystko. Oczywiście w kilku drobnych sprawach powiodło mu się – wywołał spór między dwoma potężnymi właścicielami ziemskimi w Południowej Baronii i zdyskredytował lekarza, który wynalazł lek na niektóre infekcje krwi (Flagg nie chciał, by istniały leki w królestwie inne niż te związane z magią – to znaczy takie, które udostępniał lub nie, zależnie od swojej fantazji) – oto przykłady pracy Flagga w tym okresie. Ale wszystko to drobiazgi.

Za rządów Rolanda – biednego, krzywonogiego, pozbawionego pewności siebie Rolanda – Flagg zaczął szybciej zbliżać się do celu. Miał on bowiem cel, wiecie, na swój mętny i nie wróżący nic dobrego sposób – a tym razem cel ów był rzeczywiście wielki. Flagg planował ni mniej, ni więcej tylko kompletne obalenie monarchii – krwawą rewoltę, która pogrzyje Delain w tysiącletnie mroki anarchii.

Plus minus rok czy dwa, oczywiście.

Spokojny wzrok Piotra stanowił rzeczywiste zagrożenie dla jego planów i długoletniej pracy. Flagg był coraz bardziej przekonany, że należało koniecznie się go pozbyć. Czarnoksiężnik zdawał sobie sprawę, że za długo już siedzi w Delainie. Dawało się już słyszeć szemranie. Praca tak pięknie rozpoczęta za rządów Rolanda – stałe podnoszenie podatków, nocne rewizje w stodołach drobnych farmerów i silosach w poszukiwaniu nie zgłoszonych zbiorów i zapasów żywności, przyznanie uzbrojenia Straży Przybocznej – zostanie uwieńczona pod rządami Tomasza. Nie miał czasu przeczekiwać rządów Piotra, tak jak to zrobił za panowania jego babki.

Piotr mógł nawet nie czekać, aż szemranie poddanych dotrze do jego uszu; pierwszym jego rozkazem mogło okazać się polecenie, aby Flagg został wysłany na wschód za granice królestwa i nigdy nie wracał pod groźbą śmierci. Flagg mógł zamordować doradcę, zanim udzieliłby on młodemu królowi takiej rady, ale cały problem polegał na tym, że Piotr nie potrzebowałby żadnego doradcy. Sam sobie udzielałby rad. A gdy Flagg zauważył, jak spokojnie i bez lęku patrzył na niego obecnie piętnastoletni i bardzo wysoki chłopak, pomyślał, że być może Piotr już teraz podjął taką decyzję.

Chłopiec lubił czytać i lubił historię, a w ciągu ostatnich dwu lat, gdy jego ojciec stopniowo siwiał i słabł, zadawał mnóstwo pytań różnym doradcom swojego ojca i niektórym ze swoich nauczycieli. Wiele z tych pytań – zbyt wiele – albo dotyczyło Flagga, albo prowadziło do Flagga, gdyby poszło się dostatecznie daleko.

Źle było, że chłopiec zadawał takie pytania w wieku lat czternastu i piętnastu. Ale to, że dostawał na nie względnie uczciwe odpowiedzi od tak zastraszonych i ostrożnych ludzi jak królewscy historycy i doradcy Rolanda, okazało się jeszcze gorsze. Oznaczało to, że dla tych ludzi Piotr był już prawie królem – i że radowali się z tego. Witali go serdecznie i cieszyli się, bo czuli, że będzie on intelektualistą tak jak oni. Witali go też mile i dlatego, że w odróżnieniu od nich był odważnym chłopcem mogącym wyrosnąć na króla o lwim sercu, którego życiorys stanie się kanwą dla legend. W nim dostrzegali nadejście Białego, tej starożytnej, prężnej, lecz pokornej siły, która niejedną już raz ratowała ludzkość z opresji.

Musiał zostać usunięty z drogi. Musiał. Musiał.

Flagg powtarzał sobie co wieczór, gdy szedł spać w mroki swych wewnętrznych komnat, i gdy budził się w owych mrokach każdego rana: musi zostać usunięty, ten chłopak musi zostać usunięty.

Ale okazało się to trudniejsze, niż przewidywał. Roland kochał obu synów i oddałby za nich życie, ale jego uczucie do Piotra było szczególnie silne. Może udałoby się kiedyś udusić chłopca w kołysce, tak by wydawało się, że zabrała Dziecięca Śmierć, lecz teraz Piotr był kwitnącym zdrowiem nastolatkiem.

Każdy wypadek zostałby zbadany z największą dokładnością przez oszalałego z bólu Rolanda i Flagg niejedną raz myślał, że prawdziwą ironią losu byłoby, gdyby Piotr zginął

przypadkowo, a on, Flagg, został za to w jakiś sposób obwiniony. Drobną pomyłką przy wspinaniu się po rynnę... poślizgnięcie przy pełzaniu po dachu stajni podczas zabawy ze Staadem w wyzywanekę... upadek z konia. I co w rezultacie? Czyż Roland, obłąkany z żalu i w miarę starzenia się coraz mniej zdolny do sensownego rozumowania, nie mógłby dostrzec morderstwa z premedytacją w czymś, co w rzeczywistości było tylko wypadkiem? Czyż jego oko nie zwróciłoby się na Flagga? Oczywiście, że tak. Jego oko zwróciłoby się na Flagga w pierwszej kolejności. Matka Rolanda nie miała do niego zaufania i, o czym doskonale wiedział, w głębi duszy Roland również mu nie dowierzał. Flagg potrafił panować nad tym brakiem zaufania za pomocą strachu pomieszanego z fascynacją, ale zdawał sobie sprawę, że gdyby Roland miał najmniejszy powód przypuszczać, że Flagg spowodował czy tylko odegrał jakąś rolę w śmierci jego syna...

Flagg potrafił sobie nawet wyobrazić sytuację, w jakiej musiałby działać dla dobra i bezpieczeństwa Piotra. To było nieznośne. Nieznośne!

On musi zostać usunięty z drogi. Musi zostać usunięty. Musi!

Mijały dni, tygodnie i miesiące, a myśl ta kołatała się w głowie Flagga w sposób coraz bardziej naglący. Każdego dnia Roland stawał się starszy i słabszy; codziennie Piotr dorastał i mądrzał, a zatem stawał się coraz groźniejszym przeciwnikiem. Co tu robić?

Myśl Flagga uporczywie krążyła wokół tego problemu. Stał się posępny i nerwowy. Służący, a zwłaszcza lokaj Piotra, Brandon, i syn Brandona, Dennis, omijali go z daleka i szeptali o okropnych zapachach, jakie czasami dobiegały z laboratorium Flagga późną nocą. Zwłaszcza Dennis, który pewnego dnia miał zająć miejsce swojego taty jako lokaj Piotra, śmiertelnie bał się Flagga i pewnego razu zapytał ojca, czy nie powinien szepnąć Piotrowi słówka na temat czarnoksiężnika. – Tylko po to, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo – powiedział Dennis.

– Ani słowa – odparł Brandon i zmierzył groźnym spojrzeniem Dennisa, który sam też był zaledwie chłopcem. – Nie powiesz ani słowa. Ten człowiek jest niebezpieczny.

– W takim razie tym bardziej powinienem – zaczął nieśmiało Dennis.

Tępak może pomylić szelest wydawany przez jadowitego węża z grzechotaniem kamyków w pustej tykwie i zechcieć go dotknąć – rzekł Brandon – ale nasz książę nie jest tępakiem, Dennis. A teraz przynieś mi jeszcze jeden kieliszek ginu i ani słowa więcej na ten temat.

Tak więc Dennis nie rozmawiał z Piotrem, ale jego miłość do młodego pana i strach przed zakapturzonym doradcą króla znacznie wzrosły po tej krótkiej wymianie zdań. Ilekroć zobaczył Flagga posuwającego się którymś z zamkowych korytarzy w swojej długiej szacie z kapturem, usuwał się na bok i myślał z drżeniem: Jadowity wąż! Jadowity wąż! Uważaj na niego, Piotrze! I nadśłuchuj!

Aż pewnej nocy, gdy Piotr miał lat szesnaście, a Flagg zaczął nabierać przekonania, że nie ma sposobu, żeby usunąć chłopca z drogi bez narażenia się na niebezpieczeństwo podejrzeń,

przyszedł mu do głowy pomysł. Noc ta była szalona. Okropna jesienna burza srożyła się i wyła wokół zamku, a ulice Delainu opustoszały, bo ludzie pochowali się przed ulewnym, lodowatym deszczem i wściekłym wiatrem.

Wilgoć przyprawiła Rolanda o przeziębienie. W owych czasach chorował on coraz częściej, a leki Flagga, acz potężne, traciły zdolność leczenia go. Jedno z tych przeziębień – może nawet to, od którego teraz właśnie kichał i prychał – przerodzi się w końcu w Mokra Chorobę Płuc, i zabije go. Magiczne leki różniły się od leków przepisywanych przez lekarzy, więc Flagg wiedział, że lecznicze napoje, jakie teraz dawał staremu królowi, działały tak słabo dlatego, że on, Flagg, nie chciał już naprawdę, żeby miały dobry skutek. Jedynym powodem, dla którego utrzymywał Rolanda przy życiu, był jego strach przed Piotrem.

Chciałbym, żebyś już nie żył, stary – pomyślał z dziecinną złością Flagg siedząc przy kapiącym ogarku i słuchając, jak wiatr zawodzi na dworzu, a jego dwugłowa papuga sennie mamrocze sama do siebie. Za parę groszy – dosłownie za parę – sam bym cię zabił za te wszystkie kłopoty, jakich ty, twoja żona i twój starszy syn mi przysporzyliście. Byłoby to dla mnie taką radością, że gotów jestem poświęcić w związku z tym moje plany. Zamordowanie cię byłoby dla mnie czystą przyjemnością...

Nagle zastygł wyprostowany, zapatrzony w mrok swych podziemnych komnat, gdzie niepewnie poruszały się cienie. Oczy zalśniły mu srebrzyście. A w głowie zajaśniał pomysł niczym latarnia.

Ogarek zapłonął jaskrawą zielenią, a potem zgasł.

Śmierć! – wrzasnęła w ciemnościach jedna z głów papugi.

– Mord! – krzyknęła druga.

A w ciemnościach, nie widziany przez nikogo, Flagg zaczął się śmiać.

20

Ze wszystkich środków używanych do królobójstwa – to znaczy mordowania królów – żaden nie był częściej stosowany niż trucizna. No, a nikt nie zna się lepiej na truciznach niż czarnoksiężnik.

Flagg, jeden z największych żyjących magów, znał wszystkie trucizny, o których wiemy – arsenik, strychninę, kurarę, która podpełza zdradziecko paraliżując wszystkie mięśnie, a na końcu serce; nikotynę, belladonę, wilczą jagodę, muchomora. Wiedział o trujących jadach setki węży i pajaków; czystym destylacie z lilii clanah, który pachnie jak miód, ale zabija ofiary w najśroźszych mękach; straszliwej szponodze, która rośnie w najmroczniejszych zakątkach Ohydnych Bagien. Flagg znał nie tyle dziesiątki trucizn, ile dziesiątki dziesiątków, a każda z nich

straszliwsza od poprzedniej. Leżały one w największym porządku na półkach w wewnętrznej komnacie, do której służący nie mieli wstępu. Znajdowały się w zlewkach, fiolkach, małych kopertkach. Każda mordercza substancja była starannie oznaczona. Oto zbór podręczny krzyków bólu – przedpokój konania, antyszambr gorączki, gotowalnia śmierci. Flagg odwiedzał go często, gdy czuł się nieswojo i chciał poprawić sobie humor. Na tym diabelskim targowisku czekało to wszystko, czego ludzie mający ciało, a zatem słabi, obawiają się śmiertelnie: męczące bóle głowy, zwijające bóle żołądka, napady biegunki, wymioty, kurczące się naczynia krwionośne, paraliż serca, eksplodujące gałki oczne, puchnące, czerniejące języki, szaleństwo.

Ale najgorszą ze wszystkich truciznę Flagg trzymał z dala nawet od tych. W jego gabinecie znajdowało się biurko. Każda z jego szuflad zamknięta była na klucz... ale jedna z nich miała potrójny zamek. Wewnątrz niej leżało pudełko z drzewa lękowego całe rzeźbione w magiczne symbole... runy i temu podobne. Zamek tego pudełka był jedyny w swoim rodzaju. Jego płytki przypominała matową pomarańczową blaszkę, ale dokładniejsze badanie wykazywało że jest to jakaś materia roślinna. W rzeczywistości była to marchew kleffa i co tydzień Flagg spryskiwał ten żywy zamek wodą. Marchew kleffa ma pewien rodzaj inteligencji. Gdyby ktokolwiek spróbował włamać się do zamku kleffa albo nawet gdyby niewłaściwy ktoś usiłował użyć właściwego klucza, zamek zaczynał krzyczeć. Wewnątrz pudełka znajdowało się mniejsze pudełko, do którego klucz Flagg zawsze nosił na szyi.

Wewnątrz drugiego pudełeczka leżała paczuszka. Zawierała ona niewielką ilość zielonego piasku. Ładne, ale nic szczególnego. Nic, czym można by pochwalić się mamie w domu. Ale ten zielony piasek był jedną z najbardziej morderczych trucizn wszystkich światów, tak straszną, że nawet Flagg jej się bał. Pochodziła z pustyni Grenh. To wielkie zatrute pustkowia leży za samym Garlanem i nie należy do krain znanych w Delainie. Do Grenh można zbliżyć się tylko w dniach, kiedy wiatr nie wieje w twarz, albowiem wystarczy raz odetchnąć oparami unoszącymi się nad Grenh, by zginąć.

Zginąć, ale nie natychmiast. Trucizna nie działała w ten sposób. Przez jeden lub dwa dni – a czasami nawet trzy – osoba, która odetchnęła trującymi oparami (albo, jeszcze gorzej, połknęła ziarnka piasku) będzie czuła się świetnie – może nawet lepiej niż kiedykolwiek w życiu. A potem, zniemacka, płuca jej rozżarzą się, skóra zacznie dymić, a całe ciało skurczy się niczym ciało mumii. Po czym padnie nieżywa, często z włosami w płomieniach. Ktoś, kto wdychał lub połknął morderczą substancję, spłonie od środka.

To był Smoczy Piasek, na który nie istnieje żadne antidotum, żadne lekarstwo. Co za radość.

Tej szalonej deszczowej nocy Flagg zdecydował, że poda Rolandowi odrobinę Smoczego Piasku w winie. Zwyczajem Piotra stało się, że przynosił ojcu kielich wina każdego wieczoru, wkrótce potem, gdy Roland udał się do swych prywatnych komnat. Wiedzieli o tym wszyscy w pałacu i mówili, jaki to dobry syn z tego Piotra. Towarzystwo syna sprawiało Rolandowi

przyjemność co najmniej taką samą jak wino, jak przypuszczał Flagg, ale pewna panna wpadła Piotrowi w oko, więc ostatnimi czasy rzadko siedział z ojcem dłużej niż pół godziny.

Gdyby któregoś wieczoru Flagg pojawił się po odejściu Piotra, starszy pan, jak sądził Flagg, nie odmówiłby drugiego kieliszka wina.

Bardzo szczególnego kieliszka.

Gorący rocznik, o panie, pomyślał Flagg, a na jego wąskiej twarzy pojawił się uśmiech. Rzeczywiście gorący rocznik, a czemu by nie? Winnica leży tuż u wrót do piekła, a gdy zaczniesz to robić swoje w twoich flakach, pomyślisz, że już w nim jesteś.

Flagg odrzucił w tył głowę i wybuchnął śmiechem.

21

Ułożywszy plan – dzięki któremu pozbywał się raz na zawsze i Rolanda, i Piotra – Flagg nie tracił czasu. Najpierw wykorzystał całe swoje czarnoksiężstwo do wyleczenia króla. Z radością zauważył, że jego lecznicze napoje dawno nie działały tak znakomicie. Ale chciał, żeby Roland wyzdrowiał, aby móc go zabić tak, by wszyscy wiedzieli, że było to morderstwo. Gdy się nad tym trochę pomyślało, sprawa okazywała się całkiem zabawną.

Pewnej wietrznej nocy mniej niż tydzień po tym, jak królowi przeszedł kaszel, Flagg otworzył zamki biurka i wydobyl tekowe pudełko. – Dobra robota – mruknął do marchwi kleffa, która pisnęła bezmyślnie w odpowiedzi, a potem uniósł ciężką pokrywkę i wyjął ze środka mniejsze pudełko. Otworzył je kluczem, który nosił na szyi, i wydobyl paczuszkę zawierającą Smoczy Piasek. Opakowanie było zaczarowane, tak że straszliwa moc Smoczego Piasku nie zagrażała mu. Tak się przynajmniej Flaggowi wydawało. Jednak zastosował wszelkie środki ostrożności i wyjął paczuszkę za pomocą maleńkich srebrnych szczypczyków. Położył ją obok jednego z królewskich kielichów na biurku. Pot grubymi kroplami wystąpił mu na czoło, bo chwila była krytyczna. Za najdrobniejszy błąd mógł zapłacić życiem.

Flagg wyszedł na korytarz prowadzący do lochów i zaczął głęboko oddychać. Robił hiperwentylację. Jeśli oddycha się szybko, w organizmie wytwarza się nadmiar tlenu i dzięki temu można przez dłuższy czas wstrzymać oddech. Podczas krytycznego etapu przygotowań Flagg miał zamiar nie oddychać wcale. Nie robi ani małego, ani dużego błędu. Czekala go tak wyśmienita zabawa, że szkoda by umrzeć za wcześnie.

Wciągnął ostatni głęboki oddech czystego powietrza przez zakratowane okienko znajdujące się tuż obok wejścia do jego apartamentów i wrócił do swych pomieszczeń. Zbliżył się do koperty, wyciągnął zza pasa sztylet i delikatnie ją rozciął. Na biurku znajdował się płaski kawałek obsydianu, którego czarnoksiężnik używał jako przycisku do papierów – w owych

czasach obsydian był najtwardszą znaną skałą. Ponownie używając szczypczyków podniósł paczuszkę, odwrócił ją do góry dnem i wysypał większość zielonego piasku. Zachował tylko odrobinę – niewiele więcej niż tuzin ziaren, ale ta odrobina miała odegrać niezmiernie ważną rolę w jego planach. Chociaż obsydian jest bardzo twardy, w zetknięciu ze Smoczym Piaskiem Przycisk zaczął natychmiast dymić.

Minęło już trzydzieści sekund.

Flagg podniósł obsydian pilnując, aby nawet jedno ziarnko Smoczego Piasku nie dotknęło jego skóry – w takim wypadku wędrowałoby wewnątrz jego ciała, aż podpaliłoby mu serce. Pochylił kamień nad kielichem i wsypał doń piasek.

Teraz szybko, zanim piasek zdążył przegryźć szkło, nalał do kielicha trochę ulubionego przez króla wina – takie samo wino w tej chwili Piotr niósł prawdopodobnie ojcu. Piasek rozpuścił się natychmiast. Przez chwilę czerwone wino lśniło jadowitą zielenią, a potem powróciło do normalnego koloru.

Pięćdziesiąt sekund.

Flagg wrócił do biurka. Wziął z niego płaski kamień i ujął sztylet za rękojeść. Tylko kilka ziaren Smoczego Piasku dotknęło ostrza, gdy Flagg rozciął papier, ale już zaczynały przeżerać metal, a paskudne smużki dymu wydobywały się z maleńkich wgłębień w anduańskiej stali. Flagg wyniósł kamień i sztylet na korytarz.

Siedemdziesiąt sekund i płuca zaczęły domagać się powietrza.

Trzydzieści stóp w głąb korytarza, który prowadził do lochów, jeśli poszło się nim odpowiednio daleko (czego nikt w Delainie nie był skłonny uczynić), w podłodze znajdowała się krata. Flagg słyszał bulgot wody i gdyby nie powstrzymywał oddechu, poczułby ohydny zapach. Był to jeden z zamkowych ścieków. Flagg wrzucił do niego kamień i nóż i mimo pulsującego w płucach bólu wyszczerzył zęby w uśmiechu. A potem podbiegł do okna, wychylił się daleko i głęboko wciągnął powietrze w płuca.

Gdy już znów oddychał normalnie, wrócił do gabinetu. Teraz na biurku znajdowały się tylko szczypczyki, paczuszka i kielich z winem. Na szczypczykach nie pozostało nawet jedno ziarnko piasku, a jego odrobina w zaczarowanej paczuszce nie mogła wyrządzić mu krzywdy, o ile zachowa odpowiednie środki ostrożności.

Uznał, że jak na razie wiodło mu się znakomicie. Praca nie została bynajmniej zakończona, ale zrobił już dobry początek. Pochylił się nad kielichem i głęboko wciągnął powietrze. Teraz już nie stanowiło to niebezpieczeństwa; gdy piasek został zmieszany z płynem, jego wyziewy stawały się nieszkodliwe i niewykrywalne. Smoczy Piasek tworzył mordercze pary tylko w kontakcie z ciałami stałymi, na przykład kamieniem.

Albo ludzkim ciałem.

Flagg uniósł kielich i popatrzył nań pod światło, podziwiając jego krwawy blask.

– Ostatni kielich wina, o królu – powiedział i śmiał się, aż dwugłowa papuga zaczęła krzyczeć ze strachu. – Coś, co rozgrzeje ci żołądek.

Usiadł, odwrócił klepsydrę i zaczął czytać Wielką Księgę Zaklęć. Flagg studiował ową księgę – oprawioną w ludzką skórę – od tysiąca lat i do tej pory przeczytał dopiero jedną czwartą. Spędzanie zbyt długiego czasu nad dziełem napisanym na dalekiej wyżynnej Równinie Leng przez szaleńca imieniem Alhazred groziło szaleństwem.

Godzina... zaledwie jedna godzina. Gdy górna połowa klepsydry opróżni się, będzie miał pewność, że Piotr zdążył już przyjść i wyjść. Godzina i będzie mógł zanieść Rolandowi ten ostatni kielich wina. Przez chwilę Flagg przyglądał się, jak biały niczym kość piasek przesuwają się gładko przez przewężenie klepsydry, a potem spokojnie pochylił się nad księgą.

22

Roland był zadowolony i wzruszony, że Flagg przyniósł mu kieliszek wina przed snem. Wypił je dwoma dużymi haustami i oznajmił, że rozgrzało go znakomicie. Uśmiechając się pod kapturem Flagg powiedział: – Tak też myślałem, Wasza Wysokość.

23

Czy chciał tak los, czy był to tylko łut szczęścia, że Tomasz zobaczył Flagga u ojca tego wieczoru, to jeszcze jedno pytanie, na które sami musicie sobie odpowiedzieć. Ja wiem, że go zobaczył, i że stało się tak przede wszystkim dlatego, iż Flagg przez wiele lat specjalnie się starał zostać najlepszym przyjacielem tego nieszczęśliwego, nie mającego kolegów chłopca.

Za chwilę to wyjaśnię – ale najpierw muszę skorygować pewien błąd, jaki być może robicie w ocenie magii.

W opowieściach o czarnoksięstwie występują trzy umiejętności, o których mówi się tak niedbale, jakby każdy byle jaki czarnoksiężnik miał je w małym palcu. Przemienianie ołowiu w złoto, zmiana postaci i stawanie się niewidzialnym. Jednakże, po pierwsze, powinniście wiedzieć, że prawdziwa magia nigdy nie jest łatwa, a jeśli myślicie, że tak nie jest, to spróbujcie sprawić, żeby najmniej przez was lubiana ciotka zniknęła, kiedy następnym razem pojawi się, by spędzić u was tydzień lub dwa. Prawdziwa magia jest trudna, i chociaż czarna magia jest łatwiejsza niż biała, nawet czarna magia sprawia znaczne problemy.

Ołów da się zamienić w złoto, jeśli zna się imiona, które należy wezwać, i ma się pod ręką kogoś, kto pokaże, jak należy właściwie rozszczepiać głowy ołowiu. Zmiana postaci

i niewidzialność są jednak niemożliwe do wykonania... albo prawie niemożliwe, co na jedno wychodzi.

Od czasu do czasu Flagg, bardzo lubiący podsłuchiwać, nadstawiał ucha naiwnym opowiadaniom o tym, jak młodzi książęta uciekają ze szponów złych duchów, stając się niewidzialni po wypowiedzeniu prostego magicznego zaklęcia, albo o pięknych młodych księżniczkach (w opowieściach są one zawsze piękne, chociaż doświadczenie nauczyło Flagga, że w swej większości księżniczki są zepsute do szpiku kości i, jako produkt końcowy małżeństw wewnątrz klanu, brzydkie jak noc, a na dodatek mało inteligentne), które swą sztuką zamieniały olbrzymów w muchy, a następnie szybko je zabijały. W większości tych historii księżniczki umiały też zabijać muchy, chociaż wiele z tych, które znał Flagg, nie byłoby w stanie pozbawić życia nawet owada zdychającego w grudniu na wyziębionym parapecie. W opowiadaniach wyglądało to bardzo prosto; ludzie bez przerwy zmieniali postać albo zamieniali się nawet w chodzące okna.

W rzeczywistości Flagg nigdy nie widział takich sztuczek. Znał niegdyś wielkiego maga anduańskiego, który sądził, że opanował umiejętność zmieniania postaci, ale gdy po sześciu miesiącach medytacji i prawie tygodniu wygłaszania magicznych zwrotów w niezwykle niewygodnych pozycjach wyrzekł ostatnie straszliwe zaklęcie, osiągnął tylko tyle, że nos wydłużył mu się do ośmiu stóp, a on sam oszalał. Poza tym z nosa wyrastały mu paznokcie. Flagg uśmiechnął się kwaśno na to wspomnienie. Może i wielki mag, ale głupi.

Tak samo niemożliwa była niewidzialność, przynajmniej na tyle, na ile Flagg mógł stwierdzić. Ale można się było zrobić mglistym.

Tak, mglisty – upiorny, przezroczysty, niezauważalny to najlepsze określenie, chociaż na myśl mogą przyjść także inne. Niewidzialność znajdowała się poza jego zasięgiem, ale zjadając wolą pyłę, a potem wypowiadając kilka zaklęć można było stać się mglistym. Gdy znajdowało się w tym stanie, a z przeciwka nadchodził korytarzem służący, wystarczyło usunąć się na bok, stać nieruchomo i pozwolić mu przejść. W większości wypadków wzrok służącego kierował się na jego własne stopy albo jakiś ciekawy punkt na suficie. Kiedy przechodziło się przez pokój, rozmowy milkły, a ludzie przez chwilę czuli się niepewnie, jakby zbierało się im na wiatry. Pochodnie zaczynały kopcić. Czasami gasły świece. Gdy było się mglistym, chować należało się tylko przed kimś dobrze znanym, bez względu bowiem na stan mglistości ludzie ci zawsze widzieli. Mglistość była użyteczna, ale nie dało jej się porównać z niewidzialnością.

Owej nocy, gdy Flagg niósł Rolandowi zatrute wino, najpierw uczynił się mglistym. Nie spodziewał się, że zobaczy kogoś znajomego. Było już po dziewiątej, król stary i chory, dni krótkie, więc mieszkańcy zamku chodzili wcześniej spać. Gdy Tomasz zostanie królem, pomyślał Flagg, spiesząc z winem korytarzem, co noc będą odbywały się przyjęcia. Tomasz odziedziczył po ojcu zamiłowanie do alkoholu, chociaż woli raczej wino niż piwo i miód. Zapoznanie go

z paru mocniejszymi napojami nie sprawi wiele kłopotu... W końcu czyż nie jestem jego przyjacielem? Tak, gdy Piotr już zostanie zamknięty w Iglicy, a Tomasz będzie królem, przyjęcia odbywać się będą co noc... aż ludzie na ulicach miasta i w Baroniach zostaną na tyle stłamszeni, że wybuchnie krwawa rewolta. A wtedy odbędzie się ostatnie, największe przyjęcie... ale podejrzewam, że Tomaszowi się ono nie spodoba. Tak jak jego ojcu po winie, jemu będzie na tym przyjęciu za gorąco.

Nie spodziewał się zobaczyć nikogo znajomego i tak też było. Minęło go tylko paru służących, ale oni odsuwali się od miejsca, w którym stał prawie niewidoczny, jak gdyby poczuli zimny powiew powietrza.

Ale jednak został dostrzeżony. Tomasz zobaczył go przez oczy Dziewięciaka, smoka, którego jego ojciec zgładził dawno, dawno temu. Udało się to dlatego, że Flagg zdradził mu tajemnicę.

24

Sposób, w jaki ojciec odrzucił zrobioną dla niego w prezencie łódź, głęboko zranił Tomasza, i od tego czasu trzymał się on od Rolanda z daleka. Mimo to niezmiernie kochał i bardzo chciał sprawić mu przyjemność, tak jak udawało się to Piotrowi. Co więcej, chciał, żeby ojciec kochał go tak jak Piotra. Prawdę mówiąc, Tomasz byłby uszczęśliwiony, gdyby Roland kochał go tylko w połowie tak jak Piotra.

Problem polegał na tym, że Piotr pierwszy miał wszystkie dobre pomysły. Czasami próbował dzielić się nimi z Tomaszem, ale ten uważał je albo za niemądre (dopóki nie okazywało się, że są trafne), albo bał się, że nie podoła wykonać swojej części pracy, tak jak to miało miejsce, gdy Piotr zrobił ojcu zestaw do gry w Bendoh trzy lata temu.

– Dam ojcu coś lepszego niż głupie pionki do gry – powiedział Tomasz wyniośle, ale w rzeczywistości pomyślał, że jeśli nie potrafił zrobić dla ojca zwykłej drewnianej żaglówki, to na pewno nie uda mu się pomóc w wykonywaniu czegoś tak trudnego jak armia Bendoh składająca się z dwudziestu figur. Tak więc Piotr wystrugał figury sam w ciągu czterech miesięcy – piechotę, rycerzy, łuczników, Strzelca, Generała i Mnicha – no i oczywiście Roland zachwycał się nimi, chociaż były odrobinę niezdarne. Natychmiast odłożył jadeitowy komplet do gry w Bendoh wykonany dla niego przed czterdziestu laty przez Ellendra i na jego miejsce ustawił zestaw Piotra. Tomasz zobaczywszy to uciekł do swojego pokoju i położył się do łóżka, chociaż było dopiero popołudnie. Czuł się tak, jak gdyby ktoś sięgnął mu do klatki piersiowej, odciął kawałek serca i kazał mu je zjeść. Serce miało gorzki smak i dlatego zaczął nienawidzić Piotra jeszcze bardziej, chociaż jakaś jego część nadal kochała tego przystojnego, starszego brata

i nie zamierzała przestać.

Mimo że smak był gorzki, przypadł do gustu Tomaszowi.

Bo to było jego własne serce.

A teraz sprawa wieczornego kieliszka wina.

Piotr przyszedł do Tomasza i powiedział:

– Pomyślałem, że byłoby miło, gdybyśmy przynosili tacie co wieczór kieliszek wina, Tom. Pytałem podczaszego, ale on stwierdził, że nie może nam tak po prostu dać butelki wina, bo musi rozliczać się z głównym winiarzem co sześć miesięcy, ale powiedział też, że możemy złożyć się i kupić butelkę „Barony Fifth Vat”, które ojciec lubi najbardziej. Ono nie jest takie drogie. Zostało nam mnóstwo kieszonkowego. I...

– Myślę, że ten pomysł jest najgłupszy ze wszystkich! – wybuchnął Tomasz. – Wszystkie wino należy do ojca, wino w całym królestwie, i może go wypić tyle, ile zechce! Po co mamy wydawać nasze pieniądze, żeby dać ojcu coś, co i tak jest jego własnością? Napchamy tylko kieszeń temu tłustemu podczaszemu i tyle!

Piotr powiedział cierpliwie:

– Ale ojcu sprawi przyjemność, jeśli wydamy na niego pieniądze, nawet jeśli kupimy mu coś, co i tak do niego należy.

– A skąd ty to wiesz?

Z irytującą prostotą Piotr odpowiedział:

– Po prostu wiem.

Tomasz popatrzył na niego spode łba. Jak mógł powiedzieć Piotrowi, że główny winiarz złapał go w piwnicach, jak kradł butelkę wina zaledwie miesiąc temu? Tłusty wieprzek wytrzymał go i zagroził, że powie o wszystkim ojcu, jeśli Tomasz nie da mu sztuki złota. Tomasz zapłacił ze łzami wściekłości i wstydu w oczach. Gdyby to był Piotr, poszedłbyś w drugą stronę i udawał, że nic nie widzisz, ty świni, pomyślał. Gdyby to był Piotr, odwróciłbyś się plecami. Bo już niedługo Piotr zostanie królem, a ja będę zawsze tylko księciem. Przyszło mu też do głowy, że po pierwsze, Piotr nigdy nie usiłowałby kraść wina, ale prawda zawarta w tej myśli spowodowała, że jego złość na brata tylko wzrosła.

– Myślałem... – zaczął Piotr.

– Myślałem, myślałem – przedrzeźniał go z furią Tomasz. – To idź myśleć gdzie indziej! Gdy ojciec dowie się, że zapłaciłeś głównemu winiarzowi za jego własne wino, wyśmieje cię i powie, że jesteś głupi!

Ale Roland nie wyśmiał Piotra ani nie nazwał go głupcem – powiedział drżącym, prawie łzawym głosem, że jest dobrym synem. Tomasz wiedział o tym, bo zakradł się za Piotrem, gdy ten zaniósł ojcu wino pierwszego wieczoru. Patrzył przez oczy smoka i widział wszystko.

Gdybyście zapytali Flagga wprost, dlaczego pokazał Tomaszowi to miejsce i prowadzący do niego tajny korytarz, nie potrafiłby wam udzielić zadowalającej odpowiedzi. A było tak dlatego, że sam Flagg nie wiedział dokładnie, dlaczego to zrobił. Miał talent do robienia intryg, tak jak inni ludzie zdolności do matematyki albo umiejętność odnajdywania kierunku. Zamek liczył już wiele lat i znajdowało się w nim mnóstwo tajnych drzwi i korytarzy. Flagg znał większość z nich (z tym że nikt, nawet on, nie znał wszystkich), ale Tomaszowi pokazał tylko jeden. Instykt snucia intryg podpowiedział mu, że to może narobić zamieszania, więc Flagg po prostu usłuchał go. W końcu intrygi były dla niego chlebem powszednim.

Co jakiś czas wpadał do pokoju Tomasza i wołał:

– Tomku, znowu jesteś ponury! Mam coś, co na pewno chciałbyś zobaczyć! Idziesz?

Prawie zawsze mówił: „jesteś ponury, Tomku” albo „wyglądasz, jakby ogarnęła cię czarna melancholia, Tomku” lub „wyglądasz, jakbyś siedział na szpilkach, Tomku”, bo miał talent do pojawiania się właśnie wtedy, gdy Tomasz odczuwał szczególne przygnębienie lub smutek. Flagg wiedział, że chłopak się go boi i że starałby się wykręcić od pójścia z nim, chyba że czułby się wyjątkowo osamotniony... a równocześnie tak przygnębiony i nieszczęśliwy, że byłoby mu wszystko jedno, kim jest osoba, która ową samotność przełamie. Flagg zdawał sobie z tego sprawę, ale Tomasz nie – sam przed sobą ukrywał swój strach przed Flaggiem. Zazwyczaj uważał, że czarownik to fajny, rozrywkowy facet. Czasami rozrywki, jakich dostarczał, okazywały się trochę złośliwe, ale to często odpowiadało nastawieniu Tomasza.

Czy wydaje wam się dziwne, że Flagg wiedział coś o Tomasz, o czym sam Tomek nie miał pojęcia? Nic w tym niezwykłego. Umysły ludzkie, a zwłaszcza dzieci, są niczym studnie – głębokie studnie wypełnione czystą wodą. A czasami, jeśli jakaś myśl jest zbyt trudna do zniesienia, osoba, której przyszła ona do głowy, zamyka ją do solidnego pudełka i wrzuca do tej studni. Nadśłuchuje plusku... a potem pudełko znika. Oczywiście naprawdę wcale tak nie jest. Flagg, stary i mądry, oprócz tego, że nikczemny, wiedział, iż nawet najgłębsza studnia ma dno, a to, że coś znikło nam z oczu, nie oznacza, że przestało istnieć. Nadal leży tam, na dnie. I wiedział on także, że szkatułki, w których zamknięte są owe złe, przerażające myśli, mogą się rozpaść, a zawarta w nich złość wyleje się po jakimś czasie i zanieczyści wodę... a gdy studnia umysłu jest już porządnie zatruta, nazywamy to szaleństwem.

Jeśli czarnoksiężnik czasami pokazywał Tomaszowi różne przerażające rzeczy kryjące się w zamku, czynił to dlatego, że im większy lęk będzie budził w Tomasz, tym więcej zdobędzie nad nim władzy... a wiedział, że uda mu się ją uzyskać, bo zdawał sobie sprawę z czegoś, o czym już wam mówiłem – Tomasz był słaby, a jego ojciec często go zaniedbywał. Flagg chciał, żeby

Tomasz się go bał, i pragnął mieć pewność, że w miarę upływu lat wrzuca on coraz więcej zamkniętych szkatułek w swoją mroczną studnię.

A jeśli po objęciu tronu ogarnie Tomasza szaleństwo, tym lepiej! Flaggowi będzie tylko łatwiej rządzić; jego władza może dzięki temu zwiększyć się.

Skąd Flagg wiedział, kiedy odwiedzać Tomasza i zabierać na tajemnicze wędrówki po zamku? Czasami widział, co zasmuciło lub rozgniewało Tomasza, patrząc w swój kryształ. Jeszcze częściej po prostu odczuwał nagłe pragnienie, żeby pójść do niego, i ulegał mu – instynkt intryganta rzadko sprawiał mu zawód.

Raz zaprowadził Tomasza wysoko na Wschodnią Wieżę – wspinali się po schodach, aż Tomasz zasapał się jak pies, ale Flagg sprawiał wrażenie zupełnie nie zmęczonego. Na szczycie znajdowały się drzwiczki tak maleńkie, że nawet Tomasz musiał przez nie przejść na czworakach. Za nimi mieścił się ciemny pokój pełen tajemniczych szelestów. Miał on jedno okno. Flagg zaprowadził go do niego bez słowa, a gdy Tomasz zobaczył widok – całe miasto Delain, Miasta Obok, a nawet wzgórza wznoszące się między Miastami Obok i Wschodnią Baronią i ginące w błękitnej mgiele – pomyślał, że nie na darmo męczył nogi na schodach. Serce wezbrało mu radością na widok takiego piękna, więc odwrócił się do Flagga, żeby mu podziękować – ale coś w bladej, niewyraźnej pod kapturem twarzy czarnoksiężnika sprawiło, że słowa zamarły mu na ustach.

– A teraz patrz! – powiedział Flagg unosząc rękę. Błękitny płomień wystrzelił mu ze wskazującego palca, a szelesty w pokoju, które Tomasz z początku wziął za wiatr, zmieniły się w rosnący szum rozkładanych skrzydeł. Chwilę później Tomasz krzychał i rozpaczliwie na ślepo oganiał się rękoma uciekając w stronę maleńkich drzwiczek. Z okrągłego pokoiku na szczycie Wschodniej wieży zamku rozciągał się najlepszy widok na Delain, któremu jedynie widok z celi na szczycie Iglicy mógł dorównać, ale teraz Tomasz zrozumiał, dlaczego nikt tu nie przychodził. W pomieszczeniu zagnieździły się olbrzymie nietoperze. Zaniepokojone światłem, które zapalił Flagg, zaczęły krążyć i pikować. Później, gdy już wyszli, Flagg uspokoił chłopca – nienawidzący nietoperzy Tomasz wpadł w histerię – czarnoksiężnik utrzymywał, że to był tylko żart, którym chciał mu poprawić humor. Tomasz uwierzył mu... ale długie tygodnie potem budziły go po nocach koszmary senne, w których nietoperze trzepotały mu nad głową, wplątywały się we włosy i rozdzierały twarz swymi ostrymi pazurami i szczurzymi zębami.

Na kolejną wyprawę Flagg zabrał go do królewskiego skarbcza i pokazał stosy złotych monet, wysokie sterty sztab złota i głębokie skrzynie z napisami SZMARAGDY, DIAMENTY, RUBINY, MGLISTE OGNIE i temu podobne.

– I one są naprawdę pełne klejnotów? – zapytał Tomasz.

– Przyjrzyj się – odparł Flagg. Otworzył jedną ze skrzyń i wyciągnął garść nie oszlifowanych szmaragdów. Zalśniły niesamowitym blaskiem w jego dłoni.

– Imię mojego ojca! – sapnął Tomasz.

– To jeszcze nic! Popatrz tutaj! Skarb piratów! Pokazał Tomaszowi stos łupów zdobytych w spotkaniu z piratami anduańskimi około dwunastu lat wcześniej. Skarbiec Delainu zawierał wiele przedmiotów, nieliczni skarbnicy byli już starzy, więc ten akurat stos nie został jeszcze uporządkowany. Tomasz podziwiał ciężkie miecze o rękojeściach inkrustowanych drogimi kamieniami, sztylety o ostrzach wykładanych rzniętymi diamentami, tak żeby mogły ciąć głębiej, ciężkie kolczaste kule wykonane z rodochrózy tu.

– I to wszystko należy do królestwa? – zapytał z podziwem Tomasz.

To wszystko należy do twojego ojca – odparł Flagg, chociaż właściwie Tomasz miał rację. – A któregoś dnia będzie należało do Piotra.

– I do mnie – powiedział Tomasz z pewnością siebie dziesięciolatka.

– Nie – odrzekł Flagg z dokładnie takim jak trzeba odcieniem żalu w głosie. – Tylko do Piotra. On jest starszy i on zostanie królem.

– Podzieli się ze mną – powiedział Tomasz, ale w jego głosie zabrzmiała nutka niepewności. – Piotr się zawsze dzieli.

– Piotr to dobry chłopiec i jestem pewien, że masz rację. Prawdopodobnie podzieli się z tobą. Ale wiesz, nikt nie może wymóc na królu, żeby się czymś podzielił. Nikt nie może zmusić króla do zrobienia czegoś, czego nie chce. – Popatrzył na Tomasza, żeby sprawdzić, jaki efekt wywarły jego słowa, a potem na duży, mroczny skarbiec. Gdzieś w głębi jeden z wiekowych urzędników monotonnym głosem liczył dukaty.

Tyle skarbów, i wszystko dla jednego człowieka – zauważył Flagg. – Warto nad tym pomyśleć, nie, Tomku? Tomasz nie odpowiedział, ale Flagg był zadowolony z siebie. Widział, że Tomasz rzeczywiście zaczął się nad tym zastanawiać i uznał, że kolejna zatruta szkatułka leciała już w głąb Tomaszowej studni – chlup! I tak się też stało. Kiedy bowiem Piotr zaproponował Tomaszowi, że złożą się na cowieczorną butelkę wina dla ojca, Tomasz przypomniał sobie wielką salę skarbcza – a potem, że wszystkie zawarte w nim skarby przypadną bratu. „Łatwo ci proponować, żeby kupić wino! Czemu nie? Któregoś dnia i tak dostaniesz te wszystkie pieniądze!”

26

Tomku, znowu jesteś smutny! – zawołał Flagg. Tego dnia kaptur nie zakrywał jego twarzy, która wyglądała prawie normalnie.

Prawie.

Tomasz był rzeczywiście smutny. Tego dnia musiał przez cały obiad wysłuchiwać, jak ojciec

wychwała Piotra za doskonale stopnie z geometrii i nawigacji przed swoimi doradcami. Sam Roland nigdy nie rozumiał się na tych przedmiotach. Wiedział, że trójkąt ma trzy boki, a kwadrat cztery; wiedział, że zgubiwszy się w lesie można odnaleźć drogę idąc za Starą Gwiazdą; ale na tym jego wiadomości kończyły się. Podobnie rzecz się miała z umiejętnościami Tomasza, który z tego powodu nie mógł się doczekać końca posiłku. Co gorsza, mięso podano takie, jakie najbardziej lubił ojciec – prawie surowe i krwiste. Takie zaś mięsiwo nieodmiennie przyprawiało Tomasza o mdłości.

– Obiad mi zaszkodził i tyle – odpowiedział Flaggowi.

– Hm, jest pewna rzecz, która znakomicie poprawi ci humor – odparł Flagg. – Zdradzę ci pewną tajemnicę zamku, chłopcze.

Tomasz bawił się zuczkiem trzęsaczkiem. Posadził go na biurku i ogroził dookoła książkami. Jeśli wydawało się, że pełznący żuk znajdzie drogę wyjścia, Tomasz przestawiał którąś z książek, żeby mu to uniemożliwić.

– Jestem wykończony – powiedział Tomasz. Nie kłamał. Słuchanie, jak wychwalają Piotra, zawsze przyprawiało go o zmęczenie.

– Spodoba ci się – rzekł Flagg prawie zalotnym tonem... ale też jakby grożącym.

Tomasz popatrzył na niego z obawą.

– A nie ma tam żadnych nietoperzy?

Flagg roześmiał się wesoło – ale śmiech ten i tak sprawił, że na ramionach Tomasza pojawiła się gęsia skórka. Poklepał chłopca po plecach.

– Ani jednego! Ani kropelki wody! Żadnego przeciągu! Cieplutko i miło! I możesz rzucić okiem na twojego ojca, Tomku!

Tomasz wiedział, że rzucanie okiem oznaczało podglądanie, a podglądać nie należało – ale strzał trafił w dziesiątkę. Następnym razem, gdy żuczek trzęsaczek znalazł drogę między książkami, pozwolił mu wyjść.

– Zgoda – powiedział. – Ale niech tam nie będzie nietoperzy.

Flagg otoczył ramieniem plecy chłopca.

– Żadnych nietoperzy, przysięgam, ale powiem ci coś, co da ci do myślenia, Tomku. Nie tylko zobaczysz swojego ojca, ale będziesz go widział oczami jego największego trofeum!

Tomasz ze zdziwienia szeroko otworzył swoje własne oczy. Flagg odczuł zadowolenie. Rybka połknęła przynętę.

– Co to znaczy?

– Chodź i zobacz sam – powiedział tylko. Poprowadził Tomasza labiryntem korytarzy. Zgubilibyście się w nich prawie natychmiast i ja prawdopodobnie też, ale Tomasz szedł nimi tak pewnie, jak wy odnajdujecie po ciemku drogę do własnego pokoju – przynajmniej dopóki Flagg nagle nie skręcił.

Prawie dotarli do apartamentów króla, gdy czarnoksiężnik otworzył wpuszczone w mur drewniane drzwi, których Tomasz nigdy przedtem naprawdę nie zauważył. Oczywiście znajdowały się tam zawsze, ale w zamkach często są drzwi, a nawet całe skrzydła, które opanowały sztukę stawania się mglistymi.

Ten korytarzyk okazał się raczej wąski. Minęła ich sprzątaczką niosąca stertę prześcieradeł; spotkanie czarnoksiężnika w tym wąskim kamiennym gardle tak ją przeraziło, że chętnie wtopiłaby się w kamienne ściany, żeby go uniknąć. Tomasz niemal wybuchnął śmiechem, bo sam często się tak czuł, gdy znajdował się w towarzystwie Flagga. Nikogo więcej nie spotkali.

Gdzieś pod nimi dało się słyszeć odległe szczekanie psów, i to pomogło mu domyślić się, gdzie są. Jedynymi psami na zamku były myśliwskie ogary jego ojca, a szczekały prawdopodobnie dlatego, że nadchodziła pora ich karmienia. Większość psów Rolanda była równie stara jak on sam, a wiedząc, jak od zimna bołą kości, kazał on psiarnię umieścić na zamku. Żeby tam trafić, z głównego salonu ojca należało zejść schodami w dół, skręcić w prawo, a potem przejść około dziesięciu jardów wewnętrznym korytarzem. Tak więc Tomasz wiedział, że są około trzydziestu stóp na prawo od prywatnych pokoi Rolanda.

Flagg zatrzymał się tak raptownie, że Tomasz prawie na niego wpadł. Czarnoksiężnik rozejrzał się szybko, sprawdzając, czy są sami. Nie dostrzegł nikogo.

– Czwarty kamień od tego na dole ze szczerbą powiedział Flagg. – Naciśnij go. Szybko!

A więc rzeczywiście był tu jakiś sekret, a Tomasz uwielbiał sekrety. Zadowolony odliczył cztery kamienie w górę od tego ze szczerbą i przycisnął. Spodziewał się jakiegoś drobnego cygaństwa – może odsuwanej płyty – ale na to, co się stało, zupełnie nie był przygotowany.

Kamień z łatwością przesunął się w głąb około trzech cali. Coś stuknęło. A potem cały fragment ściany znieacka zapadł się do środka ukazując ciemną szparę. To wcale nie była ściana, tylko wielkie drzwi! Tomaszowi opadła szczęka.

Flagg klepnął go po siedzeniu.

– Mówiłem szybko, ty głupku! – szepnął nerwowo. Tym razem napięcie w jego głosie nie było tylko przedstawieniem dla potrzeb Tomasza, jak często zdarzało się z innymi objawami uczuć Flagga. Popatrzył na prawo i lewo, żeby sprawdzić, czy korytarz jest nadal pusty.

– Ruszaj! Już!

Tomasz zajrzał w ciemną szczelinę i niepewnie pomyślał o nietoperzach. Ale rzut oka na twarz Flagga powiedział mu, że nie pora teraz na dyskusje.

Otworzył szerzej drzwi i wszedł w mrok. Flagg podążył za nim natychmiast. Tomasz usłyszał cichy łopot szat czarnoksiężnika, który odwrócił się i pchnięciem zamknął drzwi. Panowały kompletne ciemności, powietrze było ciepłe i nieruchome. Zanim Tomasz zdążył otworzyć usta i powiedzieć cokolwiek, na czubku palca Flagga zapłonął błękitny płomień rzucając ostre białoniebieskie światło.

Tomasz instynktownie skulił się i zakrył głowę rękoma.

Flagg zaśmiał się szorstko.

– Żadnych nietoperzy, Tomku. Przecież obiecałem. Nie kłamał. Sufit był niski i Tomasz sam mógł się o tym przekonać. Żadnych nietoperzy, ciepłutko... dokładnie tak, jak obiecywał czarnoksiężnik. Światło magicznego ognia Flagga ukazywało, że znajdują się w tajnym korytarzu o długości około dwudziestu pięciu stóp. Ściany, podłoga i sufit pokrywały deski z grabowego drewna. Nie widział dobrze dalszego końca, ale sprawiał on wrażenie całkiem pustego.

Ciągle słyszał stłumione szczekanie psów.

– Jak mówię, że masz się pospieszyć, to ruszaj się – powiedział Flagg. Pochylił się nad Tomaszem, niewyraźnie majaczący cień, sam w ciemnościach przypominający nietoperza. Chłopiec niepewnie cofnął się o krok. Jak zawsze czarnoksiężnik rozsiewał nieprzyjemny zapach – odór tajemniczych proszków i gorzkich ziół. – Teraz już wiesz, gdzie jest korytarz, a ja nie zamierzam bronić ci z niego korzystać. Ale jeśli ktoś cię kiedykolwiek tutaj złapie, musisz powiedzieć, że odkryłeś to przejście przypadkiem.

Postać zamajaczyła bliżej, zmuszając Tomasza do cofnięcia się o następny krok.

– Jeśli powiesz, że to ja ci go pokazałem, Tomku, pożałujesz.

– Nie powiem, nigdy – powiedział Tomasz. Jego głos był cienki i drżący.

– Doskonale. Ale jeszcze lepiej, jeśli nikt nie zauważy, jak z niego korzystasz. Podglądanie króla to poważna sprawa, nawet jeśli podglądający jest księciem. A teraz chodź za mną. Tylko cicho.

Flagg doprowadził go do końca korytarza, który też wyłożony był grabową boazerią, ale gdy mag uniósł palec, na którym świecił płomień, Tomasz zobaczył dwie małe klapki. Flagg ściągnął wargi i zdmuchnął światło.

W kompletnych ciemnościach szepnął:

– Nigdy nie otwieraj tych dwu kłapek paląc światło. Może zobaczyć. Jest stary, ale wzrok ma nadal dobry. Może coś dostrzec, chociaż oczy są zrobione z ciemnego szkła.

– Co...

– Ćśśś! Słuch ma też dobry.

Tomasz zamilkł, ale serce waliło mu w piersi. Czuł niezrozumiałe dla samego siebie podniecenie. Potem doszedł do wniosku, że było tak dlatego, iż w pewien sposób wiedział, co miało nastąpić.

Usłyszał w ciemności lekki szmer odsuwanej klapki i nagle słaby promień – światło pochodni – rozjaśnił mrok. Rozległ się drugi szmer i pojawił się drugi promień. Teraz znowu widział zarys postaci Flagga i własnych rąk, jeśli uniósł je przed oczy.

Tomasz zobaczył, że czarnoksiężnik podchodzi do ściany i pochyla się nieco; potem przysłonił znacznie światło, gdy przytknął oczy do obu otworów, z których sączyło się. Patrzył

przez chwilę, następnie chrząknął i odsunął się. Skinął na Tomasza.

– Popatrz sobie – powiedział.

W narastającym podnieceniu Tomasz ostrożnie przybliżył się do otworów. Widział całkiem wyraźnie, chociaż w dziwnej zielonożółtej poświacie – tak jak gdyby patrzył przez zakopcone szkło. Ogarnęło go poczucie wspaniałego, pełnego zachwyty. Patrzył na bawialnię swojego ojca. Zobaczył jego samego przy kominku, rozwalającego się w swoim ulubionym fotelu – tym, który miał wysokie oparcie rzucające cień na jego pomarszczoną twarz.

Był to prawdziwy salon myśliwego; w naszym świecie nazwalibyśmy go gabinetem, chociaż powierzchnią dorównywał niejednemu domowi. Wzdłuż ścian płonęły pochodnie. Wszędzie wisiały głowy zwierząt: niedźwiedzi, jeleni, łosi gnu, kormoranów. Znajdował się tu nawet wspaniały pierzowiec, który jest krewniakiem legendarnego feniksa. Tomasz nie widział głowy Dziewięciaka, smoka, którego ojciec upolował przed jego narodzinami, ale w pierwszej chwili nie zwrócił na to uwagi.

Ojciec markotnie pojadał ciastko. Dzbanek z parującą herbatą stał pod ręką.

I tylko to działo się w tym wielkim pokoju, w którym zmieściłoby się (i czasami bywało tak rzeczywiście) do dwustu stojących ludzi – Roland zawinięty w futrzany płaszcz samotnie popijający herbatę. Ale Tomasz przyglądał mu się, jak się wydawało, w nieskończoność. Nie da się opisać fascynacji i podniecenia, jakie wywołał w nim widok ojca. Serce, które przedtem łomotało mu w piersi, biło z podwójną szybkością. Krew szumiała mu w głowie. Ręce zacisnęły się w pięści tak mocno, że potem odkrył na dłoniach krwawe półksiężycy od paznokci.

Dlaczego widok starszego pana spożywającego bez entuzjazmu ciastko wywołał w nim takie podniecenie? Hm, po pierwsze trzeba pamiętać, że starszy pan to nie taki znowu pierwszy lepszy dziadek. To był ojciec Tomasza. A podglądanie, co należy z przykrością stwierdzić, jest atrakcją samo w sobie. Kiedy obserwuje się kogoś, kto nie wie, że jest widziany, jego nawet najzwyklejsze czynności wydają się ważne.

Po chwili Tomasz poczuł się trochę zawstydzony tym, co robi, co wcale nie jest takie dziwne. Podglądanie kogoś to w końcu jakby kradzież – kradniemy widok tego, co robią ludzie myśląc, że są sami. Ale jest to też zasadnicza atrakcja podglądania, i Tomasz mógłby tak patrzeć godzinami, gdyby Flagg nie mruknął: – Wiesz, gdzie jesteś, Tomku?

– Ee – chciał powiedzieć, że chyba nie, ale oczywiście wiedział. Miał dobre wyczucie kierunku i przy odrobinie wysiłku potrafił wyobrazić sobie, co znajdowało się w miejscu, z którego rozciągał się taki widok. Nagle zrozumiał, co miał na myśli Flagg mówiąc, że on, Tomasz, zobaczy ojca przez oczy największej zdobyczy Rolanda. Patrzył na ojca mniej więcej z połowy wysokości zachodniej ściany... a tam właśnie wisiała największa z głów, która należała do Dziewięciaka, ojcowskiego smoka.

Może coś dostrzec, chociaż oczy są zrobione z ciemnego szkła – teraz rozumiał i to. Tomasz

musiał zakryć sobie usta ręką, żeby nie wybuchnąć przenikliwym chichotem.

Flagg zasunął klapki... ale on też się uśmiechał.

– Zaczekaj! – szepnął Tomasz. – Chcę jeszcze popatrzeć!

– Nie dziś – odparł Flagg. – Na dziś wystarczy. Możesz tutaj przychodzić, kiedy tylko zechcesz... ale jeśli będziesz robił to za często, na pewno ktoś cię złapie. Zbieraj się. Wracamy.

Flagg zapalił magiczny płomień i ponownie poprowadził Tomasza korytarzem. Na końcu zgasił go i znów rozległ się szmer, gdy otworzył judasz. Naprowadził na niego rękę Tomasza tak, aby wiedział, gdzie jest, a potem kazał mu popatrzeć.

– Zauważ, że widzisz korytarz w obie strony – powiedział Flagg. – Zawsze pamiętaj popatrzeć, zanim otworzysz tajne drzwi, albo któregoś dnia ktoś cię tutaj złapie.

Tomasz przyłożył oko do judasza i zobaczył dokładnie po drugiej stronie korytarza ozdobne okno ze szklanymi bokami, które umieszczone były trochę pod kątem. Było ono zbyt ekstrawaganckie jak na taki mały korytarz, ale Tomasz zrozumiał natychmiast, że zostało tu umieszczone przez kogoś, kto zrobił tajne przejście. Patrząc w ustawione pod kątem szyby rzeczywiście widział zamglone odbicie obu końców korytarza.

– pusto? – szepnął Flagg.

Tak – odpowiedział szeptem Tomasz. Flagg pchnął znajdującą się wewnątrz dźwignię (tym razem także naprowadzając na nią dłoń Tomasza, żeby w przyszłości mógł z niej korzystać) i drzwi otwarły się ze stuknięciem.

– Teraz szybko! – Błyskawicznie wyszli i zamknęli za sobą drzwi.

Dziesięć minut później byli z powrotem w pokoju Tomasza.

– Dość już emocji na dziś – powiedział Flagg. – Pamiętaj, co ci powiedziałem, Tomku: nie korzystaj z korytarza za często, bo cię ktoś złapie, a jeśli cię złapią – oczy Flagga błysnęły ponuro – pamiętaj, że znalazłeś go przypadkiem.

– Tak jest – powiedział szybko Tomasz cienkim głosem, który zapiszczał niczym nie naoliwione zawiasy. Gdy Flagg patrzył nań w ten sposób, wydawało mu się, że jego serce jest ptakiem szamoczącym się w zamkniętej klatce.

27

Tomasz trzymał się rady Flagga, żeby nie chodzić tam często, ale od czasu do czasu pojawiał się w tajnym przejściu i patrzył na swojego ojca przez szklane oczy Dziewięciaka – zaglądał do świata, w którym wszystko stawało się zielonozłote. Odchodząc potem z bólem głowy (co zdarzało się zawsze) myślał: boli cię głowa, bo widziałeś świat takim, jak widzą go smoki – jak gdyby wszystko było suche i gotowe do podpalenia. A może intrygancki instynkt Flagga wcale

go nie zawiódł, bo podglądając ojca Tomasz nauczył się czegoś nowego w stosunku do ojca. Zanim poznał tajemne przejście, kochał go i często smucił się, że nie potrafi sprawić mu przyjemności, a czasami też się go bał. Teraz nauczył się także nim gardzić.

Ilekcję Tomasz zaglądał do komnaty ojca i stwierdzał, że jest on w towarzystwie, szybko się oddalał. Zostawał tylko wtedy, gdy Roland był sam. W przeszłości zdarzało się to rzadko nawet w takich miejscach jak gabinet, który w końcu stanowił część „prywatnych apartamentów króla”. Zawsze była jeszcze jedna sprawa nie cierpiąca zwłoki, jeszcze jeden doradca, którego należało przyjąć, jeszcze jedna petycja do wysłuchania.

Ale czas władzy Rolanda kończył się. W miarę jak wraz ze słabnącym zdrowiem tracił znaczenie, przypominał sobie chwile, gdy wołał do Sashy albo Flagga: – Czy ci ludzie mnie nigdy nie zostawią w spokoju? – Wspomnienie wywołało na jego ustach smutny uśmiech. Teraz gdy miał spokój, tęsknił za ludźmi.

Tomasz czuł pogardę, bo ludzie rzadko wyglądają korzystnie, gdy są sami. Zazwyczaj w takich chwilach odkładają maski grzeczności, dobrego wychowania i kultury na bok. A co znajduje się pod spodem? Jakiś porośnięty brodawkami potwór? Coś tak obrzydliwego, że ludzie uciekaliby z krzykiem na jego widok? Może czasami, ale zwykle nie jest to nic tak strasznego. Zazwyczaj ludzie po prostu śmialiby się zobaczywszy nas bez masek – śmiali, krzywili z obrzydzeniem albo robiliby jedno i drugie.

Tomasz zobaczył, że ojciec, którego zawsze kochał i lękał się, który wydawał mu się największym człowiekiem na świecie, znajdując się sam często dłużył w nosie. Najpierw długo grzebał w jednej dziurce, a potem w drugiej, aż nie natrafił na dużego zielonego gluta. Przyglądał mu się przez jakiś czas w blasku ognia na kominku obracając na różne strony z zadowoleniem, tak jak jubiler mógłby oglądać szczególnie piękny szmaragd. Większość z nich następnie rozmazywał pod siedzeniem fotela, na którym siedział. Niektóre, muszę jednak z przykrością stwierdzić, wkładał Ho ust i żuł z wyrazem intelektualnego zadowolenia na twarzy.

Wieczorem wypijał tylko jeden kieliszek wina – ten, który przynosił mu Piotr – ale gdy syn już wyszedł, pochłaniał, jak Tomaszowi się wydawało, ogromne ilości piwa (dopiero w wiele lat potem Tomasz zrozumiał, że ojciec nie chciał, żeby Piotr widział go pijanego), a gdy zachciało mu się oddać mocz, rzadko używał nocnika, który stał w kącie. Najczęściej po prostu wstawał i sikał do kominka, często przy tym puszczając bąki.

Mówił do siebie. Czasami przechadzał się po wielkiej sali jak człowiek, który nie bardzo wie, gdzie jest, przemawiając albo w powietrze, albo do wypchanych głów.

– Pamiętam, jak cię dostaliśmy, Bonsey – mówił do jednej z głów łosiowych (do jego dziwactw należało też nadawanie imion wszystkim swoim trofeom). – Byłem z Billem Squathingsem i tym facetem, który ma wielką gulę na lewym policzku. Pamiętam, jak wyszedłeś spośród drzew i Bili strzelił, a potem ten facet z gularą strzelił, a potem ja strzeliłem...

Wtedy ojciec pokazywał, jak strzelał, podnosząc nogę i puszczając baki, równocześnie udając, że naciąga łuk i wypuszcza strzałę. A potem wybuchał piskliwym, nieprzyjemnym śmiechem starca.

Tomasz po chwili zasuwiał klapki i przemykał korytarzem z pulsującym bólem w głowie i niepewnym uśmiechem na twarzy – bólem głowy i uśmiechem chłopca, który najadł się zielonych jabłek i wie, że rano będzie się czuł jeszcze gorzej.

To ma być ojciec, którego zawsze kochał i bał się? Stary człowiek, który pierdział.

To był król zwany przez poddanych Rolandem Dobrym? Sikał do kominka wznosząc kłęby pary. To był człowiek, który złamał mu serce, bo nie spodobała mu się jego łódka?

Gadał do wypchanych głów na ścianie nadając im idiotyczne imiona, jak Bonsey, Ogierek i Napięta Strzała; dłubał w nosie i czasami zjadał gluty.

Już mi na tobie nie zależy, myślał Tomasz sprawdzając przez judasz, czy korytarz jest pusty, a potem wślizgując się do swojego pokoju jak złodziej. Jesteś obleśnym starym dziadem i nic dla mnie nie znaczysz. Nic! Nic!

Jednakże znaczył coś dla Tomasza. Jakaś jego część nadal kochała Rolanda tak jak przedtem – jakaś jego część chciała iść do ojca, żeby miał lepszego słuchacza niż wypchane głowy na ścianach.

Ale istniała też ta druga część, która wolała podglądać.

28

Owego wieczoru, gdy Flagg poszedł do apartamentów króla Rogera z kielichem zatrutego wina, Tomasz odważył się podglądać po raz pierwszy od bardzo długiego czasu. A miał po temu ważne powody.

Pewnej nocy, jakieś trzy miesiące wcześniej, Tomasz nie mógł zasnąć. Kręcił się i przewracał na łóżku, aż usłyszał, że straż nocna ogłasza jedenastą. Wtedy wstał, ubrał się i wyszedł ze swych komnat. Mniej niż dziesięć minut później patrzył na bawialnię swego ojca. Myślał, że może już śpi, ale tak nie było. Roland nie spał i był bardzo, bardzo pijany.

Tomasz widział ojca w stanie upojenia już niejedyn raz, ale nigdy nawet w przybliżeniu aż do tego stopnia. Chłopiec był przestraszony i mocno oszołomiony.

Są ludzie mający o wiele więcej lat niż Tomasz w owym czasie, którzy hołubią pogląd, że na starość się łagodnieje – że osoba starsza jest siedliskiem łagodnej mądrości, łagodnej opryskliwości lub sprytu albo może łagodnego zmieszania i zgrzybiałości. Przyznają starości te cechy, ale nie spodziewają się ognia. Mają złudzenie, że po siedemdziesiątce wszelki ogień zamienił się już w popiół. Może to i prawda, ale tej nocy Tomasz odkrył, że popiół czasami też

potrafi buchnąć płomieniem.

Ojciec szybkim krokiem przemierzał swoją bawialnię powiewając szlafrokiem na futrze. Szlafmyca mu spadła, a resztki włosów zwisały w potarganych puklach, przede wszystkim w okolicach uszu. Nie zataczał się tak, jak to miewało miejsce zazwyczaj, poruszając się ostrożnie i macając przed sobą ręką, żeby nie wpadać na meble. Maszerował jak żeglarz, ale nie zataczał się. Wpadłszy na jedno z krzeseł o wysokich oparciach, które stało przy ścianie pod wyszczerzoną paszczą rysia, Roland odrzucił je na bok z rykiem, od którego Tomaszowi ścierpła skóra. Zjeżyły mu się włoski na rękach. Krzesło przeleciało przez całą szerokość i uderzyło w przeciwległą ścianę. Oparcie z grabowego drewna pękło pośrodku – straszliwe pijaństwo przywróciło królowi siły lat męskich.

Popatrzył na głowę rysia o czerwonych błyszczących oczach.

– Ugryź mnie! – ryknął. Jego ochryply głos sprawił, że Tomasz znów się skulił. – Ugryź mnie, czego się boisz? Zejdź z tej ściany, Craker! Skacz! Oto moja pierś! – Szarpnięciem rozpiął szlafrok ukazując chudy tors. Wyszczrzył swych kilka zębów do zębatej paszczęki Crakera i podniósł głowę. – Oto mój kark! No, skacz! Uduszę cię gołymi rękoma! Wydrę ci twoje cuchnące flaki!

Stał przez chwilę z gołym torsem i podniesioną głową sam wyglądając jak zwierzę – stary, osaczony samiec, który nie ma innej nadziei, jak tylko umrzeć z godnością. A potem odwrócił się, poszedł dalej zatrzymując się tylko, żeby pogrozić pięścią głowie niedźwiedzia i obrzucić go stekiem przekleństw tak okropnych, że Tomasz, kulący się w ciem-ciach, bał się, iż oburzony duch zwierza zstąpi, ożywi wypchaną głowę, a potem rozszarpie ojca na jego oczach.

Ale Roland już stamtąd odszedł. Chwycił kufel, opróżnił go, a potem odwrócił się z ociekającym piwem podgardlem. Cisnął srebrnym naczyniem w poprzek pokoju z taką siłą, że gdy trafiło w kamienny róg kominka, w metalu powstała szczyrba.

Teraz ojciec zbliżał się do niego odrzucając na bok kolejne krzesło, a potem kopnięciem bosej stopy pozbywając się z drogi stołu. Podniósł oczy... i napotkał wzrok Tomasza. Tak – oczy ich spotkały się. Tomasz czuł to i szary, mdlący strach przepełnił go niczym lodowaty oddech.

Ojciec zbliżył się do niego z godnością, jego pożółkłe zęby wyszczerzyły się, resztki włosów opadły na ramiona, a piwo ciekło mu z kącików ust na brodę.

– Ty – szepnął strasznym głosem Roland. – Czemu się na mnie gapisz? Co masz nadzieję zobaczyć?

Tomasz zamarł. Złapał mnie, przeszło mu przez myśl. Złapał mnie; na wszystkich bogów przeszłych i przyszłych, złapał mnie i jak nic skaże na wygnanie!

Ojciec stał wbijając wzrok w wypchaną smoczą głowę. Czując się winny Tomasz był pewien, że ojciec mówi do niego, ale okazało się, że Roland przemawiał tylko do Dziewięciaka, podobnie jak i do innych głów. Ale skoro Tomasz widział przez przyciemnione szklane oczy, tak

samo ojciec musiał też przez nie coś dostrzegać. Gdyby Tomasz nie skamieniał ze strachu, być może uciekłby w panice – a gdyby zostało mu dosyć przytomności umysłu, żeby zostać na miejscu, poruszyłby na pewno oczyma. A gdyby Roland zobaczył, że oczy się ruszają, cóż wtedy by pomyślał? Że smok wraca do życia? Może. Zważywszy stan, w jakim się znajdował, jest to całkiem prawdopodobne. Gdyby Tomasz wtedy tylko mrugnął, Flagg nie potrzebowałby używać trucizny. Król, stary i słaby, mimo chwilowego powrotu sił wywołanego alkoholem najprawdopodobniej umarłby ze strachu.

Roland nagle skoczył do przodu.

Czemu się na mnie gapisz? – krzyknął, a w swym zamroczeniu myślał, że przemawia do Dziewięciaka, ostatniego smoka Delainu, ale oczywiście Tomasz nie mógł tego wiedzieć. – Czemu się tak na mnie gapisz? Robiłem, co mogłem, zawsze robiłem, co mogłem! Czy ja o to prosiłem? No, czy ja o to prosiłem? Odpowiedz mi, do cholery! Robiłem, co mogłem i co się ze mną stało! Popatrz na mnie! – Szeroko rozchylił szlafrok ukazując ciało o skórze pokrytej czerwonymi, wywołanymi przez alkohol plamami. – Popatrz na mnie! – krzyknął jeszcze raz, a potem łkając opuścił głowę i popatrzył na siebie.

Tomasz nie mógł tego więcej znieść. Z trzaskiem zasunął klapki za szklanymi oczami smoka w tej samej chwili, gdy ojciec oderwał wzrok od Dziewięciaka, żeby popatrzeć na swoje starcze ciało.

Potykając się i objijając o ściany Tomasz pobiegł czarnym korytarzykiem, z rozpędu wpadł na zamknięte drzwi, uderzył w nie głową i padł bez czucia. Po chwili poderwał się, nie zauważając, że krew z rozciętego czoła spływa mu po twarzy, i rzucił się na tajną dźwignię, aż drzwi stanęły otworem. Wypadł na korytarz, przez moment nawet nie pamiętając, żeby sprawdzić, czy kogoś na nim nie ma. Przed oczyma miał tylko wściekle, przekrwione oczy ojca, a w uszach jego krzyk: „Czego się na mnie gapisz”?

Nie mógł wiedzieć, że jego ojciec zdążył już zapaść w głęboki pijacki sen. Obudzwszy się następnego ranka Roland stwierdził, że leży na podłodze, a pierwszą rzeczą, jaką uczynił, mimo że bolała go wściekle głowa i całe potłuczone ciało (Roland był o wiele za stary na takie wyczyny), było rzucenie okiem na głowę smoka. Rzadko miewał sny po pijanemu – zazwyczaj zapadał się w lepką ciemność. Ale tej nocy zdarzył mu się okropny sen: szklane oczy w smoczej głowie poruszyły się i Dziewięciak wrócił do życia. Czerw zionął na niego swym morderczym, płomiennym oddechem, a chociaż Roland ni zobaczył ognia, czuł, że ciało rozpala mu się od środka.

Mając ten sen świeżo w pamięci drżał na myśl o tym, co może zobaczyć nad głową. Ale wszystko było tak jak zwykle. Pysk Dziewięciaka wykrzywił okropny grymas, jego rozdwojony język zwieszał się między zębami prawie tak długimi jak słupy ogrodzeniowe, a zielonozłote oczy bezmyślnie patrzyły na ścianę komnaty. Nad tym wspaniałym trofeum zwieszał się

skrzyżowany ceremonialnie wielki łuk Rolanda i strzała Młot na Wrogów o grocie wciąż czarnym od smoczjej krwi. Powiedział raz Flaggowi o tym strasliwym śnie, ale ten tylko skinął głową i przybrał bardziej niż zwykle zamyślony wyraz twarzy. A potem Roland najzwyczajniej w świecie o wszystkim zapomniał.

Tomaszowi przyszło to ze znacznie większą trudnością.

Całymi tygodniami męczyły go straszne sny. W owych koszmarach ojciec patrzył na niego i krzyczał: – Widzisz, co mi zrobiłeś! – i rozdzierał szlafrok ukazując swoją nagość – stare, pomarszczone blizny, opadający brzuch, zwiotczałe mięśnie jakby chciał powiedzieć, że to wszystko jest winą Tomasza, że gdyby nie podglądał...

– Dlaczego przestałeś pokazywać się u ojca? – zapytał go pewnego dnia Piotr. – Myśli, że jesteś na niego obrażony.

– Ja jestem obrażony na niego? – powiedział zaskoczony Tomasz.

– Tak właśnie powiedział dziś podczas kolacji – odparł Piotr. Przyjrzał się uważnie bratu zauważając podkrążone oczy, bladość jego policzków i czoła.

– Tom, co się stało?

– Może nic – powiedział powoli Tomasz. Następnego dnia zjadł kolację z ojcem i bratem. Potrzebował do tego całej swojej odwagi, ale nigdy mu jej nie brakowało i zazwyczaj znajdował ją w sobie – zwłaszcza gdy został przyparty do muru. Ojciec ucałował go i zapytał, o się stało. Tomasz wymamrotał, że nie czuł się dobrze, ale teraz wszystko już w porządku. Ojciec kiwnął głową, przytulił go niezręcznie, a potem wrócił do swego zwykłego zachowania, które polegało przede wszystkim na ignorowaniu Tomasza i zajmowaniu się Piotrem. Tym razem Tomasz był z tego zadowolony – wolał, żeby ojciec zanadto mu się nie przyglądał, przynajmniej przez jakiś czas. Nocą zaś, leżąc bezsennie w łóżku i słuchając, jak wiatr zawodzi za oknem, doszedł do wniosku, że niewiele brakowało... ale jednak udało mu się wykręcić sianem.

Ale już nigdy więcej – pomyślał. Kilka tygodni później straszne sny zaczęły pojawiać się coraz rzadziej. Wreszcie całkiem się skończyły.

Jednak zamkowy koniuszy Yosef miał rację co do jednego: chłopcy lepiej umieją składać przyrzeczenia, niż ich dotrzymywać, a pragnienie Tomasza, żeby podglądać ojca, znów zaczęło przerastać tak jego strach, jak i dobre intencje. I dlatego tej nocy, gdy Flagg przyszedł do Rolanda z zatrutym winem, Tomasz znajdował się na posterunku.

29

Gdy Tomasz znalazł się na miejscu i odsunął dwie klapki, jego ojciec i brat kończyli właśnie swój wieczorny kieliszek wina. Piotr miał już prawie siedemnaście lat, był wysoki i przystojny.

Siedzieli tak we dwóch przy kominku popijając wino i gawędząc jak starzy przyjaciele, a Tomasz poczuł, jak dawna nienawiść napełnia mu serce goryczą. Po krótkiej chwili Piotr wstał i grzecznie żegnał się z ojcem.

Coraz wcześniej ostatnio wychodzisz – zauważył Roland.

Piotr zaprotestował.

Roland uśmiechnął się. Był to słodki, smutny, w zasadzie bezzębny uśmiech.

– Słyszałem – powiedział – że jest śliczna.

Piotr sprawiał wrażenie zakłopotanego, co mu się rzadko zdarzało. Zająknął się, co było jeszcze bardziej niezwykle.

– Idź – przerwał Roland. – Idź. Bądź dla niej delikatny i bądź dla niej dobry... ale bądź też gorący, jeśli masz w sobie żar. Późniejsze lata ochłodzą cię, Piotrze. Bądź gorący, póki jesteś jeszcze młody, pełen ognia i płomień bucha wysoko.

Piotr uśmiechnął się.

– Mówisz, jakbyś był bardzo stary, ojcie, ale mnie wciąż wydajesz się silny i zdrowy.

Roland objął Piotra.

Kocham cię – powiedział. Piotr uśmiechnął się już bez zakłopotania.

– Ja też cię kocham, tato – powiedział, a w ciemnościach samotny Tomasz (bo zazwyczaj podgląda się w samotności i prawie zawsze w mroku) skrzywił się okropnie.

Piotr wyszedł i przez następną godzinę niewiele się działo. Roland siedział z ponurą miną przy kominku pijąc jeden kufel piwa po drugim. Nie ryczał ani wrzeszczał, czy też rozmawiał z głowami na ścianach; nie odbywało się też niszczenie mebli. Tomasz już się prawie zdecydował, żeby wyjść, kiedy nagle rozległo się dwukrotne pukanie do drzwi.

Roland patrzył w ogień nieomal zhipnotyzowany grą płomieni. Teraz otrząsnął się i zawołał:

– Kto tam?

Tomasz nie usłyszał odpowiedzi, ale ojciec wstał i podszedł do drzwi, jakby dobiegł go jakiś głos. Otworzył je i początkowo Tomasz myślał, że ojciec wprowadził nową odmianę do swych obyczajów – nie przemawiał już do głów na ścianach, lecz by ulżyć nudzie, zaczął wymyślać sobie niewidzialne ludzkie towarzystwo.

– Nie – spodziewałem się zobaczyć ciebie tutaj o takiej godzinie – powiedział Roland wracając najwyraźniej sam. – Myślałem, że po zapadnięciu zmroku zajmujesz się swoimi zaklęciami i czarami.

Tomasz zamrugał, potarł oczy i wreszcie zobaczył, że ktoś tam jednak jest. Przez chwilę nie widział dokładnie kto... a potem nie mógł pojąć, w jaki sposób wydawało mu się, że ojciec jest sam, kiedy, tuż obok niego stoi Flagg. Trzymał on dwa kieliszki wina na srebrnej tacy.

– Bajki, panie – czarnoksiężnicy robią czary o każdej porze dnia. Ale oczywiście musimy

podtrzymać nasz mit tajemniczości.

Piwo zawsze zwiększało poczucie humoru Rolanda – tak bardzo, że często śmiał się z zupełnie niezabawnych rzeczy. Po tej uwadze odrzucił w tył głowę i ryknął śmiechem, jak gdyby był to najlepszy w świecie dowcip. Flagg uśmiechnął się blado.

Gdy Roland uspokoił się nieco, zapytał:

– Co to jest? Wino?

– Twój syn ledwo wyrósł z lat chłopięcych, ale jego szacunek do swego ojca i króla zawstydził mnie, dorosłego mężczyznę – rzekł Flagg. – Przyniosłem ci kieliszek wina, mój królu, żeby pokazać, że ja też darzę cię miłością.

Podał go Rolandowi, który okazywał absurdalne zgoła wzruszenie.

Nie pij tego, ojcze! – pomyślał nagle Tomasz i ogarnął go wielki, niezrozumiały strach. Roland podniósł głowę i przechylił ją na bok, jakby go usłyszał.

– Piotr to dobry chłopiec – powiedział.

– Zgadza się – odparł Flagg. – Wszyscy mieszkańcy naszego królestwa tak mówią.

– Naprawdę? – zapytał Roland, wyglądając na zadowolonego. – Mówią tak?

– Ależ oczywiście. Wypijmy za jego zdrowie – Flagg uniósł kieliszek.

Ojcze, nie! – zawołał znów w myślach Tomasz, ale o ile ojciec być może usłyszał jego pierwszy krzyk, drugi już do niego nie dotarł. Twarz jego jaśniała miłością do starszego brata Tomasza.

– A więc zdrowie Piotra! – Roland wysoko uniósł kieliszek z zatrutym winem.

– Zdrowie Piotra! – zgodził się z uśmiechem Flagg. – Zdrowie króla!

Tomasz skulił się w ciemnościach.

Flagg wznosi dwa różne toasty! Nie wiem, co to znaczy, ale... ojcze!

Tym razem Flagg zwrócił na chwilę swoje mroczne, wyrachowane spojrzenie na głowę smoka, jak gdyby usłyszał myśl. Tomasz zamarł, a po chwili wzrok Flagga skierował się na Rolanda.

Stuknęli się kieliszkami i wypili. A gdy ojciec jednym haustem pochłoniął całe wino, Tomasz poczuł, jak okrucieństwo lodu wbił mu się w serce.

Flagg odwrócił się na fotelu i wrzucił kieliszek do ognia.

– Zdrowie Piotra!

– Zdrowie Piotra! – powtórzył Roland i cisnął swój. Roztrzaskał się on na zakopconych cegłach w głębi kominka i wpadł w płomienie, które na chwilę buchnęły brzydkim zielonym kolorem.

Roland podniósł na chwilę dłoń do ust, jakby dla, ukrycia, że mu się odbiło.

– Przyprawiałeś je? – zapytał. – Ma jakiś taki korzenny smak.

– Nie, panie – powiedział poważnie Flagg, ale Tomaszowi wydawało się, że pod maską jego

powagi wyczuwa śmiech i odłamek lodu głębiej wbił mu się w serce. Nagle odechciało mu się podglądania raz na zawsze. Zasłonił otwory i przekradł się do swojego pokoju. Najpierw było mu gorąco, potem zimno, potem znowu gorąco. Rano obudził się chory. Zanim zdążył wyzdrowieć, ojciec nie żył, brata uwięziono w celi na szczycie Iglicy, a on mając ledwie dwanaście lat został królem – Tomaszem Dawcą Światła, jak go nazwano podczas ceremonii koronacyjnej. A kto został jego najbliższym doradcą?

Zgadnijcie.

30

Opuściwszy Rolanda (starszy pan czuł się już wtedy lepiej niż zazwyczaj, co było pewnym znakiem, że Smoczy Piasek zaczyna działać) Flagg wrócił do swych mrocznych podziemnych komnat. Wyjął szczypczyki i paczuszkę zawierającą kilka pozostałych ziaren piasku i położył je na swym wielkim, starym biurku. A potem odwrócił klepsydrę i podjął lekturę.

Na dworze wiatr wył i gulgotał – stare kobiety skulone w łózkach budziły się i mówiły swoim mężom, że tej nocy Rhiannon, Czarna Wiedźma z Coos, jeździ na swej nienawistnej miotle i dzieje się coś złego. Mężowie chrząkali, odwracali się na drugi bok i radzili im, żeby poszły spać i zostawiły ich w spokoju. W większości nie grzeszyli oni inteligencją; kiedy potrzeba kogoś, kto ma zwęszyć pismo nosem, dajcie mi starą kobietę.

Raz pajak przebiegał przez księgę Flagga, dotknął zaklęcia tak straszliwego, że sam czarnoksiężnik nie miał odwagi go użyć, i natychmiast zamienił się w kamień.

Flagg wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Gdy klepsydra opróżniła się, przestawił ją ponownie. I jeszcze raz. I jeszcze. W sumie odwrócił ją osiem razy, a gdy ósma godzina przesypywania piasku prawie już upłynęła, zabrał się do kończenia swego dzieła. W pokoju znajdującym się obok gabinetu trzymał wiele rozmaitych zwierząt i tam też udał się najpierw. Małe stworzonka uciekały i kuliły się, gdy Flagg do nich podchodził. Nie miał im tego za złe.

W odległym kącie znajdowała się wiklinowa klatka zawierająca sześć polnych myszy – ten rodzaj występował w całym zamku, i o to właśnie chodziło. Flagg miał też wielkie szczury, ale nie tego dzisiaj potrzebował. Szczur królewski został wytepiony na zamku; zwykła mysz wystarczy, żeby zbrodnia dotarła do wiadomości Królewskich Odszczurzaczy. Jeśli wszystko się uda, Piotr wkrótce znajdzie się za kratkami jak ta mysz.

Flagg sięgnął do klatki i wyjął jedną z nich. Drżała w jego dłoniach. Czuł, jak szybko bije jej serce, i wiedział, że wystarczy, by ją dłużej trzymał w ręku, a umrze ze strachu.

Wysunął mały palec w stronę zwierzątka. Palec przez chwilę lśnił bladym błękitem.

– Śpij – rozkazał czarnoksiężnik, a mysz opadła na bok i zasnęła na jego otwartej dłoni.

Flagg zaniósł ją do gabinetu i położył na biurku, gdzie przedtem spoczywał obsydianowy przycisk do papieru. Podeszedł do spiżarni i z dębowej baryłki utoczył odrobinę miodu na spodeczek. Dosłodził go cukrem. Postawił spodek na biurku, a potem wyszedł na korytarz i znów stanąwszy przy oknie głęboko wciągał powietrze w płuca.

Wrócił wstrzymując oddech i za pomocą szczypczyków przesypał prawie wszystkie ziarnka Smoczego Piasku do osłodzonego miodu. Potem otworzył inną szufladę biurka i wyjął z niej nową, tym razem pustą paczuszkę, a następnie, sięgając do samego końca szuflady, wydobył bardzo ważne pudełko.

Nowa paczuszka była zaczarowana, ale magia w niej zawarta nie miała wielkiej mocy. Utrzyma bezpiecznie Smoczy Piasek tylko przez krótki czas. A potem zacznie on działać na papier. Nie zapali go znajdując się wewnątrz pudełka, bo nie ma w nim dosyć tlenu. Ale papier będzie tlić się i dymić, co w zupełności wystarczy. Właśnie tak.

Płuca Flagga domagały się powietrza, ale odczekał jeszcze chwilę, żeby popatrzeć na pudełko i złożyć sobie w duchu gratulacje. Ukradł pudełko dziesięć lat temu. Gdyby zapytał go ktoś wtedy, dlaczego je wziął, nie byłby w stanie odpowiedzieć, tak samo jak nie potrafiłby w swoim czasie powiedzieć, dlaczego pokazał Tomaszowi tajne przejście kończące się za głową smoka – jego intrygancki instynkt podpowiedział mu, że ma je zabrać i że kiedyś mu się ono przyda, więc go usłuchał. A po wielu latach leżenia w biurku nadeszła właściwa chwila.

Na pokrywce napisane było PIOTR.

Sasha dała pudełko swojemu synkowi, on zaś położył je na chwilę na stole w hallu, gdyż musiał po coś pobiec; nadszedł Flagg, zauważył je i schował do kieszeni. Piotr oczywiście okropnie się zmartwił, a gdy księżę się smuci – nawet jeśli ma tylko sześć lat – ludzie zwracają uwagę. Przeprowadzono poszukiwania, ale pudełka nie znaleziono nigdy.

Używając szczypczyków Flagg ostrożnie przesypał ostatnie kilka ziaren Smoczego Piasku ze starego, w pełni zaczarowanego opakowania do nowego, którego czar był niekompletny. Następnie poszedł do okna na korytarzu, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Potem wstrzymywał znów oddech, dopóki nowa paczuszka nie znalazła się w drewnianym pudełku, szczypczyki obok niej, a pudełko nie zostało ostrożnie zamknięte, stare opakowanie zaś nie znalazło się w ścieku.

Teraz Flagg zaczął się spieszyć, ale był spokojny. Mysz śpi; pudełko zamknięte, a wewnątrz niego obciążający dowód. Wszystko szło doskonale.

Wysunął mały palec lewej ręki w stronę myszy rozłożonej na biurku niczym futrzak dla wróżek i rozkazał:

– Zbudź się.

Łapki myszy zadrżały. Oczka otworzyły się. Główka podniosła.

Uśmiechając się Flagg zatoczył małym palcem kółko i rzekł:

– Biegaj.

Mysz zaczęła biegać w kółko.

Flagg poruszył palcem w górę i w dół.

– Skacz.

Mysz zaczęła skakać na tylnych nóżkach jak psy w cyrku, wywracając przy tym oczami.

– A teraz pij – powiedział Flagg i wskazał małym palcem naczynko z osłodzonym miodem.

Za oknami zawył wiatr. W drugim końcu miasta suka urodziła dwugłowe szczenięta. Mysz zaczęła pić.

– Dosyć – rzekł Flagg, gdy wypięła wystarczająco dużo trucizny – zaśnij teraz znowu. – I mysz zapadła w letarg.

Flagg pospieszył do pokoi Piotra. Pudełko umieścił w jednej ze swych licznych kieszeni – czarnoksiężnicy zawsze mają ich wiele – a śpiące zwierzątko w drugiej. Minął kilku służących i grupkę śmiejących się, pijanych dworzan, ale nikt go nie dostrzegł. Wciąż był mglisty.

Pokoje Piotra zamknięte były na klucz, ale dla kogoś o zdolnościach Flagga nie stanowiło to problemu. Trzy ruchy dłońmi i drzwi stały otworem. Apartament księcia okazał się rzeczywiście pusty; chłopak nadal przebywał w towarzystwie swej przyjaciółki. Flagg nie znał Piotra tak dobrze jak Tomasza, ale wystarczająco – na przykład wiedział, gdzie Piotr trzymał te kilka skarbów, które jego zdaniem zasługiwały na ukrycie.

Flagg skierował się prosto do szafki na książki i wyjął trzy lub cztery nudne podręczniki szkolne. Nacisnął drewnianą krawędź i usłyszał, jak zaskoczyła sprężyna. Potem odsunął płytkę odsłaniając wgłębienie z tyłu szafy. Nie było ono nawet zamknięte. Leżała w nim jedwabna wstążka do włosów, ofiarowana chłopcu przez jego damę serca, paczka listów od niej, kilka listów napisanych do niej przez Piotra, tak płomiennych, że nie odważył się ich wysłać, i medalionik z portretem matki.

Flagg otworzył drewniane pudełko i bardzo ostrożnie naddał róg paczuszki. Wyglądało to tak, jakby nadgryzła mysz. Flagg nałożył pokrywkę i umieścił pudełko we wgłębieniu.

Tak płakałeś, kiedy zginęło ci to pudełko, Piotrze – mruknął – ale będziesz jeszcze bardziej żałował, jak się znajdzie. – Zachichotał.

Położył uśpione stworzonko obok pudełka, zasunął drewnianą płytkę i starannie ułożył książki na miejscu.

Wrócił do siebie i spał dobrze. Nadchodziło wielkie zło, a on miał pewność, że działał tak, jak lubił najlepiej – w ukryciu, nie dostrzeżony przez nikogo.

31

Przez następne trzy dni król Roland sprawiał wrażenie zdrowszego, energiczniejszego i bardziej zdecydowanego niż kiedykolwiek od wielu lat – cały dwór o tym mówił. Odwiedzając swego chorego, gorączkującego brata Piotr zauważył z podziwem, że resztki włosów ojca zmieniły kolor z niemowlęco białego, jaki miały w ciągu ostatnich czterech lat, na stalowoszary, jak w czasach, gdy znajdował się w średnim wieku.

Tomasz uśmiechnął się, ale równocześnie przeszył go zimny dreszcz. Poprosił Piotra o jeszcze jeden koc, ale tak naprawdę potrzebował czego innego: zapomnieć ten ostatni dziwny toast, a tego, oczywiście, nie dało się zrobić.

Aż wreszcie po kolacji trzeciego dnia Roland zaczął uskarżać się na niestrawność. Flagg zaproponował, żeby sprowadzić dworskiego medyka. Roland jednak odrzucił ten pomysł twierdząc, że czuje się świetnie, lepiej niż od wielu miesięcy, a może nawet lat...

Odbiło mu się. Beknięcie było długie, miało suchy, grzechotliwy dźwięk. Wesoty tłum na sali balowej zamarł w zachwycie i oczekiwaniu, gdy król zgiął się wpół. Muzykanci usadowieni w kącie przestali grać. Gdy Roland wyprostował się, tłum jęknął. Policzki króla płonęły. Z oczu ciekły mu dymiące łzy. Jeszcze więcej dymu wydobywało się z ust.

W wielkiej sali jadalnej znajdowało się około siedemdziesięciu osób – skromnie ubrani jeźdźcy (my prawdopodobnie nazwalibyśmy ich rycerzami), eleganccy dworzanie i ich damy, służący króla, kurtyzany, trefnisie, muzykanci, nieduży zespół aktorów, który miał później zaprezentować sztukę, i duża liczba sług. Ale to Piotr podbiegł do ojca; wszyscy widzieli, jak właśnie on podbiega do cierpiącego ojca, co bardzo odpowiadało planom Flagga.

Piotr. Będą pamiętać, że właśnie on.

Roland chwycił się za brzuch jedną ręką, a drugą za pierś. Z ust buchnął mu szarobiały dym. Wyglądało to tak, jakby król nauczył się nowego, niezwykle sposobu opowiadania o swoim największym zwycięstwie.

Nie była to jednak sztuczka, bo dymowi wydobywającemu się nie tylko z ust, ale także z nozdrzy, uszu i kącików oczu towarzyszył krzyk. Szyja króla nabrała barwy nieomal purpurowej.

– Smok! – zawołał król Roland i upadł w ramiona swego syna. – Smok!

To były jego ostatnie słowa.

32

Starszy pan okazał się twardy – niezwykle twardy. Zanim umarł, bił od niego taki żar, że

nikt, nawet najwierniejsi słudzy, nie mógł zbliżyć się do jego łoża bardziej niż na cztery stopy. Kilkakrotnie polewali biednego, umierającego króla wodą z wiader, gdy widzieli, że pościel zaczyna się tlić. Za każdym razem woda natychmiast zamieniała się w parę, która wypełniała sypialnię i przedostawała się do bawialni, gdzie dworzanie i jeźdźcy czekali w odrętwiałej ciszy, a damy zbierały się w grupki łkając i załamując dłonie.

Tuż przed północą zielony płomień wystrzelił z ust króla i Roland zmarł.

Flagg, pełen powagi, pojawił się w drzwiach między sypialnią a bawialnią i ogłosił wiadomość. Zapadła absolutna cisza, trwająca dłużej niż minutę. Przerwało ją jedno słowo powiedziane przez kogoś stojącego w tłumie zebranych. Flagg nie miał pojęcia, kto je wyrzekł, ale było mu wszystko jedno. Wystarczyło, że zostało wypowiedziane. Prawdę mówiąc, przekupiłby kogoś, żeby je powiedział, gdyby nie było to dla niego nazbyt niebezpieczne. – Morderstwo! – zawołał ten ktoś.

Tłum jęknął.

Flagg godnie uniósł dłoń do ust, żeby ukryć uśmiech.

33

Dworski lekarz rozszerzył tę wypowiedź na trzy słowa: morderstwo przez otrucie. Nie powiedział „morderstwo za pomocą Smoczego Piasku”, bo trucizny tej nie znał w Delainie nikt poza Flaggiem.

Król zmarł tuż przed północą, ale o świcie oskarżenie znano już w całym mieście, a wieść o nim szybko rozprzestrzeniała się aż po najdalsze kresy Wschodniej, Zachodniej, Południowej i Północnej Baronii: morderstwo, królobójstwo, Roland Dobry zginął od trucizny.

Wcześniej jeszcze Flagg zorganizował przeszukiwanie zamku od najwyższego punktu (Wschodniej Wieży) do najniższego (Lochy Inkwizycji z kołami tortur, kajdanami i hiszpańskimi butami). Wszelkie dowody związane z tą okropną zbrodnią mają zostać natychmiast zbadane i przekazane do niego.

Zamek rozbrzmiewał poszukiwaniami. Przeczesało go sześciuset zdeterminowanych ludzi. Tylko dwa miejsca na zamku zostały wyłączone; apartamenty obu książąt – Piotra i Tomasza.

Tomasz słabo sobie z tego zdawał sprawę; gorączka podniosła się tak, że dworski medyk poważnie się zaniepokoił. Tomasz leżał majacząc, gdy blask świtu zaczął pukać do jego okien. W majakach widział dwa wysoko wzniesione kieliszki wina i raz po raz słyszał, jak ojciec mówi: „Przyprawiałeś je? Smakuje jak wino z korzeniami”.

Flagg nakazał poszukiwania, ale o drugiej rano Piotr wrócił do siebie na tyle, by móc przejąć

nad nimi dozór. Flagg pozwolił mu na to. Nadchodzące godziny były niezmiernie ważne, podczas nich zdecyduje się, czy wygrał, czy przegrał, i Flagg wiedział o tym. Król nie żyje; królestwo w tym krótkim czasie jest pozbawione władcy. Ale nie na długo; tego samego dnia Piotr zostanie koronowany u stóp Iglicy, chyba że szybko i jednoznacznie oskarży się go o zbrodnię.

W innych okolicznościach oczywiście Piotr natychmiast zostałby głównym podejrzanym. Zawsze podejrzewa się tych, którzy zyskają najwięcej na czyjejs śmierci, a Piotr był właśnie taką osobą. Trucizna jest rzeczą straszną, ale mogła mu dać koronę.

W tym przypadku jednak mieszkańcy królestwa mówili raczej o stracie, jaką chłopiec poniósł, niż o zysku. Oczywiście Tomasz też utracił ojca, dodawali po chwili – tak jakby zawstydzili się, że o tym zapomnieli. Ale Tomasz to ponury, nadąsany, niezręczny chłopak, który często kłócił się z ojcem. Miłość zaś Piotra i jego szacunek dla Rolanda były powszechnie znane. No i dlaczego, pytano – jeśli nawet komuś wpadła do głowy tak niesłychana myśl – miałby Piotr zabijać ojca dla korony, którą i tak z pewnością odziedziczyłby za rok, trzy albo pięć?

Jednak gdyby dowody winy znaleziono w tajnej skrytce znanej tylko Piotrowi, schowku znajdującym się w jego własnych apartamentach, fala odwróciłaby się szybko. Ludzie zaczęłyby widzieć twarz mordercy pod maską miłości i szacunku. Mówiliby, że dla młodych rok wydaje się trzema, trzy dziewięcioma, a pięć, dwudziestoma pięcioma latami. Podkreślaliby, że król w ostatnich dniach życia wyglądał, jakby wychodził ze złego okresu – znów sprawiał wrażenie zdrowego i pełnego wigoru. Może, powiedzieliby, Piotr uznał, że ojciec wchodził w długą, zdrową późną starość i wpadł w panikę – zrobił coś równie nierozsądnego jak potwornego.

Flagg wiedział coś jeszcze; mianowicie to, że ludzie w głębi duszy instynktownie nie ufają wszelkim królom i książętom, bo są to osoby, które mogą skazać ich na śmierć jednym skinieniem głowy za przewinienia tak drobne, jak upuszczenie chustki do nosa w ich obecności. Wielkich królów się kocha, mniejszych toleruje; przyszli królowie stanowią element nowy i budzący lęk. Ludzie być może pokochaliby Piotra, gdyby im dano szansę, ale Flagg wiedział też, że szybko go potępia, jeśli przedstawi się im wystarczające dowody.

Flagg liczył, że dowody owe wkrótce wyjdą na światło dzienne.

Niewiele więcej niż mysz. Mało... ale na swój sposób wystarczająco dużo, żeby wstrząsnąć podstawami królestwa.

34

W Delainie uznawano tylko trzy stadia życia: dzieciństwo, wiek półmęski lub półkobięcy oraz wiek dojrzały. Te „półlata” trwały od czternastego do osiemnastego roku życia.

Gdy Piotr osiągnął wiek półmęski, łajające niańki zastąpił Brandon, lokaj, i jego syn Dennis. Brandon miał zostać lokajem Piotra na wiele lat, ale prawdopodobnie nie na zawsze. Piotr był przecież bardzo młody, a Brandon zbliżał się do pięćdziesiątki. Gdy Brandon nie będzie mógł już pracować, jego miejsce zajmie Dennis. Rodzina Brandona służyła członkom królewskiego rodu od ośmiuset lat i, co zrozumiałe, była z tego dumna.

Dennis wstawał każdego ranka o piątej, ubierał się, szykował uniform ojca i polerował jego buty. Potem zaspany wędrował do kuchni i jadł śniadanie. Za kwadrans szósta wyruszał z rodzinnego domu do zachodniej części zamkowej twierdzy i wchodził do głównego zamku przez Mniejszą Zachodnią Bramę.

Dokładnie o szóstej docierał do apartamentów Piotra, cicho wchodził do środka i brał się za swe codzienne zajęcia – rozpalał w kominku, piekł sześć rogalików na śniadanie, zagrzewał wodę na herbatę. Potem szybko przechodził pokoje doprowadzając je do porządku. Nie miał z tym dużo pracy, gdyż młody książę nie należał do bałaganiarzy. W końcu wracał do gabinetu i nakrywał do śniadania, bo właśnie tam chłopiec lubił jeść, jeśli posilał się u siebie – zazwyczaj przy biurku stojącym koło wychodzącego na wschód okna, czytając przy tym jakąś historyczną książkę.

Dennis nie lubił wstawać rano, ale bardzo mu się podobała jego praca, lubił też swego pana, który miał dla niego zawsze dużo cierpliwości, nawet jeśli Dennis w czymś się pomylił. Piotr podniósł na niego głos jeden jedyny raz, gdy Dennis przyniósł mu lekki obiad i zaniedbał położyć na tacy serwetkę.

– Najmocniej przepraszam, Wasza Wysokość – powiedział wtedy Dennis. – Po prostu nie przyszło mi na myśl...

– To następnym razem zastanów się – odparł Piotr. Nie krzyczał, ale był tego bliski. Dennis nigdy więcej nie zaniedbał położyć serwetki na tacy dla księcia – a czasami, na wszelki wypadek, kładł dwie.

Skończywszy poranne zajęcia młody sługa zniknął, a jego miejsce zajmował ojciec. Brandon był w każdym calu doskonałym lokajem ze swym starannie zawiązanym fularem, włosami ciasno związanymi w węzeł na karku, nieskazitelnym kaftanem i spodniami oraz lśniąco jak lustro butami (lustrzany blask oczywiście był dziełem Dennisa). Ale wieczorem, gdy zdjął buty, odwiesił kaftan do szafy, rozluźnił fular i usiadł ze szklaneczką dżinu w ręku, wydawał się Dennisowi o wiele przystępniejszy.

– Powiem ci coś, o czym chcę, żebyś zawsze pamiętał, Denny – nieraz mawiał do syna, znalazłszy się już w błogim stanie – jest może tuzin rzeczy trwałych na tym świecie, ale nie więcej, a może i mniej. Płochą miłość niewiasty nie starcza na długo ani też siły biegacza czy oddech samochwały, zbiór siana latem, a roztopy wiosną. Ale są dwie rzeczy, które trwają: jedna z nich to królowie, a druga to służba. Jeśli będziesz dbał o swojego młodego pana aż do jego

późnej starości, on zatroszczy się o ciebie. Służ mu, a on tobie posłuży, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. A teraz nalej mi jeszcze szklaneczkę i sobie też trochę, jeśli chcesz, ale tylko kropelkę, bo inaczej matka da nam po uszach.

Niewątpliwie niejedyn syn szybko znudziłby się takimi przemowami, ale nie Dennis. Należał on do nietypowych dzieci, ten syn, który osiągnął już lat dwadzieścia, lecz wciąż uważał, że ojciec jest od niego mądrzejszy.

Owego ranka, który nastąpił po śmierci króla, Dennis nie potrzebował zmuszać się do wstania z łóżka o piątej rano, gdyż o trzeciej Brandon obudził go przynosząc wiadomość o śmierci Rolanda.

– Flagg zaczął rewizję – powiedział ojciec, a jego przekrwione oczy wyrażały rozpacz – i bardzo dobrze. Ale jestem pewien, że mój pan wkrótce przejmie od niego kontrolę i idę mu pomóc szukać łotra, który to zrobił, jeśli mi na to pozwoli.

– Ja też! – zawołał Dennis, chwytając spodnie.

– Nic z tego – powiedział ojciec z taką surowością, że chłopak natychmiast usłuchał. – Rzeczy muszą toczyć się tak jak dotychczas – morderstwo, nie morderstwo – tym bardziej trzeba, żeby wszystko szło jak zawsze. Mój pan, a zarazem i twój, zostanie koronowany w południe, i niech tak się stanie, chociaż zły to czas na dojście do korony. Ale nagła śmierć króla, chyba że zdarzy się na polu bitwy, jest zawsze rzeczą złą. Wszystko na pewno wróci do normy, ale na początku mogą pojawić się kłopoty. Dlatego będzie najlepiej dla ciebie, Dennis, jak pójdziesz do pracy tak jak zazwyczaj.

Oddalił się, zanim syn zdążył zaprotestować.

A gdy nadeszła piąta, Dennis przekazał matce to, co jemu powiedział ojciec, a także to, że powinien wykonać swoje poranne obowiązki, nawet jeśli wie, że Piotra i tak nie będzie. Matka zgodziła się z nim bez zastrzeżeń. Umierała z ciekawości. Oczywiście powiedziała mu, żeby poszedł... i żeby wrócił do niej jeszcze przed ósmą i zrelacjonował, czego się dowiedział.

Tak więc Dennis udał się do komnat Piotra, w których nie zastał absolutnie nikogo. Jednak wykonał swoje poranne zadania, na koniec nakrywając do śniadania w gabinecie księcia. Popatrzył smutnie na talerze i szklanki, dżemy i galaretki, myśląc, że z pewnością żadna z owych rzeczy nie zostanie użyta tego ranka. Jednak wykonanie tych prac sprawiło, że po raz pierwszy od chwili, gdy ojciec wyrzucił go z łóżka, poczuł się lepiej, bo zrozumiał, że na dobre i złe czasy się zmieniły i stare już nigdy nie wróci.

Szykował się do wyjścia, gdy usłyszał jakiś dźwięk. Był on tak stłumiony, że Dennis nie potrafił powiedzieć, skąd dobiega – zdołał określić tylko ogólny kierunek. Spojrzał w stronę szafki na książki i serce zabiło mu w piersi.

Spomiędzy luźno ustawionych książek wydobywały się macki dymu.

Dennis skoczył do szafy i oburącz zaczął wyrzucać książki. Zobaczył, że dym dochodzi ze

szpar po jednej stronie dna szafy. A także usłyszał, że po zdjęciu książek dźwięk stał się wyraźniejszy. Brzmiało to, jakby jakieś zwierzę piszczło z bólu.

Dennis czując rosnącą panikę, zaczął obmacywać szafę. Rzeczą, której ludzie owych czasów bali się najbardziej, był ogień.

Wkrótce palce Dennisa natrafiły na tajną sprężynę. Flagg też to przewidział – w końcu tajny schowek nie był taki trudny do odnalezienia – chłopiec raczej nim się bawił niż traktował serio. Dno szafy odsunęło się odrobinę na prawo, a zza niego wyleciał kłęb dymu. Zapach, jaki mu towarzyszył, był bardzo nieprzyjemny – mieszanina pieczonego mięsa, spalonego włosa i tłącego się papieru.

Nie zastanawiając się Dennis otworzył skrytkę na całą szerokość. Oczywiście natychmiast dostało się tam więcej powietrza. To, co się tliło, zaczęło się palić.

Był to decydujący moment, punkt, w którym Flagg musiał zrezygnować z pewnością, że coś się stanie i zadowolić się przypuszczeniem, że coś najprawdopodobniej nastąpi. Wysiłki ostatnich siedemdziesięciu pięciu lat zależały teraz od tego, co podczas najbliższych pięciu sekund zrobi lub nie syn lokaja, a Flagg zdecydował, że musi zaufać ich długoletniej tradycji i nienagannemu zachowaniu.

Gdyby Dennis zamarł ze strachu na widok rozkwitających płomieni albo odwrócił się i pobiegł po dzbanek wody, wszystkie misternie podrzuczone przez Flagga dowody spaliłyby się w zielonkawych płomieniach. Morderstwo ojca nigdy nie byłoby przypisane Piotrowi, który zostałby ukoronowany w południe.

Ale Flagg nie pomylił się w swych rachubach. Zamiast zamrzeć w bezruchu lub pobiec po wodę, Dennis sięgnął do środka i gołymi rękoma ugasił płomienie. Zajął mu to mniej niż pięć sekund i nawet się bardzo nie poparzył. Żałosne piski trwały nadal i pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, okazała się leżąca na boku mysz. Wiła się w agonii. Dennis zabił ich dziesiątki w ramach swoich obowiązków służbowych nie czując najmniejszej litości. Teraz jednak żał mu się zrobiło zwierzaka. Działo się z nim coś strasznego, coś, czego nawet nie zaczynał rozumieć. Dym wznosił się z futra cienkimi nitkami. Dennis spróbował go dotknąć, ale z syknięciem cofnął rękę – poczuł żar, jakby dotknął ścianki maleńkiej kuchenki, takiej jak na przykład w domku dla lalek Sashy.

Więcej dymu sączyło się leniwie z rzeźbionego, drewnianego pudełka o lekko uchylonym wieczku. Dennis otworzył je szerzej. Zobaczył szczypczyki i paczuszkę. Kilka brązowych plam wykwitło na pakieciku, który tlił się leniwie, ale nie palił się, teraz też nie buchnął płomieniem. Ogień zajął listy Piotra, których oczywiście nie chroniło żadne zaklęcie. Podpaliła je mysz swym bardzo gorącym ciałem. Teraz jedynym źródłem dymu była paczuszka i coś ostrzegło Dennisa, żeby jej nie dotykał.

Bał się. Nie rozumiał, o co tu chodzi, i nie miał pewności, czy chciałby się tego dowiedzieć.

Czuł jednak, że najlepiej wszystko natychmiast opowiedzieć ojcu. On będzie wiedział, co należy zrobić.

Dennis wziął łopatkę i wiaderko na popiół stojące koło pieca i wrócił do tajemnej skrytki. Łopatką wygarnął dymiące ciało myszy i wrzucił je do wiadra. Dla wszelkiej pewności zmoczył zwęglone rogi listów. Potem zamknął skrytkę, postawił książki na swoim miejscu i opuścił komnaty Piotra. Zabrał ze sobą wiaderko, ale czuł, że nie postępuje jak wierny sługa Piotra, lecz jak złodziej łupem jego padła nieszczęsna mysz, która zdechła, zanim Dennis przeszedł przez Zachodnią Bramę zamku.

Nim jeszcze zdążył dotrzeć do domu po drugiej stronie kasztelu, przyszło mu do głowy okropne podejrzenie – był pierwszym w Delainie, który pomyślał coś takiego, ale nie ostatnim.

Usiłował wyrzucić je z głowy, ale ciągle powracało. Jaka trucizna, zastanawiał się Dennis, zabiła króla Rolanda? Jakiego rodzaju?

Gdy dotarł do domu ojca, znajdował się w kiepskim stanie i nie chciał odpowiadać na pytania matki. Nie pokazał jej też, co przyniósł w wiadrze na popiół. Powiedział tylko, że musi zobaczyć się z ojcem natychmiast, jak wróci do domu – sprawa jest absolutnie nie cierpiąca zwłoki. Potem poszedł do swojego pokoju i zaczął się zastanawiać, jakiego rodzaju trucizny użyto przeciwko królowi. Wiedział tylko jedno, ale to wystarczyło. Trująca substancja wydzielala ciepło.

35

Brandon pojawił się w domu przed dziesiątą, zły, zmęczony i zupełnie nie w nastroju do żartów. Był brudny i spocony, na czole miał skaleczenie, a we włosach długie nici pajęczyn. Nie znaleźli żadnych śladów mordercy. Jedyna wieść, jaką przyniósł, dotyczyła przygotowań do koronacji Piotra odbywających się pełną parą na placu Iglicy pod przewodnictwem Andersa Peyny, Najwyższego Sędziego Delainu.

Żona powiedziała mu, że Dennis już wrócił. Czoło Brandona zmarszczyło się. Podeszedł do drzwi pokoju syna i zastukał do nich nie zgiętym palcem, ale pięścią.

– Wyjdź no, chłopcze, i powiedz nam, dlaczego wróciłeś tutaj z wiaderkiem na popiół z gabinetu twojego pana.

– Nie – odparł Dennis. – Ty przyjdź do mnie, tato. Nie chcę, żeby matka zobaczyła, co przyniosłem, i nie chcę, żeby usłyszała, co mam zamiar ci powiedzieć.

Brandon wpadł do środka. Matka Dennisa stanęła koło pieca i czekała z niepokojem, spodziewając się, że chłopiec wymyślił jakieś na poły historyczne głupstwo, jakąś niedowarzoną bajdę, i że wkrótce usłyszy krzyki syna, gdy jej zmęczony i zdenerwowany mąż, który od

dzisiejszego południa obsługiwać ma nie księcia, leż króla, zacnie wyładowywać swe lęki i frustracje na plecach chłopca. Nie winiła syna; tego ranka wszyscy w kasztelu sprawiali wrażenie ogarniętych histerią, biegali jak chorzy dopiero co wypuszczeni z domu wariatów, powtarzając sto fałszywych wiadomości, żeby potem znów wrócić z następną setką nowych.

Ale zza drzwi pokoju Dennisa nie dobiegły podniesione głosy i żaden z nich nie pojawił się przed upływem godziny. A gdy to wreszcie nastąpiło, jedno spojrzenie na pobladłą twarz męża nieomal przyprawiło nieszczęsną kobietę o zemdlenie. Dennis wybiegł za ojcem jak przestraszony szczeniak.

Teraz Brandon niósł wiaderko na popiół. – Dokąd idziecie? – zapytała nieśmiało.

Brandon nie odpowiedział. Dennis zaś, jak jej się wydało, nie był w stanie. Przewrócił tylko oczyma, a potem wyszedł za ojcem. Nie zobaczyła żadnego z nich przed upływem dwudziestu czterech godzin i uznała już ich obu za martwych albo że, co gorsza, cierpieli męki w lochach inkwizycji pod zamkiem.

Jej ponure myśli nie były takie nieprawdopodobne, albowiem owa doba okazała się straszna dla Delainu. Mogłaby nie sprawić tak okropnego wrażenia tam, gdzie bunty, rewolty, alarmy i egzekucje o północy są na porządku dziennym... a miejsca takie, co muszę z przykrością stwierdzić, istnieją naprawdę. Ale w Delainie od lat – a nawet wieków – panował spokój, więc może zepsuło to nieco obywateli tego kraju. Czarny dzień zaczął się od południa, kiedy to nie nastąpiła koronacja Piotra, a zakończył przerażającą nowiną, że będzie on sądzony w Wielkiej Sali w Iglicy za zamordowanie swojego ojca. Gdyby w Delainie istniała giełda, tego dnia nastąpiłby na niej krach.

Budowa podium koronacyjnego rozpoczęła się o świcie. Miała to być prowizoryczna konstrukcja z nie heblowanych desek, ale, jak Anders Peyna wiedział, znajdzie się dosyć kwiatów i flag, które zakryją niedociągnięcia. Zgon króla nastąpił niespodziewanie, morderstwo zaś to coś, czego nie da się przewidzieć. Gdyby było inaczej, zbrodnie nie wydarzałyby się, a świat stałby się niewątpliwie szczęśliwszy. Co więcej, nie chodziło o zorganizowanie hucznej ceremonii, lecz o to, by lud czuł ciągłość władzy. Jeśli obywatele nabiorą przekonania, że wszystko jest nadal w porządku, mimo tego strasznego wydarzenia, to Peyna nie zamierzał się martwić, ile dziewcząt roznoszących kwiaty wbije sobie drzazgę.

Ale o jedenastej prace budowlane raptownie przerwano. Kwiaciarki zostały odesłane – niejedna z płaczem – przez Straż Przyboczną.

O siódmej tego ranka większość z członków Straży Przybocznej zaczęła ubierać się w swoje wspaniałe, czerwone, odświętne mundury i szykować wysokie, szare czapy z wilczymi głowami. Mieli oni tworzyć ceremonialny szpaler, nawę, przez którą przejdzie Piotr na koronację. O jedenastej zaś otrzymali nowe rozkazy – dziwne i niepokojące. Zrzucali wyjściowe mundury w gorączkowym pośpiechu i zamiast nich przyodziewali gładkie, ciemnobrązowe stroje bojowe.

Ozdobne, ale niezręczne ceremonialne miecze zastąpiły mordercze krótkie szpady stanowiące codzienny ekwipunek. Robiące wrażenie, ale niepraktyczne czapy odłożono na bok, a na ich miejsce pojawiły się płaskie, skórzane hełmy należące do zwykłego munduru polowego.

Mundur polowy – sama nazwa brzmi przygnębiająco. Czy jest coś takiego jak zwykły mundur polowy? Nie sędzę. Ale żołnierze w takich strojach byli wszędzie, a na ich twarzach malował się wyraz surowości i powagi.

Książę Piotr popełnił samobójstwo! Oto pierwsza plotka, jaka obieęła kasztel.

Książę Piotr został zamordowany! – oto następna.

Roland nie zginął, nastąpiła pomyłka w diagnozie, lekarza ścięto, ale stary król oszalał i nikt nie wie, co robić – donosiła trzecia.

Po nich nastąpiło wiele innych, niektóre z nich jeszcze głupsze.

Nikt nie spał, gdy ciemności zapadły nad niewiele rozumiejącym, pogrążonym w smutku kasztele. Zapalono wszystkie pochodnie na placu Iglicy, zamek płonął światłami, a w każdym domu w kasztelu i na znajdujących się poniżej wzgórzach widziało się blask śwec i latarni, bo przestraszeni ludzie zbierali się, aby porozmawiać o wydarzeniach dnia. Wszyscy zgadzali się, że działo się coś złego.

Noc zdawała się trwać jeszcze dłuęej niż dzień. Pani Brandonowa czekała na swoich mężczyzn w nieznośnej samotności. Siedziała przy oknie, ale po raz pierwszy w życiu zdarzyło się, że nie miała zbytniej ochoty słuęać plotek. No, ale przecież, czyż mogła ich nie słuęać? Oczywiście, że nie.

Nadranne godziny ciąęęły się w nieskończoność, tak że zaczęło jej się wydawać, iż świt nigdy już nie nadejdzie, gdy tymczasem jedna plotka zaczęła zastępować wszystkie inne – niewiarygodna, nieprawdopodobna, ale powtarzana z coraz większą pewnością, aż nawet strażnicy na swych stanowiskach zaczęli ją sobie szeptem podawać. Ta nowa wiadomość najbardziej przeraziła panią Brandonowa, bo aż nazbyt dobrze pamiętała, jak bładny był biedny Dennis, gdy przyszedł do domu z wiaderkiem na popiół księcia. Wewnątrz znajdowało się coś, co cuchnęło niezdrową spalenizną, coś, czego nie chciał jej pokazać.

Książę Piotr został aresztowany pod zarzutem zamordowania swojego ojca, brzmiała wieść. Został aresztowany... uwięziony... Książę zamordował własnego ojca!

Tuż przed świtem zrozpaczona kobieta położyła głowę na ramionach i zaczęła płakać. Po chwili łkanie ucichło, a ona zapadła w niespokojny sen.

36

A teraz powiedz mi, co jest w tym wiadrze, i to szybko! I żadnych wyęłupów, Dennis,

zrozumiałeś? – zaczął Brandon, gdy wszedł do pokoju syna i zamknął za sobą drzwi.

– Pokażę ci, tato – powiedział Dennis – ale najpierw odpowiedz mi na jedno pytanie: od jakiego rodzaju trucizny zmarł król?

– Nikt nie wie.

– A jak działała?

– Pokaż mi, co jest w tym wiadrze, chłopcze. Ale już. – Brandon zwinął dłoń w wielką, ciężką pięść. Nie potrząsnął nią; wystarczyło, że trzymał ją w górze. – Pokaż mi albo dostaniesz.

Brandon długo i bez słowa patrzył na martwą mysz. Dennis przyglądał się, przerażony, jak twarz ojca bladła, poważniała, szarzała. Oczy myszy paliły się, aż został z nich czarny popiół. Brązowe futro pociemniało i poskręcało się. Dym wciąż wydobywał się z jej uszek, a zęby widoczne w pyszczku wykrzywionym grymasem śmierci były osmalone niczym krata w kominku.

Brandon uczynił ruch, jakby chciał jej dotknąć, ale zaraz cofnął rękę. Podniósł twarz i zapytał ochrypłym szeptem:

– Gdzie to znalazłeś? Dennis zaczął coś bełkotać.

Brandon słuchał przez chwilę, a potem ścisnął syna za ramiona.

– Weź głęboki oddech i zbierz myśli, Denny – rzekł. – Jestem po twojej stronie, tak jak zawsze, wiesz dobrze. Miałeś rację, że nie pokazywałeś tego biednego stworzenia matce. A teraz powiedz mi, jak to znalazłeś i gdzie.

Nieco uspokojony Dennis zdołał zrelacjonować ojcu wszystko – całą historię. Jego opowiadanie trwało nieco krócej niż moje, ale mimo to zabrało mu kilka minut.

Ojciec siedział w fotelu przysłaniając zaciśniętą pięścią oczy. Nie zadawał żadnych pytań, nie wydał nawet jednego chrząknięcia.

Gdy Dennis skończył, ojciec wymamrotał półgłosem trzy słowa. Zaledwie trzy – ale na ich dźwięk serce chłopca zamarzło na kamień, a przynajmniej tak to wtedy odczuł.

– Jak wszyscy królowie.

Usta Brandona drżały ze strachu, mimo to usiłował się uśmiechnąć.

– Czy twoim zdaniem to zwierzę to Mysi Król, Denny? Tato... tato... ja...

– Znalazłeś tam pudełko?

– Tak.

I paczuszkę.

– Tak.

– A paczuszka była zwęglona, ale nie spalona. Tak.

– I szczypczyki.

Tak. Takie, jakich mama używa do wrywania włosów z nosa.

– Ćśś – powiedział Brandon i znów wbił sobie pięść w czoło. – Muszę się zastanowić.

Upłynęło pięć minut. Brandon siedział bez ruchu, prawie jakby zasnął, ale Dennis wiedział lepiej. Brandon nie miał pojęcia, że matka Piotra dała mu rzeźbione pudełko ani że Piotr zgubił je, gdy był mały; oba te fakty zdarzyły się na długo przedtem, zanim Piotr wszedł w wiek półmęski i Brandon został jego lokajem. Wiedział o skrytce; natrafił na nią na początku swojej służby u księcia. Jak być może już mówiłem, skrytka ta nie należała do bardzo tajnych, w zupełności jednak wystarczała Piotrowi, który nigdy nie cechował się skrytością. Brandon wiedział o niej, ale nie zaglądał do środka poza pierwszym razem, kiedy to nie zawierała nic ponad rupiecie, które dla chłopców są bezcennymi skarbami – niekompletny zestaw kart do tarota, torebkę okrągłych kamyków, monetę na szczęście, zaplecione w warkoczyk włosy z grzywy Peonii. Sprawą, na jakiej dobry lokaj musi się koniecznie znać, jest pewna jakość zwana dyskrecją, która polega na szanowaniu granic życia innych ludzi. Nigdy więc nie zaglądał już do skrytki. Byłoby to w pewnym sensie kradzieżą. W końcu Dennis zapytał:

– Nie powinniśmy tam iść, tato, żebyś zobaczył pudełko?

– Nie. Musimy zanieść tę mysz do najwyższego sędziego, a ty musisz zrelacjonować mu tę historię tak jak przed chwilą.

Dennis ciężko opadł na łóżko. Czuł się, jakby ktoś zadał mu cios w żołądek. Do Peyny, człowieka, który wydawał wyroki więzienia i egzekucji! Peyny o białej, odpychającej twarzy i wysokim, woskowatym czole! Peyny, który poza królem stanowił najwyższą władzę w państwie!

– Nie – szepnął wreszcie. – Tato, nie mogę... ja...

– Musisz – rzekł surowo ojciec. – To okropna sprawa – najstraszniejsza, z jaką miałem kiedykolwiek do czynienia, ale trzeba ją załatwić do końca. Powiesz mu to, co powiedziałeś mnie, a reszta pozostanie w jego rękach.

Dennis popatrzył ojcu w oczy i zobaczył, że Brandon nie ustąpi. Jeśli nie zechce pójść, to mimo jego dwudziestu lat ojciec chwyci go za kark i zawlecze do Peyny niczym kodaka.

– Tak, tato – powiedział żałośnie, myśląc, że gdy spoczna na nim zimne, wyrachowane oczy Peyny, po prostu padnie trupem na atak serca. A potem (z rosnącą paniką) przypomniał sobie, że zabrał wiadro na popiół z komnat księcia. Jeśli nie umrze ze strachu w chwili, gdy Peyna nakaze mu mówić, prawdopodobnie spędzi resztę życia w najgłębszych lochach zamku oskarżony o kradzież.

Nic się nie bój, Denny – przynajmniej na ile ci się da. Peyna jest surowy, ale sprawiedliwy. Nie zrobiłeś nic, czego mógłbyś się powstydzić. Opowiedz mu po prostu to samo co mnie.

– Dobrze – szepnął Dennis. – Idziemy? Brandon podniósł się z krzesła i uklęknął.

– Najpierw się pomodlimy. Klęknij tu obok mnie, synu. Co Dennis uczynił.

Piotr został osądzony, uznany za winnego królobójstwa i skazany na dożywotnie uwięzienie w dwu zimnych pokoikach na szczycie Iglicy. Wszystkiego tego dokonano zaledwie w ciągu trzech dni. Zrelacjonowanie, jak gładko okrutna, zastawiona przez Flagga pułapka zatrzasnęła się za chłopcem, nie zabierze wiele czasu.

Peyna nie nakazał zaprzestania przygotowań do koronacji natychmiast – prawdę mówiąc myślał, że Dennis pomylił się, że istnieje jakieś sensowne wyjaśnienie. Jednakże stan myszy, tak podobny do stanu, w jakim znalazł się król, nie pozwalał zignorować tej historii, a rodzinę Brandonów od wielu lat znano w królestwie jako wzór rozsądku i uczciwości. Odgrywało to poważną rolę, ale chodziło o jeszcze jedną dużo ważniejszą rzecz: w momencie koronacji reputacja Piotra musiała być bez skazy.

Peyna wysłuchał Dennisa, a potem wezwał Piotra. Dennis rzeczywiście mógłby umrzeć ze strachu na widok swego pana, ale na szczęście pozwolono mu iść razem z ojcem do drugiego pokoju. Peyna z powagą wyjaśnił księciu, jaki postawiono mu zarzut... oskarżenie, że sam Piotr mógł odegrać rolę w zamordowaniu Rolanda. Anders Peyna należał do ludzi, którzy mówią bez ogródek, bez względu na to, jaki może to komuś sprawić ból.

Chłopiec był zdumiony... oszołomiony. Musicie pamiętać, że nie zdążył jeszcze pogodzić się z faktem, że jego ukochany ojciec nie żyje, zamordowany okrutną trucizną, która spaliła go żywcem. Musicie pamiętać, że przez całą noc kierował poszukiwaniami, nie spał i czuł się bardzo zmęczony.

A przede, wszystkim, nie zapominajcie, że mimo iż osiągnął już wzrost i siły mężczyzny, miał dopiero szesnaście lat. Tak niesłychane oskarżenie po tym wszystkim sprawiło, że zareagował całkiem naturalnie, ale w sposób, jakiego powinien za wszelką cenę unikać, gdy przyglądał mu się zimny, badawczy wzrok Peyny.

Gdyby Piotr gorąco zaprzeczył oskarżeniu albo będąc w rozpaczy i szoku wybuchnął szalonym śmiechem po usłyszeniu tak absurdalnej wiadomości, cała sprawa mogłaby się w tym punkcie zakończyć. Jestem pewien, że coś takiego nigdy nie wpadło Flaggowi do głowy, ale do jego nielicznych słabości należała skłonność do oceniania innych według tego, co działo się w jego złym, zimnym sercu. Flagg traktował wszystkich podejrzliwie i sądził, że każdy miał jakieś ukryte powody, dla których zachowywał się tak czy inaczej.

Jego skomplikowany umysł przypominał lustrzaną salę, w której wszystko odbijało się w dwu różnych wymiarach.

Tok myśli Peyny biegł bardzo prosto. Z trudnością potrafił uwierzyć, że Piotr mógł otruć ojca. Gdyby chłopiec wybuchnął gniewem albo głośnym śmiechem, sprawa prawdopodobnie

zostałaby zamknięta nawet bez oglądania owego pudełka czy też pakiecika i szczypczyków, jakie miało zawierać. Łzy jednakże wywarły bardzo złe wrażenie. Wyglądały, jak przyznanie się do winy chłopca na tyle dorosłego, żeby popełnić morderstwo, ale niedostatecznie dojrzałego, żeby je ukryć.

Peyna uznał, że musi sprawę zbadać dokładniej. Nie podobało mu się to wcale, bo oznaczało włączenie w to straży, a zatem wiadomość o chwilowym podejrzeniu mogła przeciec na zewnątrz i przyćmić pierwsze tygodnie panowania Piotra.

Potem przyszło mu do głowy, że dałoby się tego uniknąć. Zabierze ze sobą nie więcej niż sześciu strażników. Czterech postawi przy drzwiach. A gdy już to niesłychane podejrzenie zostanie rozwiane, wyśle się ich na najdalsze krańce królestwa. Brandona i jego syna też trzeba będzie odesłać, co Peyna uważał za sporą stratę, ale ludzie lubią mówić, zwłaszcza rozgrzani alkoholem, a słabość starszego pana do dżinu była powszechnie znana.

Tak więc Peyna nakazał tymczasowe zawieszenie prac przy platformie koronacyjnej. Był pewien, że za niecałe pół godziny zostaną one na nowo podjęte przez spoconych, klnących i zwijających się, żeby nadrobić stracony czas, robotników.

Niestety...

38

Pudełko, paczuszka i szczypczyki znajdowały się, jak pamiętacie, na miejscu. Piotr przysiągł na imię matki, że nie miał takiego rzeźbionego pudełka; jego gorące zaprzeczenia brzmiały teraz bardzo naiwnie. Peyna ostrożnie podniósł szczypczykami zwęgloną paczuszkę, zajrzał do środka i zobaczył trzy ziarenka zielonego piasku. Były tak małe, że dostrzegano się je z trudnością, ale Peyna pamiętając o tym, co przydarzyło się zarówno wielkiemu królowi, jak i skromnej myszy, włożył paczuszkę z powrotem do pudełka i zamknął pokrywkę. Nakazał dwóm z czterech strażników czekających w hallu wejść do środka, z niechęcią przyznając w duchu, że sprawa z wolna nabiera powagi.

Pudełko wydzielające z siebie smużki dymu ostrożnie położono na biurku Piotra. Jednego ze strażników wysłano po kogoś, kto wiedział więcej o truciznach niż ktokolwiek inny w całym królestwie.

Tym człowiekiem był oczywiście Flagg.

39

Nie miałem z tym nic wspólnego, Anders – powiedział Piotr. Wrócił już do siebie, ale jego pobladła twarz wciąż miała żałosny wyraz, a oczy stały się bardziej niebieskie, niż to pamiętał stary sędzia najwyższy. Ale to pudełko należy do ciebie?

– Tak.

– To dlaczego zaprzeczyłeś, że kiedykolwiek miałeś takie pudełko?

– Zapomniałem. Ostatnio widziałem je jedenaście lat temu. Matka mi je dała.

– I co się z nim stało?

Nie nazywa mnie już panem ani waszą wysokością – pomyślał z zimnym dreszczem Piotr. Nie używa wobec mnie żadnego zwrotu wyrażającego szacunek. Czy to wszystko dzieje się naprawdę? Ojciec otruty? Tomasz poważnie chory? Peyna stoi tu i prawie oskarża mnie o zamordowanie ojca? A to pudełko – skąd, na wszystkich bogów, się tutaj wzięło i kto je schował do tajnej skrytki za książkami?

– Zgubiłem je – powiedział Piotr powoli. – Anders, przecież pan chyba nie wierzy, że zamordowałem ojca?

Nie wierzyłem, ale teraz sam nie wiem – pomyślał Anders Peyna.

– Bardzo go kochałem – rzekł Piotr.

Zawsze mi się tak wydawało, ale teraz też się nad tym zastanawiam – pomyślał Anders Peyna.

40

Flagg wpadł do komnaty i nie patrząc nawet na Peynę zaczął natychmiast bombardować oszołomionego, przestraszonego i oburzonego księcia pytaniami na temat poszukiwań. Czy znaleziono jakiś ślad trucizny lub truciciela? Odkryto spisek? Jego zdaniem mogła to być pojedyncza osoba, najprawdopodobniej niepoczytalna. Spędził cały wiek nad kryształem, ale pozostawał on uparcie ciemny. Jemu jest wszystko jedno, chce robić coś więcej, niż potrząsać kośćmi i gapić się w kryształy. Pragnie czynu, nie zaklęć. Czegokolwiek książę sobie życzy, zbada najciemniejsze kąty.

– Nie wzywaliśmy cię tutaj, żebyś bełkotał nam, jak twoja własna papuga, gdy jej obie głowy mówią naraz – powiedział zimno Peyna. Nie lubił Flagga. Zdaniem Peyny z chwilą śmierci Rolanda czarnoksiężnik znalazł się na stanowisku Dworskiego Zera. Mógł powiedzieć im, czym są te złowieszcze zielone plamki w paczuszcze, ale na tym kończyła się jego użyteczność.

Po koronacji Piotr nie zechce mieć nic wspólnego z tym szczurem – pomyślał Peyna. Doszedł do tego, a potem myśl jego odwróciła się z niesmakiem, bo szansę na koronację Piotra malaty z każdą chwilą.

– Nie – rzekł Flagg – na pewno nie po to. – Popatrzył na Piotra i zapytał: – Dlaczego zostałem wezwany, o królu?

– Nie tytułuj go tak! – wybuchnął Peyna, zaskoczony wbrew samemu sobie. Flagg dostrzegł oburzenie na twarzy Peyny i chociaż udawał, że nic nie rozumie, doskonale wiedział, co to oznacza i poczuł zadowolenie. Robak podejrzliwości szukał drogi do samego środka zimnego serca sędziego najwyższego. Znakomicie.

Piotr odwrócił od nich swą bladą twarz i popatrzył na miasto, usiłując znów się opanować. Zaciśnął palce tak, że pobieleły mu kostki. W tej chwili wyglądał na znacznie więcej niż szesnaście lat.

– Widzisz to pudełko? – zapytał Peyna.

– Tak, panie sędzio najwyższy – powiedział Flagg swym najbardziej służbistym głosem.

– Wewnątrz znajduje się paczuszka, która sprawia wrażenie, jakby powoli się zwęglała. Zawiera ona coś, co wygląda jak ziarnka piasku. Chciałbym, żebyś je zbadał i stwierdził, czy potrafisz powiedzieć, co to jest. Ostrzegam, że pod żadnym pozorem nie należy ich dotykać. Sądzę, że substancja zawarta w tej paczuszce mogła być przyczyną śmierci króla Rolanda.

Flagg pozwolił sobie przybrać wyraz zmartwienia. Ale prawdę mówiąc czuł się świetnie. Odgrywanie jakiejś roli zawsze wprawiało go w znakomity humor. Lubił udawać.

Podniósł paczuszkę za pomocą szczypczyków. Zajrzał do środka. Wzrok mu się zaostrzył.

– Poproszę o kawałek obsydianu – powiedział. – Natychmiast.

– Jest u mnie na biurku – powiedział tępo Piotr i wskazał go. Nie miał takich rozmiarów jak obsydian wykorzystany i wyrzucony przez Flagga, ale był gruby. Podał go jednemu ze strażników, który z kolei wręczył go Flaggowi. Czarnoksiężnik popatrzył na niego pod światło, lekko marszcząc brwi... ale w głębi jego duszy maleńki człowieczek w podnieceniu podskakiwał, wywijał salta i młyńce. Obsydian przypominał jego własny, ale jeden z boków miał nierówny, jakby pękł. Ach, los się do niego uśmiechnął! Wspaniale, znakomicie, cudownie. – Upadł mi rok czy dwa lata temu – powiedział Piotr widząc zainteresowanie Flagga. Nie wiedział, tak samo jak przynajmniej w tej chwili Peyna, że dodał jeszcze jedną cegiełkę do muru, który powstawał dookoła niego. – Ta część, którą trzymasz, wylądowała na dywanie, który złagodził upadek. Druga połowa trafiła na kamienie i roztrzaskała się na tysiąc kawałków. Obsydian jest twardy, ale bardzo kruchy.

– Naprawdę, o panie? – zapytał z powagą Flagg. – Nigdy nie widziałem skały tego rodzaju, chociaż oczywiście o niej słyszałem.

Położył obsydian na biurku Piotra, odwrócił nad nim paczuszkę i wysypał trzy ziarnka piasku. Po chwili delikatne macki dymu zaczęły unosić się znad obsydianu. Wszyscy obecni widzieli, że każde z ziarenek powoli zapada się w otwór, który wywierciło w najtwardszej ze znanych skał. Widząc to strażnicy zaczęli szeptać niespokojnie.

– Cisza! – ryknął Peyna odwracając się do nich z rozmachem. Strażnicy cofnęli się, a twarze ich pobladyły ze strachu. Wszystko to coraz bardziej przypominało im czary.

– Chyba wiem, co to za ziarnka i jak sprawdzić mój domysł – powiedział nagle Flagg. – Ale jeśli mam rację, test musi zostać wykonany jak najprędzej.

– Dlaczego? – zapytał Peyna.

– Moim zdaniem te ziarnka to Smoczy Piasek – rzekł Flagg. – Miałem ongiś jego niewielką ilość, ale niestety zginął mi, zanim mogłem dokładniej go zbadać. Być może został mi ukradziony.

Uwagi Flagga nie uszedł sposób, w jaki Peyna słysząc to spojrzał na Piotra.

– Od tej pory martwiłem się – ciągnął – bo ma on reputację jednej ze straszliwszych trucizn na ziemi. Nie miałem szansy dokładniej zbadać jego cech, więc wątpiłem w nie, ale z tego, co widzę, większość moich wiadomości na jej temat okazuje się prawdziwa.

Flagg wskazał na obsydian. Dołki, w których spoczywały trzy ziarnka zielonego piasku, miały już prawie całą głębokości – z każdego unosił się dym niczym z małego ogniska. Flagg domyślał się, że każde z ziarenek dotarło do połowy grubości obsydianu.

– Te trzy drobiny piasku szybko przeżerają najtwardszą ze znanych skał – powiedział. – Mówi się, że Smoczy Piasek ma taką moc, że jest w stanie przegryźć każde ciało stałe. I że wytwarza straszliwe gorąco. Hej! Strażnik!

Flagg wskazał jednego ze strażników. Wystąpił on naprzód nie sprawiając wrażenia zadowolonego, że został wybrany.

– Dotknijcie no boku tego kamienia – rzekł Flagg, a gdy strażnik niepewnie wyciągnął dłoń, żeby dotknąć przycisku do papieru, dodał ostro: – Tylko boku! Nie przybliżajcie ręki do dziurek!

Strażnik dotknął przycisku i natychmiast cofnął rękę z bolesnym syknięciem. Przyłożył ją do ust, ale przedtem Peyna zauważył, że na skórze zdążyły się już utworzyć pęcherze.

– Jak słyszałem, obsydian przewodzi ciepło bardzo powoli – powiedział Flagg – ale ten kawałek jest tak gorący jak blacha w piecu... a wszystko z powodu trzech ziarenek piasku, które można swobodnie zmieścić na czubku paznokcia małego palca. Dotknij książęcego biurka, panie sędzio najwyższy!

Peyna dotknął. Z przerażeniem i zdziwieniem poczuł pod dłonią gorąco. Za kilka chwil solidne drewno zaczęło się tuszczyć i węglić.

– Musimy działać szybko – powiedział Flagg. – Biurko zaraz się zapali. Jeśli odetchniemy dymem – o ile opowiadania, które słyszałem, są prawdziwe – wszyscy zginiemy w ciągu paru dni. Na wszelki wypadek jeszcze jedno doświadczenie...

Słyszając to strażnicy mieli bardzo niepewne miny.

– Dobrze – rzekł Peyna. – Co to za doświadczenie? Szybko, człowieku! – Nie cierpiał Flagga bardziej niż kiedykolwiek, ale w tej chwili zyskał niezłomną pewność, że niedocenianie go

mogłoby okazać się zgubne. Pięć minut temu gotów był uznać Flagga za Dworskie Zero. Teraz wydawało się, że ich życie i sprawa Peyny przeciwko Piotrowi – znajdowały się w jego rękach.

– Należy napełnić wiadro wodą – powiedział Flagg jeszcze szybciej niż dotychczas. Jego ciemne oczy zaśniły.

Strażnicy i Peyna patrzyli na czarne dołki w obsydianie, na maleńkie smużki dymu z chora fascynacją ptaków zahipnotyzowanych przez kłęb wijących się pytonów. Jak głęboko zdążyły już przeżreć obsydian? Nie sposób powiedzieć. Nawet Piotr przyglądał się, chociaż smutek i zmieszanie nie opuściły jego zmęczonej twarzy.

– Wody z książęcej pompy! – krzyknął Flagg do jednego ze strażników. – Ma być w wiadrze albo głębokim naczyniu. Już! Natychmiast!

Strażnik popatrzył na Peynę.

– Wykonać – rzekł Peyna starając się nie okazać strachu, ale bał się i Flagg o tym wiedział.

Strażnik pobiegł. Po chwili usłyszeli, jak pompuje wodę do wiadra, które znalazł w kredensie. Flagg przemówił znowu.

– Zamierzam zanurzyć palec w tym wiadrze i opuścić kroplę wody do jednej z tych dziurek – rzekł. – Obserwujmy dokładnie, panie sędzio najwyższy. Musimy zobaczyć, czy woda, która znajdzie się w dziurce, będzie miała przez chwilę kolor zielony. To pewny znak.

– A co potem? – zapytał z napięciem Peyna. Strażnik wrócił. Flagg wziął od niego wiadro i ustawił na biurku.

– Potem ostrożnie umieszczę krople wody w dwu pozostałych otworach – powiedział Flagg. Mówił spokojnie, ale jego zazwyczaj blade policzki pokryły się rumieńcem. – Mówi się, że woda nie zatrzyma Smoczego Piasku, ale ograniczy jego działanie. – Wyglądało to dramatycznie, ale Flagg chciał zastraszyć obecnych.

– A może zalać go wodą? – wyrwał się jeden ze strażników.

Peyna skwitował ten występ groźnym spojrzeniem, jednak Flagg spokojnie odpowiedział na pytanie zanurzając w wiadrze mały palec.

– Chcesz, żebym wypłukał te trzy ziarenka piasku z dziurek, które zrobiły w skale, gdzieś na biurko? – zapytał nieomal życzliwie. – Zostawimy cię tutaj, żebyś ugasił ogień, gdy woda wyschnie, mój panie.

Strażnik milczał.

Flagg wyjął ociekający wodą palec z wiadra.

– A teraz patrzcie uważnie! – powiedział głośno, przypominając na chwilę Piotrowi wędrownego handlarza, który zamierza wykonać jakąś straszliwie oszukańczą sztuczkę. Peyna jednak pochylił się skwapliwie. Strażnicy wyciągnęli szyje. Kropla wody zawisła na palcu Flagga na chwilę odbijając w sobie pokój Piotra w doskonałej miniaturze. Wisiała... wydłużyła się... i spadła do zagłębienia.

Rozległ się syk przypominający dźwięk wydawany przez tłuszcz wylany na gorącą patelnię. Maleńki pióropusz dymu wzniosł się nad zagłębieniem... ale przedtem Peyna wyraźnie widział kociocki błysk zieleni. Od tej chwili los Piotra został przypieczętowany.

– Na bogów, Smoczy Piasek! – szepnął ochryple Flagg. – Na miłość boską, nie wdychajcie tej pary!

Odwaga Andersa Peyny dorównywała jego reputacji twardego człowieka, ale teraz odczuwał lęk. Jeden błysk zieleni wydawał mu się niesłychanym diabelstwem.

– Ugaś dwa pozostałe – powiedział zdławionym głosem. – Natychmiast!

– Przecież mówiłem – rzekł Flagg ponownie zanurzając mały palec i przyglądając się obsydianowi. – Ich nie da się ugasić – no, jest jeden sposób, jak mówią, ale tylko jeden. Nie spodoba się panu. Ale wydaje mi się, że możemy ograniczyć ich działanie, a potem się ich pozbyć.

Ostrożnie wpuścił krople do dwu pozostałych zagłębień. Za każdym razem pojawiał się ponury, zielony błysk i pióropusz dymu.

– Chyba mamy spokój na pewien czas – powiedział Flagg. Jeden ze strażników głośno westchnął z ulgą. – Przynieście mi rękawice... albo dwa kawałki materiału... cokolwiek, przez co mogę podnieść ten kamień. Jest gorący jak sam diabeł, a te krople wody zaraz się wygotują.

Przyniesiono natychmiast dwie szmatki z kredensu. Flagg ujął przez nie obsydian. Podniósł go dbając o to, żeby go nie przechylić, a potem wrzucił do wiadra. Gdy kamień zanurzał się, wszyscy wyraźnie widzieli, jak na chwilę woda przybiera kolor zielony.

– Teraz – rzekł swobodnie Flagg – wszystko jest dobrze. Jeden ze strażników musi wynieść to wiadro z zamku i pójść z nim do dużej pompy przy Starym Drzewie na środku twierdzy. Tam niech naleje wody do dużego szaflika i wstawi do niego wiadro. Szaflik należy przewieźć na środek Jeziora Johanny i zatopić. Może się zdarzyć, że za tysiąc lat Smoczy Piasek zagotuje wody jeziora, ale niech ci, co wtedy będą żyć, ewentualnie martwią się, co z tym zrobić.

Peyna milczał przez chwilę przygryzając wargę z niezwykłym u niego niezdecydowaniem, aż w końcu powiedział:

– Ty, ty i ty. Zróbcie, jak powiedział.

Wiadro zostało wyniesione. Strażnicy nieśli je jak bombę z odbezpieczonym zapalnikiem. Flagg odczuł rozbawienie, bo w większości było to przedstawieniem, jak Piotr przez chwilę podejrzewał. Krople wody, które Flagg upuścił do zagłębień, nie wystarczyły, żeby powstrzymać żrące działanie piasku – przynajmniej nie na długo – ale wiedział on, że woda w wiadrze je ugasi. Nawet mniejsza ilość płynu mogła zahamować działanie większej ilości piasku... kielich wina, powiedzmy. Ale niech im się wydaje, że tak nie jest; we właściwym czasie zaatakują Piotra z większą zaciekłością.

Gdy strażnicy wyszli, Peyna zwrócił się do Flagga.

– Powiedziałeś, że jest sposób na zneutralizowanie działania Smoczego Piasku.

– Tak. Mówiono mi, że jeśli znajdzie się wewnątrz żywej istoty, będzie ona płonąć w mękach, aż zginie... a wtedy wszystko się kończy – wraz ze śmiercią wygasa moc Smoczego Piasku. Chciałem to zbadać, ale zanim zdążyłem, próbka mi zginęła.

Peyna, poblady, wpatrywał się we Flagga.

– A na jakiego rodzaju żywej istocie chciałeś wypróbować tę przeklętą substancję, czarnoksiężniku?

Flagg rzucił Peynie beczelnie niewinne spojrzenie.

– Oczywiście na myszy, panie sędzio najwyższy.

41

O trzeciej po południu w Królewskim Sądzie Delainu mieszczącym się u podstawy Iglicy – wielkiej sali, którą z biegiem lat zaczęto nazywać Sądem Peyny – odbyło się tajemnicze spotkanie.

Spotkanie – nie podoba mi się to słowo. Jest zbyt łagodne i grzeczne, żeby używać go w związku z wiekopomną decyzją, jaka została na nim podjęta. Nie mogę nazwać go przesłuchaniem ani rozprawą, gdyż zgromadzenie to nie miało żadnego statusu prawnego, lecz mimo to było bardzo ważne, co do czego, jak mi się wydaje, zgodzicie się ze mną bez trudu.

Sala ta może pomieścić pięćset osób, ale tym razem siedziało ich tylko siedem. Sześć z nich kuliło się razem, jak gdyby przebywanie w pomieszczeniu przeznaczonym dla tak wielu wprawiało je w zakłopotanie.

Królewski herb – jednorożec przebijający smoka – wisiał na jednej z zaokrąglonych kamiennych ścian i Piotr zauważył, że stale wraca do niego spojrzeniem. Poza nim w sali znajdował się Peyna, Flagg (on to oczywiście siedział odrobinę odsunięty od reszty) i czterech z Wielkich Radców królestwa.

W sumie było ich dziesięciu, ale pozostałych sześciu przebywało na odległych krańcach Delainu rozpatrując sprawy sądowe.

Peyna zdecydował, że nie może na nich czekać. Wiedział, że musi działać szybko i zdecydowanie, albo poleje się krew. Zdawał sobie z tego sprawę, ale goryczą napawał go fakt, że potrzebuje pomocy tego zimnego, małoletniego mordercy, aby uniknąć rozlewu krwi. Anders Peyna bowiem zdążył już zdecydować w swym sumieniu, że Piotr nim był. Nie z powodu pudełka, zielonego piasku ani nawet płonącej myszy. Przyczynę jego decyzji stanowiły łyzy Piotra. Należy mu jednak przyznać, że teraz nie sprawiał wrażenia ani winnego, ani słabego. Był blady, ale spokojny i odzyskał już całkowite panowanie nad sobą.

Peyna odchrząknął. Dźwięk zabrzmiał głuchym echem pośród surowych kamiennych ścian sali sądowej. Przyłożył dłoń do czoła i bez zdziwienia stwierdził, że pokrywa je warstewka zimnego potu. Wysłuchiwał świadectw w setkach wielkich i poważnych spraw; wysłał więcej, niż wolałby pamiętać, ludzi pod topór kata. Ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że weźmie udział w takim jak to „spotkaniu” albo w procesie sądowym, w którym księżę oskarżony zostanie o zamordowanie swego królewskiego ojca... a proces taki na pewno będzie miał miejsce, jeśli dzisiejszego popołudnia wszystko odbędzie się tak, jak miał nadzieję. Dlatego też pomyślał, że słusznie oblał go pot i że jest on, jak powinien, zimny.

Zwykłe spotkanie. Nic usankcjonowanego prawem, nic oficjalnego, nic w związku ze sprawami królestwa. Ale żaden z nich – ani Peyna, ani Flagg, ani Wielcy Radcy, ani nawet sam Piotr – nie dali się zwieść. To była prawdziwa rozprawa. To spotkanie. Tu znajdowała się władza. Płonąca mysz uruchomiła bieg wielkich wydarzeń. Mógł on zostać odwrócony w tej chwili, tak jak wielka rzeka może zostać zawrócona u źródeł, gdy jest jeszcze małym potokiem, albo pozwoli jej się płynąć nabierając w drodze potęgi, aż żadna siła na świecie nie będzie w stanie odwrócić jej biegu lub stanąć jej na drodze.

Zwykłe spotkanie – pomyślał Anders Peyna i ponownie otarł pot z czoła.

42

Flagg z zainteresowaniem obserwował rozprawę. Podobnie jak Peyna wiedział, że tutaj wszystko się rozstrzygnie i był pewien swego.

Piotr stał z podniesioną głową. Wzrok miał spokojny. Spojrzał w oczy każdemu z członków tego nieformalnego sądu.

Kamienne ściany patrzyły groźnie na całą siódmkę. Ławki dla publiczności były puste, ale Peynie wydawało się, że czuje wzrok widmowych oczu, które domagały się, aby wymierzyć sprawiedliwość w tej okropnej sprawie.

– Panie – rzekł wreszcie Peyna – słońce uczyniło cię królem trzy godziny temu.

Piotr popatrzył na Peynę z zaskoczeniem, lecz bez słowa. Tak – powiedział Peyna, jak gdyby odpowiadając Piotrowi. Wielcy Radcy kiwali głowami i mieli poważne miny. – Koronacja nie odbyła się, ale koronacja to tylko ceremonia publiczna. Mimo całej swojej powagi jest tylko przedstawieniem. Bóg, prawo i słońce tworzą królów, a nie koronacja. W tej chwili jesteś królem i masz prawo wydawać mi polecenia – nam wszystkim, całemu królestwu. To tworzy wielki problem. Rozumiesz, o co chodzi?

Tak – rzekł Piotr z powagą. – Myślicie, że wasz król jest mordercą.

Peyna odczuł lekkie zaskoczenie taką bezpośredniością, ale nie niezadowolenie. Piotr był

zawsze chłopcem szczerym; szkoda, że taka powierzchowna otwartość pokrywała otchłań wyrachowania, ale najważniejsze, że owa bezpośredniość, prawdopodobnie wynikająca z głupiej, chłopięcej brawury, przyspieszy tylko bieg spraw.

– Nieważne, co my myślimy, panie. Niewinność lub winę ustali sąd – tak mnie zawsze uczono i wierzę w to całym sercem. Ale jest jeden wyjątek. Królowie są ponad prawem. Rozumiesz?

Tak.

– Jednakże – Peyna uniósł palec – zbrodnia ta została popełniona, zanim zostałeś królem. O ile wiem, podobnie okropna sytuacja nigdy jeszcze nie była rozważana przez żaden sąd w Delainie. Rezultaty mogą okazać się straszne. Anarchia, chaos, wojna domowa. Aby tego uniknąć, panie, potrzebna nam jest twoja pomoc.

Piotr popatrzył na niego z powagą.

– Pomogę, jeśli leży to w mojej mocy – powiedział. A ja mam nadzieję – modłę się – że zgodzisz się na moją propozycję, pomyślał Peyna. Czuł, że znowu pot wystąpił mu na czoło, ale tym razem go nie wycierał. Piotr to tylko chłopiec, ale nie brakło mu inteligencji – może poczytać to za oznakę słabości. Powiesz, że się zgadzasz dla dobra królestwa, ale ktoś, kto ma dość potwornej, wypaczonej odwagi, żeby zabić swojego własnego ojca, być może, mam nadzieję, liczy na to, że uda mu się z tego wykręcić. Wierzysz, że pomogę ci wszystko ukryć, ale, o panie, jakże się mylisz.

Flagg, który nieomal czytał te myśli, podniósł dłoń do ust, żeby ukryć uśmiech. Peyna nienawidził go, ale nie mając o tym pojęcia stał się jego najważniejszym pomocnikiem.

– Chcę, żebyś odłożył koronę – rzekł Peyna.

Piotr popatrzył na niego z powagą, lecz i zdziwieniem.

– Zrezygnować z tronu? – zapytał. – No... nie wiem, panie sędzio najwyższy. Musiałbym się zastanowić, zanim powiem tak lub nie. Mógłbym zaszkodzić królestwu próbując mu pomóc – jak lekarz może zabić chorego dając mu za dużą dawkę lekarstwa.

Chłopak jest niegłupi – pomyśleli jednocześnie Peyna i Flagg.

– Nie zrozumiałeś mnie. Nie chodzi mi o rezygnację z tronu, tylko o to, żebyś odłożył koronę do chwili rozwiązania tej sprawy. Jeśli zostaniesz uznany za niewinnego morderstwa twego ojca...

– Co niewątpliwie nastąpi – powiedział Piotr. – Gdyby mój ojciec rządził tak długo, aż ja stałbym się stary i bezzębny, sprawiłoby mi to największą radość. We wszystkim, co robiłem, chciałem mu tylko służyć i pomagać, i kochać go.

– Ale twój ojciec nie żyje, a na ciebie wskazują poszlaki. Piotr skinął głową.

– Jeśli zostaniesz uznany za niewinnego, podejmiesz koronę. Jeśli zaś okażesz się winny...

Na to Wielcy Radcy okazali zdenerwowanie, ale Peyna ani drgnął.

– Jeśli okażesz się winny, zostaniesz zabrany na szczyt Iglicy, gdzie spędzisz resztę życia. Nikogo z królewskiej rodziny nie można skazać na karę śmierci; tak mówi tysiącletnie prawo.

– A Tomasz zostanie królem? – zapytał w zamyśleniu Piotr. Flagg lekko zeszywniał.

– Tak.

Piotr zmarszczywszy brwi zamyślił się głęboko. Wyglądał na okropnie zmęczonego, ale nie zmieszanego albo przestraszonego, i Flagg poczuł, jak budzi się w nim lekki niepokój.

– A jeśli odmówię?

– Jeśli odmówisz, zostaniesz królem mimo strasznego oskarżenia, które nie zostało obalone. Wielu z twoich poddanych – większość, poznawszy dowody – uzna, że przyszło im być rządzonym przez młodego człowieka, który zamordował swojego ojca, żeby zdobyć tron. Myślę, że nastąpią bunty i wojna domowa i że zacznie się to wkrótce. Ja sam zrezygnuję z mojego stanowiska i wyruszę na zachód. Jestem już za stary, żeby zaczynać od początku, ale mimo to spróbuję. Prawo stanowi treść mojego życia, więc nie mógłbym służyć królowi, który nie ugiął się przed nim w sprawie takiej jak ta.

W sali zapadła cisza, która zdawała się trwać bardzo długo. Piotr siedział ze spuszczoną głową opierając czoło na dłoniach. Pozostali przyglądali mu się i czekali. Teraz nawet Flagg poczuł, że czoło pokrywa mu pot.

Wreszcie Piotr podniósł głowę i odsłonił oczy.

– Dobrze – rzekł. – Oto moje królewskie postanowienie. Odłożę koronę do czasu, aż zostaną oczyszczony z zarzutu zamordowania ojca. Ty, Peyno, zostaniesz kanclerzem królestwa na czas bezkrólewia. Chciałbym, żeby proces odbył się jak najszybciej – nawet jutro, jeśli to możliwe. Dostosuję się do decyzji sądu. Lecz nie ty mnie będziesz sądził.

Wszyscy zamrugali oczyma i wyprostowali się słysząc suchy, władczy ton, ale Yosef w stajniach nie czułby się nim zaskoczony; poznał go, gdy Piotr był zaledwie wyrostkiem.

– Zajmie się tym jeden z pozostałej czwórki – ciągnął Piotr. – Nie będę sądzony przez człowieka, który dzierży władzę zamiast mnie... człowieka, którego sam wygląd i zachowanie wskazują, że w swym sercu zdążył już uznać mnie za winnego tej okropnej zbrodni.

Peyna poczuł, że się czerwieni.

– Jeden z czterech – powtórzył Piotr zwracając się do Wielkich Radców. – Niech cztery kamienie, trzy czarne i jeden biały, zostaną umieszczone w naczyniu. Osoba, która wyciągnie biały kamień, zostanie sędzią głównym na moim procesie. Zgadza się?

– Tak, panie – rzekł powoli Peyna, nienawidząc siebie za rumieniec, który nie chciał zniknąć z jego policzków.

Flagg musiał znowu podnieść rękę do ust, żeby ukryć uśmiezek. I to, mój zgubiony książę, jest jedyne postanowienie, które wydasz jako król Delainu – pomyślał.

Spotkanie, które rozpoczęło się o trzeciej, dobiegło końca kwadrans po czwartej. W izbach senackich i sejmowych gada się przez wiele dni i miesięcy, zanim zostanie podjęta jakakolwiek decyzja – a często nie następuje to nigdy mimo tych wszystkich dyskusji – ale wielkie postanowienia nie zabierają zwykle dużo czasu. Trzy godziny później zaś, gdy zapadał zmrok, nastąpiło wydarzenie, które naocznie udowodniło Piotrowi, że choć mogło się to wydawać absurdem, zostanie uznany za winnego straszliwej zbrodni.

Odprawdzono go do jego komnat pod eskortą poważnych, milczących strażników. Posiłki, jak powiedział Peyna, miały mu być przynoszone.

Kolację dostarczył krzepki strażnik ze szczecina zarostu na twarzy. Niósł on tacę. Na niej znajdowała się szklanka mleka i duży, parujący talerz gęstej zupy. Gdy strażnik wszedł, Piotr wstał. Sięgnął po tacę.

– Jeszcze nie, mój panie – powiedział strażnik jadowitym głosem. – Moim zdaniem trzeba trochę przyprawić. – To mówiąc napluł do zupy. Potem uśmiechnął się szeroko ukazując zęby rzadkie jak kołki w zaniedbanym płocie i wysunął tacę przed siebie. – Masz.

Piotr nie ruszył się, żeby ją wziąć. Był kompletnie zaskoczony.

– Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego naplułeś do mojego talerza?

– Czy dziecko, które morduje swojego ojca, zasługuje na coś lepszego, mój panie?

– Nie. Ale ktoś, kto jeszcze nawet nie został osądzony, nie – powiedział Piotr. – Zabierz to i przynieś mi nową tacę. Czekam piętnaście minut, a jak nie, to dzisiejszej nocy będziesz spał w lochach pod Flaggiem.

Złośliwy grymas na chwilę znikł z twarzy strażnika, ale natychmiast pojawił się znowu.

– Nie sądzę – rzekł. Pochylił tacę początkowo tylko trochę, a potem coraz bardziej. Szklanka i talerz roztrzaskały się na kamiennej posadzce. Gęsta zupa rozbryznęła na wszystkie strony.

– Wyliz to – powiedział strażnik. – Wyliz to jak pies, którym jesteś.

Odwrócił się, żeby wyjść. Piotr z nagłym gniewem skoczył do przodu i uderzył go w twarz. Dźwięk uderzenia zabrzmiał jak strzał.

Krzepki strażnik ryknął wściekle i wyciągnął swój krótki miecz.

Uśmiechając się bez wesołości Piotr uniósł głowę i odsłonił szyję.

– Proszę – rzekł. – Człowiek zdolny do naplucia drugiemu do zupy nie będzie się wzdragał przed podcięciem gardła niewinnemu. No, proszę. Świnie też spełniają rozkazy boże, jak sądzę, a moja wina i wstyd są wielkie. Jeśli Bóg chce, żebym żył, będę żyć, ale jeśli wolą Jego jest, bym zginął, i wysłał tu taką świnie jak ty, żeby mnie zgładzić, niech i to się spełni.

Gniew strażnika zamienił się w zmieszanie. Po chwili schował miecz.

– Nie zbrukam mego miecza – powiedział, ale jego głos zabrzmiał niepewnie, a oczy nie wytrzymały spojrzenia Piotra.

– Przynieś mi nowe jedzenie i picie – rzekł cicho Piotr. – Nie wiem, z kim rozmawiałeś, strażniku, i nic mnie to nie obchodzi. Nie wiem, dlaczego tak chętnie oskarżasz mnie o zamordowanie ojca, skoro nie przedstawiono jeszcze żadnych dowodów, lecz o to też nie dbam. Ale przyniesiesz mi nowe jedzenie i picie, a do tego jeszcze serwetkę, zanim zegar zdąży wybić wpół do siódmej, albo zadzwonię po Peynę i dzisiejszej nocy będziesz nocował pod Flaggiem. Moja wina nie została jeszcze udowodniona, Peyna jest nadal pod moimi rozkazami i przysięgam ci, że to, co mówię, jest prawdą.

Strażnik bladł i bladł, bo widział, że Piotr nie kłamie. Ale nie był to jedyny powód owej bladości. Gdy koledzy powiedzieli, że złapano księcia na gorącym uczynku, uwierzył im – bo chciał im wierzyć – ale teraz zaczął powątpiewać. Piotr nie wyglądał ani nie mówił jak człowiek winny.

– Tak, panie – powiedział.

Strażnik wyszedł. Po chwili drzwi otwarły się i ukazał się w nich kapitan.

– Wydawało mi się, że słyszę jakieś zamieszanie – rzekł. Oko jego padło na potłuczone szkło i porcelanę. – Jakieś kłopoty?

– Nie – powiedział spokojnie Piotr. – Upuściłem tacę. Strażnik poszedł przynieść mi drugi posiłek.

Kapitan kiwnął głową i oddalił się.

Przez następne dziesięć minut Piotr siedział na łóżku w głębokim zamyśleniu.

Rozległo się krótkie pukanie do drzwi.

– Wejść – rzekł Piotr.

Wszedł brodaty, szczerbaty strażnik z nową tacą.

– Panie, przyjmij moje przeprosiny – powiedział sztywno i niezręcznie. – Nigdy w życiu się tak nie zachowałem i nie wiem, co mnie napadło. Nie mam pojęcia, przysięgam. Ja...

Piotr machnął ręką. Czuł się bardzo zmęczony.

– Czy inni myślą podobnie jak ty? Inni strażnicy?

– Panie – rzekł strażnik ostrożnie stawiając tacę na biurku Piotra. – Nie jestem pewien, czy ja sam jeszcze tak myślę.

– Ale czy inni uważają, że jestem winien? Nastąpiła dłuższa przerwa, aż wreszcie żołnierz skinął głową.

– A czy podają jakiś zasadniczy powód?

– Mówią o płonącej myszy... i o tym, że płakałeś, gdy Peyna postawił ci zarzuty...

Piotr ponuro kiwnął głową. Tak. Płacz okazał się poważnym błędem, ale nie był w stanie go opanować... stało się.

– Ale większość z nich mówi, że zostałeś złapany, że chciałeś zostać królem i że tak musiało być.

– Chciałem zostać królem, więc tak musiało być – powtórzył Piotr.

– Tak, panie – strażnik stał i patrzył żałośnie na Piotra.

– Dziękuję. Odejdź teraz, proszę.

– Panie, chciałbym przeprosić...

– Przeprosiny przyjęte. Idź, proszę. Muszę się zastanowić.

Wyglądając jakby żałował, że w ogóle się urodził, strażnik wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Piotr rozłożył serwetkę na kolanach, ale nie jadł. Wszelki głód, jaki wcześniej odczuwał, znikł bez śladu. Skubnął serwetkę i pomyślał o matce. Był zadowolony – bardzo się cieszył, że nie dożyła, żeby to zobaczyć – być świadkiem tego, na co mu przyszło. Całe życie miał szczęście, czasami wydawało się, że nie może przydarzyć mu się pech. Teraz wyglądało na to, że wszystkie nieszczęścia, jakie mogły nastąpić w przeciągu lat, zostały zebrane i trzeba było za nie zapłacić natychmiast, z procentem za szesnaście lat.

„Ale większość z nich mówi, że chciałeś zostać królem, więc tak musiało być”.

Miało to pewne głębsze znaczenie. Chcieli dobrego króla, którego można kochać. Ale chcieli także wiedzieć, że o włos uratowali się od złego króla. Chcieli mroków i tajemnic; pragnęli strasznych opowieści o zepsuciu rodziny królewskiej. Bóg jeden wiedział dlaczego.

„Mówią, że chciałeś zostać królem, więc tak musiało być”.

Peyna uwierzył, pomyślał Piotr, i strażnik uwierzył; wszyscy uwierzą. To nie jest koszmarny sen. Zostałem oskarżony o zamordowanie ojca i nic – ani moje dobre sprawowanie, ani miłość do niego nie ochroni mnie przed tym zarzutem. A część z nich po prostu chce wierzyć, że ja to zrobiłem.

Piotr starannie złożył serwetkę i przykrył nią talerz z zupą. Odechciało mu się jeść.

44

Proces odbył się, wszyscy się wielce dziwowali, i napisano mnóstwo historii na ten temat, które możecie sobie przeczytać. Ale całą sprawę można streścić w sposób następujący: Piotr, syn Rolanda, został postawiony przed sędzią najwyższym przez płonącą mysz; osądzony przez spotkanie siedmiu, które nie było rozprawą sądową; skazany przez strażnika, który przedstawił wyrok plując do zupy. Oto cała opowieść, ale czasami opowieści mówią więcej niż księgi historyczne, i o wiele krócej.

45

Gdy Ulrich Wicks, który wyciągnął białą kulę, zajął miejsce Peyny, ogłosił werdykt sądu, widzowie – których większość od lat przysięgała, że Piotr zostanie najlepszym królem w długiej historii Delainu – zaczęli wściekle bić brawo. Poderwali się na nogi, rzucili do przodu i gdyby nie powstrzymał ich kordon strażników z dobytymi mieczami, być może obaliliby wyrok dożywotniego więzienia i wygnania na szczyt Iglicy i zlinczowali młodego księcia. Gdy go wyprowadzano, ślina padała niczym deszcz. Piotr był cały mokry. Jednak szedł z podniesioną głową.

Drzwi po lewej stronie wielkiej sali sądowej prowadziły do wąskiego przedsionka. Miał on długość mniej więcej czterdziestu kroków, a potem zaczynały się spiralne schody. Wiodły one coraz wyżej i wyżej, aż na sam szczyt Iglicy, gdzie na Piotra oczekiwały dwa pokoje, w których miał od tej pory mieszkać do końca życia. Schody miały w sumie trzysta stopni. Wrócimy do Piotra, gdy znajdzie się już na górze, w swoich pokojach i we właściwym czasie; musicie bowiem wiedzieć, że jego historia jeszcze się nie skończyła. Ale nie będziemy z nim wchodzić na górę, albowiem była to haniebna wspinaczka, odejście z prawnie należącego miejsca króla na dole i wspinanie się, nadal z wyprostowanymi ramionami i podniesioną głową, na stanowisko więźnia stanu na górze – nie byłoby ładnie iść za nim ani za kimkolwiek innym w taką drogę.

Zamiast tego porozmawiajmy przez jakiś czas o Tomaszu i zobaczymy, co się stało, gdy odzyskał zmysły i dowiedział się, że został królem Delainu.

46

Nie – szepnął Tomasz głosem, w którym nagle zabrzmiało przerażenie.

Oczy rozszerzyły mu się w bladej twarzy. Usta zadrżały.

Flagg właśnie powiedział mu, że został królem Delainu, ale Tomasz nie wyglądał jak chłopiec, którego poinformowano, że został królem, lecz jak ktoś, kogo powiadomiono, że następnego ranka zostanie zastrzelony.

– Nie – powtórzył. – Nie chcę zostać królem. Mówił prawdę. Całe życie gorzko zazdrościł Piotrowi, ale jedyną rzeczą, jakiej nie pragnął, było objęcie tronu. Stanowiło to odpowiedzialność, o jakiej Tomasz nie marzył nawet w najbardziej szalonych snach. A teraz jeden koszmar następował po drugim. Jakby nie wystarczyło, że wróciwszy do przytomności dowiedział się, że brata uwięziono w Iglicy za zamordowanie swojego ojca, króla. Teraz pojawił się Flagg z okropną wieścią, że Tomasz został królem zamiast Piotra.

– Ale ja nie chcę zostać królem, nie będę królem. Ja... odmawiam! STANOWCZO

ODMAWIAM!

– Nie możesz odmówić, Tomaszu – powiedział energicznie Flagg. Zdecydował, że tak najlepiej podejść do chłopca: przyjaźnie i energicznie. Tomasz potrzebował Flagga bardziej niż kogokolwiek w życiu. Flagg wiedział to, ale zdawał sobie również sprawę, że znajdował się całkowicie na jego łasce. Chłopak przez jakiś czas będzie dziki i narowisty, gotów na wszystko, więc należy uzyskać panowanie nad nim tu i teraz.

Potrzebujesz mnie, Tomku – pomyślał, ale nie zrobię tego błędu i ci o tym nie powiem. Nie, to ty musisz mi to powiedzieć. Nie może istnieć żadna wątpliwość co do tego, kto tu rządzi. Ani teraz, ani kiedykolwiek.

– Nie mogę odmówić? – szepnął Tomasz. Poderwał się na łokciach, gdy usłyszał okropną nowinę Flagga. Teraz znów opadł na poduszki. – Nie mogę? Znów się źle czuję. Myślę, że wraca mi gorączka. Poślij szybko po doktora. Chyba trzeba będzie mi postawić pijawki. Ja...

– Czujesz się świetnie – powiedział Flagg wstając. – Naszpikowałem cię doskonałymi lekami, gorączka ci przeszła i teraz potrzebujesz tylko świeżego powietrza. Ale jeśli chcesz, żeby doktor powiedział ci to sam Tomku (czarnoksiężnik postarał się, żeby w jego głosie zabrzmiała nutka wyrzutu), wystarczy zadzwonić. – Flagg wskazał dzwonek i uśmiechnął się lekko. Nie był to zbyt przyjemny uśmiech. – Rozumiem, że chcesz schować się w łóżku, ale nie byłbym twoim przyjacielem, gdybym ci nie powiedział, że wszelkie schronienie, jakie wydaje ci się zapewniać łóżko albo próby pozostania chorym, jest złudne.

– Złudne?

– Radzę ci wstać i zacząć pracować nad odzyskaniem sił. Ceremonia koronacyjna odbędzie się za trzy dni. Zostaniesz zanieiony w łóżku na podwyższenie, gdzie będzie czekał Peyna z koroną i berłem, co jest dość upokarzającym sposobem objęcia władzy, ale zapewniam cię, że jeśli zajdzie potrzeba, Peyna nie cofnie się przed tym. Królestwo bez głowy to niepewne królestwo. Peyna dopilnuje, żebyś został ukoronowany jak najprędzej.

Tomasz leżał oparty o poduszki usiłując przyjąć do wiadomości te informacje. Oczywiście jego przybrały wyraz przestraszonego zająca.

Flagg zdjął swój podszyty czerwienią płaszcz z oparcia łóżka, narzucił na ramiona i zaplął złoty łańcuch u szyi. Następnie wziął z kąta laskę o srebrnej główce. Wykonał nią rewerans, a następnie złożył Tomaszowi głęboki ukłon. Płaszcz... kapelusz... laska... wszystko to przeraziło chłopca. Nadeszła straszna chwila, w której potrzebował starego maga bardziej niż kiedykolwiek w życiu, a Flagg wyglądał jakby... jakby...

Jakby się wybierał w podróż.

Panika, w jaką Tomasz wpadł przed chwilą, wydała mu się łagodnym odczuciem w porównaniu z uściskiem lodowatych dłoni, które teraz zacisnęły się na jego sercu.

– A więc, drogi Tomku, życzę ci zdrowia na całe życie, dużo, dużo szczęścia, pomyślnego

panowania... i do widzenia!

Ruszył w stronę drzwi i już mu się zaczęło wydawać, że panika sparaliżowała chłopca do tego stopnia, iż będzie musiał wymyślić jakiś pretekst do powrócenia do jego łóżka, gdy Tomaszowi udało się wypowiedzieć zdławionym głosem jedno słowo:

– Zaczekaj!

Flagg odwrócił się z wyrazem uprzejmego zainteresowania na twarzy.

– Mój królu?

– Dokąd... dokąd się wybierasz?

– Jak to... – Flagg wyglądał na zdziwionego, jakby nigdy przedtem nie przyszło mu na myśl, że Tomasz może się w ogóle tym zainteresować. – Na początek skieruje się do Andui. Jej mieszkańcy są znakomitymi żeglarzami, a za Morzem Jutra jest wiele ziem, których jeszcze nie znam. Niekiedy kapitanowie są skłonni zabrać na pokład czarnoksiężnika, żeby przynosił szczęście, wyczarowywał wiatr, gdy zapada cisza morską, i przepowiadał pogodę. A jeśli nikt nie będzie potrzebował czarnoksiężnika – hm, nie jestem już tak młody jak wtedy, gdy przybyłem do Delainu, ale jeszcze nadaję się do ciągnięcia lin i rozwijania żagli. – Uśmiechając się Flagg udał, że to robi, nie upuszczając swej laski.

Tomasz znów poderwał się na łokciach.

– Nie! – prawie krzyczał. – Nie!

– Mój panie i królu...

– Nie nazywaj mnie tak!

Flagg podszedł do niego pozwalając teraz swojej twarzy przybrać wyraz głębokiej troski.

– No więc, Tomku. Drogi Tomku. O co ci chodzi?

– O co mi chodzi? O co mi chodzi? Jak możesz być taki głupi? Ojciec otruty, Piotr uwięziony za tę zbrodnię w Iglicy, ja muszę zostać królem, ty zamierzasz odjechać i jeszcze się pytasz, o co chodzi? – Tomasz wubuchnął dzikim, piskliwym śmiechem.

– Ale tak musi być, Tomku – powiedział łagodnie Flagg.

– Nie mogę zostać królem – rzekł Tomasz. Chwytał Flagga za ramię wbijając głęboko paznokcie w nieziemskie ciało czarnoksiężnika. – Piotr miał zostać królem, on zawsze był inteligentny, ja jestem głupi, głupi, nie nadaję się na króla!

– Bóg tworzy królów – odparł Flagg. Bóg... a czasami czarnoksiężnicy, pomyślał chichocząc w duchu. – Uczynił cię królem, i zapamiętaj to, Tomku, zostaniesz królem. Albo będziesz nim, albo zostaniesz pogrzebany.

– To niech mnie pogrzebią! Zabiję się!

– Nie zrobisz nic takiego.

– Lepiej jeśli się zabiję, niż mam zostać pośmiewiskiem na tysiąc lat jako książe, który umarł ze strachu.

– Zostaniesz królem, Tomku. Nic się nie bój. Ale ja muszę iść. Dni są teraz chłodne, a noce zimne. A ja chciałbym przed zmrokiem wyjść z miasta.

– Nie, zostań! – Tomasz kurczowo chwycił płaszcz Flagga. – Jeśli ja muszę być królem, to zostań i służ mi jako doradca, tak jak służyłeś mojemu ojcu! Nie odchodź! Zupełnie nie rozumiem, dlaczego chcesz odejść! Przecież byłeś zawsze!

No, nareszcie – pomyślał Flagg. To dobre, doprawdy, to PYSZNE.

– Przyznaję, że trudno mi odchodzić – rzekł Flagg z powagą. – Bardzo trudno. Kocham Delain. I kocham ciebie, Tomku.

– To zostań!

– Nie rozumiesz mojej sytuacji. Anders Peyna to człowiek potężny – ma wielką władzę. Nie lubi mnie. Prawdę mówiąc, myślę, że mnie nienawidzi.

– Dlaczego?

Częściowo dlatego – pomyślał Flagg, że wie, jak długo – jak bardzo długo – już tu jestem. A co więcej, dokładnie wyczuwa, czym jestem dla Delainu.

– Trudno powiedzieć, Tomku. Przypuszczam, że dlatego, iż jest potężnym człowiekiem, a tacy ludzie zazwyczaj nie lubią, gdy ktoś inny im dorównuje. Ktoś, kto na przykład jest najbliższym doradcą króla.

– Tak jak ty byłeś najbliższym doradcą ojca?

Tak – ujął rękę Tomasza i ścisnął ją przez chwilę. Potem wypuścił ją i westchnął smutnie. Doradcy króla przypominają zwierzynę w parkach królewskich. Zwierzęta takie są rozpieszczane, karmione z ręki. Tacy doradcy, jak oswojone zwierzaki prowadzą przyjemne życie, ale niejeden już raz widziałem oswojone parkowe sarny na stole króla, gdy w rezerwacie nie udało się znaleźć dzikiego jelenia na kotlet z dziczyzny czy gulasz. A gdy umiera panujący, starym doradcom zdarza się zniknąć. Tomasza ogarnął zarówno gniew, jak i strach.

– Czy Peyna ci groził?

– Nie... był bardzo grzeczny – powiedział Flagg. – Bardzo cierpliwy. Ale czytam w jego oczach i wiem, że cierpliwości tej nie wystarczy na długo. Jego wzrok mówi mi, że klimat anduański na pewno okaże się dla mnie zdrowszy. – Wstał raz jeszcze powiewając peleryną. – Dlatego... chociaż nie mam wielkiej ochoty...

– Zaczekaj! – zawołał znowu Tomasz, a Flagg zobaczył na jego ściągniętej, pobladłej twarzy Spełnienie wszystkich swoich ambicji. – Jeśli byłeś bezpieczny za panowania mojego ojca, bo służyłeś jako jego doradca, czyż nie będziesz bezpieczny teraz, gdy ja zostanę królem, jako mój?

Flagg wyglądał, jakby zastanawiał się głęboko i poważnie.

– Tak, chyba tak... gdybyś bardzo wyraźnie dał Peynie do zrozumienia... ale naprawdę bardzo wyraźnie... że wszelkie kroki przeciwko mnie spotkają się z królewską niełaską. Bardzo poważną niełaską.

– Ależ oczywiście! – skwapliwie pisnął Tomasz. – Jasne, że mu tak powiem. Więc zostaniesz? Proszę cię. Jeśli odejdziesz, to ja się zabiję! Nie znam się nic a nic na sprawowaniu władzy i nie żartuję, naprawdę tak zrobię!

Flagg stał z pochyloną głową, twarzą w cieniu kaptura, sprawiając wrażenie pogrążonego w myślach. W rzeczywistości uśmiechał się.

Ale gdy podniósł głowę, na jego twarzy malowała się powaga.

– Służyłem Królestwu Delain prawie przez całe moje życie – rzekł – i przypuszczam, że jeśli rozkazałbyś mi zostać... zostać i służyć ci jak najlepiej...

– A więc rozkazuję! – krzyknął Tomasz drżącym, zgorączkowanym głosem.

Flagg opadł na kolano.

– Panie! – zawołał.

Tomasz padł mu w ramiona ze szlochem ulgi. Flagg chwycił go i przytulił.

– Nie płacz, moje królewiątko – szepnął. – Wszystko będzie dobrze. Tak, wszystko pójdzie dobrze i tobie, i mnie, i w królestwie. – Uśmiechnął się szeroko ukazując bardzo białe i bardzo mocne zęby.

47

Tomasz nie zasnął ani na chwilę w noc poprzedzającą koronację na placu Iglicy, a wczesnym porankiem dostał okropnego, wywołanego zbyt dużym napięciem nerwów, ataku wymiotów i biegunki. Opanowała go bez reszty trema. Słowo to brzmi niemądrze i śmiesznie, ale w tym wypadku nie było nic śmiesznego ani niemądrego. Tomasz wciąż jeszcze był małym chłopcem, a to, co czuł w nocy, gdy jest się najbardziej samotnym, sięgnęło granic strachu tak ogromnego, że można by go nazwać śmiertelnym przerażeniem. Zadzwoił po służącego i kazał mu przyprowadzić Flagga. Sługa, przerażony bladością Tomasza i zapachem wymiotów, pobiegł pędem i prawie nie czekając na pozwolenie wejścia wpadł do komnat Flagga wołając, że młody książę ciężko zachorował i być może jest umierający.

Flagg, który domyślał się przyczyny kłopotów, kazał słudze iść i powiedzieć swemu panu, że zaraz przyjdzie, i żeby się nie bał. Pojawił się po dwudziestu minutach.

– Nie zniosę tego – jęknął Tomasz. Wymiotował do łóżka i teraz jego pościel śmierdziała. – Nie mogę zostać królem, nie mogę, proszę, musisz sprawić, żeby to nie nastąpiło, jak ja mam to odbyć, jeśli może się zdarzyć, że zwymiotuję przed Peyną i całą resztą, zwymiotuję albo... albo...

– Wszystko będzie dobrze – rzekł spokojnie Flagg. Przygotował napój, który ułagodzi żołądek Tomasza i na jakiś czas zablokuje mu jelita.

– Wypij to. Tomasz wypił.

– Zaraz umrę – powiedział odstawiając szklanę. – Nie będę musiał się zabijać. Po prostu serce mi pęknie ze strachu. Ojciec opowiadał, że czasami zające umierają w ten sposób w sidłach, nawet jeśli nie są poważnie zranione. A ja jestem takim zającem w pułapce, umierającym ze strachu.

Po części masz rację, drogi Tomku, pomyślał Flagg. Nie umierasz ze strachu, jak ci się wydaje, ale rzeczywiście jesteś zwierzyną schwytaną w sidła.

– Myślę, że zmienisz zdanie – powiedział Flagg. Mieszał następny napój. Miał on barwę różową – kolor kojący nerwy.

– Co to jest?

– Coś, co cię uspokoi i pomoże zasnąć.

Tomasz wypił. Flagg siedział przy nim na łóżku. Wkrótce chłopiec zapadł w sen – tak głęboki, że gdyby sługa zobaczył go w tej chwili, mógłby przypuszczać, że jego przepowiednia sprawdziła się i Tomasz nie żyje. Mag podniósł dłoń śpiącego chłopca i poklepał ją nieomal z czułością. Na swój bowiem sposób kochał Tomasza, ale Sasha wiedziałaby, czym naprawdę jest uczucie Flagga – miłością pana do ulubionego psa.

On jest taki podobny do ojca, pomyślał Flagg, a starszy pan nigdy się tego nie domyślił. Och, Tommy, czekają nas piękne chwile, ciebie i mnie, a zanim skończę, kraj spłynie królewską krwią. Zniknę, lecz nie na długo, przynajmniej na początku. Wrócę w przebraniu, żeby popatrzeć na twoją spuchniętą głowę zatknietą na pal... i żeby rozciąć mym mieczem pierś twojego brata, wydobyć jego serce i zjeść je na surowo, tak jak jego ojciec zjadł serce swego ukochanego smoka.

Flagg wyszedł z komnaty uśmiechając się.

48

Koronacja odbyła się bez żadnych kłopotów czy komplikacji. Służący Tomasza (w jego wieku jest się za młodym na własnego lokaja, ale miało się to wkrótce zmienić) ubrali go na tę okazję w piękny strój z czarnego aksamitu przyozdobiony klejnotami (to wszystko jest moje, pomyślał Tomasz z zachwytem – i rosnącą chciwością – teraz to wszystko należy do mnie) oraz wysokie, czarne buty z najdelikatniejszej koziej skóry. Gdy Flagg pojawił się punktualnie o wpół do dwunastej i powiedział, że już czas, Tomasz był mniej zdenerwowany, niż przypuszczał. Środek uspokajający zaaplikowany przez czarnoksiężnika wciąż jeszcze działał.

– Weź mnie za rękę – powiedział – na wypadek gdybym się potknął.

Flagg ujął dłoń Tomasza. W nadchodzących latach miało się to stać dobrze znanym na dworze widokiem – Flagg, który wydawał się podtrzymywać króla chłopca, jak gdyby ten był

starszym człowiekiem, a nie młodzieńcem w pełni sił.

Wyszli razem na oświetlony jaskrawym, zimowym słońcem dziedziniec.

Powitała ich owacja tak głośna, jak szum fal rozbijających się na rozległych, pustych plażach Wschodniej Baronii.

Tomasz rozejrzał się ze zdziwieniem, a jego pierwszą myślą było: Gdzie jest Piotr? Oni z pewnością witają Piotra. A potem przypomniał sobie, że Piotr znajduje się w Iglicy i zrozumiał, że owację przeznaczono dla niego. Poczuł, że zaczyna mu to sprawiać przyjemność... ja zaś muszę wam powiedzieć, iż radość owa nie wynikała tylko ze świadomości, że to jego tak witają. Tomasz wiedział również, że Piotr zamknięty w swych pustych komnatach na wieży też słyszy owację.

Czy to ważne, że zawsze byłeś lepszy w nauce? – pomyślał Tomasz z małostkową radością, która równocześnie sprawiła mu przyjemność i ból. Czy to ważne? Jesteś uwięziony w Iglicy, a ja... ja jestem królem! Czy to ważne, że co wieczór przynosiłeś mu kieliszek wina i...

Ale ta ostatnia myśl sprawiła, że niemiły, lepki pot wystąpił mu na czoło, więc szybko się jej pozbył.

Okrzyki rozlegały się cały czas, gdy on i Flagg szli najpierw na plac Iglicy, a potem pod łukiem utworzonym przez uniesione ceremonialne miecze Straży Przybocznej, przyodzianej znowu w swe galowe, czerwone mundury i wysokie czapy z głowami wilków. Tomaszowi podobało się to coraz bardziej. Uniósł dłoń w geście pozdrowienia, a wiwaty zabrzmiały jak grzmot. Mężczyźni wyrzucali w powietrze swe kapelusze. Kobiety płakały z radości. Okrzyki: „Król! Król! Patrzcie na króla! Tomasz Dawca Światła! Niech żyje król!” rozlegały się wszędzie. Tomasz, który nie wyszedł jeszcze z wieku dziecięcego, pomyślał, że przewidziane są one dla niego. Flagg, który być może nigdy nie był chłopcem, wiedział lepiej. Krzyczano, bo minęły już chwile niepewności. Cieszono się, że wszystko będzie tak jak dawniej, że można znowu otworzyć sklepy, że srodzy żołnierze w skórzanych hełmach nie będą już pilnować nocą zamku, że po tej uroczystej ceremonii będzie można się upić nie martwiąc się, iż o północy obudzą wszystkich odgłosy rewolty. Nic mniej i nic więcej ponad to. Tomasza mógł zastąpić ktokolwiek. Był pionkiem.

Ale Flagg postara się, żeby nigdy się tego nie dowiedział.

A w każdym razie aż nie będzie za późno.

Sama ceremonia nie trwała długo. Przeprowadził ją Anders Peyna wyglądający dwadzieścia lat starzej niż tydzień temu. Tomasz odpowiadał „tak”, „będę” i „przysięgam” we wszystkich właściwych momentach, jak go tego Flagg nauczył. Pod koniec ceremonii, przeprowadzonej w tak uroczystej ciszy, że nawet ci, którzy stali na samym końcu wielkiego tłumu, mogli ją słyszeć wyraźnie, na głowie Tomasza umieszczono koronę. Owacje buchnęły znowu, głośniejsze

niż poprzednio, a chłopiec popatrzył w górę, coraz wyżej i wyżej aż na czubek okrągło ściennej Iglicy, tam gdzie znajdowało się tylko jedno okno. Nie widział, czy Piotr przygląda się, ale miał nadzieję, że tak. Miał nadzieję, że przygryza on wargi ze złością tak mocno, że aż krew spływa mu po brodzie, tak jak Tomasz przygryzał swoje – tak często, że pod dolną wargą utworzyła mu się delikatna siateczka blizn.

Słyszysz to, Piotrze? – zapiszczał w myślach. Krzyczą na MOJĄ cześć! Krzyczą na MOJĄ cześć! Wreszcie krzyczą na MOJĄ cześć!

49

Pierwszej nocy swego panowania Tomasz Dawca Światła obudził się siedząc na łóżku z wytrzeszczonymi oczyma, przerażeniem na twarzy i zasłaniając dłońią usta, jakby chciał zdławić krzyk. Przed chwilą przyśnił mu się straszny sen, o wiele gorszy niż te, w których ponownie przeżywał to okropne popołudnie spędzone we Wschodniej Wieży.

Tym razem sen także dotyczył przeszłych wydarzeń. Tomasz znajdował się w tajemnym przejściu i podglądał ojca. Miało to miejsce owej nocy, gdy Roland tak się strasznie upił i szalał z gniewu, przemierzając komnatę i wykrzykując obelgi do głów na ścianach. Ale gdy dotarł do głowy Dziewięciaka, powiedział coś innego.

Dlaczego się na mnie gapisz? – zawołał ojciec we śnie. Zabił mnie i przypuszczam, że nie potrafiłbyś temu zapobiec, ale jak mogłeś pozwolić, żeby skazano za to twojego brata? Odpowiadaj, do cholery! Robiłem, co mogłem, a teraz popatrz na mnie! Spójrz na mnie!

Ojciec zaczął płonąć. Twarz jego przybrała kolor czerwony jak dobrze rozpalone ognisko. Dym buchnął mu z oczu, nosa i ust. Zwinął się z bólu i Tomasz zobaczył, że palą się również jego włosy. Wtedy właśnie się obudził.

To wino – pomyślał ze zgrozą. Flagg poczęstował go winem tamtej nocy! Wszyscy wiedzieli, że przynosił mu je Piotr, więc uznano, że to on je zatrzał. Ale Flagg też mu je dawał owej nocy, a przedtem nigdy tego nie czynił. I trucizna pochodzi od Flagga! Mówił, że skradziono mu ją wiele lat temu, ale...

Nie może sobie pozwolić na takie myśli. Nie może. Bo gdyby zaczął się nad tym zastanawiać...

– On mnie zabije – szepnął Tomasz ze zgrozą.

Mógłbyś iść do Peyny. Peyna go nie lubi – pomyślał. No tak, mógłby tak zrobić. Ale wtedy powróciła zastarzała niechęć i zazdrość wobec Piotra. Gdyby wszystko opowiedział Peynie, brat zostałby wypuszczony z Iglicy i zająłby jego miejsce jako król. Tomasz stałby się znowu nikiem, księciem – ważniakiem, którego panowanie trwało jeden dzień.

Dzień ten zaś wystarczył chłopcu na odkrycie, że królowanie może mu się spodobać – nawet bardzo, mając Flagga do pomocy. Poza tym przecież tak naprawdę nic nie wiedział. Coś mu się tylko wydawało. A jego opinie zawsze okazywały się niesłuszne.

„Zabił mnie i przypuszczam, że nie potrafiłbyś temu zapobiec, ale jak mogłeś pozwolić, żeby skazano za to twojego brata?”

Nieważne, pomyślał Tomasz. Coś mi się pomieszało, na pewno się pomyliłem, a nawet jeśli nie, to dobrze mu tak.

Przekreślił się na drugi bok zdecydowany zasnąć. I po długim, długim czasie sen nadszedł.

W nadchodzących latach koszmar miał pojawiać się co jakiś czas – ojciec oskarżający swego ukrytego, podglądającego syna, a potem zwijający się z bólu, dym, płomień. W owych latach Tomasz odkrył dwie rzeczy: poczucie winy i tajemnice nigdy nie spoczywają w spokoju, niczym kości zamordowanego; ale z tą świadomością da się żyć.

50

Gdyby ktoś go o to zapytał, Flagg odpowiedziałby z pogardliwym uśmiechem, że Tomasz nie potrafiłby ukryć tajemnicy przed nikim poza osobami słabymi na umyśle, a może nawet i nie. Na pewno nie umiałby zachować sekretu, powiedziałby, przed kimś, kto doprowadził do jego wstąpienia na tron. Ale ludzi takich jak Flagg przepełnia pycha i czasami są dziwnie zaślepieni. Czarnoksiężnik nigdy się nie domyślił, że Tomasz znajdował się owej nocy za Dziewięciakiem i że widział, jak Flagg daje Rolandowi kieliszek zatrutego wina. Ten sekret Tomasz potrafił zachować.

51

Wysoko na górze, na szczycie Iglicy Piotr stał w maleńkim okienku patrząc w dół. Tak jak miał nadzieję Tomasz, widział i słyszał wszystko od pierwszych wiwatów, gdy Tomasz ukazał się prowadzony za rękę przez Flagga, aż do ostatnich, gdy zniknął na powrót w pałacu, również wraz z czarnoksiężnikiem.

Stał w oknie przez prawie trzy godziny po skończeniu ceremonii, przyglądając się tłumom. Ludzie mieli sobie tyle do powiedzenia. Ten musiał poinformować Tamtego, gdzie się dokładnie znajdował, gdy usłyszał, że stary król nie żyje, a potem obaj musieli porozmawiać z Kimś Innym. Kobiety po raz ostatni płakały nad Rolandem i wydziwiała, jak ładnie wyglądał Tomasz i jaki był spokojny. Dzieci ganiały się, udawały, że są królami, toczyły koła, przewracały się, obcierały

sobie kolana, płakały, a potem śmiały się i znowu bawiły w berka. Mężczyźni poklepywali się po plecach i mówili, że teraz już chyba wszystko będzie dobrze – ostatni tydzień dostarczył im okropnych przeżyć, ale teraz wszystko się ułoży. Jednak rozmowy te zawierały w sobie matowożółtą nić niepokoju, jakby wiedziano, że wszystko nie jest dobrze, że zło spowodowane przez zamordowanie króla nie zostało jeszcze naprawione.

Piotr oczywiście nie był w stanie tego stwierdzić ze swego odosobnienia wysoko na Iglicy, ale coś wyczuwał.

O trzeciej, trzy godziny wcześniej niż zwykle, otwarto karczmy, teoretycznie żeby uczcić koronację nowego króla, ale w rzeczywistości dlatego, że stanowiło to dobry interes. Ludzie chcieli pić i bawić się. O siódmej wieczorem większość ludności miasta zataczała się po ulicach pijąc zdrowie Tomasza Dawcy Światła (albo wdając się między sobą w bójki). Zapadał zmrok, gdy świętujący zaczęli się rozpraszać.

Piotr opuścił okno, podszedł do jedyne go zydła w swojej „bawialni” (nazwa ta brzmiała mu jak zły żart) i po prostu siedział na nim z rękoma złożonymi na kolanach. Siedział i patrzył, jak zapada zmrok. Przyniesiono kolację – tłuste mięso, wodniste piwo, chleb z grubej mąki tak słony, że gdyby się go zjadło, wywołałby pieczenie w ustach. Ale Piotr nie tknął mięsa ani chleba i nie wypił piwa.

Około dziewiątej, gdy na ulicach zaczął się znowu ruch (tym razem tłum był bardziej niesforny, jakby miały rozpocząć się zamieszki), Piotr poszedł do drugiego pokoju składającego się na jego więzienie, rozebrał do podkoszulka, umył w misce, klęknął przy łóżku i odmówił modlitwę.

Potem położył się. Miał tylko jeden koc, chociaż w maleńkiej sypialni było bardzo zimno. Piotr podciągnął go pod brodę, założył ręce pod głowę i zapatrzył się w mrok.

Z dołu dobiegały krzyki, wiwaty i śmiech. Od czasu do czasu dał się słyszeć dźwięk odpalanych fajerwerków, a raz około północy rozległ się głośny wybuch prochu, gdy pijany żołnierz odpalił ślepy ładunek (następnego dnia za ten pijacki salut na cześć nowego króla pechowy żołnierz został wysłany na najdalszy wschodni kraniec Delainu – proch stanowił rzadkość w królestwie i był starannie pilnowany).

Mniej więcej o pierwszej w nocy Piotr wreszcie zamknął oczy i zasnął.

Następnego ranka wstał o siódmej. Ukłął drżąc z zimna, z ust wydobywały mu się białe obłoczki pary, a na gołych rękach i nogach pojawiła się gęsia skórka; modlił się. Skończywszy ubrać się. Poszedł do „bawialni” i w milczeniu stał przy oknie przez prawie dwie godziny przyglądając się, jak w dole ożywa miasto. Budzenie się trwało tego dnia dłużej i oporniej niż zwykle – większość dorosłych mieszkańców Delainu miała tego dnia okropnego kaca. Powoli wygrzebywali się do pracy, a humory im nie dopisywały. Wielu mężczyzn szykowało się do swoich zajęć przy akompaniamencie kazań wygłaszanych przez rozgniewane żony, które nie

żywiły zbytniego współczucia dla ich bolących głów (Tomasz cierpiał na to samo – wypił za dużo wina poprzedniego wieczoru – ale przynajmniej los oszczędził mu marudnej żony).

Śniadanie, które przyniósł Piotrowi Beson, jego główny strażnik (którego także dręczył kac), składało się z płatków owsianych bez cukru, wodnistego mleka, które szybko skwaśniało, i następnej porcji przesolonego chleba. Stanowiło jaskrawy kontrast z przyjemnymi śniadankami, jakie Piotr zwykł spożywać w swoim gabinecie, więc też go nie tknął.

O jedenastej jeden ze strażników zabrał je w milczeniu.

– Naszemu księżątku zachciało się głodować – poinformował Besona.

– Świetnie – odparł obojętnie zagadnięty. – Mniej będzie kłopotu z utrzymaniem go.

– Może obawia się trucizny – odważył się strażnik, a Beson zaśmiał się, mimo iż bolała go głowa. Dowcip był przedni.

Piotr spędził większą część dnia siedząc na zydłu w „bawialni”. Późnym popołudniem podszedł do okna. Nie miało ono krat. Tylko ptak mógł się stąd wydostać inaczej niż spadając w dół. Nikt, ani Peyna, ani Flagg, ani Aron Beson, nie obawiał się, że więzień w jakiś sposób zdoła zejść na dół. Zaokrąglony mur Iglicy był idealnie gładki. Coś takiego mogło więc udać się musze, ale nie człowiekowi.

A jeśli przygnębienie skłoniłoby go do skoku w dół, kto się tym przejmie? Nikt. Oszczędzi to państwu wydatków na utrzymanie mordercy o błękitnej krwi.

Słońce zaczęło przesuwając się po podłodze, a potem po ścianie. Piotr siedział i obserwował je. Przyniesiono obiad – tłuste mięso, wodniste piwo i słony chleb. Piotr nie ruszył go.

Gdy słońce zaszło, siedział w ciemnym pokoju aż do dziewiątej, a potem poszedł do sypialni. Rozebrał się do podkoszulka, ukląkł i modlił się, a z ust jego wydobywały się białe obłoczki pary. Położył się do łóżka, założył ręce pod głowę i leżał na wznak patrząc w mrok. Leżał myśląc o tym, na co mu przyszło. Około pierwszej w nocy zasnął. To samo miało miejsce drugiego dnia.

I trzeciego.

I czwartego.

Dokładnie przez tydzień Piotr nie jadł, nie odzywał się i nie robił nic poza wyglądaniem przez okno albo siedzeniem na zydłu w „bawialni” i obserwowaniem, jak słońce przesuwa się po podłodze, ścianie i dociera do sufitu. Beson był przekonany, że chłopiec znalazł się w otchłani czarnej rozpacz i poczucia winy – widział już takie rzeczy, zwłaszcza pośród przedstawicieli królewskiego rodu. Uznał, że chłopiec umrze jak dziki ptak, który nie znosi zamknięcia. Zmarnieje, a jemu spadnie kłopot z głowy.

Ale ósmego dnia Piotr posłał po Arona Besona i dał mu pewne polecenia... ale nie zachowywał się jak więzień.

Zachował się jak król.

Rozpacz nie ominęła Piotra... ale nie była ona tak głęboka, jak sądził Beson. Pierwszy tydzień w Iglicy spędził on na starannym przemyśleniu sytuacji usiłując zdecydować, co powinien dalej robić. Pościł, aby odzyskać jasność myśli. W końcu osiągnął to, ale przez jakiś czas czuł się okropnie zagubiony, a powaga sytuacji ciążyła mu jak młot kowalski. Potem przypomniał sobie prosty fakt: on sam wiedział przecież, że nie zabił ojca, nawet jeśli wszyscy obywatele królestwa uważali, że tak było.

Przez dwa pierwsze dni walczył z bezsensownymi uczuciami. Dziecko krzyczało w nim: To niesprawiedliwe! Stała się niesprawiedliwość! Stanowiło to oczywiście prawdę, ale takiego rodzaju myślenie nie prowadzi do niczego. W miarę upływu czasu odzyskiwał panowanie nad sobą. Pusty żołądek pomagał mu odrzucić to, co pozostało w nim z dziecka. Czuł się czystszy, jakby odrzucił wszystkie plewy, pusty... jak kielich czekający na napełnienie. Po dwu lub trzech dniach niejedzenia burczenie w brzuchu przycichło, a on zaczął wyraźniej słyszeć swoje prawdziwe myśli. Modlił się, ale zdawał sobie sprawę, że robi coś więcej; rozmawiał ze sobą, wsłuchiwał się w siebie, zastanawiał się, czy istnieje wyjście z tego podniebnego więzienia, do którego tak zręcznie go zapakowano.

Nie zabił ojca. To sprawa podstawowa. Ktoś rzucił na niego podejrzenie. To drugie. Kto? Istniała tylko jedna osoba, która mogła to zrobić, oczywiście; jedyna osoba w całym Delainie mogąca mieć tak straszliwą truciznę jak Smoczy Piasek.

Flagg.

Pasowało znakomicie. Flagg wiedział, że w królestwie rządzonym przez Piotra nie znajdzie się dla niego miejsce. Flagg zadbał, żeby zaprzyjaźnić się z Tomaszem... i żeby Tomasz go się bał. W jakiś sposób Flagg zamordował Rolanda, a potem dostarczył dowodów, które zaprowadziły Piotra na wieżę.

Do tego doszedł trzeciego wieczoru panowania Tomasza.

Co miał zatem czynić? Pogodzić się z losem? Przenigdy. Uciec? Nie potrafił. Nikt nigdy nie uciekł z Iglicy.

Chyba że...

W mroku zabłysło mu słabe światełko. Miało to miejsce czwartego wieczoru, gdy patrzył na tacę z obiadem. Tłuste mięso, wodniste piwo, słony chleb. Gładki, biały talerz. Brak serwetki.

Chyba że...

Światełko stało się jaśniejsze.

Być może znalazł drogę ucieczki. Być może. Będzie ona wielce niebezpieczna, a przygotowania zabiorą dużo czasu. A na samym końcu może się zdarzyć, że czeka go śmierć

mimo wszelkich jego wysiłków. Ale... jest to jakiś sposób.

No, a jeśli uda mu się uciec, to co dalej? Czy potrafi udowodnić czarnoksiężnikowi morderstwo? Piotr nie miał pojęcia. Flagg to stary, przebiegły lis – na pewno nie zostawił żadnych dowodów, które mogłyby go kiedyś obciążyć. Czy Piotr zdolny jest wydobyć od niego przyznanie się do winy? Istniało pewne prawdopodobieństwo, zakładając, że po pierwsze dostanie go w swoje ręce – Piotr przypuszczał, że czarnoksiężnik może rozwiać się jak dym, jeśli dowie się, że uciekł z Iglicy. Czy ktokolwiek uwierzy w zeznania Flagga, nawet jeśli Piotrowi uda się go do nich zmusić? O tak, przyznał się do zamordowania Rolanda, powiedzą ludzie. Piotr, zbiegły ojcobójca, przyłożył mu miecz do gardła. W takiej sytuacji ja przyznałbym się do wszystkiego, nawet do zamordowania samego Pana Boga!

Macie może ochotę śmiać się z Piotra, który zastanawiał się nad takimi problemami wciąż jeszcze znajdując się w więzieniu trzysta stóp nad ziemią. Moglibyście powiedzieć, że postawił sprawy odrobinę na głowie. Ale Piotr wiedział już, w jaki sposób może próbować ucieczki. Oczywiście istniało prawdopodobieństwo, że okaże się on sposobem na śmierć w kwiecie wieku, ale jemu wydawało się, że są pewne szanse sukcesu. Jednak... czy warto było podejmować się takiej pracy, jeśli w końcu nic z tego nie wyjdzie? Albo, jeszcze gorzej, gdyby miało to przynieść dalsze szkody królestwu w jakiś sposób, którego w tej chwili nie dostrzega?

Myślał o tym wszystkim i modlił się. Minęła czwarta noc... piąta... szósta. Siódmej nocy Piotr podjął decyzję: lepiej próbować, niż zaniechać; lepiej usiłować naprawić zło, nawet gdyby miał przy tym zginąć. Stała się niesprawiedliwość. Piotr odkrył pewne dziwne zjawisko – to, że właśnie jego ona spotkała, nie było w połowie tak ważne jak to, że w ogóle miała miejsce. Należało to naprawić.

Ósmego dnia panowania Tomasza posłał po Besona.

53

Beson wysłuchał mowy uwięzionego księcia z niedowierzaniem i rosnącą furią. Piotr skończył, a Aron Beson wydobył z siebie stek rynsztokowych przekleństw, które nawet dorożkarza przyprawiłyby o rumieniec wstydu. Piotr przeczekał to, nieporuszony.

– Ty zbrodniczy, zarozumiały gnojku! – zakończył Beson tonem, w którym brzmiały nutki zdziwienia. – Wydaje ci się, że nadal żyjesz w cholernym luksusie i masz służących, którzy przybiegną, ilekroć zagniesz jeden ze swoich perfumowanych paluszków. Ale tutaj to nie przejdzie, mój młody książę. O nie.

Beson pochylił się do przodu wysuwając nie ogolony podbródek i chociaż jego zapach – potu, taniego wina i łuszczącego się aż brudu – zbijał z nóg, Piotr nie cofnął się. Nie dzieliły ich

kraty; Beson nie zaczął jeszcze bać się więźniów, a tym bardziej takiego smarkacza. Główny strażnik miał pięćdziesiątkę, niski wzrost, szerokie bary i duży brzuch. Tłuste włosy otaczały strąkami jego policzki i opadały na plecy. Gdy wszedł do pokoju Piotra, jeden z pomniejszych strażników zamknął za nim drzwi na klucz.

Beson zwinął lewą pięść i potrząsnął nią Piotrowi przed nosem. Prawą rękę wsunął do kieszeni u pasa i zamknął na gładkim metalowym walcu. Jedno mocne uderzenie tak wzmocnioną pięścią potrafi złamać ludzką szczękę. Beson nieraz już tak robił.

– Możesz dać się wypchać swoimi żądaniami, książątko. A następnym razem, jeśli przyjdzie ci do głowy wzywać mnie do takich królewskich bzdur, popamiętasz.

Beson skierował się do drzwi, niski, zgarbiony, przypominający do złudzenia trolla. Poruszał się w swoim własnym obłoku smrodu.

– Grozi ci popełnienie bardzo poważnego błędu – powiedział Piotr. Mówił cicho, ale stanowczo i dobitnie.

Beson odwrócił się do niego z wyrazem niedowierzania na twarzy.

– Coś ty powiedział?

– Słyszałeś – odparł Piotr. – A kiedy następnym razem się do mnie odezwiesz, śmierdzielu, to lepiej pamiętaj, że przemawiasz do osoby z królewskiego rodu. Moje pochodzenie nie zmieniło się, gdy wszedłem tu na górę.

Przez chwilę Beson nie znajdował odpowiedzi. Otworzył i zamknął usta jak ryba wydobyta z oceanu – chociaż każdy rybak złowiwszy coś tak nieprzyjemnego jak Beson z pewnością wrzuciłby to na powrót do morza. Spokojne żądania Piotra – wygłaszane tonem nie pozostawiającym wątpliwości, że są w rzeczywistości rozkazami, których wykonania nie można odmówić – doprowadziły szefa strażników do krańcowej wściekłości. Jedno z nich było żądaniem człowieka kompletnie zniewieściałego albo po prostu wariata. Beson natychmiast uznał je za nonsens albo błazeństwo. Drugie zaś miało związek z posiłkami. Połączone z faktem, że oczy Piotra wyrażały ożywienie i zdecydowanie, oznaczało, iż młody książę porzucił rozpacz i zdecydował się żyć.

Perspektywy dni spędzanych na nieróbstwie i nocnych pijatykach wyglądały kusząco. Teraz jednak oddalały się. Ten chłopak wyglądał na bardzo zdrowego i silnego. Może żyć jeszcze długo, a Beson spędzi resztę swych dni patrząc na twarz młodego mordercy – na taką myśl zazgrzytał zębami! No i...

Śmierdzielu? Czy on naprawdę nazwał mnie śmierdzielem?

– Mój drogi książę – powiedział Beson. – Myślę, że to ty popełniłeś błąd... ale obiecuję ci, że nigdy więcej już go nie powtórzysz.

Usta rozwarły mu się w uśmiechu ukazując kilka poczerniałych, zepsutych zębów. Szykując się do ataku poruszał się z nieoczekiwaną płynnością. Prawa ręka wydobyła się z kieszeni

chowając w sobie kawałek metalu.

Piotr cofnął się o krok, patrząc to na zaciśnięte w pięści dłonie Besona, to na jego twarz. Za plecami Besona otworzyło się maleńkie, zakratowane okienko znajdujące się w drzwiach. Dwu strażników tłoczyło się tam, nie ogolony policzek przy nie ogolonym policzku, uśmiechając się radośnie w oczekiwaniu.

– Wiesz, że królewscy więźniowie mają pewne ulgi w drobnych sprawach – powiedział Piotr wciąż cofając się i krążąc. – Taki jest zwyczaj. A ja nie poprosiłem cię o nic niewłaściwego.

Beson uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wyobrażał sobie, że usłyszał strach w głosie Piotra. Mylił się. Ten błąd miał wkrótce zostać wyjaśniony w sposób, do jakiego nie był przyzwyczajony.

– Za takie zwyczaje się płaci, nawet w rodach królewskich, moje książątko – Beson potarł kciuk lewej ręki o wskazujący palec. Prawa ciasno zaciskała się na kawałku metalu.

– Jeśli chodzi o jakieś pieniądze od czasu do czasu, to się da załatwić – rzekł Piotr ciągle oddalając się łukiem od Besona. – Ale pod warunkiem, że natychmiast przestaniesz się tak niemądrze zachowywać.

– Boisz się, co?

– Bać to możesz się ty – powiedział Piotr. – Najwyraźniej chcesz zaatakować królewskiego brata.

Cios był celny i Beson zawahał się na chwilę. Potem rzucił okiem na otwarty judasz w drzwiach, zobaczył swoich strażników i twarz znowu mu pociemniała. Gdyby się teraz wycofał, miałby z nimi kłopoty – nic, z czym nie potrafiłby sobie dać rady, oczywiście, ale tak czy siak jeszcze jeden problem przez tego smarkacza.

Rzucił się naprzód i zamachnął obciążoną pięścią. Uśmiechał się. Krzyki księcia padającego na kamienną posadzkę, trzymającego się kurczowo za rozbity, krwawiący nos, będą, jak sądził, cienkie i dziecięce.

Piotr cofnął się lekko, poruszając się płynnie niczym w tańcu. Złapał pięść Besona nie dając się zaskoczyć jej obciążeniem – zauważył błysk metalu pomiędzy jego spuchniętymi palcami. Szarpnął z siłą, o jaką Beson nie posądziłby go pięć minut wcześniej. Beson poleciał łukiem i huknął w półokrągłą ścianę „bawialni” Piotra tak, że zagrzechotały mu resztki zębów. W oczach zobaczył gwiazdy. Metalowy walec wypadł mu z ręki i potoczył się po podłodze. I zanim Beson zdążył zacząć wracać do siebie, Piotr skoczył i porwał kawałek metalu. Poruszał się z gracją i płynnością kota.

To się nie może dziać – pomyślał Beson z rosnącym niesmakiem i otepiałym zdziwieniem. To przecież się nie dzieje.

Nigdy nie żywił obaw przed wejściem do dwupokojowego więzienia na szczycie Iglicy, bo nigdy nie znajdował się w nim więzień, czy to krwi szlacheckiej, czy królewskiej, który zdołałby

mu dorównać. O tak, odbyło się tu kilka sławnych walk, ale wszystkich potrafił nauczyć, kto tu rządzi. Na dole może stali na szczycie hierarchii, ale tu on był panem i szybko nabierali szacunku dla jego nabitych, pokrytych brudem mięśni. A teraz ten dzieciak...

Rycząc z wściekłości Beson oderwał się od ściany potrząsając głową, żeby prędzej oprzytomnieć i rzucić się na Piotra, który trzymał już metalowy cylinder ukryty w swojej prawej dłoni. Strażnicy stali gapiąc się z ogłupiałym podziwem na ten nieoczekiwany zwrot wydarzeń. Żadnemu nie przyszło do głowy wtrącać się; nie mniej niż Beson nie wierzyli własnym oczom.

Beson ruszył w stronę Piotra z wyciągniętymi ramionami. Skoro księżę pozbawił go kastetu, nie miał najmniejszego zamiaru wdawać się w pozbawione wszelkich reguł młócenie pięściami, które uważał za „boks”. Dążył do zwarcia, chciał go złapać, przewrócić na podłogę, usiąść na nim i dusić, dopóki nie straci przytomności.

Ale Piotr znikł z miejsca, w którym znajdował się przed chwilą jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wykonując krok w bok i kuląc się. Gdy krępy, trollowaty główny strażnik mijał go usiłując zawrócić, Piotr uderzył go trzykrotnie prawą pięścią, w której znajdował się metalowy walec. To nieuczciwe, ale cóż, to nie ja przyniosłem tutaj ten kawałek metalu – pomyślał. Ciosy nie sprawiały wrażenia mocnych. Gdyby Beson obserwował jakąś walkę i zobaczył te trzy szybkie, krótkie uderzenia, zaśmiałyby się i powiedziałby, że to „babskie ciosy”. Dla niego bowiem uderzenie zadane przez mężczyznę to cios z szerokiego zamachu, przy którym aż świszczę powietrze.

Ale to nie były babskie ciosy, jak mógłby pomyśleć Beson i jemu podobni. Każdy z nich został wyprowadzony z ramienia, tak jak pokazywał Piotrowi jego nauczyciel boksu podczas lekcji odbywanych dwa razy w tygodniu w ciągu ostatnich sześciu lat. Ciosy były oszczędne, nie wywoływały świstu powietrza, ale Beson poczuł się, jakby został trzykrotnie raz za razem kopnięty przez bardzo małego kuczka o bardzo dużych kopytach. Odczuł ostry ból w lewej stronie twarzy, gdy pękła kość policzkowa. Besonowi wydało się, jakby trzasnęła mu w głowie gałązka. Znowu poleciał na ścianę. Uderzył w nią jak szmaciana lalka, a potem ugięły się pod nim nogi. Patrzył na księcia ze zrozumiałym przerażeniem.

Strażników przyglądających się przez otwór w drzwiach zatkało. Beson pokonany przez dzieciaka? Równie trudno w to uwierzyć, jak w deszcz padający z bezchmurnego nieba. Jeden z nich rzucił okiem na trzymany w ręku klucz, przez moment zastanawiał się, czy nie należałoby wejść do środka, ale wybrał bezpieczniejsze rozwiązanie. Można tam było oberwać. Wsunął klucz do kieszeni, żeby móc potem twierdzić, że o nim zapomniał.

– Będziesz teraz rozsądny? – Piotr nawet się nie zadyszał. – To bez sensu. Żądam od ciebie tylko dwóch drobnych uprzejmości, za które nie ominie cię dobra zapłata. Ty...

Rycząc wściekle Beson raz jeszcze rzucił się na Piotra. Tym razem nie spodziewał się on ataku, lecz mimo to zdołał wykonać unik, tak jak matador usuwa się z drogi przed

nieoczekiwanie szarżującym bykiem – matador może zostać zaskoczony, a nawet przebity rogiem, ale rzadko zdarza mu się przy tym stracić grację. Piotr uskoczył z wdziękiem, ale został zraniony. Beson miał długie, nierówne i brudne pazury – przypominające raczej szpony niż ludzkie paznokcie – i lubił opowiadać swoim podwładnym (zwłaszcza w ponure, zimowe wieczory, gdy wydawało mu się, że pragnęliby posłuchać jakiejś makabrycznej historii) o czasach, gdy od ucha do ucha rozorał szyję więźnia paznokciem kciuka.

Teraz, gdy Beson go mijał, jeden z nich narysował krwawą linię na lewym policzku Piotra. Rozcięcie biegło od skroni do brody omijając lewe oko zaledwie o pół cala. Skóra została przecięta na wylot, a Piotr do końca życia nosił bliznę jako pamiątkę spotkania z Besonem.

Piotr poczuł gniew. Wszystko to, co zdarzyło się w ciągu ostatnich dziesięciu dni, nagle zestrzeliło mu się w głowie w jedną całość i na chwilę ogarnęła go taka złość, że prawie – ale nie całkiem do końca, tylko prawie – gotów był zabić brutalnego głównego strażnika zamiast dać mu wyłącznie nauczkę, której nigdy, ale to nigdy nie zapomni.

Gdy Beson odwrócił się, zbiła go z nóg seria lewych sierpowych i prawych prostych. Proste w normalnych warunkach nie wyrządziłyby mu wielkiej krzywdy, ale półtora funta w dłoni Piotra przydało im morderczej siły. Jeden z ciosów wybił Besonowi szczękę. Beson zawył z bólu i usiłował przejść do zwarcia. Okazało się to błędem. Rozległ się chrzęst łamanego nosa i krew buchnęła mu do ust i na brodę. Ciekła po jego brudnym kaftanie. A potem poczuł przeszywający ból, gdy obciążona prawa pięść zamknęła mu usta. Beson wypluł ząb na podłogę i usiłował się wycofać. Zapomniał o przyglądających się strażnikach, którzy teraz obawiali się włączyć do walki. Nie pamiętał też już o swoim gniewie wywołanym zachowaniem młodego księcia i utracił wszelką chęć dania mu nauki.

Po raz pierwszy podczas swego urzędowania jako główny strażnik Beson się bał.

Powodem nie był fakt, że Piotr bił go teraz, jak chciał. Zdarzały mu się już gorsze pobicia, chociaż nigdy z rąk więźnia. Nie, to wyraz oczu Piotra tak go przeraził. To spojrzenie króla. Bogowie, ratujcie mnie, to twarz króla – jego gniew pali niczym słoneczny żar.

Piotr rzucił Besona na ścianę, ocenił odległość do jego szczęki i zamierzył się prawą, wycelowaną do ciosu pięścią.

– Chcesz, żebym cię dalej przekonywał, śmierzdielu? – zapytał ponuro.

– Już nie – wymamrotał Beson ciężko dysząc. – Już nie, o, królu, miej litość, poddaję się.

– Co? – zapytał Piotr ze zdumieniem. – Jak ty mnie nazwałeś?

Ale Beson powoli osuwał się po zakrzywionej ścianie. Gdy zwracał się do Piotra „o, królu”, zrobił to podświadomie. Nie pamiętał potem, żeby tak powiedział, ale Piotr nie zapomniał nigdy.

Beson leżał nieprzytomny przez ponad dwie godziny. Gdyby nie ciężki chrapliwy oddech, Piotr zacząłby się obawiać, że naprawdę zabił głównego strażnika. Był on opasłą, złośliwą i wredną świnią... ale mimo wszystko Piotr nie chciał pozbawiać go życia. Strażnicy na zmianę przyglądali się przez okienko w dębowych drzwiach, a oczy mieli okrągłe ze zdziwienia – niczym mali chłopcy obserwujący anduańskiego tygrysa ludożercę w królewskiej menażerii. Żaden nie próbował iść na ratunek zwierchnikowi, a wyraz ich twarzy powiedział Piotrowi, iż obawiają się, że w każdej chwili może on rzucić się na nieprzytomnego Besona i rozszarpać mu gardło. Najprawdopodobniej zębami.

No, ale czemu mieliby tak nie myśleć, zastanawiał się z goryczą Piotr. Uważają, że zabiłem własnego ojca, a człowiek zdolny do takiego czynu nie zawaha się przed najgorszym, nawet przed zamordowaniem nieprzytomnego przeciwnika.

Wreszcie Beson zaczął jęczeć i poruszać się. Prawa powieka zadrgała i otworzyła się – lewa nie, i tak miało pozostać jeszcze przez kilka dni.

Prawe oko patrzyło na Piotra nie z nienawiścią, ale z nie ukrywanym strachem.

– Jesteś gotów rozmawiać rozsądnie?

Beson odpowiedział coś, czego Piotr nie potrafił zrozumieć. Brzmiało jak bełkot.

– Nie rozumiem.

Beson spróbował od nowa.

– Mogłeś mnie zabić.

– Nigdy nikogo nie zabiłem – powiedział Piotr. – Może nadejść czas, kiedy zostanę do tego zmuszony, ale mimo to nie chciałbym zaczynać od nieprzytomnych strażników.

Beson usiadł opierając się o ścianę i patrząc na Piotra swoim otwartym okiem. Wyraz głębokiego zamyślenia, absurdalny i trochę przerażający wobec opuchlizny i siniaków, zagościł na jego twarzy.

W końcu udało mu się wydobyć z siebie jeszcze jedno bełkotliwe zdanie. Piotrowi wydawało się, że zrozumiał, ale chciał mieć absolutną pewność.

– Powtórz, proszę, panie główny strażniku.

Beson odczuł zaskoczenie. Tak jak Josefa nigdy nie nazywano głównym koniuszym, tak dla Besona nowość stanowił główny strażnik.

– Możemy się dogadać – powiedział.

– Doskonale.

Beson powoli i z trudnością podniósł się na nogi. Nie chciał mieć więcej do czynienia z Piotrem, przynajmniej tego dnia. Miał inne problemy. Jego strażnicy dopiero co byli

świadkami, jak został ciężko pobity przez chłopca, który od tygodnia nic nie jadł. Patrzyli, tchórzliwe moczymordy, i nic ponadto. Bolała go głowa, ale zanim pójdzie spać, dobrze byłoby wybatożyć nieszczęsnych głupców.

Wychodził, gdy Piotr zawołał za nim.

Beson odwrócił się. To powiedziało wszystko. Obaj wiedzieli, kto tu rządzi. Beson został pokonany. Gdy jego więzień kazał mu zaczekać, czekał.

– Mam ci coś do oznajmienia. Będzie dla nas obu lepiej, jeśli to powiem.

Beson nie odezwał się. Stał tylko i przyglądał się czujnie Piotrowi.

– Każ im – Piotr skinął głową w stronę drzwi – zamknąć judasz.

Beson popatrzył na Piotra, a potem odwrócił się do podglądających strażników i wydał im polecenie.

Strażnicy w owej chwili tłoczyli się przy otworze w drzwiach, stojąc bezmyślnie i nie rozumiejąc niewyraźnej mowy Besona... albo tylko udając. Beson oblizał pokryte zakrzepłą krwią wargi i odezwał się wyraźniej, choć oczywiście sprawiło mu to ból. Tym razem judasz został zamknięty od zewnątrz... ale przedtem Beson usłyszał pogardliwy śmiech swoich podwładnych. Westchnął ze zmęczeniem – będzie musiał udzielić im paru lekcji, zanim pójdzie do domu. Na szczęście tchórze uczą się szybko. Książę, cokolwiek by się o nim powiedziało, do nich nie należał. Beson zastanawiał się, czy rzeczywiście chce się dogadywać z Piotrem.

– Dam ci list, który trzeba zanieść do Andersa Peyny – rzekł Piotr. – Mam nadzieję, że pójdziesz do niego dziś wieczorem.

Beson nie odpowiedział, albowiem zastanawiał się usilnie. Sprawy przybrały niespodziewany obrót. Peyna! List do Peyny! Przeżył nieprzyjemny moment, gdy Piotr przypomniał mu, że jest bratem króla, ale to było o wiele gorsze. Peyna, o bogowie!

Im dłużej nad tym myślał, tym mniej mu się to podobało.

Król Tomasz przypuszczalnie by się nie zmartwił, że jego brata maltretują w Iglicy. Po pierwsze, zamordował on ojca; w tej chwili Tomasz prawdopodobnie nie żywił do niego nadmiaru braterskiej miłości. Co więcej, Beson nie odczuwał zbytniego strachu, gdy wymieniano imię króla Tomasza Dawcy Światła. Podobnie jak prawie wszyscy w Delainie Beson zdążył już nabrać dla niego pewnej pogardy. Ale Peyna... o, to zupełnie co innego.

Dla Besona i jemu podobnych Anders Peyna stanowił postać o wiele bardziej przerażającą niż cały regiment królów. Król to odległa, nieprzystępna istota, świetlista i tajemnicza jak słońce. Wszystko jedno, czy słońce zaszło za chmury i spowodowało mróz, czy też wyszło lejąc z nieba żar i piekąc człowieka żywcem – można to było jedynie przyjąć do wiadomości, bo działania słońca znajdują się daleko poza zasięgiem zrozumienia czy też wpływu istot śmiertelnych.

Peyna należał do postaci o wiele bardziej ziemskich. Można je rozumieć... i bać ich się. Peyna o wąskiej twarzy i lodowato niebieskich oczach. Peyna w swoich szatach sędziego, który

decyduje, kto pozostanie przy życiu, a kto pójdzie pod topór kata.

Czy ten chłopiec naprawdę mógł wydawać ze swej celi na szczycie Iglicy polecenia dla Peyny? Czy był to rozpaczliwy blef?

Jak może blefować, jeśli chce napisać do niego list, który ja mam zanieść? – zastanawiał się Beson.

– Gdybym był królem, Peyna musiałby słuchać wszystkich moich rozkazów – powiedział Piotr. Teraz, uwięziony, już nim nie jestem. Jednak niedawno zrobiłem mu uprzejmość, za którą, jak sądzę, jest mi bardzo wdzięczny.

– Rozumiem – rzekł Beson starając się mówić wymijająco.

Piotr westchnął. Poczł nagłe zmęczenie i pomyślał, że goni za naiwnymi mrzonkami. Czyżby rzeczywiście uwierzył, że stawia pierwsze kroki na drodze do wolności bijąc głupiego strażnika i zmuszając go, żeby robił, co mu każe? Czy miał jakąkolwiek gwarancję, że Peyna zechce zrobić cokolwiek dla niego? Może przysługa, jaką mu zawdzięczał, istnieje tylko w wyobraźni Piotra?

Ale trzeba było sprawdzić. Przecież zdecydował, podczas długich samotnych nocy spędzonych na medytacjach, gdy opłakiwał los ojca i swój własny, że największym grzechem jest rezygnacja.

– Peyna nie jest moim przyjacielem – ciągnął Piotr. – Nie mam zamiaru usiłować ci tego wmawiać. Zostałem skazany za zamordowanie ojca, króla, i nie wyobrażam sobie, żeby ktoś żywił do mnie przyjaźń w całym Delainie od północy na południe. Zgadzasz się, panie główny strażniku?

Tak – powiedział martwo Beson. – Zgadzam się.

– Jednakże przypuszczam, że Peyna podejmie się dostarczenia ci gratyfikacji, jakich oczekujesz od więźniów.

Beson skinął głową. Ilekroć w Iglicy znajdował się obojętnie jak długo więzień szlacheckiego rodu, Beson zazwyczaj starał się, żeby dostawał lepsze jedzenie niż tłuste mięso i wodniste piwo, co tydzień świeżą pościel, a czasami zezwalał na wizytę żony albo ukochanej. Nie robił tego za darmo, oczywiście. Więźniowie tacy pochodzili zazwyczaj z bogatych rodzin, w których zawsze znajdował się ktoś skłonny zapłacić Besonowi za jego usługi, bez względu na rodzaj przestępstwa popełnionego przez więźnia.

Ta zbrodnia była szczególnie ohydna, ale chłopiec utrzymywał, że ni mniej, ni więcej, tylko sam Anders Peyna okaże się skłonny zapłacić łapówkę.

– Jeszcze jedno – rzekł cicho Piotr. – Sądzę, że Peyna zrobi to, bo jest człowiekiem honoru. A gdyby miało mi się coś stać – gdybyście ty i kilku twoich podwładnych wpadli tu w nocy i pobili mnie w zemście za to, co ja ci zrobiłem, na przykład – przypuszczam, że Peyna mógłby zainteresować się tą sprawą.

Piotr przerwał.

– Osobiście się zainteresować. – Popatrzyl uważnie na Besona. – Rozumiesz?

Tak – powiedział Beson, a potem dodał: – panie.

– Dostarczysz mi piór, kałamarz, bibułę i papier?

– Tak – Podejdz tu.

Beson usłuchał z lekkim drżeniem.

Główny strażnik cuchnął okropnie, ale Piotr nie cofnął się – odkrył, że odór zbrodni, o jaką go oskarżono, uodpornił go na zapach potu i brudu. Popatrzyl na Besona z cieniem uśmiechu.

– Szepnij mi do ucha – powiedział.

Beson zamrugął niepewnie oczyma.

– Co mam szepnąć, panie?

– Liczbę – rzekł Piotr.

Po chwili namysłu Beson szepnął.

55

Jeden ze strażników przyniósł Piotrowi żądane materiały piśmienne. Rzucił na niego ostrożne spojrzenie jak bezpański kot, który nieraz już dostał kopniaka, i uciekł, zanim zdążył mu przypaść w udziale los podobny Besonowi.

Piotr usiadł przy chwiejnym stole koło okna, wydychając obłoczki pary. Słuchał niespokojnego zawodzenia wiatru wokół czubka Iglicy i patrzył w dół, na światła miasta.

Szanowny Panie Sędzio Najwyższy – napisał i przerwał.

Czy zobaczywszy, od kogo jest ten list, zemniesz go w dłoni i wrzucisz bez czytania w ogień? Czy też przeczytasz i z pogardą wyśmiejesz głupca, który zamordowawszy ojca ośmielił się oczekiwać pomocy od Sędziego Najwyższego królestwa? A może raczej przejrzyysz intrygę i domyślisz się, jakie są moje zamiary?

Tego wieczoru Piotr miał lepszy niż zazwyczaj humor, więc pomyślał, że odpowiedź na te – trzy pytania będzie prawdopodobnie „nie”. Jego plan może się powieść, ale istniała niewielka tylko możliwość, że ktoś rozumujący w sposób tak metodyczny i uporządkowany jak Peyna będzie w stanie zgadnąć, o co w nim chodzi. Prędzej sędzia najwyższy przywdzieje suknię i zacznie tańczyć przy dźwiękach kobzy na środku placu Iglicy podczas pełni księżyca, niż domyśli się, jakie są zamiary Piotra. A ja przecież żądam tak niewiele. Cień uśmiechu znów pojawił się na jego ustach. Przynajmniej mam nadzieję i wierzę, że tak mu się wyda.

Pochylając się zanurzył gęsie pióro w kałamarzu i zaczął pisać.

Następnego wieczora, wkrótce po wybiciu dziewiątej, lokaj Andersa Peyny usłyszał niezwykle o tak późnej porze pukanie, otworzył drzwi i spojrzął z góry na stojącą w progu postać głównego strażnika. Arlen – tak nazywał się lokaj – oczywiście znał Besona z widzenia; podobnie jak pan Arlena stanowił on część maszyny prawnej królestwa. Ale teraz go nie poznał. Ślady cięgow, jakie Beson otrzymał od Piotra, goiły się dopiero jeden dzień, więc na twarzy jego malowały się barwy zachodu słońca – czerwienie, purpury, żółcie. Lewe oko otwierało się trochę, tworząc tylko wąską szparkę. Wyglądał jak karłowaty wampir, więc ujrawszy go lokaj zaczął natychmiast zamykać drzwi.

– Zaraz, zaraz – warknął Beson ostro, co sprawiło, że Arlen zawahał się. – Przynoszę list dla twojego pana.

Lokaj zatrzymał się na chwilę, ale potem znów chciał zamknąć drzwi. Ponura, opuchnięta twarz przeraziła go. A może to naprawdę karzeł z północy? Podobno ostatni potomkowie tych dzikich, ubierających się w skóry szczepów wymarli albo zostali wyniszczeni za czasów jego dziadka, ale jednak... nigdy nic nie wiadomo...

– Przychodzę od księcia Piotra – rzekł Beson. – Jeśli zamkniesz te drzwi, to twój pan nie pogłaszce cię za to po główce.

Arlen zawahał się znowu, rozdarty między chęcią zamknięcia drzwi przed nosem tego wampira a posłuszeństwem wobec władzy, jaką wciąż znamionowało imię Piotra. Jeśli ten człowiek przyszedł od niego, to znaczy, że jest głównym strażnikiem Iglicy. Ale...

– Nie wyglądasz jak Beson – powiedział.

– A ty nie wyglądasz jak twój ojciec, Arlenie, więc zastanawiam się, gdzie też włóczyła się twoja matka – odparł bezczelnie opasy karzeł i wsunął wysmarowaną kopertę przez szparę we wciąż uchylonych drzwiach. – Masz... zanieś mu to. Poczekam. Jak chcesz, to zamknij drzwi, chociaż cholernie tu zimno.

Dla Arlena mogło być i dwadzieścia stopni poniżej zera. Nie dopuści przecież, żeby ten okropny stwór grzał sobie stopy przy kominku w kuchni dla służby. Porwał kopertę, zamknął drzwi, zasunął zasuwę i ruszył na pokoje... a potem wrócił sprawdzić, czy zasuwę na pewno dobrze trzyma.

Peyna siedział w swoim gabinecie, patrząc w ogień i rozmyślając. Gdy koronowano Tomasza, księżyc znajdował się w nowiu; nie zdążył się jeszcze znaleźć w drugiej kwadrze,

a sytuacja w królestwie przestała się Peynie podobać. Flagg – to najgorsze. Flagg. Czarnoksiężnik miał teraz więcej władzy niż za czasów panowania Rolanda. Roland był przynajmniej mężczyzną w pełni lat, mimo że niezbyt inteligentnym. Tomasz to zaledwie chłopiec, więc Peyna obawiał się, że Flagg wkrótce zapanuje nad Delainem rządząc w jego imieniu. A to nie wyjdzie królestwu na zdrowie... ani też Andersowi Peynie, który nigdy nie ukrywał swojej niechęci do czarnoksiężnika.

W gabinecie przyjemnie się siedziało przed trzaskającym w kominku ogniem, ale Peyna pomyślał, że mimo to czuje na stopach zimny powiew. To był wiatr, który mógł nadejść i wymieść... wszystko.

Dlaczego, Piotrze? Dlaczego? Czemu nie mogłeś poczekać? I czemu z zewnątrz sprawiałeś wrażenie tak doskonałego, kryjąc w sobie tyle zepsucia? Czemu?

Peyna nie wiedział... i sam sobie nie przyznałby się, nawet teraz, że zaczęły go opadać wątpliwości, czy Piotr jest naprawdę przeniknięty zgnilizną.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Peyna wstał, rozejrzał się i zawołał niecierpliwie:

– Wejść! I lepiej niech to będzie coś ważnego! Pojawił się Arlen, wzburzony i zmieszany. W rękę trzymał kopertę.

– No i?

– Panie... za drzwiami czeka człowiek... a przynajmniej coś, co wygląda jak człowiek... to znaczy, jego twarz jest okropnie spuchnięta, jakby ktoś go bardzo pobił... albo... – głos Arlena zamarł.

– A co mnie to ma obchodzić? Wiesz przecież, że nie przyjmuję o tej porze. Powiedz mu, żeby sobie poszedł. Niech idzie do diabła!

– Utrzymuje, że jest Besonem, panie – wyjąkał jeszcze bardziej zmieszany Arlen. Podniósł wysmarowaną kopertę, jakby chciał się nią zasłonić. – Przyniósł to. Mówi, że jest to list od księcia Piotra.

Peynie serce podskoczyło do gardła, ale popatrzył tylko jeszcze srożej na Arlena.

– No a jest?

– Od księcia Piotra? – Arlen prawie bełkotał. Stracił kompletnie zwykłe panowanie nad sobą, co bardzo zainteresowało Peynę. Nie wierzył on dotąd, że Arlen może utracić spokój nawet podczas pożaru, powodzi albo inwazji smoków. – Panie, skąd mam wiedzieć... To znaczy ja...

– Czy to Beson, idioto?

Arlen nerwowo oblizał wargi – naprawdę je oblizał. To było niesłychane.

– No, może tak, panie... istnieje pewne podobieństwo... ale ten osobnik jest okropnie posiniaczony i spuchnięty... ja... – Arlen przełknął. – Wydawało mi się, że wygląda jak karzeł – wydusił z siebie najgorszą jego zdaniem wiadomość i usiłował ją złagodzić nieszczerem

uśmiechem.

To jest Beson – pomyślał Peyna. To Beson, a jeśli wygląda, że ktoś go pobił, to dlatego, że dostał cięgi od Piotra. Dlatego właśnie przyniósł list. Bo Piotr zbił go, a on się bał odmówić. Cięgi to jedyna rzecz, jaka może przemówić do takich jak on.

Serce Peyny przepełniło nagłe uczucie uniesienia: czuł się jak ktoś, kto znajdując się w ciemnej jaskini, nagle zobaczy promyk światła.

– Daj mi ten list – powiedział.

Arlen usłuchał. Potem uczynił gest, jakby chciał umknąć, co też było czymś nowym, bo Arlen nigdy nie zmykał. Przynajmniej – dodał jego prawniczy jak zawsze umysł – ja nigdy nie widziałem, żeby zmykał.

Pozwolił Arlenowi dojść aż do drzwi, jak doświadczony wędkarz pozwala płynąć rybie, która złapała haczyk, a potem zatrzymał go z nienacka.

– Arlen.

Lokaj odwrócił się. Zebrał się w sobie, czekając na reprimendę.

– Karły już nie istnieją. Twoja matka tego ci nie powiedziała?

Tak – odparł niechętnie Arlen.

– Bardzo rozsądnie. Mądra kobieta. Te mrzonki, jakie sobie wbiłeś do głowy, pochodzą w takim razie od twojego ojca. Wpuść głównego strażnika. Do kuchni dla służących – dodał pośpiesznie. – Nie chcę go tutaj. Cuchnie. Ale wpuść go do kuchni dla służących, żeby się ogrzał. Noc jest zimna.

Od śmierci Rolanda – pomyślał Peyna – wszystkie wieczory stały się chłodne, stanowiąc jakby wyrzut wobec sposobu, w jaki zginął król, płonąc od wewnątrz.

– Tak, panie – powiedział Arlen z wyraźną niechęcią.

– Zaraz po ciebie zadzwonię i powiem, co z nim robić dalej.

Arlen, pokorny już, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Peyna kilka razy obrócił kopertę w dłoniach nie otwierając jej. Smugi brudu pochodziły niewątpliwie od lepkich palców Besona. Prawie czuł zapach potu tego łobuza. Kopertę zapieczętowano płamą stearyny ze zwykłej świecy.

Pomyślał sobie – lepiej chyba zrobię, jeśli wrzucę ten list do ognia i natychmiast o nim zapomnę. Tak, cisnę go w ogień, a potem wezwę Arlena i każę dać temu pokurczowatemu głównemu strażnikowi – on rzeczywiście wygląda jak karzeł, jeśli się nad tym zastanowić – szklankę gorącego grogu, a potem go odesłać. Tak właśnie powinienem postąpić.

Ale wiedział, że tego nie zrobi. Bezsensowne uczucie – tak jakby widział promyk światła w ciemnościach – nie chciało go opuścić. Wsunął kciuk w róg koperty i oderwał pieczęć, wyjął krótki list i zaczął go czytać w blasku ognia płonącego na kominku.

Peyno, Zdecydowałem, że będę żyć.

Niewiele czytałem o Iglicy, zanim się w niej znalazłem, i chociaż słyszałem nieco więcej, to głównie plotki. Mówiono mi więc, że za pieniądze można uzyskać tu pewne drobne grzeczności. Z tego, co widzę teraz, jest to prawda. Oczywiście nie mam własnych funduszy, ale pomyślałem, że może Pan mógłby pokryć koszty. Jakiś czas temu zrobiłem Panu przysługę, więc gdyby zechciał Pan zapłacić głównemu strażnikowi osiem guldenów – i ponawiać to na początku każdego roku, który spędzę w tym nieprzyjemnym miejscu – uważałbym, że odplacił mi Pan za nią. Suma, jak Pan widzi, jest nieduża. Wynika to z tego, że proszę tylko o dwie rzeczy. Jeśli załatwi Pan, żeby Beson milczał, i umożliwi mi otrzymanie ich, nie będę więcej Panu zawracać głowy.

Wiem, że znalazłby się Pan w bardzo niekorzystnym świetle, gdyby wyszło na jaw, że udzielił mi Pan pomocy nawet w drobnej sprawie. Proponuję więc, żeby zatrudnił Pan jako pośrednika mojego przyjaciela, Bena, jeśli zdecydowałby Pan zająć się moją sprawą. Nie rozmawiałem z nim od czasu aresztowania, ale myślę i mam nadzieję, że pozostał mi wierny. Poprosiłbym raczej jego niż Pana, ale. Staadowie nie są bogaci, a Ben nie ma własnych funduszy. Wstyd mi, że muszę prosić o pieniądze, ale nie znam nikogo innego, do kogo mógłbym się zwrócić. Zrozumiem oczywiście, jeśli uzna Pan, że nie może spełnić mojej prośby. Nie zabiłem ojca.

Piotr

Peyna przyglądał się temu zadziwiającemu listowi przez czas dłuższy. Wzrok jego powracał do pierwszej linijki i do ostatniej.

Zdecydowałem, że będę żyć.

Nie zabiłem ojca.

Nie dziwił się, że chłopiec powtarzał, iż jest niewinny – znał zbrodniarzy, którzy czynili to przez lata, mimo że wina ich okazała się oczywista. Ale jego zapewnienia nie brzmiały, jakby wygłaszał je ktoś winny, były zbyt śmiałe. Zbyt... władcze.

Taak, to właśnie najbardziej zaskoczyło go w tym liście – władczy ton. Prawdziwy król, pomyślał Peyna, nie zmieni się na wygnaniu ani w więzieniu, ani nawet w wyniku tortur. Prawdziwy król nie będzie tracił czasu na usprawiedliwienia czy wyjaśnienia. Po prostu oznajmi

swoją wolę.

Zdecydowałem, że będę żyć.

Peyna westchnął. Po dłuższym czasie sięgnął po kałamarz, wziął z szuflady kartę delikatnego pergaminu i zaczął pisać. Jego list był krótszy niż Piotra. Wystarczyło mu mniej niż pięć minut, żeby go napisać, osuszyć, posypać piaskiem, złożyć i zalakować. Co wykonawszy zadzwonił po Arlena.

Lokaj sprawiający wrażenie ciężko doświadczonego przez los pojawił się prawie natychmiast.

– Czy Beson wciąż u nas jest? – zapytał Peyna.

– Chyba tak, panie – odparł Arlen. W rzeczywistości wiedział, że Beson jeszcze jest, bo podpatrywał go przez dziurkę od klucza, jak niespokojnie spacerował z kąta w kąt w kuchni trzymając w ręku kurzą nogę niczym maczugę. Gdy znikło z niej wszystko mięso, Beson zaczął gryźć kości – wydając przy tym okropne zgrzytanie – a potem wyszał z zadowoleniem szpik.

Arlen nie nabrał jeszcze pewności, że ta istota nie jest karłem... a może nawet trollem.

– Daj mu to – rzekł Peyna wręczając lokajowi list – i to, za fatygę. – Dwa guldeny z brzękiem spadły do drugiej ręki Arlena. – Powiedz mu, że może być odpowiedź. Jeśli tak, niech ją przyniesie nocą, tak jak tym razem.

– Tak, panie.

– I nie zatrzymuj go na pogaduszki – powiedział Peyna. W dziedzinie dowcipu stanowiło to szczyt jego możliwości.

– Nie, panie – odrzekł ponuro Arlen i wyszedł. Wciąż miał w pamięci dźwięk, jaki wydawał Beson krusząc w zębach kości kurczęcia.

60

Proszę – powiedział gderliwie Beson wchodząc następnego dnia do celi Piotra i rzucając kopertę w jego stronę. Prawdę mówiąc, czuł się źle. Dwa guldeny, które wręczył mu Arlen, stanowiły nieoczekiwaną gratkę, i Beson spędził większą część nocy przepijając je. Za dwa guldeny można kupić dużo miodu, więc dziś miał spuchniętą, obolałą głowę. – Zamieniam się w cholernego chłopca na posyłki.

– Dziękuję – powiedział Piotr trzymając kopertę.

– No i co? Nie otworzysz?

– Jak wyjdiesz.

Beson wyszczerzył zęby i zacisnął pięści. Piotr stał bez ruchu patrząc na niego. Po chwili Beson opuścił ręce.

– Cholerny chłopiec na posyłki, i tyle! – powtórzył i wyszedł zatrząskując za sobą ciężkie drzwi. Rozległ się łośkot przekręcanych zamków, potem stukot przesuwanych zasuw – było ich trzy, a każda z nich miała grubość równą przegubowi Piotra.

Gdy nastąpiła cisza, Piotr otworzył list. Składał się on tylko z trzech zdań.

Znam owe wieloletnie zwyczaje, o których piszesz. Sumę, o którą prosisz, da się znaleźć. Dostarczę ją wówczas, gdy dowiem się, jakie uprzejmości chcesz kupić od naszego wspólnego przyjaciela.

Piotr uśmiechnął się. Sędzia najwyższy Peyna nie należał do ludzi podstępnych – tak jak na przykład Flagg – ale był bardzo, ale to bardzo ostrożny. List dowodził tego jasno. Piotr spodziewał się, że Peyna postawi taki warunek. Czułby się zaniepokojony, gdyby Peyna nie zapytał, czego chce. Ben zostanie pośrednikiem, Peyna wkrótce przestanie brać bezpośredni udział w dawaniu łapówek, ale mimo to zachował ostrożność jak człowiek, który idzie po ruchomych kamieniach mogących w każdej chwili usunąć mu się spod nóg.

Piotr podszedł do drzwi swej celi, zastukał w nie i po krótkiej rozmowie z Besonem ponownie otrzymał kałamarz i brudne gęsie pióro. Beson znowu mamrotał, że zamieniają go w cholernego chłopca na posyłki, ale ogólnie sytuacja raczej mu odpowiadała. Może dostanie następne dwa guldeny.

– Jeśli będą do siebie pisać długo, to jak nic zostanę bogatym człowiekiem – powiedział w zasadzie do nikogo i ryknął śmiechem, mimo że bolała go głowa.

61

Peyna rozwinął drugi list Piotra i spostrzegł, że tym razem nie wymieniał on ani jednego nazwiska. Chłopak uczył się szybko. Ale czytając list, Peyna uniół brwi ze zdziwieniem.

Życzenie Pana, żeby dowiedzieć się, o co mi chodzi, jest być może przesadne, a być może nie. Nie ma to wielkiego znaczenia, znajduję się bowiem na łasce Pana. Oto dwie rzeczy, które otrzymam za Pańskie osiem guldenów rocznie:

1. Chcę dostać dom dla lalek mojej matki. Zawsze wiódł mnie do przyjemnych miejsc i wesołych przygód, i jako dziecko bardzo go lubiłem.

2. Chciałbym otrzymywać przy każdym posiłku serwetkę należącą do królewskiej wyprawy. Herb może zostać usunięty, jeśli jest to dla Pana istotne.

Oto moje żądania.

Kilkakrotnie przeczytał list, zanim wrzucił go do ognia. Czuł się nim zaniepokojony, bo go nie rozumiał. Chłopiec coś knuł... a może nie? Do czego chciał użyć domu dla lalek swojej matki? O ile Peyna wiedział, znajdował się on gdzieś na zamku, pod zakurzoną pokrowcem,

i nie widział powodów, dla których należałoby odmówić Piotrowi – oczywiście uprzednio zatrudniłoby się fachowca, żeby go dokładnie przejrzał usuwając wszystkie ostre przedmioty – maleńkie nożyki i temu podobne. Peyna przypomniał sobie, jak Piotr zachwycał się domem Sashy, gdy był mały. Pamiętał też, acz bardzo niejasno, jak Flagg upierał się, że zabawa lalkami nie jest właściwa dla chłopca, który pewnego dnia ma zostać królem. Roland nie posłuchał wtedy rady Flagga... bardzo mądrze, pomyślał Peyna, bo Piotr we właściwym czasie sam przestał zajmować się domem.

Aż do dziś.

Czy znaczyło to, że zwariował?

Nie, zdaniem Peyny.

No a serwetka... to przynajmniej rozumiał. Piotr zawsze domagał się serwetki przy każdym posiłku, zawsze starannie rozpościarał ją na kolanach niczym maleńki obrus. Nawet podczas wypraw z ojcem zawsze jej używał. To dla niego takie bardzo charakterystyczne – nie prosił o jedzenie lepsze niż ubogie racje, którego przede wszystkim żądałby każdy więzień ze szlacheckiego lub królewskiego rodu. Nie, on poprosił zamiast tego o serwetkę.

Ten upór, żeby zawsze być schludnym... zawsze mieć serwetkę... to dzieło jego matki. Jestem tego pewien – myślał Peyna. – Czy te dwa żądania mają w jakiś sposób coś wspólnego? Ale w jaki? Serwetki... i dom lalek Sashy. Co to ma znaczyć?

Peyna nie wiedział, ale nadal czuł absurdalną nadzieję. Pamiętał, że Flagg nie chciał, żeby Piotr będąc dzieckiem zatrzymał dom. Teraz, wiele lat później, chłopiec znowu o niego poprosił.

Przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl zawarta w poprzednich jak nadzieje w pierogu. Jej treść poważnie zaniepokoiła Peynę. Przypuśćmy – wyobraźmy sobie – że Piotr nie zamordował ojca, to kto pozostał? Oczywiście osoba, która była pierwszym właścicielem ohydnej trucizny. Osoba, która stałaby się nikim w królestwie, gdyby Piotr objął schedę po ojcu... a teraz stała się prawie wszystkim, gdy Tomasz zasiadł na tronie zamiast Piotra.

Flagg.

Ale myśl ta wzbudziła w Peynie niesmak. Oznaczała, że sprawiedliwość w jakiś sposób złądziła, a to bardzo niedobrze. Sugerowała ona także, iż prosta logika, która zawsze stanowiła przedmiot jego dumy, znikła w odmętach obrzydzenia, jakie odczuł na widok łez Piotra, i właśnie ta myśl – myśl, że podjął największą w swym życiu decyzję na podstawie emocji, nie faktów – była jeszcze gorsza.

Co komu szkodzi, że dostanie dom dla lalek, jeśli usunie się z niego wszystkie ostre przedmioty?

Peyna wydobyl swoje materiały do pisania i skreślił krótki list. Beson otrzymał następane dwa guldeny do przepicia – suma ta wynosiła połowę tego, co miał mieć rocznie, w zamian za drobne grzeczności dla księcia. Liczył tedy na dalszą korespondencję, ale się zawiódł.

Piotr dostał już to, czego chciał.

62

W dzieciństwie Ben Staad był szczupłym, błękitnookim chłopcem o jasnych kręconych włosach. Dziewczeta wzdychały i chichotały na jego widok od czasu, gdy skończył dziewięć lat.

– To szybko minie – powiedział ojciec Bena. – Wszyscy Staadowie w wieku chłopięcym są urodziwi, ale dorósłszy chłopak będzie wyglądał jak inni – włosy mu ściemnieją, wzrok się zepsuje i będzie miał tyle szczęścia, co tłusta świnia w królewskiej jatce.

Ale żadna z dwu pierwszych przepowiedni nie sprawdziła się. Ben był pierwszym od wielu pokoleń Staadem, którego włosy pozostały jasne w wieku lat siedemnastu i który potrafił odróżnić jastrzębia od krogulca na odległość czterystu jardów. Zamiast stać się żalonym krótkowidzem, Ben miał oczy niezwykle bystre... a dziewczeta nadal wzdychały i chichotały na jego widok, chociaż dawno już skończył dziewięć lat.

Jeśli zaś chodzi o szczęście... o, to zupełnie inna sprawa. Nie ulegało wątpliwości, że co najmniej od czterystu lat większość męskich potomków rodu Staadów miała pecha. W rodzinie Bena uważano, że może on wydobędzie ich ze szlachetnego ubóstwa. W końcu włosy mu nie ściemniały i nie stał się krótkowidzem, więc czemu miałby nie umknąć również złemu losowi? Przecież księżę Piotr został jego przyjacielem, a pewnego dnia Piotr zostanie królem.

A potem Piotra osądzono i skazano za zamordowanie ojca. Znalazł się w Iglicy, zanim ktokolwiek z zaskoczonych członków rodziny Staadów zdołał zrozumieć, co się dzieje. Ojciec Bena, Andrzej, poszedł na koronację Tomasza i wrócił do domu z podrapanym policzkiem – skaleczeniem, o którym jego żona nie uważała za stosowne rozmawiać.

– Jestem pewien, że Piotr jest niewinny – powiedział Ben podczas kolacji. – Nie mam zamiaru uwierzyć...

Chwilę potem leżał na podłodze z obolałym uchem. Ojciec stał nad nim, zupa grochowa ciekła mu po wąsach, a twarz przybrała kolor prawie purpurowy, mała zaś siostra Bena, Emmalina, zanosila się płaczem na swoim wysokim krzeselku.

– Nigdy więcej nie wymieniaj imienia tego mordercy w moim domu – powiedział ojciec.

– Andrzej! – zawołała matka. – Andrzej, on nie rozumie...!

Ojciec, zazwyczaj najłagodniejszy z ludzi, odwrócił głowę i spojrzał na matkę Bena. – Zamilcz, kobieto – rzekł i coś w jego głosie kazało jej usiąść. Nawet Emmalina przestała płakać.

– Ojczy – szepnął Ben – nawet nie pamiętam dnia, kiedy ostatni raz mnie zbiłeś. Musiały już minąć lata, jak sądzę. I nie wydaje mi się, żebyś kiedykolwiek uderzył mnie w gniewie. Ale nie zmienię zdania. Nie wierzę...

Andrzej Staad uniósł ostrzegawczo palec.

– Mówiłem ci, że nie wolno ci wymieniać jego imienia – rzekł – i tak ma być, Ben. Jesteś moim najukochańszym synem, ale jeśli wypowiesz jego imię, natychmiast opuścisz ten dom.

– Nie wypowiem go – odparł Ben wstając – ale dlatego, że też cię kocham, tato. Nie dlatego, że się ciebie boję.

– Dość tego! – zawołała z rosnącym przerażeniem pani Staad. – Nie będziecie mi się tutaj tak kłócić! Chcecie mnie doprowadzić do szaleństwa?

– Nie, mamu, nie martw się, już po wszystkim powiedział Ben. – Prawda, tato?

– Tak – rzekł ojciec. – Jesteś dobrym synem i zawsze nim byłeś, ale nigdy o nim nie mów.

Zdaniem Andy'ego Staada istniały sprawy, o których nie powinien rozmawiać z synem. Mimo że miał on już lat siedemnaście, Andy wciąż uważał go za małego chłopca.

Zdziwiłby się niepomniernie, gdyby dowiedział się, że Ben rozumiał doskonale, dlaczego ojciec go uderzył.

Zanim sprawy przybrały nieprzyjemny obrót, jak to już wiecie, przyjaźń Bena z księciem zaczęła wpływać na los Staadów. Ich farma w Centralnych Baroniach była ongiś bardzo duża. W przeciągu ostatnich stu lat musieli sprzedawać ziemię kawałek po kawałku. Zostało im teraz mniej niż sześćdziesiąt rolek, z czego większość była zastawiona.

Ale w ostatnich dziesięciu latach sytuacja zaczęła się poprawiać. Bankierzy, dawniej surowi, okazywali się skłonniejsi do prolongowania terminów spłat, a nawet oferowali nowe pożyczki na niesłychanie korzystnych warunkach. Andrzeja Staada ogromnie bolało, gdy patrzył, jak ziemia jego przodków odpada od niego rolka po rolce, a najszcześliwszy okazał się dzień, gdy mógł pójść do Halvaya, właściciela sąsiedniej farmy, i powiedzieć mu, że zmienił zdanie i nie sprzeda mu trzech rolek, które Halvay chciał kupić od dziewięciu lat. Wiedział też, komu zawdzięcza tę cudowną odmianę. Swemu synowi... synowi, który został bliskim przyjacielem księcia – następcy tronu.

A teraz Staadowie znowu stali się pechowi. Nie było to jednak wszystko, w takim wypadku po prostu wróciliby do dawniejszego życia, co zniósłby nie będąc zmuszony uderzyć swojego syna przy obiedzie... czego już zaczynał się wstydzić. Ale nie chodziło tylko o powrót do dawnej sytuacji. Sprawy pogorszyły się.

Czułość jego została uśpiona, gdy bankierzy zaczęli zachowywać się jak owce zamiast jak wilki. Zaciągnął spore pożyczki, niektóre na odkupienie ziemi ongiś sprzedanej, inne, żeby dokonać inwestycji na przykład wybudował nowy wiatrak. Teraz odczuwał pewność, że bankierzy zrzucą owcze skóry i zamiast tracić farmę po kawałku, utraci całość za jednym zamachem.

Ale to nie wszystko. Jakiś instynkt podpowiadał mu, żeby zakazać członkom swojej rodziny iść na koronację Tomasza, a on go usłuchał. Dziś cieszył się z tego.

Zdarzyło się to po uroczystościach i prawdopodobnie powinien był to przewidzieć. Wszedł do karczmy na drinka przed powrotem do domu. Cała smutna sprawa morderstwa króla i uwięzienia Piotra przygnębiła go ogromnie, więc zapragnął się napić. Ojca Bena znali wszyscy.

– Czy twój syn pomagał swemu przyjacielowi, Staad? – zawołał jeden z pijaków, po czym rozległ się nieprzyjemny śmiech.

– Czy przytrzymał starszego pana, gdy księżę wlewał mu do gardła płonące wino? – krzyknął drugi.

Andrzej odstawił na wpół opróżniony kufel. Nie powinien tu przesiadywać. Musi wyjść. Jak najszybciej.

Ale zanim zdążył się wydostać na zewnątrz, trzeci pijak – olbrzym cuchnący niczym kupa gnijącej kapusty – wciągnął go z powrotem do środka.

– Ciekawe, co ty wiesz? – zapytał basem.

– Nic – odparł Andrzej. – Nie wiem nic o tej sprawie i mój syn też nie. Chcę wyjść.

– Wyjdiesz wtedy – jeżeli w ogóle – gdy zechcemy ci pozwolić – powiedział olbrzym i pchnął go w ramiona oczekujących pijaków.

Zaczęła się przepychanka. Jeden popychał Andy'ego Staada do drugiego, czasami uderzając go, czasami szturchając łokciem, a czasem podstawiając mu nogę. Nikt nie odważył się uderzyć go pięścią, ale niewiele brakowało; widział w ich oczach, jak bardzo tego pragnęli. Gdyby było później, a oni bardziej pijani, mógłby znaleźć się w poważnym kłopotcie.

Andy nie był wysoki, ale miał szerokie bary i silne mięśnie. Oceniał, że w ucziwej walce dałby sobie radę z każdymi dwoma z tych grupek nierobów poza olbrzymem, chociaż może i temu udałoby się przetrzepać skórę. Jeden, dwu, może nawet trzech... ale ich było razem ośmiu czy dziesięciu. Gdyby miał tyle lat co Ben, jego dumę i gorącą krew, być może zaatakowałby ich. Ale skończył już czterdzieści pięć i nie bawiła go myśl o tym, że przywłókłby się do czekającej w domu rodziny pobity na kwaśne jabłko. To przeraziłoby ich i sprawiło im ból, i nic mu z tego nie przyjdzie – cóż, wrócił do nich z nową siłą pech Staadów i trzeba mu się po prostu poddać. Barman stał przyglądając się, nie robiąc nic, nie usiłując im przerwać.

W końcu pozwolili mu uciec.

Teraz bał się o żonę... córkę... a najbardziej o syna. Ben stanie się głównym celem ataków podobnych drabów. Gdyby zamiast mnie znalazł się tu Ben – pomyślał – pięści poszłyby w ruch. Pobiliby go do nieprzytomności... albo jeszcze gorzej.

Tak więc, dlatego że kochał syna i bał się o niego, uderzył go i zagroził, że wygna go z domu, jeśli Ben kiedykolwiek wymieni imię księcia.

Ludzie są czasami dziwni.

Czego Ben nie zdążył zrozumieć na temat nowego stanu rzeczy w teorii, nauczył się w praktyce następnego dnia.

Zaprowadził sześć krów na targ i sprzedał je za dobrą cenę (handlarzowi, który go nie znał, inaczej cena nie okazałaby się tak korzystna). Wracał do bram miasta, gdy grupka włóczących się mężczyzn napadła na niego wyzywając go od morderców, współników albo jeszcze gorzej.

Ben sprawił się znakomicie. W końcu pobili go dosyć poważnie – było ich siedmiu – ale zapłacili za tę przyjemność rozkrwawionymi nosami, podbitymi oczyma i wybitymi zębami. Ben podniósł się i wrócił do domu, pojawiając się w nim po zmroku. Bolało go wszystko, ale w ogólnym rozrachunku czuł się raczej zadowolony z siebie.

Ojcu wystarczyło jedno spojrzenie, żeby domyślić się dokładnie, co się stało.

– Powiedz matce, że upadłeś – rzekł.

– Tak, tato odparł Ben wiedząc, że matka nie uwierzy w coś takiego.

– A teraz ja będę dostarczał krowy na targ albo zboże czy cokolwiek... przynajmniej zanim przyjdą bankierzy i zabiorą nam wszystko.

– Nie, tato – powiedział Ben równie spokojnie jak przedtem „tak”. Jak na młodego człowieka, który dopiero co dostał tęgie lanie, znajdował się w bardzo dziwnym nastroju – prawie wesołości.

– Co to znaczy „nie”? – zapytał zaskoczony ojciec.

– Jeśli ucieknę albo ukryję się, przyjdą po mnie. Jeśli będę się bronił, w końcu się zmęczą i znajdą sobie inną rozrywkę.

– Jeśli któryś z nich wyciągnie z buta nóż – Andrew wyraził swoją największą obawę – nie dożyjesz, żeby się tym znudzili.

Ben objął ojca i mocno przytulił.

– Człowiek nie oszuka bogów – powiedział, cytując jedno z najpopularniejszych przysłów w Delainie. – Sam wiesz, tato. A ja będę walczył za P... za tego, kogo nie pozwalasz mi nazywać po imieniu.

Ojciec popatrzył na niego ze smutkiem i zapytał:

– Nigdy w niego nie zwątpisz?

– Nie – odparł z uporem Ben. – Nigdy.

– Myślę, że zanim się obejrzałem, stałeś się mężczyzną – powiedział ojciec. – Szkoda, że nastąpiło to dzięki ulicznym bójkom z ciemnymi typami. Ale nadchodzą złe czasy dla Delainu.

– Tak – zgodził się Ben. – Złe i smutne.

– Niech ci bogowie dopomagają – rzekł Andrew – i niech mają litość nad tą nieszczęśliwą

rodziną.

64

Tomasz został ukoronowany pod koniec długotrwałej, ostrej zimy. W piętnastym dniu jego panowania ostatnia z wielkich zamieci spadła na Delain. Śnieg padał szybko i gęsto, a jeszcze długo po zapadnięciu zmroku wiał wiatr, tworząc zasy wielkie niczym wydmy.

O dziewiątej wieczorem tej nieprzyjemnej nocy, gdy już wszyscy rozsądni ludzie wrócili do domu, czyjaś pięść zastukała do drzwi Staadów. Uderzenia nie były lekkie ani nieśmiałe; zabrzmiały mocno i stanowczo na solidnym dębowym drewnie. Niech no ktoś tu podejdzie, ale szybko – mówiły. – Nie mam czasu.

Andrzej i Ben siedzieli czytając przy kominku. Zuzanna Staad, żona Andrzeja, a matka Bena, ulokowała się pomiędzy nimi pracując nad makatką, na której po ukończeniu miał widnieć napis: BOŻE, BŁOGOSŁAW KRÓLA. Emmalina od dawna już spała. Usłyszawszy stukanie wszyscy troje podnieśli głowy, a potem popatrzyli na siebie. Wzrok Bena wyrażał tylko ciekawość, ale Andrzej i Zuzanna natychmiast poczuli instynktowny lęk.

Andrzej wstał wkładając do kieszeni okulary, których używał do czytania.

Tato? – zapytał Ben.

– Ja otworzę – rzekł Andrzej.

Może to będzie jakiś szukający schronienia podróżnik, który zgubił się w ciemnościach – pomyślał z nadzieją, ale gdy otworzył drzwi, na ganku zobaczył silnego i barczystego królewskiego żołnierza. Nosił on skórzany hełm bojowy. Za pasem, pod ręką, trzymał krótki miecz.

Twój syn – powiedział, a Andrzej poczuł, że uginają się pod nim nogi.

– Czego od niego chcecie?

– Przychodzę od Peyny – rzekł żołnierz, a Andrzej zrozumiał, że nie otrzyma dalszych wyjaśnień.

Tato? – odezwał się Ben zza jego pleców.

Nie – pomyślał załóżnie Andrzej – to już za wielki pech, nie zabierajcie mojego syna...

– Czy to ten?

Zanim Andrzej zdążył powiedzieć, że nie – chociaż nie przyniosłoby to większego pożytku – Ben wystąpił naprzód.

– Ja jestem Ben Staad – powiedział. – Czego ode mnie chcecie?

– Pójdiesz ze mną – odparł żołnierz.

– Dokąd?

– Do domu Andersa Peyny.

– Nie! – krzyknęła matka od drzwi ich niedużej bawialni. – Nie, jest późno, zimno, na drogach pełno śniegu...

– Mam sanie – rzekł nieustępliwie żołnierz, a Andrzej Staad zobaczył, że jego ręka spoczęła na rękojeści miecza.

– Pójdę – powiedział Ben sięgając po płaszcz.

– Ben... – zaczął Andrzej myśląc: Nigdy już go nie zobaczymy, zabierają go, bo przyjaźnił się z księciem.

– Wszystko będzie dobrze, tato – odparł Ben i uściśnął ojca. A gdy Andrzej poczuł silne ramiona syna, prawie w to uwierzył. Ale, pomyślał, on jeszcze nie wie, co to strach. Nie nauczył się, jak okrutny potrafi być świat.

Andrzej Staad objął ramieniem żonę. Stali w drzwiach i patrzyli, jak Ben i żołnierz przedzierają się przez zasy do sań, które majaczyły w mroku, połyskując zapalonymi po obu stronach latarniami. Żadne z nich nie odezwało się, gdy Ben wsiadał z jednej strony, a żołnierz z drugiej.

Tylko jeden żołnierz – pomyślał Andrzej – nie jest najgorzej. Może chcą go tylko przesłuchać. O Boże, żeby się okazało, że to tylko przesłuchanie!

Staadowie stali w milczeniu pośród wirujących u ich stóp płatków śniegu, gdy sanie odjeżdżały, migocząc latarniami i pobrzękując dzwonkami.

Gdy znikły, Zuzanna wybuchnęła płaczem.

– Nigdy już go nie zobaczymy – załkała. – Nigdy! Nigdy! Zabrali go! Przeklęty Piotr! Niech go diabli wezmą za to, co zrobił naszemu synowi! Niech go diabli! Niech go diabli!

– Ćśś, matko – powiedział Andrzej obejmując ją. – Ćśś. Zobaczymy go, zanim nadejdzie ranek. A najpóźniej w południe.

Ale ona usłyszała, że głos mu drży, i zaczęła jeszcze bardziej lamentować. Jej płacz (a może przeciąg z otwartych drzwi) obudził małą Emmalinę i dopiero po długim czasie udało się ją ukołysać do snu. W końcu Zuzanna zasnęła razem z nią w małżeńskim łóżu.

Andy Staad nie zmrużył oka tej nocy.

Siedział przy kominku podtrzymywany bezrozumną nadzieją, ale w głębi serca przeczuwał, że już nigdy więcej nie zobaczy syna.

65

Godzinę później Ben Staad stał w gabinecie Andersa Peyny. Czuł ciekawość, odrobinę podziwu, ale nie strach. Uważnie wysłuchał wszystkiego, co Peyna miał mu do powiedzenia,

a potem rozległ się brzęk monet przechodzących z rąk do rąk.

– Zrozumiałeś wszystko, chłopcze? – zapytał Peyna surowym głosem, jakiego używał na sali sądowej.

– Tak, panie.

– Muszę mieć pewność. Ta sprawa to nie zabawa w Indian. Powtórz, co masz zrobić.

– Iść do zamku i znaleźć Dennisa, syna Brandona.

– A jeśli Brandon się wtrąci? – zapytał ostro Peyna.

– Mam powiedzieć, żeby porozmawiał z panem.

– Tak jest – rzekł Peyna siadając wygodnie w fotelu.

– Mam nie mówić: „proszę to wszystko zachować w sekrecie”.

– Aha – powiedział Peyna. – Wiesz dlaczego?

Ben zastanawiał się przez chwilę ze spuszczoną głową. Peyna dał mu na to chwilę czasu. Podobał mu się ten chłopiec; sprawiał wrażenie opanowanego i odważnego. Wielu innych znalazłszy się w środku nocy przed obliczem Peyny trzęsłoby się ze strachu jak galareta.

– Bo gdybym powiedział coś takiego, doniesie prędzej, niż jeśli nie powiem nic – rzekł w końcu Ben.

Na ustach Peyny pojawił się lekki uśmiezek.

– Dobrze. Co dalej?

– Dał mi pan dziesięć guldenów. Dwa ma dostać Dennis – jednego dla siebie, drugiego dla osoby, która znajdzie dom dla lalek należący niegdyś do matki Piotra. Pozostałe osiem przeznaczone jest dla Besona, głównego strażnika. Ktokolwiek znajdzie dom, przekaze go Dennisowi. Dennis doręczy go mnie. Ja oddam go Besonowi. Serwetki zaś sam Dennis zanieś Besonowi.

– Ile?

– Dwadzieścia jeden co tydzień – odpowiedział szybko Ben. – Serwetki z wyprawy królewskiej, ale bez herbu. Pański człowiek zatrudni kobietę, która będzie je usuwać. Od czasu do czasu przyśle pan kogoś do mnie z pieniędzmi dla Dennisa albo Besona.

– Ale nic dla ciebie? – zapytał Peyna. Raz mu już je oferował, lecz Ben odmówił.

– Nie. To chyba już wszystko.

– Jesteś bystry.

– Żałuję tylko, że nic więcej nie mogę zrobić.

Peyna wyprostował się, a jego twarz przybrała surowy wyraz.

– Nie wolno ci i nie zrobisz nic – rzekł. – To jest wystarczająco niebezpieczne. Robisz uprzejmości człowiekowi, który został skazany za popełnienie obrzydliwego morderstwa – drugiego co do ohydy morderstwa, jakie człowiek może popełnić.

– Piotr jest moim przyjacielem – powiedział Ben z godnością budzącą podziw swoją

prostotą.

Anders Peyna uśmiechnął się lekko i unióśł palec, aby wskazać nim na powoli niknące zadrapania i siniaki na twarzy Bena.

– Domyślam się – rzekł – że zdążyłeś już zacząć płacić za tę przyjaźń.

– Zapłacę tysiąc razy więcej – odparł Ben. Zawahał się na chwilę, a potem powiedział śmiało: – Nie wierzę, że zabił ojca. Kochał króla Rolanda tak, jak ja kocham mojego tatę.

– Naprawdę? – zapytał z pozorną obojętnością Peyna.

– Oczywiście! – zawołał Ben. – Czy pan wierzy, że on zamordował ojca? Naprawdę pan w to wierzy?

Na twarzy Peyny pojawił się tak suchy i zacięty uśmiech, że zdołał ochłodzić nawet gorącą krew Bena.

– Gdybym nie wierzył, uważałbym, komu o tym mówię – odrzekł Peyna. – Bardzo bym się pilnował. Albo mogłoby się zdarzyć, że wkrótce poczułbym na szyi zimny topór kata.

Ben patrzył na niego w milczeniu.

– Mówisz, że jesteś jego przyjacielem, i wierzę ci. – Peyna wyprostował się na krześle i wymierzył w Bena palec. – Jeśli tak jest naprawdę, rób po prostu to, o co cię poprosiłem, i nic ponadto. Jeżeli jego tajemnicze żądania pozwalają ci się domyślać, w jaki sposób mógłby się uwolnić – a po twojej twarzy widzę, że tak jest – porzuć te przypuszczenia.

Zamiast zadzwonić po Arlena, Peyna sam odprowadził chłopca do tylnych drzwi. Żołnierz, który go tu dziś przyprowadził, jutro znajdzie się w drodze do Zachodniej Baronii.

W drzwiach Peyna powiedział:

– Pamiętaj – w najmniejszym stopniu nie waż się odstąpić od tego, co ci każę zrobić. Jak widać po twoich siniakach, przyjaciele Piotra nie są dzisiaj cenieni w Delainie.

– Będę walczył! – zawołał gorąco Ben. – Z każdym z osobna i ze wszystkimi naraz!

– Aha – rzekł Peyna z tym suchym i zaciętym uśmiechem. – Tylko że to nie koniec burz nad Delainem, lecz dopiero początek. – Otworzył drzwi; zawiąło śniegiem. – Idź teraz do domu, Ben. Myślę, że rodzice bardzo się ucieszą na twój widok.

To było spore niedopowiedzenie. Rodzice, w nocnych strojach, czekali przy drzwiach, gdy Ben je otwierał. Usłyszeli brzęczenie dzwonków zbliżających się sań. Matka płacząc chwyciła go w objęcia. Ojciec, czerwony, ze łzami w oczach ścisnął mu dłoń, aż zaczęła go boleć. Ben przypomniał sobie słowa Peyny: To nie koniec burz nad Delainem, lecz dopiero początek.

A nieco później, leżąc w łóżku z rękoma pod głową, patrząc w mrok i słuchając poświstywania wiatru Ben zdał sobie sprawę, że Peyna nie odpowiedział mu na pytanie – nie powiedział, czy wierzy, że Piotr jest winny.

66

Siedemnastego dnia panowania Tomasza syna Brandona, Dennis, dostarczył pierwsze dwadzieścia jeden serwetek do Iglicy. Przyniósł je z magazynu, którego nie znał ani Piotr, ani Tomasz, ani też Ben Staad czy nawet sam Peyna – chociaż wszyscy mieli się o nim dowiedzieć, zanim zakończyła się ponura sprawa uwięzienia Piotra. Dennis wiedział o nim, gdyż był synem lokaja z rodziny zajmującej się tą pracą od wielu pokoleń, ale ponieważ nie ceni się tego, co się zna, nie zastanawiał się zbytnio nad magazynem, z którego przynosił serwetki. Porozmawiamy sobie jeszcze później o tym pomieszczeniu; teraz powiem wam tylko, że wszyscy byliby zachwyceni widząc je, zwłaszcza Piotr. Gdyby bowiem wiedział o tej sali, najzwyczajniej w świecie dla Dennisa, spróbowałby pewnie ucieczki ni mniej ni więcej tylko trzy lata wcześniej... i wiele mogłoby się zmienić na dobre albo złe.

67

Królewski herb z każdej serwetki usuwała kobieta, którą Peyna zatrudnił dla jej zręczności w posługiwaniu się igłą oraz małomówności. Codziennie zasiadała w bujanym fotelu tuż za drzwiami do magazynu i wypruwała ścięgi szyte wiele lat temu. Gdy się tym zajmowała, usta jej zaciskały się nie tylko z jednego powodu; prucie tak pięknych haftów wydawało jej się prawie świętokradztwem, ale w rodzinie nie przelewało się, a pieniądze od Peyny okazały się zgoła darem niebios. Tak więc siedziała, nie wiedząc, że będzie to czynić przez parę ładnych lat, kołyszac się i pracując igłą jak jedna z tych niesamowitych sióstr, o których może słyszeliście w innej bajce. Nie rozmawiała z nikim o swej codziennej niszczycielskiej działalności, nawet z własnym mężem.

Serwetki pachniały dziwnie – nie pleśnią, ale raczej lekką stęchlizną, jakby od dawna ich nie używano – ale poza tym nie miały żadnych widocznych wad, każda wielkości dwadzieścia na dwadzieścia cali, co wystarczało, żeby przykryć kolana nawet najbardziej zamięłwanego amatora jedzenia.

Pierwsza dostawa serwetek miała w sobie odrobinę z przedstawienia. Dennis kręcił się koło Besona oczekując napiwku. Beson pozwolił mu na to, gdyż spodziewał się, że prędzej czy później ten nierozgarnięty chłopak da mu parę groszy. Obaj doszli wreszcie do wniosku, że nie mogą się tego po sobie nawzajem spodziewać. Dennis skierował się do wyjścia, a Beson pomógł mu kopniakiem. To wywołało wybuch śmiechu dwu strażników. Potem, ku ich zwiększonej uciesze, Beson udawał, że wyciera sobie siedzenie serwetką, ale pilnował się, żeby nie zrobić tego naprawdę – w końcu gdzieś w tej sprawie znajdował się Peyna – a z nim należało uważać.

Ale może Peyna nie utrzyma się długo. W gospodach i winiarniach Beson zaczął słyszeć szepty, że cień Flagga padł na sędziego najwyższego i że jeśli Peyna nie zachowa ostrożności, może wkrótce oglądać procedurę sądową z jeszcze wyższego miejsca niż ława, na której zwykle zasiadał – może patrzeć przez okno, mówili żartownisie zasłaniając dłonią usta, z jednego z kopców na murze zamkowym.

68

Osiemnastego dnia panowania Tomasza na przyniesionej tego ranka tacy ze śniadaniem dla Piotra leżała pierwsza serwetka. Była tak wielka, a posiłek tak skąpy, że kompletnie go przykryła. Piotr uśmiechnął się po raz pierwszy od chwili, gdy przybył do swego zimnego, wysoko ponad ziemią położonego więzienia. Policzki i podbródek pokrywał mu cień brody, która miała urosnąć na bujną i długą w tych dwu pełnych przeciągów pokojach, i wyglądał na całkiem podejrzaną osobę... dopóki się nie uśmiechnął. Uśmiech rozjaśnił mu twarz niczym latarnia, i można sobie było wyobrazić, jak na jego widok żołnierze wiwatują podczas bitwy.

– Ben – mruknął podnosząc serwetkę za róg. Ręka drżała mu nieco. – Wiedziałem, że ci się uda. Dziękuję, przyjacielu.

Pierwszą rzeczą, do jakiej Piotr użył swojej pierwszej serwetki, było otarcie łez, które płynęły mu obficie po policzkach.

Otwarto judasz w solidnych drewnianych drzwiach. Dwaj strażnicy pojawili się w nim niczym dwie głowy papugi Flagga, wciskając się, policzek przy nie ogolonym policzku, w ciasną przestrzeń.

– Mam nadzieję, że dzidzia nie zapomni wytrzeć sobie buzi! – zawołał jeden z nich gruchając swym skrzekliwym głosem.

– Żeby tylko dzidzia nie zapomniała sobie wytrzeć jajeczka z ubranka! – krzyknął drugi, po czym obaj wybuchnęli szyderyczym rechotem. Piotr spojrział na nich, a uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

Strażnicy dostrzegli to i przestali dowcipkować. Było w nim coś, co kazało im zamilknąć.

W końcu zamknęli drzwi i zostawili Piotra samego.

Z lunchem przyniesiono następną serwetkę.

A kolejną z kolacją.

Serwetki docierały do samotnej celi Piotra przez następne pięć lat.

Dom lalek przybył trzynastego dnia panowania Tomasza Dawcy Światła. Przy drogach pojawiły się już modraki, te pierwsze zwiastuny wiosny (które my nazywamy bławatkami), tworząc uroczę bukieciki. Tomasz zaś zdążył już zatwierdzić Podwyżkę Podatku dla Farmerów, która szybko została przezwana Czarnym Podatkiem Toma. Zgodnie z nowym dowcipem opowiadanym w karczmach i winiarniach król wkrótce zmieni swój przydomek na Dawcę Podatków. Zwyczaj wynosiła nie osiem procent, co byłoby sprawiedliwe, ani osiemnaście, co dałoby się wytrzymać, ale osiemdziesiąt. Tomasz z początku miał pewne wątpliwości, ale Flagg szybko je rozwiązał.

– Musimy policzyć im wyższe podatki od tego, do czego się przyznają, żeby przynajmniej odzyskać to, co nam się należy, bo przecież oni ukrywają swoje prawdziwe dochody przed poborcą – powiedział Flagg. Tomasz oszołomiony winem, które płynęło teraz na dworze strumieniami, skinął głową przybierając, jak miał nadzieję, mądry wyraz twarzy.

Piotr ze swej strony zaczął się lękać, że przez tyle lat dom się gdzieś zagubił – i był bliski prawdy. Ben Staad polecił Dennisowi go znaleźć. Po kilku dniach bezskutecznych poszukiwań Dennis zawierzył sekret swemu ukochanemu ojcu – jedynej osobie, której odważyłby się zaufać w tak poważnej sprawie. Brandon potrzebował jeszcze pięciu dni, żeby znaleźć dom dla lalek w jednym z pomniejszych magazynów na dziewiątym piętrze w Zachodniej Wieży, gdzie ukryte pod starym (i lekko nadjedzonym przez mole), poszarzałym ze starości pokrowcem ukrywały się jego wesołe sztuczne trawniki i rozległe skrzydła. Całe oryginalne wyposażenie pozostało nienaruszone i przez trzy dni Brandon, Dennis oraz specjalnie wybrany przez Peynę żołnierz usuwali z niego wszystkie ostre przedmioty. Wreszcie dom został wniesiony przez dwu paziów, którzy w strasznym trudzie wspinali się po trzystu stopniach dźwigając ciężki, nieporęczny przedmiot przybity do deski. Beson podążał tuż za nimi, klnąc i grożąc straszliwymi konsekwencjami czekającymi na nich, gdyby upuścili dom. Pot spływał im strumieniami po twarzach, ale nie odpowiadali mu.

Gdy otwarto drzwi więzienia i wniesiono dom dla lalek, Piotr wciągnął z zaskoczeniem powietrze – nie tylko dlatego, że dom wreszcie się tu znalazł, lecz także dlatego, że jednym z niosących go chłopców był Ben Staad.

Nie zdradz się! – błysnęły oczy Bena.

Nie patrz na mnie zbyt długo – odpowiedział spojrzeniem Piotr.

Peyna byłby zaskoczony, gdyby zobaczył, że mimo jego rady Ben się tu pojawił. Zapomniał on, że rozsądek starszych, znających świat ludzi niewiele ma wspólnego z logiką, jaką kieruje się serce chłopca, jeśli jest ono wielkie, dobre i przywiązane. Serce Bena miało wszystkie te trzy

cechy.

Zastąpienie jednego z paziów, którzy mieli zanieść dom lalek na szczyt Iglicy, stanowiło rzecz najłatwiejszą w świecie. Za guldena – prawdę mówiąc, wszystkie pieniądze, jakie Ben posiadał – Dennis załatwił mu to.

– Nie mów o tym swojemu ojcu – ostrzegł Ben Dennisa.

– Czemu nie? – zapytał Dennis. – Mówię ojcu prawie wszystko... a ty nie?

– Kiedyś tak – powiedział Ben, pamiętając, jak ojciec zabronił mu wymieniać w domu imię Piotra. – Ale gdy dorastasz, czasami to się zmienia. Jakkolwiek by było, nie wolno ci mu o tym mówić, Dennis. On może zawiadomić Peynę, a ja wtedy wpadnę w poważne kłopoty.

– Zgoda – obiecał Dennis. I dotrzymał słowa. Ciężko przeżył oskarżenie, a potem skazanie pana, którego bardzo kochał. W ciągu ostatnich paru dni Ben zaczął stopniowo zajmować puste miejsce w jego sercu.

– To świetnie – rzekł Ben i klepnął Dennisa po plecach. – Chcę go widzieć przez chwilę i podnieść się na duchu.

– Był twoim najlepszym przyjacielem, tak?

– Jest nim nadal.

Dennis patrzył na niego zaskoczony.

– Jak możesz uważać człowieka, który zamordował własnego ojca, za swojego przyjaciela?

– Bo nie wierzę, że to zrobił – odparł Ben. – A ty? Ku bezbrzeżnemu zdumieniu Bena Dennis wybuchnął płaczem.

– Serce mówi mi to samo, a jednak...

– Więc go słuchaj – rzekł Ben i uściśnął go niezgrabnie. – A teraz wytrzymaj pysk, zanim ktoś zobaczy, że ryczysz jak mała dzidzia.

– Zanieście to do drugiego pokoju – powiedział wtedy Piotr, przerażony drżeniem własnego głosu. Beson nie zauważył tego; zbyt był zajęty wymyślaniem obu chłopcom za ich powolność, głupotę, samo istnienie. Odtransportowali dom do sypialni i postawili na podłodze. Drugi chłopiec o mało inteligentnej twarzy opuścił swój koniec za szybko i raptownie. Rozległ się cichy trzask, jakby coś się w środku złamało. Piotr skrzywił się boleśnie. Beson dał chłopakowi szturchańca – ale czyniąc to uśmiechał się. To była pierwsza przyjemność, jaka mu się przytrafiła od chwili, gdy chłopcy pojawili się z tym przeklętym przedmiotem.

Głupkowaty chłopak podniósł się pocierając policzek, który zaczynał już puchnąć, i gapił się na Piotra ze szczerym zdziwieniem i strachem otwierając przy tym szeroko usta; Ben pozostał jeszcze przez chwilę na kolanach. Przed frontowymi drzwiami domku leżała maleńka plecionka z trzciny – coś, co my nazwalibyśmy wycieraczką, jak sądzę. Przez krótką chwilę Ben zatrzymał nad nią kciuk i popatrzył Piotrowi w oczy.

– A teraz wynoście się! – krzyknął Beson. – Obaj wynocha! Wracajcie do domów

i przeklnijcie wasze matki za to, że wydały na świat takich powolnych, niezręcznych głupków!

Chłopcy przeszli koło Piotra, prostak odsuwając się od niego, jak gdyby książkę mógł zarazić go jakąś chorobą. Wzrok Bena napotkał raz jeszcze oczy Piotra, a ten zadrżał widząc, ile zawiera on w sobie serdeczności. Po chwili już ich nie było.

– Więc masz go już, moje książątko – powiedział Beson. – A czego teraz zechcesz? Sukieneczek z falbankami? Jedwabnych majtek?

Piotr odwrócił się powoli i popatrzył na Besona. W jego wzroku było coś wzbudzającego lęk i Beson musiał sobie przypomnieć, że baba czy też nie, Piotr sprawił mu lanie, po którym przez dwa dni bolały go żebra, a przez tydzień miał zawroty głowy.

– No, to twoja sprawa – mruknął. – Ale skoro już go masz, mógłbym znaleźć ci lepszy stół. I krzesło, żebyś miał na czym usiąść, gdy... – skrzywił się. – Gdy się nim będziesz bawił.

– A ile to będzie kosztowało?

– Tylko trzy guldeny.

– Nie mam więcej pieniędzy.

– Ale znasz potężne osobistości.

– Już nie – odparł Piotr. – Dano mi przysługę za przysługę, to wszystko.

– To siedź na podłodze i odmroź sobie tyłek, i niech cię diabli! – powiedział Beson i wyszedł z pokoju. Strumyczek guldenów, który spływał do jego kieszeni od chwili, gdy Piotr pojawił się w Iglicy, najwyraźniej wysechł. Wprawiło to Besona w zły humor na wiele dni.

Piotr odczekał, aż rozlegnie się zgrzytanie zamykanych zamków i zasuw, a potem podniósł trzciniową matę, którą Ben potarł swoim kciukiem. Pod spodem znalazł kwadracik papieru nie większy niż znaczek pocztowy. Obie strony zostały zapisane gęstym maczkiem. Litery były bardzo małe, Piotr z trudnością je odczytał i domyślał się, że Ben pisał je z pomocą szkła powiększającego.

Piotrze! Zniszcz to po przeczytaniu. Nie wierzę, że to zrobiłeś. Inni z pewnością też tak myślą. Nadal jestem Twoim przyjacielem. Kocham Cię jak zawsze. Dennis też nie wierzy. Jeśli mogę okazać się pomocny, skontaktuj się ze mną przez Peynę. Bądź dzielny.

Podczas czytania tego listu oczy Piotra wypełniły się ciepłymi łzami wdzięczności. Moim zdaniem prawdziwa przyjaźń zawsze wyzwała w nas takie serdeczne uczucia, bo świat zazwyczaj sprawia wrażenie surowej pustyni, a kwiaty, które na nim kwitną, czynią to wbrew panującym na niej warunkom.

– Poczciwy Ben! – szeptał. Jego wezbrane serce nie podsunęło mu innych słów. – Kochany Ben! Kochany Ben!

Po raz pierwszy zaczęło mu się wydawać, że jego plan, szalony i niebezpieczny, ma szansę spełnienia się.

Potem pomyślał o liście. Ben zaryzykował życiem, żeby go napisać. Ben był szlachcicem –

prawie – ale nie miał w żyłach królewskiej krwi; tak więc nic nie chroniło go przed toporem kata. Gdyby Beson albo któryś z jego szakali znalazł ten list, domyśliłby się, że jego autorem jest któryś z chłopców transportujących dom lalek. Prostak nie sprawiał nawet wrażenia, że potrafi przeczytać litery w książce dla dzieci, a już na pewno nie zdołałby napisać tak maleńkich. Tak więc uwaga ich skierowałaby się na drugiego chłopca, wówczas Ben miałby niedaleko do katowskiego topora.

Udało mu się wymyślić tylko jeden pewny sposób pozbycia się listu i nie zawahał się przed zastosowaniem go; zgniótł go kciukiem i wskazującym palcem prawej ręki, a potem połknął.

70

Jestem pewien, że zdążyliście się już domyślić, jak miał wyglądać plan ucieczki ułożony przez Piotra, bo wiecie o wiele więcej niż Peyna, gdy czytał jego list. Jednak nadszedł czas, żeby powiedzieć wam o tym wprost. Piotr chciał użyć bawełnianych nici, żeby zrobić z nich linę. Nitki miały oczywiście pochodzić z brzegów serwetek. Po linie zejdzcie na dół i w ten sposób ucieknie. Śmiejecie się pewnie z tego pomysłu. Uciekać z trzystustopowej wieży po włóknach wyciągniętych z serwetek, powiecie. Któryś z was oszalał, autor albo Piotr!

Nic takiego. Piotr zdawał sobie sprawę, jak wysoko wznosiła się Iglica, i sądził, że nie powinien zabierać za dużo nitek z każdej serwetki. Jeśli wypruje zbyt wiele, ktoś może się tym zainteresować. Niekoniecznie główny strażnik; kobieta zajmująca się praniem serwetek zdziwi się, że zaczęły się zmniejszać. Powie to przyjaciółce... która z kolei przekaże to innej... i tak plotka rozniesie się... ale to nie reakcją Besona martwił się Piotr. Beson, prawdę mówiąc, nie grzeszył inteligencją.

Miał ją za to Flagg.

Flagg zabił ojca...

...i słuchał, co w trawie piszczy.

Wielka szkoda, że Piotr nigdy nie zastanowił się nad lekkim zapachem stęchlizny, jaki wydzielają z siebie serwetki, ani nie zapytał, czy zwolniono osobę zatrudnioną do usuwania królewskich herbów, gdy już wypruła kilkadziesiąt, czy też pracowała dalej – ale oczywiście miał on wiele innych zmartwień. Zauważył oczywiście, że serwetki były bardzo stare, co stanowiło duży plus – mógł zabierać z każdej z nich o wiele więcej włókien, niż przypuszczał w najśmielszych marzeniach. Ale, że ilość ich dałoby się znacznie zwiększyć, dowiedział się o wiele później.

Mimo to, słyszę, jak mówicie, by zrobić z włókien wydłubanych z serwetek linę, która sięgnie z okna najwyższej celi w Iglicy do jej stóp. Linę, która utrzyma sto osiemdziesiąt funtów.

Wciąż mi się wydaje, że nie mówicie serio!

Ci z was, którzy tak myślą, zapomnieli o domu lalek... i znajdującym się w nim warsztacie tkackim, tak miniaturowym, że nitki z serwetek doskonale pasowały do maleńkiego czółenka. Ci zaś, którzy tak myślą, zapomnieli też, że wszystko w domu lalek było nieduże, lecz działało doskonale. Usunięto wszelkie ostre rzeczy, w tym nóż, ale poza tym pozostał on nietknięty.

I właśnie ten dom lalek, co do którego dawno temu Flagg miał niejasne wątpliwości, stanowił teraz dla Piotra jedyną realną szansę ucieczki.

71

Musiałbym być o wiele zdolniejszym pisarzem, niż – jak sędzę – jestem, żeby zdołać wam opowiedzieć, jak Piotr przeżył owe pięć lat, które spędził na szczycie Iglicy. Jadł, spał, wyglądał przez okno wychodzące na zachodnią część miasta; rano, w południe i wieczorem gimnastykował się, śnił sny o wolności. Latem w jego apartamencie panowała spiekota. Zimą mróz.

Podczas drugiej zimy złapał ciężką gripę, która nieomal pozbawiła go życia.

Piotr, z wysoką temperaturą i kaszlem, leżał w łóżku. Najpierw bał się tylko, że w gorączce zacznie majaczyć na temat liny, której zgrabny zwój leżał pod dwoma kamieniami we wschodniej części pokoju sypialnego. Gdy temperatura podniosła się jeszcze, lina utkana na maleńkim warsztacie tkackim stała się mniejszym problemem – zaczął obawiać się, że nie przeżyje.

Beson i jego podwładni byli o tym przekonani. Prawdę mówiąc, robili zakłady, kiedy to nastąpi. Pewnej nocy, jakiś tydzień od rozpoczęcia gorączki, gdy na dworze zaczął szaleć wiatr, a temperatura spadła do zera, Roland pojawił się Piotrowi we śnie. Piotr był przekonany, że przybył on po to, żeby go zabrać na Dalekie Pola.

– Jestem gotów, tato! – krzyknął. W malignie nie wiedział, czy powiedział to we śnie, czy na głos. – Idę!

– Jeszcze nie umierasz – odrzekł mu ojciec będący snem...albo wizją...a może czymś jeszcze innym. – Masz wiele do zrobienia, Piotrze.

– Ojczy! – krzyknął Piotr. Głos jego zabrzmiał tak donośnie, że strażnicy pod nim, nie wyłączając Besona, zadrżeli myśląc, że Piotr widzi dymiącego ducha zamordowanego króla Rolanda, który przyszedł zabrać jego duszę do piekła. Tej nocy przestali się zakładać, a jeden z nich poszedł następnego dnia do świątyni Wielkich Bogów i nawrócił się, a później został kapłanem. Nazywał się Curran, i może kiedyś opowiem wam jego historię.

Piotr rzeczywiście w pewien sposób widział ducha – chociaż nie potrafię powiedzieć, czy zobaczył cień ojca w rzeczywistości, czy też pojawił się on tylko w jego wyobraźni.

Głos jego przeszedł w mamrotanie i strażnicy nie dosłyszeli reszty.

– Tak tu zimno... a jest mi tak gorąco.

Biedaku – powiedział ojciec migocząc. – Przeszedłeś ciężką próbę, a czeka cię jeszcze niejedna. Ale Dennis będzie wiedział...

– Co? – sapnął Piotr. Policzki mu płonęły, za to czoło miał białe jak stearyna ze świecy.

– Dennis będzie wiedział, dokąd poszedł lunatyk – szepnął ojciec i znikł.

Piotr zapadł w omdlenie, które wkrótce przeszło w głęboki, zdrowy sen. Podczas niego spadła mu gorączka. Chłopak, który w ostatnim roku wykonywał codziennie sześćdziesiąt pompek i sto skłonów, zbudził się następnego ranka zbyt słaby, żeby wstać... ale wróciła mu jasność umysłu.

Beson i jego strażnicy poczuli się rozczarowani. Ale po tej nocy zaczęli traktować Piotra z lęklwym podziwem i starali się nie podchodzić do niego za blisko.

Co oczywiście znakomicie ułatwiło mu pracę.

Wszystko to opisuje się całkiem prosto, chociaż wolałbym móc powiedzieć z całą pewnością, czy Piotrowi ukazał się duch, czy nie. Ale podobnie jak i w innych sprawach, będących częścią większej opowieści, sami musicie podjąć decyzję.

Jak mam wam jednak opowiedzieć o nieskończonej, zmudnej pracy przy miniaturowym warsztacie? To przerasta moje możliwości. Jak opisać wszystkie te godziny, podczas których czasem mróz zamieniał oddech w parę, a w upale twarz spływała potem, w ciągłym strachu przed wykryciem; wszystkie te długie godziny, gdy jedynym towarzystwem były własne myśli i prawie absurdalna nadzieja. Mogę wam opisać różne szczegóły, ale nie jestem w stanie odzwierciedlić tych godzin i dni, podczas których czas zwalnia bieg, lecz prawdopodobnie nie zdołałby tego uczynić nikt, może poza którymś z wielkich opowiadaczy należących do zaginionego już dzisiaj gatunku. Jest jednak coś, co w pewien sposób mogłoby dawać wyobrażenie o tym, ile czasu Piotr spędził w swych dwu pokojach – jego broda. Gdy przyszedł, stanowiła ona tylko cień na policzkach i plamę pod nosem – zarost chłopca. Podczas następnych 1825 dni urosła bujnie; pod koniec sięgała mu do piersi i chociaż miał wtedy dopiero dwadzieścia pięć lat, przetykała ją siwizna. Jedyne miejsce, gdzie nie urosła, to długa poszarpana blizna pozostawiona przez paznokiec Besona.

Pierwszego roku Piotr odważał się wyciągać po pięć nitek z każdej serwetki – piętnaście w ciągu dnia. Trzymał je pod materacem, a pod koniec tygodnia uzbierał ich sto pięć. Według naszych miar każda nić miała około dwudziestu cali długości.

Utkął pierwszą partię w tydzień potem, jak otrzymał dom lalek, ostrożnie posługując się warsztatem. Praca przy nim okazała się trudniejsza w wieku lat siedemnastu niż w wieku lat pięciu. Palce mu urosły, warsztat zaś nie. Poza tym denerwował się okropnie. Gdyby któryś ze

strażników złapał go przy tym zajęciu, mógłby mu powiedzieć, że taka luźna nitka ze starych serwetek dla zabawy... ale czy uwierzono by mu? Nie miał też pewności, czy warsztat okaże się sprawny. Wątpliwości jego rozwiały się jednak, gdy zobaczył pierwszy, idealnie utkany cieniutki sznureczek wyłaniający się z warsztatu. Ujrzawszy to Piotr uspokoił się nieco, potem odkrył, że potrafi tkać nieco szybciej; podsuwał nowe nitki, pociągał je, żeby szły prosto, i naciskał kciukiem pedały nożny. Warsztat z początku nieco skrzypiał, ale stary smar wkrótce się rozproszył i maszyna działała doskonale, tak jak za czasów jego dzieciństwa.

Ale uzyskany sznurek był okropnie cienki, miał mniej niż ćwierć cala przekroju. Piotr zawiązał końce i pociągnął na próbę. Trochę się pocieszył. Okazał się o wiele mocniejszy, niż wyglądał, a Piotr pomyślał, że w zasadzie powinien taki być. W końcu nitki pochodziły z królewskich serwetek, wykonanych z najlepszej bawełny w kraju, a on tkał ciasno. Pociągnął mocniej usiłując zgadnąć, jaką siłę przykładają do cienkiego bawełnianego sznurka.

Szarpnął silniej, ale linka nie pękła i do serca zaczęła wkradać mu się nadzieja. Ni stąd, ni zowąd przypomniał sobie Yosefa.

To właśnie on, główny koniuszy, opowiedział mu o tym tajemniczym i strasznym zjawisku zwanym „napięcie krytyczne”. Był wtedy środek lata, a oni obserwowali, jak wielkie anduańskie woły ciągną kamienne bloki do wybrukowania nowego targu. Na karku każdego wołu siedział spocony, klnący poganiacz. Piotr dopiero co ukończył wtedy jedenaście lat i to podobało mu się bardziej niż cyrk. Yosef zwrócił mu uwagę, że każdy wół ma na sobie ciężką skórzaną uprzęż. Łańcuchy, które ciągnęły ociosane kamienne bloki, przymocowano do uprzęży po obu stronach szyi zwierzęcia. Yosef powiedział Piotrowi, że kamieniarze musieli dobrze obliczać, ile waży każdy z bloków.

– Bo jeśli są za ciężkie, woły mogą sobie zrobić krzywdę usiłując je ruszyć z miejsca – rzekł Piotr. Nie powiedział tego nawet w formie pytania, tak był pewny swego. Żałował wołów, które musiały ciągnąć te wielkie bloki skalne.

– Nie – odparł Yosef. Zapalił skręta z pszenicznych łusek o mało nie upalając sobie przy tym czubka nosa, a potem z zadowoleniem głęboko się nim zaciągnął.

Towarzystwo młodego księcia zawsze sprawiało mu przyjemność.

– Nie! Woły nie są głupie – to tylko ludzie tak o nich myślą, bo są duże, łagodne i pomocne. Ale więcej mówi to o nich niż o wołach, jeśli chcesz wiedzieć, więc dajmy temu spokój. Jeśli wół może uciągnąć kamień, to go pociągnie; jeśli nie, no to spróbuje raz czy dwa i stanie ze spuszczoną głową. I będzie tak czekał, nawet jeśli zły pan posieka mu batem skórę na drobne paseczki. Woły wyglądają na głupie, ale nie są. Ani trochę.

– To dlaczego kamieniarze muszą domyślać się, ile waży ociosywany przez nich blok, skoro wół wie, co może uciągnąć, a czego nie?

– Nie chodzi o kamienie, ale o łańcuchy – Yosef wskazał na jednego z wołów, który włócił

blok wielkości, jak się Piotrowi wydawało, niedużego domu. Zwierzę spuściło głowę i patrzyło cierpliwym wzrokiem przed siebie, a siedzący na jego grzbiecie poganiacz kierował nim za pomocą lekkich uderzeń kijka. Na końcu podwójnego łańcucha powoli posuwał się blok kamienny, ryjąc bruzdę w ziemi. Była ona tak głęboka, że małe dziecko musiałyby wspinać się po jej brzegach, żeby się z niej wydostać. – Jeśli wół jest w stanie uciągnąć kamień, zrobi to, ale zwierzę nie wie nic o łańcuchach ani napięciu krytycznym.

– A co to jest?

– Jeśli szarpniesz jakiś przedmiot za silnie, może on się rozerwać – powiedział Yosef. – A gdyby pękły te tutaj łańcuchy, poleciałyby jak wściekłe na wszystkie strony. Lepiej nie widzieć, co się dzieje, gdy ciężki łańcuch puści pociągnięty z całą mocą przez wołu. Może polecieć w każdą stronę. Zazwyczaj jednak do tyłu. Trafia wtedy w poganiacza i rozdziera go na strzępy albo ucina nogi zwierzęciu.

Yosef raz jeszcze pociągnął swojego skręta, a potem cisnął go na ziemię. Zmierzył Piotra bystrym, życzliwym spojrzaniem.

– Napięcie krytyczne – powiedział – to rzecz, o której książkę powinien wiedzieć, Piotrze. Łańcuchy mają swoje granice wytrzymałości, ale ludzie też. Pamiętaj o tym.

Teraz więc sobie to przypomniał sprawdzając wytrzymałość pierwszego kawałka linki. Jaką siłę do niej przykładał? Pięć ruli? Co najmniej. Dziesięć? Może. Ale chyba trochę przesadził. Raczej osiem. Nie, siedem. Jeśli ma się pomylić, to lepiej na stronę bezpieczeństwa. Jeżeli dokona złej oceny...hm, bruk placu Iglicy jest bardzo, bardzo twardy.

Pociągnął jeszcze mocniej, napinając mięśnie ramion. Gdy pierwszy kawałek linki wreszcie pękł, Piotr domyślał się, że prawdopodobnie przyłożył siłę piętnastu ruli – prawie sześćdziesięciu czterech funtów.

Rezultat wydał mu się zadowolający.

Później tego wieczoru wyrzucił przez okno przerwany sznurek, żeby następnego dnia zamiatacze sprzątnęły go rano razem z resztą śmieci na placu Iglicy.

Matka Piotra zauważywszy zainteresowanie chłopca domem lalek i jego miniaturowym wyposażeniem nauczyła go, jak tkać sznurki, a potem splatać je w maleńkie chodniki. Gdy nie zajmujemy się czymś dosyć długo, zazwyczaj zapominamy, jak to się dokładnie robi, ale Piotr miał mnóstwo czasu i po paru eksperymentach przypomniał sobie sztukę splatania chodników.

„Skręcanie” – tak nazywała to matka, i dlatego on także nazywał to tak w myślach, ale w zasadzie nie jest to właściwe określenie; ściśle mówiąc skręcanie to splot wykonany ręcznie z dwu linek. Do wykonywania chodników stosuje się splot – to znaczy ręcznie tka się dwie lub trzy linki. Robiąc splot kładziemy dwie linki obok siebie, tak żeby końce znajdowały się na równej wysokości. Trzecią umieszczamy pomiędzy nimi, ale tak, by jej koniec wystawał. Ten wzór powtarza się raz za razem. Produkt wygląda trochę jak chińskie plecionki... albo plecione

dywaniki w domu waszej ukochanej babci.

Piotr potrzebował trzech tygodni, żeby zgromadzić tyle włókien, ile potrzeba na wypróbowanie tej techniki i większą część czwartego, żeby sobie dokładnie przypomnieć, jak to się robi. Ale gdy skończył, miał prawdziwą linę. Była cienka i próba użycia jej mogłaby się wam wydawać szaleństwem, ale o wiele mocniejsza, niż wyglądała. Stwierdził, że może ją przerwać, ale tylko gdy zawinie końce dookoła dłoni i szarpnie napinając do ostateczności mięśnie ramion i klatki piersiowej, a na szyi wystąpią mu żyły jak postronki.

Dach pokoju sypialnego opierał się na solidnych, dębowych belkach. Wypróbuje, jak zachowa się lina pod ciężarem jego ciała, gdy już uplecie jej dostatecznie dużo. Jeśli pęknie, będzie musiał zacząć od początku... ale takie myśli to tylko strata czasu, z czego Piotr doskonale zdawał sobie sprawę – więc po prostu zabrał się do roboty.

Każda nić, jaką wyciągał, miała dwadzieścia cali długości, ale traciło się około dwu na tkanie i wykonanie splotu. Potrzebował trzech miesięcy na wykonanie sznura z trzech skrętek, każda składająca się ze stu pięciu bawełnianych włókien o długości trzech stóp. Pewnego wieczoru, gdy upewnił się, że wszyscy strażnicy na dole albo popili się, albo grali w karty, przywiązał swój warkocz do liny nad jedną z belek. Po zawiązaniu pętli zostało mniej niż półtorej stopy.

Sprawiła wrażenie żałośnie cienkiej.

Jednak Piotr chwycił ją i uwiesił się na niej całym ciężarem zaciskając usta i spodziewając się, że w każdej chwili może pęknąć, a on spadnie. Ale trzymała się.

Trzymała się.

Nie wierząc własnym zmysłom Piotr wisiał na linie tak cienkiej, że prawie niewidocznej. Pozostał tak przez całą minutę, a potem stanął na łóżku i rozwiązał węzeł. Ręce mu się trzęsły, więc dwa razy się do tego przymierzał, tym bardziej że łyzy zaćmiły mu wzrok. Takiego szczęścia nie odczuwał od czasu, gdy czytał maleńki list od Bena.

72

Przechowywał linę pod materacem, ale zdawał sobie sprawę, że wkrótce zabraknie tam miejsca. Iglica miała trzysta czterdzieści stóp wysokości do czubka swego stożkowatego dachu; okno znajdowało się prawie dokładnie trzysta stóp nad poziomem bruku. Miał sześć stóp wzrostu i sądził, że odważy się skoczyć z wysokości około dwudziestu stóp od końca liny. Ale nawet w najlepszym wypadku musiał ukryć dwieście siedemdziesiąt stóp liny.

Odkrył w podłodze przy wschodniej ścianie swej sypialni ruszający się kamień i ostrożnie go podniósł. Z zaskoczeniem i radością stwierdził, że znajduje się pod nim nieco wolnej przestrzeni. Nie widział dobrze, więc sięgnął ręką i macał w ciemnościach, sztywny i napięty, jakby

spodziewał się, że znajduje się tam coś, co wpelźnie mu na rękę... albo ugryzie.

Nic takiego nie nastąpiło i już chciał ją cofnąć, gdy natrafił palcem na jakiś przedmiot – z metalu. Piotr wydobył go. Okazał się on medalionem w kształcie serca na cienkim łańcuszku. I łańcuszek, i medalion sprawiały wrażenie wykonanych ze złota. Sądząc po wadze było ono prawdziwe. Obmacawszy medalion Piotr znalazł miniaturowy zameczek. Nacisnął go i medalion otworzył się. Wewnątrz znajdowały się dwa portrety, po jednym z każdej strony – były równie piękne jak maleńkie obrazki w domu lalek Sashy, a może jeszcze ładniejsze. Piotr patrzył na przedstawione na nich twarze ze szczerym, chłopięcym podziwem. Mężczyzna był bardzo przystojny, kobieta piękna. Na ustach mężczyzny rysował się lekki uśmiech, a oczy patrzyły śmiało. Kobieta miała ciemne oczy, w których malował się wyraz powagi. Zachwyt Piotra częściowo wynikał z faktu, że medalion musiał być bardzo stary, sądząc po strojach. Ale wynikał on także z tego, że twarze te wydawały mu się znajome. Już je kiedyś widział.

Zamknął medalion i popatrzył na jego odwrotną stronę. Miał nadzieję, że znajdzie tam inicjały, ale były one tak ozdobne, że nie potrafił ich odczytać.

Niewiele myśląc sięgnął raz jeszcze do skrytki. Tym razem natrafił na papier. Wydobył cienką kartkę bardzo starego, kruszącego się papieru, lecz pismo na niej okazało się wyraźne, a podpis dał się odczytać. Nazwisko brzmiało Leven Valera i należało do niesławnego Czarnego Księcia z Południowej Baronii. Valera, który był następcą tronu, zamiast go objąć, spędził ostatnie dwadzieścia pięć lat swego życia w pokoju na szczycie Iglicy za zamordowanie żony. Nic dziwnego, że Piotr znał portrety w medalionie! Mężczyzna to Valera, a kobieta to jego zamordowana żona, Eleanor, o której piękności do dziś jeszcze śpiewa się ballady.

Atrament, jakiego użył Valera, miał dziwnie rdzawy kolor, a pierwsza linijka tekstu zmroziła Piotrowi serce. Cały list zaś nappełnił go zgrozą nie tylko dlatego, że podobieństwo między losem Valery a jego własnym okazało się zbyt wielkie, żeby być dziełem przypadku.

Do Znalazcy listu tego -

Piszę krwią własną dobytą z żyły na lewym przedramieniu otwartej i piórem z kości długo na kamiennej sypialni posadzce ostrzonej. Ćwierć wieku nieledwie spędziłem tu pod niebiosami, młodzieńcem przybywszy; teraz jestem już stary. Ataki kaszlu i gorączki wróciły znowu, więc chyba niewiele już mi życia zostało.

Nie zabiłem żony. Chociaż dowody na mnie pokazały, nie zabiłem żony mojej. Kochałem ją i nadal kocham, mimo iż obraz jej drogiej twarzy zblakł w mojej zdradzieckiej pamięci.

Sądzę, że to królewski czarnoksiężnik ją życia pozbawił i tak sprawy ułożył, iżby mnie usunąć, albowiem stałem na drodze jego. Plan jego powiódł się i rzeczy poszły po jego myśli; wierzę jednak, że są bogowie, za sprawą których zło zostanie w końcu ukarane. Dzień jego nadejdzie – ja zaś śmierć coraz rychlejszą czując wierzę, że pomsty na nim dokona ktoś, kto do tego miejsca też przybędzie, ktoś, kto znajdzie i przeczyta ten list krwią pisany.

Jeśli tak się stanie, do Ciebie wołam; Zemsty, zemsty, zemsty! Nie dbaj o mnie i lata me stracone, jeśli musisz, ale nigdy, przenigdy nie zapomnij o drogiej mej Eleanor, we śnie zamordowanej! To nie ja zatrąłem jej wino. Imię mordercy tu kreślę krwią własną; Flagg! To Flagg! Flagg!

Weź medalion i pokaż mu go, zanim zbawisz ten świat od największego na nim łotra – pokaż mu, żeby w ostatniej swej chwili wiedział, że ja też przyczyniłem się do jego upadku, z za grobu człowiek, niestusznie o mord posądzony.

Leven Valera Może teraz rozumiecie, co stanowiło główny powód, dla którego Piotr odczuł zgrozę, lub nie. Jednak pomoże wam chyba, jeśli przypomnę, że Flagg, chociaż wyglądał na zdrowego i krzepkiego człowieka w średnim wieku, naprawdę był bardzo, bardzo stary.

Piotr czytał na temat przypuszczalnej zbrodni Levena Valery. Ale książki, które ją opisywały, traktowały na temat historii. Starożytnej. A ten kruchy, pożółkły pergamin najpierw wymienił królewskiego czarnoksiężnika, a potem imię Flagga. Wymienił? Wołał, krzyczał – krwią.

Ale zbrodnia Valery miała mieć miejsce za panowania Alana II, a rządził on Delainem czterysta pięćdziesiąt lat temu.

– Boże, o wielki Boże – szepnął Piotr. Na niepewnych nogach podszedł do łóżka i usiadł na nim, zanim odmówiły mu posłuszeństwa.

– On już kiedyś zrobił coś podobnego! Uczynił to dokładnie w ten sam sposób, ale miało to miejsce więcej niż czterysta lat temu!

Twarz Piotra okryła się śmiertelną bledością, a włos zjeżył się na głowie. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że Flagg, czarnoksiężnik królewski, w rzeczywistości był Flaggiem – potworem, znowu grasującym w Delainie, służącym nowemu królowi – jego małoletniemu, nieinteligentnemu, łatwowiernemu bratu.

73

Na samym początku przyszło Piotrowi do głowy, że mógłby obiecać Besonowi następną łapówkę za odniesienie medalionu i rozsypującego się arkusza papieru do Andersa Peyny. W pierwszym podnieceniu wydawało mu się, że list ten wskaże niezbitcie na Flagga, a jemu pozwoli odzyskać wolność. Po chwili zastanowienia uznał jednak, że coś takiego może wydarzyć się w powieści, ale nie w prawdziwym życiu. Peyna wyśmiałby go i wszystko uznał za oszustwo. A gdyby potraktował to serio? Wtedy mógłby nastąpić koniec zarówno sędziego najwyższego, jak i uwięzionego księcia. Piotr dobrze nadstawiał ucha i znał plotki z karczm i winiarni przekazywane sobie nawzajem przez Besona i jego strażników. Słyszał o Podwyższonym

Podatku dla Farmerów, poznał gorzki żart, że Tomasz Dawca Światła powinien raczej zwać się Dawcą Podatków. Dowiedział się także, że kilku co śmielszych dowcipnisiów proponowało zmienić mu imię na Stale Pijanego Tomka Który Nie Wie Nic. Topór kata opadał z regularnością zegarka od czasu, gdy Tomasz wstąpił na tron w Delainie, tylko że ten zegar tykał zdrada-bunt, zdrada-bunt, zdrada-bunt z regularnością, którą można by uznać za monotonna, gdyby nie była tak straszliwa.

Teraz Piotr zaczął domyślać się, jaki jest cel Flagga: doprowadzić do obalenia monarchii w Delainie. Ujawnienie medalionu i listu spotkałoby się albo z wyśmianiem, albo zmusiłoby Peynę do podjęcia jakichś działań. W każdym wypadku czekałaby ich obu śmierć.

W końcu Piotr schował medalion i list tam, gdzie je znalazł. Razem z nimi umieścił krótką, trzystopową linkę, której uplecenie zabrało mu miesiąc. Ogólnie czuł się zadowolony z wyników pracy tego wieczoru – lina okazała się mocna, a odkrycie medalionu i listu po więcej niż czterystu latach dowodziło z pewnością jednego – kryjówka nie jest łatwa do odnalezienia.

Miał jednak wiele spraw do przemyślenia i długo nie zasnął tej nocy.

A gdy już to nastąpiło, wydawało mu się, że słyszy oschły szept Levena Valery: Zemsty! Zemsty! Zemsty!

74

Czas – o, tak – Piotr miał go wiele siedząc u szczytu Iglicy. Urosła mu długa broda, oczywiście poza miejscem, w którym policzek jego przecinała blizna o kształcie błyskawicy. W miarę, jak to się działo, Piotr dostrzegał wiele zmian, patrząc przez swoje okno. Słyszał zaś o jeszcze gorszych sprawach. Częstotliwość egzekucji nie malała, wręcz przeciwnie, topór kata opadał coraz częściej nucąc: zdrada-bunt, zdrada-bunt, i czasami nie mniej niż pół tuzina głów spadało w ciągu jednego dnia.

Podczas trzeciego roku spędzonego przez Piotra w więzieniu, roku, w którym po raz pierwszy udało mu się podciągnąć na środkowej belce w sypialni trzydzieści razy bez przerwy, Peyna z niesmakiem zrezygnował ze stanowiska sędziego najwyższego. Mówiło się o tym w karczmach i winiarniach przez tydzień, dozorczy Piotra zaś dyskutowali o tym przez dni osiem. Strażnicy sądzili, że Flagg uwięzi Peynę, zanim jeszcze zdąży on opuścić ławę sędziowską i wkrótce potem obywatele Delainu dowiedzą się nareszcie, czy w jego żyłach płynie krew, czy zimna woda. Ale Peyna pozostał na wolności, a plotki ucichły. Piotr cieszył się, że nie został on aresztowany. Nie żywił do niego urazy mimo skwapliwości, z jaką stary sędzia uwierzył w jego winę, a wiedział już, że dowody zostały sfabrykowane przez Flagga.

Również w trzecim roku spędzonym przez Piotra w Iglicy zmarł ojciec Dennisa, Brandon.

Odszedł spokojnie i z godnością. Zakończył dzień pracy mimo okropnego klucia w klatce piersiowej i boku, a potem powoli wrócił do domu. Usiadł w maleńkiej bawialni mając nadzieję, że ból przejdzie. Zamiast tego zaczął się on nasilać. Zawołał więc żonę i syna, ucałował oboje, a potem poprosił o kieliszek dżinu. Otrzymał go. Wypił do dna, raz jeszcze ucałował żonę, a potem kazał jej wyjść z pokoju.

– Służ dobrze swemu panu, Dennis – powiedział. – Jesteś teraz mężczyzną i musisz temu sprostać.

– Będę służył królowi najlepiej, jak potrafię, tato – odparł Dennis, chociaż myśl o przejęciu obowiązków ojca napełniała go przerażeniem. Jego pocziwa, brzydka twarz lśniła od łez. W ciągu ostatnich trzech lat Brandon i Dennis obsługiwali Tomasza, a obowiązki Dennisa w większości nie zmieniły się od czasów Piotra; ale nie były takie same – nawet w przybliżeniu.

Tomaszowi – powiedział Brandon, a potem szepnął: – Ale jeśli okaże się, że masz zrobić przysługę swojemu pierwszemu panu, Dennis, nie zawahaj się. Ja nigdy... Brandon chwycił się za lewy bok, zeszytniał i zmarł.

Umarł tak, jak tego pragnął, w swoim własnym fotelu przed kominkiem.

W czwartym roku uwięzienia Piotra – lina pod kamieniami systematycznie się wydłużała – znikła rodzina Staadów. Korona przejęła resztki ziemi, jakie im pozostały, tak jak to się działo, gdy przepadały inne szlacheckie rodziny. A im dłużej panował Tomasz, tym częściej zdarzały się takie zniknięcia.

Staadowie stanowili tylko fragment plotek wygłaszanych przy kufelku piwa w tygodniu pełnym zdarzeń obejmujących cztery egzekucje, zwiększenie podatku dla sklepikarzy, zamknięcie w kazamaty starej kobiety, która przez trzy dni przechadzała się przed pałacem krzycząc, że jej syn został uwięziony i torturowany za to, że skrytykował zeszłoroczny podatek od bydła. Ale gdy Piotr usłyszał podczas rozmowy strażników nazwisko Staadów, serce mocno mu zabiło.

Ciąg wydarzeń prowadzących do zniknięcia Staadów stanowił już dziś chleb powszedni dla wszystkich mieszkańców Delainu. Regularne jak w zegarze egzekucje znacznie wyniszczyły szeregi szlachty. Wielu z nich zginęło, bo ich rodziny służyły królestwu przez setki, a nawet tysiące lat, i nie potrafili uwierzyć, że mógłby ich spotkać tak okrutny los. Inni, widząc krwawe pismo na marze, uciekali. Staadowie wybrali to drugie wyjście.

Zaczęły się też naszeptowania.

Opowiadano, zasłaniając sobie usta, że szlachta owa nie rozbiegła się po prostu na wszystkie strony świata, ale zbierała gdzieś, może w gęstych lasach na północnych krańcach królestwa, aby planować obalenie tronu.

Opowieści te docierały do Piotra niczym wiatr przez okno, przeciągi pod drzwiami... Należały do marzeń z szerokiego świata. Ale on pracował nad swoją liną. W pierwszym roku

przedłużała się ona o osiemnaście cali co trzy tygodnie. Pod koniec tego roku miał jej już dwadzieścia pięć stóp – liny, która przynajmniej teoretycznie powinna utrzymać jego ciężar. Ale istnieje różnica między wiszeniem u belki w sypialni i zwieszaniem się nad trzystustopową przepaścią, i Piotr zdawał sobie z niej sprawę. Można powiedzieć, że dosłownie powierzał jej swoje życie.

Co więcej, dwadzieścia pięć stóp rocznie to niewątpliwie za mało; potrzebowałby więcej niż ośmiu lat, zanim mógłby usiłować czynić jakieś próby, a wiadomości, jakie słyszał z drugiej ręki, zaczynały być niepokojące. Przede wszystkim królestwo musi przetrwać – nie może nastąpić bunt i chaos. Krzywdy należy naprawić, ale za pomocą prawa, a nie łuków, proc, pałek i maczug. Tomasz, Leven Valera, Roland, on sam, a nawet Flagg stawali się nieważni wobec tego. Prawo przede wszystkim.

Jakże uradowałby się Anders Peyna, starzejący się i gorzkniejący przy swym kominku, słysząc te słowa.

Piotr postanowił, że musi próbować ucieczki jak najprędzej. W związku z tym dokonał wielu pracochłonnych obliczeń, rachując w pamięci, żeby nie zostawiać śladów. Sprawdził je kilkakrotnie, upewniając się, czy nie zrobił jakiegoś błędu.

Drugiego roku w Iglicy zaczął wydobywać dziesięć włókien z każdej serwetki, trzeciego piętnaście, a czwartego zaś dwadzieścia. Liny przybywało. Miał jej pięćdziesiąt osiem stóp, gdy minął rok drugi, sto cztery po trzecim, a sto sześćdziesiąt po czwartym.

W owym momencie sięgała ona sto czterdzieści stóp powyżej powierzchni placu.

W ostatnim roku Piotr wypruwał po trzydzieści nitek z każdej serwetki i po raz pierwszy dało się to widzieć wyraźnie – każda z nich była wyraźnie wystrzępiona ze wszystkich czterech stron, jak gdyby nadgryzły ją myszy. Piotr z niepokojem oczekiwał wykrycia swej kradzieży.

75

Ale nie została ona odkryta ani wtedy, ani potem. Nikt się nawet nie zapytał. Piotr spędzał nieskończenie długie noce (a przynajmniej tak mu się wydawało) zastanawiając się i martwiąc, że Flagg usłyszy coś, czego nie powinien, jakąś fałszywą nutę, i przejrzy zamiary Piotra. Wyśle najprawdopodobniej jakiegoś podwładnego, który zacznie go wypytywać. Piotr przemyślał sobie wszystko z jak największą dokładnością, ale zrobił jedno złe założenie – prowadziło ono do drugiego (jak to się często zdarza), a to drugie wiodło prosto na manowce. Piotr uznał, że istniał pewien zapas serwetek – na przykład około tysiąca – i że używano ich po kolei. Więcej się nad tą sprawą nie zastanawiał. Dennis mógłby mu powiedzieć, że sprawy miały się inaczej, i oszczędzić co najmniej dwu lat pracy, ale nikt go nie zapytał. Prawda była prosta, ale oszałamiająca.

Skrawki materiału, z których Piotr wyciągał swe nici, nie pochodziły z zapasu tysiąca, dwu czy nawet dwudziestu tysięcy: wynosił on prawie pół miliona starych, zatęchłych serwetek.

Na jednym z pięter zamkowych podziemi znajdował się magazyn tak wielki jak sala balowa. Wypełniały go serwetki... serwetki... i nic prócz serwetek. Piotrowi trąciły one stęchlizną i nic w tym dziwnego – większość z nich niesamowitym przypadkiem pochodziła z czasów odrobinę tylko późniejszych niż uwięzienie i śmierć Levena Valery, a istnienie swoje – przypadkiem, a może i nie – zawdzięczały one, pośrednio oczywiście, działaniom Flagga. W pewien sposób stał się on przyczyną ich powstania.

Były to rzeczywiście czarne czasy dla Delainu. Chaos, jakiego z całej duszy pragnął Flagg, zapanował w całym kraju. Valera został usunięty; w jego miejsce na tron wstąpił szalony król Alan. Gdyby żył on dziesięć lat dłużej, królestwo niewątpliwie spłynęłoby krwią... ale zginął Alan porażony błyskawicą, gdy podczas ulewy grał w łokcie na zamkowym trawniku (jak wam powiedziałem, miał nie po kolei w głowie). Niektórzy mówili, że piorun ten zesłał sami bogowie. Po nim panowała jego siostrzenica, Kyla, którą znano jako Kylę Dobrą... a od niej linia wiodła przez pokolenia prosto do Rolanda i braci będących bohaterami naszej opowieści. To Kyla, Dobra Królowa, uratowała kraj od ruiny i ubóstwa. Aby to osiągnąć, prawie doprowadziła Królewski Skarb do bankructwa, bo wiedziała, że pieniądz – mocna waluta – musi krążyć w krwiobiegu królestwa. Większość zasobów finansowych Delainu przepadła podczas szalonych rządów Alana II, króla, który czasami pił krew z nadciętych uszu swoich służących i utrzymywał, że potrafi latać; króla bardziej zainteresowanego nekromancją niż zyskiem i stratą oraz dobrem swoich poddanych. Kyla wiedziała, że potrzeba wielkiego napływu zarówno miłości, jak i guldenów, żeby znaleźć zajęcie dla wszystkich zdolnych do pracy obywateli Delainu, od najstarszych do najmłodszych.

Większość ze starszych mieszkańców zamkowej twierdzy została zatrudniona do wykonywania serwetek – nie dlatego, że ktoś ich potrzebował (chyba już wam mówiłem, co myślała o nich większość szlachty i dworu), lecz dlatego, żeby dać ludziom pracę. Niektórzy nie zaznali jej od dwudziestu, a czasem więcej lat, więc trudzili się ochoczo, tkając na warsztatach identycznych jak ten, który znajdował się w domu lalek Sashy... tylko, oczywiście, większych!

Przez dziesięć lat ci postarzali ludzie, w liczbie więcej niż tysiąca, produkowali serwetki i pobierali za swą pracę pieniądze ze skarbcza Kyli. Przez dziesięć lat osoby nieco młodsze i sprawniejsze zносиły je na dół do chłodnego, suchego magazynu pod zamkiem. Piotr zauważył, że niektóre z serwetek nie tylko pachniały stęchlizną, ale były też nadgryzione przez mole. Istny cud, chociaż on się tego nie domyślał, że aż tyle z nich tak znakomicie się przechowało.

Dennis mógł mu powiedzieć, że serwetki były przynoszone, używane raz, zabierane (minus kilka nitek, które Piotr z nich wypruwał) i po prostu wyrzucane. A czemu nie! Leżało ich tam tyle, że wystarczyłyby dla pięciuset książąt na pięćset lat... i jeszcze dłużej. Gdyby Anders Peyna

nie okazał się człowiekiem miłosiernym, a nie tylko surowym, rzeczywiście używano by pewnej określonej liczby serwetek. Ale wiedział on, jak bardzo bezimienna kobieta w bujaku potrzebowała pracy i tych kilku groszy, które za nią otrzymywała (Kyla Dobra też sobie zdawała z tego sprawę), więc nie zwalniał jej tak samo, jak pilnował, żeby do Besona nadal napływały guldeny, gdy Staadowie musieli ratować się ucieczką. Zadomowiła się więc owa stara, milcząca kobieta przed drzwiami magazynu z serwetkami, używająca swej igły do prucia zamiast do szycia. Siedziała tak w swym bujaku rok po roku usuwając dziesiątki tysięcy królewskich herbów, nic więc dziwnego, że wieść o drobnej kradzieży Piotra nie dotarła do uszu Flagga.

Tak tedy widzicie, że gdyby nie jedno błędne założenie i jedno nie zadane pytanie, Piotr mógłby zakończyć swą pracę o wiele prędzej. Czasami wydawało mu się, iż serwetki nie kurczą się tak szybko jak powinny, ale nigdy nie przyszło mu do głowy podważyć swoje podstawowe (choć niejasne) przypuszczenie, że serwetki, których używał, regularnie do niego powracały. Gdybyż tak zadał sobie to jedno proste pytanie!

Ale może w końcu wszystko wyszło na dobre.

A może nie. To jednak musicie ocenić sami.

76

W końcu Dennis pokonał strach, jaki odczuwał pracując dla Tomasza. Młody król prawie nie zwracał na niego uwagi, poza tym że czasami beształ go, gdy zapomniał wystawić mu buty (zazwyczaj to on sam gdzieś je zostawiał i nie pamiętał o tym), a niekiedy nalegał, żeby Dennis napił się z nim wina. Lokaj dostawał potem zazwyczaj lekkich zaburzeń żołądkowych, natomiast znacznie bardziej wolał kieliszeczek dżinu przed snem. Mimo to dotrzymywał Tomaszowi towarzystwa. Nawet bez pouczeń ojca wiedział, że nie odmawia się królowi, gdy zaprasza na drinka. Czasami, zwykle popiwszy sobie, Tomasz nie pozwalał Dennisowi iść do domu i kazał mu nocować w swoim apartamencie. Dennis przypuszczał, słusznie zresztą, że w owe noce samotność doskwierała mu w sposób nieznośny. Wygłaszał długie, bezsensowne, rozwlekłe mowy o tym, jak trudno być królem, że starał się jak najlepiej spełniać swe obowiązki i wykazywać się sprawiedliwością, i że wszyscy go nienawidzą, każdy z innego powodu. Tomasz często szlochał podczas swych przemówień albo ni stąd, ni zowąd wybuchał dzikim śmiechem, ale zazwyczaj zapadał w sen podczas nieudolnej obrony jakiegoś podatku. Czasami dotaczał się do swego łóżka i Dennis mógł spać na kanapie. Częściej jednak zasypiał – albo tracił przytomność – na kanapie, a lokaj szykował sobie niewygodne posłanie przy stygnącym kominku. Prawdopodobnie rzadko który królewski lokaj wiódł takie życie, ale oczywiście Dennisowi wydawało się ono najzupełniej normalne, bo przecież innego nie zaznał.

To, że Tomasz nie zwracał na niego uwagi, to jedna sprawa. Ale że Flagg go ignorował, stanowiło problem zupełnie innego rodzaju i wagi. Czarnoksiężnik bowiem kompletnie zapomniał o roli, jaką Dennis odegrał w jego planie wysłania Piotra do Iglicy. Lokaj stanowił dla niego tylko instrument – narzędzie, które spełniło swoją funkcję i można je było odłożyć na bok. Gdyby zastanowił się nad Dennisem, uznałby, że narzędzie zostało sownie wynagrodzone: w końcu został on królewskim lokajem.

Ale pewnej nocy na samym początku zimy, w roku, gdy Piotr skończył dwadzieścia jeden, a Tomasz szesnaście lat, cienka lina Piotra zaś prawie osiągnęła niezbędną długość, Dennis zobaczył coś, co zmieniło wszystko – i właśnie od tego, co widział owej mroźnej nocy, muszę zacząć relację końcowych wydarzeń naszej historii.

77

Noc ta przypominała ów straszny czas tuż przed i tuż po śmierci Rolanda. Wiatr wyjął hulał po czarnym niebie i jęczał na ulicach Delainu. Pastwiska Centralnych Baronii i bruk zamkowych podwórców ściał mróz. Początkowo księżyc znajdujący się w trzeciej kwadrze błyskał pośród pędzących chmur, ale około północy zakryły one całe niebo, a o drugiej, gdy Tomasz obudził Dennisa poruszając klamką w drzwiach między bawialnią a korytarzem, zaczął padać śnieg.

Usłyszawszy chrobot klamki Dennis usiadł krzywiąc się boleśnie, bo plecy miał zeszywniałe i zdrętwiały mu nogi. Tej nocy Tomasz zasnął na kanapie, zamiast dopełnić do łóżka, tak więc młodemu lokajowi pozostało tylko sąsiedztwo kominka. Teraz ogień już gasł. Bok od strony ognia nagrzał się Dennisowi jak piec, drugi zaś zmarzł na kość.

Popatrzył w stronę, skąd dobiegał szmer... i na chwilę sparaliżował go strach. Wydało mu się bowiem, że zobaczył u drzwi ducha i niewiele brakowało, a krzyknąłby. A potem zrozumiał, że to Tomasz w swej białej nocnej koszuli. – P-panie?

Tomasz nie zareagował. Oczy miał otwarte, ale nie patrzył na klamkę; sennym wzrokiem wpatrywał się w nicość. Dennis natychmiast zrozumiał, że młody król chodzi we śnie.

Gdy Dennis dochodził do tego wniosku, wyglądało na to, że Tomasz zdał sobie sprawę, iż klamka nie otwiera drzwi dlatego, że zasuwka jest nadal zamknięta. Odsunął ją i wyszedł na korytarz jeszcze bardziej sprawiając wrażenie ducha w świetle migoczących tam kaganków. Zawirował obrąbek koszuli nocnej i bosonogi Tomasz zniknął.

Przez chwilę siedzący po turecku Dennis zamarł przy kominku, zapominając o zdrętwiałych nogach, czując tylko, jak wali mu serce. Na dworzu wiatr cisnął śniegiem w romboidalne szybki w oknie bawialni i zawył histerycznie.

Co robić? – pomyślał Dennis.

Istniała oczywiście tylko jedna odpowiedź – młody król jest jego panem. Musi więc pójść za nim.

Może właśnie szalona noc przywiodła Tomaszowi tak żywo na pamięć Rolanda, ale niekoniecznie – prawdę mówiąc chłopiec często myślał o ojcu. Poczucie winy jest jak rana, stale budzi zainteresowanie osoby, która ją ma, domaga się ponownego oglądania i rozdrapywania, tak że nie może się nigdy zagoić. Tomasz wypił tego wieczoru o wiele mniej niż zwykle, ale o dziwo wydawał się Dennisowi znacznie bardziej nietrzeźwy. Mówił bełkotliwie i niewyraźnie, otwierał szeroko mętne oczy połykując białkami.

Miało to miejsce głównie dlatego, że Flagg odjechał. Rozeszły się plotki, że zdrajcy – a w ich szeregach Staadowie – gromadzili się w Puszczy Kresowej na północnych krańcach królestwa. Flagg poprowadził pułk krzepkich, zaprawionych w bojach żołnierzy na ich poszukiwania. Tomasz zawsze ogarniał niepokój, gdy Flagg się oddalał. Wiedział, że wynikało to z jego całkowitego uzależnienia od czarnoksiężnika... ale w sposób, którego nie zawsze rozumiał w pełni. Nadużywanie wina nie stanowiło jedyne grzechu Tomasz. Częstokroć sen nie jest dany osobom, w których posiadaniu znajdują się sekrety, tak więc Tomasz cierpiał na bezsenność. Nie zdając sobie z tego sprawy uzależnił się od nasennych napoi Flagga. Wyruszając na północ, mag pozostawił mu zapas leku, ale spodziewał się, że nieobecność jego potrwa około trzech, najwyżej czterech dni. Od trzech dni Tomasz spał źle albo wcale. Czuł się dziwnie, nigdy w pełni obudzony, nigdy naprawdę śpiący. Dręczyły go wspomnienia ojca. Wydawało mu się, że pośród wiatru słyszy głos ojca wołający: Czego się na mnie patrzysz? Czego się tak na mnie gapisz? Wizje wywołane winem... obraz ponurej radości na twarzy Flagga... widok płonących włosów ojca... to wszystko nie dało mu spocząć i zmuszało do czuwania z otwartymi oczyma przez całą noc, podczas gdy inni pogrążeni byli we śnie.

Gdy Flagg nie wrócił ósmego wieczoru (biwakował wraz ze swymi żołnierzami pięćdziesiąt mil od zamku i humor miał kiepski – jedyne odkryte ślady zdrajców znajdowały się na zmrożonym śniegu i mogły mieć kilka dni, a może nawet kilka tygodni), Tomasz posłał po Dennisa. I właśnie w nocy, która nastąpiła po owym wieczorze, Tomasz podniósł się z kanapy i zaczął wędrówkę.

78

Tak więc Dennis poszedł za swym królem, panem i władcą długimi, pełnymi przeciągów, kamiennymi korytarzami, a jeśli i wy dotarliście aż tak daleko, to musicie się też dowiedzieć, gdzie w końcu znalazł się Tomasz Dawca Światła.

Późna, burzliwa noc stała się wczesnym, wietrznym porankiem. Po korytarzach nie chodził

nikt, a przynajmniej Dennis nikogo nie zobaczył. Gdyby jednak pojawił się ktoś, z pewnością uciekłyby albo raczej uciekłyby w przeciwnym kierunku, być może z krzykiem, sądząc, że widzi dwa wędrujące duchy, pierwszego w długiej, białej nocnej koszuli, którą łatwo wziąć za całun, a drugiego w prostym kaftanie, ale boso, z twarzą tak bladą, że mogłaby należeć do nieboszczyka. Tak, sędzę, że ktokolwiek by ich zobaczył, oddaliłby się jak najprędzej, a potem długo modliłby się przed zaśnięciem... ale nawet wiele modlitw być może nie zdołałoby odpędzić koszmaru.

Tomasz zatrzymał się na środku korytarza, do którego Dennis rzadko się zapuszczał, i otworzył drzwi we wnęce, których Dennis w zasadzie nigdy nie zauważył. Młody król podążył następnym korytarzem (tym razem nie minęła ich żadna sprzątaczką z naręczem pościeli, jak to się zdarzyło, gdy Flagg prowadził tą drogą księcia kilka lat temu; wszystkie porządne sprzątaczką od dawna znajdowały się w swoich łózkach) i w połowie drogi zatrzymał się tak raptownie, że lokaj prawie na niego wpadł.

Tomasz rozejrzał się, jakby sprawdzając, czy ktoś go nie śledzi, i jego nieprzytomny wzrok spoczął na postaci Dennisa. Na chłopcu ścierpła skóra, ale dzięki temu udało mu się powstrzymać okrzyk przestachu. Świece w tym zapomnianym korytarzu migotały i paskudnie cuchnęły olejem błyskając słabym, niesamowitym blaskiem. Młody lokaj czuł, jak włosy stają mu dęba na głowie, gdy spojrzenie tych pustych oczu – oczu jak martwe latarnie odbijające tylko światło księżyca – przesunęło się po nim.

Był tu przecież, stał przed nim, ale Tomasz go nie zauważył; dla niego lokaj okazał się mglisty.

Muszę uciekać – szepnęło coś z rozpaczą w duszy Dennisa, ale dla niego ten cichy, rozpaczliwy szept zabrzmiał niczym krzyk. – Muszę uciekać, on nie żyje, umarł we śnie, a ja idę za chodzącym trupem! – Ale potem usłyszał głos ojca, swojego drogiego zmarłego taty, który powiedział: Gdy nadejdzie pora służyć twemu pierwszemu panu, Dennis, nie wolno ci się wahać.

Inny zaś, nieco głośniejszy niż poprzednie szept powiedział mu, że owa chwila właśnie nadeszła. A Dennis, prosty sługa, który raz już zmienił losy królestwa odkrywając płonącą mysz, być może uczynił to po raz drugi nie schodząc z posterunku mimo strachu, jaki sparaliżował mu mięśnie i sprawił, że serce podeszło mu do gardła.

Dziwnym, niskim głosem, zupełnie nie przypominającym sposobu, w jaki mówił normalnie (ale brzmiącym dziwnie znajomo dla Dennisa), Tomasz powiedział: – Czwarty kamień od tego na dole ze szczerbą. Naciśnij go. Szybko!

Nawyk posłuszeństwa wpojono Dennisowi tak dokładnie, że chciał wykonać polecenie i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że Tomasz wydał samemu sobie rozkaz we śnie, mówiąc głosem kogoś innego. Nacisnął kamień, zanim młody sługa zdążył zrobić więcej niż jeden krok. Kamień zagłębił się może na trzy cale. Rozległ się trzask. Dennis otworzył usta, gdy fragment

ściany zapadł się. Tomasz pchnął go i lokaj zobaczył, że znajdują się tu ukryte drzwi. Tajemne wejścia przypomniały mu ruchome ścianki, te zaś nasunęły mu na myśl płonące myszy. Znow owładnęło nim pragnienie ucieczki, ale i tym razem je opanował.

Tomasz wszedł do środka. Przez chwilę widać było tylko jaśniejącą w mroku koszulę nocną, koszulę pustą w środku. A potem kamienna ściana zamknęła się. Po wejściu nie pozostał nawet znak.

Dennis stał przed nim, przestępując z jednej bosej nogi na drugą. Co ma teraz robić?

I znowu wydawało mu się, że słyszy głos ojca, teraz już niecierpliwy, nie znoszący sprzeciwu: Idź za nim, nędzniku! Ruszaj, ale szybko! Pora nadeszła! Idź!

Tato, tam jest ciemno...

Dennisowi wydało się, że poczuł ostrego kuksańca i pomyślał histerycznie: Nawet po śmierci masz mocną rękę, tato! No dobrze, już idę!

Odliczył do czterech od kamienia ze szczerbą i nacisnął. Drzwi zapadły się około czterech cali odsłaniając ciemności.

Ponurą ciszę panującą w tajnym przejściu przerwało ciche grzechotanie – jakby przeszła mysz zrobiona z kamienia. Po chwili Dennis zrozumiał, że to szczękają jego własne zęby.

– Tato, tak się boję – jęknął... a potem ruszył w mrok za królem Tomaszem.

79

Pięćdziesiąt mil dalej, zawinięty w pięć kocy, aby ochronić się przed mrozem i szalejącą wichurą, Flagg krzyknął przez sen dokładnie w tej chwili, gdy Dennis wszedł za królem do tajnego przejścia. Na pobliskim pagórku zawtórowały czarnoksiężnikowi wilki. Żołnierz śpiący po lewej obok Flagga zmarł natychmiast na atak serca, mając wrażenie, że pożera go ogromny lew. Żołnierz leżący po prawej odkrył następnego ranka, że oślepl. Światy czasami ulegają wstrząsom i zmieniają bieguny, i to właśnie wtedy się wydarzyło. Flagg wyczuwał coś, ale nie potrafił tego zrozumieć. Wszelkie dobro na świecie ratuje jedynie to, że w chwilach wielkiej wagi zło nieoczekiwanie traci wzrok. Gdy królewski czarnoksiężnik obudził się następnego dnia, pamiętał, że śniło mu się coś nieprzyjemnego, pochodzącego z dawna zapomnianej przeszłości, ale nie potrafił powiedzieć co.

80

Wewnątrz sekretnego korytarza panowały kompletne ciemności, a suchego powietrza nie

poruszał żaden przeciąg. Gdzieś z głębi dobiegały Dennisa okropne, żałosne dźwięki.

Król płakał.

Usłyszawszy to lokaj trochę przestał się bać. Odczuł wielki podziw i ogromną litość dla Tomasza, który zawsze sprawiał wrażenie nieszczęśliwego. Jako król stał się tłusty i pryszczaty – bywał blady i trzęsły mu się ręce od nadużywania alkoholu, zazwyczaj też brzydko pachniało mu z ust. Jego nogi stopniowo nabierały łukowatego kształtu, a gdy nie było przy nim Flagga, miał skłonność do chodzenia ze spuszczoną głową i włosami opadającymi na twarz.

Dennis wysunął ręce przed siebie i po omacku odnajdywał drogę. Rozlegające się w mroku łkanie zbliżało się... a potem nagle ciemności stały się jakby mniej nieprzeniknione. Usłyszał cichy szmer, następnie dostrzegł Tomasza. Stał na końcu korytarza, a słabe, bursztynowe światło dobiegało z dwu niedużych otworów w ciemnościach. Dennisowi przypominały one unoszące się w powietrzu oczy.

Zaczął nabierać przekonania, że wszystko będzie dobrze, że uda mu się przetrwać tę niesamowitą nocną wędrówkę, gdy Tomasz zaczął krzyczeć. Wrzeszczał tak głośno, iż można by się obawiać, że zerwie sobie struny głosowe. Dennis stracił władzę w nogach, przycisnął dłonie do ust, aby zdławić swój własny krzyk, i zaczęło mu się wydawać, że tajne przejście wypełniają duchy przypominające trzepoczące skrzydłami nietoperze, które w każdej chwili mogą wplątać mu się we włosy; o tak, Dennis odnosił wrażenie, jakby miejsce to wypełniała atmosfera nagłej śmierci, i być może miał rację.

Prawie zemdłał... prawie... ale nie całkiem.

Gdzieś pod nim rozległo się szczekanie psów i lokaj zdał sobie sprawę, że znajdują się nad psiarniami starego króla. Kilka ogarów Rolanda żyło jeszcze i nikt nie usunął ich z zamku. Były jedynymi żywymi istotami – poza samym Dennisem – które usłyszały te dzikie krzyki. Ale psy istniały rzeczywiście, a nie jako duchy, i lokaj trzymał się tej myśli niczym tonący masztu unoszącego się na wodzie.

Kilka chwil później zdał sobie sprawę, że krzyk Tomasza nie był jedynie wrzaskiem – udało mu się odróżnić słowa. Na początku rozumiał tylko jedno powtarzane bez końca zdanie: – Nie pij tego wina! Nie pij tego wina! Nie pij tego wina!

81

Trzy noce później rozległo się lekkie stukanie do zamkniętych drzwi bawialni na farmie w jednej z Centralnych Baronii, znajdującej się niedaleko miejsca, gdzie niegdyś mieszkała rodzina Staadów.

– Wejść! – warknął Anders Peyna. – I lepiej niech to będzie coś ważnego, Arlenie!

Lokaj postarzał się od czasu, gdy Beson pojawił się u drzwi Peyny z listem od Piotra. Ale zmiany, jakie w nim zaszły, były nieznaczne, jeśli porównało się go z Peyną. Dawny sędzia najwyższy stracił prawie wszystkie włosy.

Szczupła sylwetka stała się chuda. Ale i włosy, i chudość niewiele znaczyły w porównaniu z tym, co stało się z jego twarzą. Dawniej malowała się na niej surowość. Teraz stała się ponura. Pod oczami pojawiły się ciemnobrażowe podkowy. Piętno rozpaczy malowało się wyraźnie na tej twarzy, a były po temu poważne powody. Właściciel jej przyglądał się, jak dzieło jego życia doprowadzono do ruiny... z zapierającą oddech łatwością i w przerażająco krótkim czasie. O tak, przypuszczam, że mądrzy ludzie wiedzą, jak kruchą w istocie rzeczą jest prawo, sprawiedliwość i cywilizacja, ale wolą o tym nie pamiętać, bo zakłóca im to spokój i psuje apetyt.

Przyglądanie się, jak niszczone jest dzieło życia z taką łatwością, jakby był to domek z klocków, jest samo w sobie nieprzyjemne, ale była jeszcze inna, o wiele gorsza sprawa, która nękała Peynę w ciągu ostatnich czterech lat. Wiedział on mianowicie, że Flagg nie doprowadził do owych ponurych zmian sam. Peyna mu w tym pomógł. Któż bowiem jak nie on dopilnował, żeby rozprawa Piotra odbyła się tak szybko? Któż był tak przekonany o jego winie... i to na podstawie takiego dowodu, jak łzy zrozpaczonego młodego chłopca?

Od dnia, gdy Piotra zaprowadzono na szczyt Iglicy, pień, na – którym ścinano” głowy na placu, nabrał koloru złowrogiej czerwieni. Nawet największy deszcz nie potrafił go domyc. A Peynie wydawało się, że widzi, jak owa złowieszczą barwa rozprzestrzenia się – pokrywa plac, ulice wiodące do targu, boczne uliczki. W swych niespokojnych snach obserwował strumyki świeżej krwi sączące się jaskrawymi, oskarżycielskimi smużkami pomiędzy kamieniami bruku i spływające strużkami do rynsztoków. Widział szaniec Zamku Delain połyskujące krwawo w słońcu. Spostrzegł w fosie pływającego brzuchem do góry karpia, zatrutego krwią, która obficie wypływała ze ścieków i wydobywała się ze źródeł w głębi ziemi. Zobaczył, jak posoka zalewa pola i lasy. W owych nieszczęśliwych czasach słońce zaczęło przypominać mu nabiegłe krwią, martwiejące oko.

Flagg pozostawił go przy życiu. W karczmach ludzie szeptali zasłaniając usta ręką, że zawarł porozumienie z czarnoksiężnikiem – że może podał mu nazwiska niektórych zdrajców albo „miał coś” na Flagga, znał jakąś jego tajemnicę, która wyszłaby na jaw po śmierci Peyny. Oczywiście nie miało to najmniejszego sensu. Flagg nie należał do ludzi dających się zastraszyć – ani Peynie, ani komukolwiek innemu. Nie istniały żadne tajemnice. Nie zawarto żadnych układów ani porozumienia. Flagg po prostu pozwolił mu żyć... a Peyna wiedział dlaczego. Po śmierci znalazłby prawdopodobnie spokój. Żyjąc musiał znosić tortury własnego sumienia. Musiał przyglądać się strasznym zmianom, jakie mag wprowadzał w Delainie.

– No? – zapytał z irytacją. – O co chodzi, Arlenie?

– Przyszedł jakiś chłopak, panie. Mówi, że musi się z panem zobaczyć.

– Odeślij go – odparł z niezadowoleniem Peyna. Pomyślał, że jeszcze rok temu usłyszałby stukanie do drzwi frontowych, ale teraz wydawało mu się, że traci słuch z dnia na dzień.

– Wiesz doskonale, że nie przyjmuję po dziewiątej. Wiele się zmieniło, ale to nie.

Arlen odchrząknął.

– Znam go. To Dennis, syn Brandona. Jest teraz lokajem króla.

Peyna patrzył na Arlena nie wierząc własnym uszom. Może głuchnie jeszcze szybciej, niż myślał. Kazał słudze powtórzyć, ale brzmiało to identycznie jak poprzednio.

– Przyjmę go. Każ mu wejść.

– Tak jest, panie – Arlen skierował się do drzwi. Podobieństwo do tego wieczoru, gdy Beson przyszedł z listem od Piotra – nawet tak samo wył wiatr za oknami – wydało się Peynie uderzające.

– Arlen! – zawołał. Lokaj odwrócił się.

– Tak, panie.

Prawy kącik ust Peyny leciutko drgnął.

– A jesteś pewien, że to nie karzeł?

– Najzupełniej, panie – odparł Arlen, a lewy kącik jego ust zadrżał odrobinę. – Nie ma karłów na świecie. W każdym razie tak mówiła mi matka.

– Była to niewątpliwie kobieta rozsądna i mądra, która starała się właściwie wychować swego syna, i nie należy obciążać jej odpowiedzialnością za materiał, z jakim musiała pracować. Przeprowadź tu zaraz tego chłopaka.

– Tak, panie. – Drzwi zamknęły się.

Peyna znów popatrzył w ogień i zatarł swe zniekształcone przez artretyzm starcze dłonie z niezwykłym u niego podnieceniem. Lokaj Tomasza. Tutaj. Teraz. Dlaczego?

Ale domysły nie prowadziły do niczego; drzwi zaraz się otworzą i odpowiedź wkroczy przez nie w postaci drżącego z zimna, a może nawet odmrożonego mężczyzny-chłopca.

Dennisowi byłoby o wiele łatwiej znaleźć Peynę, gdyby mieszkał on nadal w swym pięknym domu w centrum miasta, ale dawny sędzia najwyższy został zmuszony go sprzedać, żeby wyrównać „zaległe podatki”, jakimi obciążono go za rezygnację z urzędu. Kilkaset guldenów, które zdołał odłożyć podczas czterdziestu lat pracy, pozwoliło mu kupić nieduży, wyiębiony przeciągami wiejski dom i nadal płacić Besonowi. Dom znajdował się zasadniczo na terenie Centralnych Baronii, ale leżał wiele mil na zachód od zamku... a na dworze było bardzo zimno.

Usłyszał szmer głosów w hallu. Teraz. Zaraz pozna odpowiedź na swoje pytania. Nagle owładnęło nim szalone uczucie – błysnęła nadzieja, niczym jaskrawy promień światła w ciemnej jaskini. Zaraz usłyszę odpowiedź – pomyślał i przez chwilę wydawało mu się, że rzeczywiście okaże to się prawdą.

Sięgając po swoją ulubioną fajkę Anders Peyna spostrzegł, że drżą mu dłonie.

82

Chłopiec okazał się mężczyzną, ale określenie Arlena także było usprawiedliwione – przynajmniej tego wieczoru. Peyna zauważył, że zmarł, jednak takie drżenie, jakie opanowało Dennisa, nie mogło być wyłącznie rezultatem zimna.

– Dennis! – rzekł Peyna pochylając się raptownie do przodu (i ignorując wywołany przez nagły ruch ból w plecach). – Czy coś się stało królowi? – Okropne wizje, potworne sytuacje nagle osaczyły Peynę – król nie żyje albo z powodu nadużycia alkoholu, albo popełnił samobójstwo. Wszyscy w Delainie wiedzieli, że często wpadał w przygnębienie.

– Nie... to znaczy... tak... ale nie... nie w taki sposób, jak pan myśli... to znaczy nie tak, jak ja myślę, że się panu wydaje...

– Podejdz do ognia – powiedział sucho Peyna. – Arlen, nie gap się tak! Przynieś koc! Albo lepiej dwa! Zawin w nie tego chłopca, zanim roztrzęsie się na śmierć niczym żuczek trzęsaczek!

– Tak, panie – odrzekł Arlen. Nigdy w życiu się nie gapił – i doskonale o tym wiedział, tak samo jak jego pan. Ale natychmiast zrozumiał powagę sytuacji i oddalił się szybko. Zdjął dwa koce ze swojego własnego łóżka – pozostałe dwa w tym domu będącym niewiele więcej niż chłopską chatą należały do Peyny – i przyniósł je do bawialni. Podszedł do Dennisa, który kulił się tak blisko ognia, jak tylko mógł bez ryzyka, że stanie w płomieniach. Szron pokrywający grubą warstwą jego włosy zaczął się topić i spływał mu po policzkach niczym łzy. Dennis zawinął się w koce.

– A teraz herbaty. Mocnej. Filiżanka dla mnie i dzbanek dla chłopca.

– Ależ, panie, mamy tylko pół puszki w całym...

– Do diabła z tym, ile nam zostało! Filiżanka dla mnie i dzbanek dla chłopca. – Zastanowił się. – I sobie też zrób filiżankę, Arlenie, a potem przyjdź tu posłuchać.

– Panie? – Nawet doskonale wyszkolenie nie uchroniło Arlena przed przybraniem wyrazu szczerego zaskoczenia.

– Do cholery! – ryknął Peyna. – Czy to ma znaczyć, że stałeś się równie głuchy jak ja? Bierz się do roboty!

– Tak, panie – powiedział Arlen i udał się, aby zaparzyć ostatnią herbatę w tym domu.

83

Peyna nie zapomniał jeszcze całej sztuki prowadzenia przesłuchań; prawdę mówiąc

zapomniał bardzo niewiele albo nic. Spędził niejedną bezsenłą noc marząc, żeby udało mu się wyrzucić z pamięci to i owo.

Podczas gdy Arlen parzył herbatę, Peyna zajął się uspokajaniem przestraszonego, a raczej śmiertelnie przerażonego młodego człowieka. Zapytał, jak się ma matka Dennisa. Chciał wiedzieć, czy usterki w kanalizacji, które tak gnębiły mieszkańców zamku, zostały usunięte. Dopytywał się, co Dennis sądzi o wiosennym sadzeniu. Trzymał się z daleka od wszystkich niebezpiecznych tematów... i stopniowo, w miarę jak się rozgrzewał, młody lokaj zaczął się uspokajać.

Gdy Arlen podał herbatę, gorącą, parującą i mocną, Dennis wysiorbał połowę filiżanki jednym haustem, skrzywił się, a potem pochłonał resztę. Jak zawsze nieporuszony Arlen nalał mu więcej.

– Spokojnie, chłopcze – powiedział Peyna zapalając fajkę. – Spokój to najlepszy sposób na gorącą herbatę i nerwowe konie.

– Było tak strasznie zimno. Myślałem, że zamrznę na kość.

– Szedłeś piechotą? – Peyna nie potrafił ukryć zdziwienia.

– Tak. Prosiłem matkę, żeby zawiadomiła innych służących, że jestem chory na grype. To wystarczy na kilka dni, wszyscy ją łapią o tej porze... albo mogą złapać. Szedłem. Całą drogę. Nie odważyłem się poprosić o podwiezienie. Nie chciałem, żeby mnie ktoś zapamiętał. Nie zdawałem sobie sprawy, że to tak daleko. Gdybym wiedział, może zaryzykowałbym podróż wozem. Wyruszyłem o trzeciej. – Zadrzał, przełknął, a potem wybuchnął: – Nie wrócę tam, za nic w świecie! On teraz na mnie tak patrzy po powrocie! Łypie spode łba swoimi czarnymi oczyskami! Nigdy tak na mnie nie patrzył, nigdy przedtem nie zwracał na mnie uwagi! Wie, że coś widziałem! Że usłyszałem coś! Nie wie co, ale coś wyczuwa! Słyszy myśli w mojej głowie niczym dzwony w świątyni Wielkich Bogów! Gdybym został, wydobyłyby to ze mnie! Na pewno!

Peyna przyglądał się chłopcu ze zmarszczonymi brwiami, usiłując połapać się w tej nieoczekiwanej powodzi informacji.

W oczach Dennisa pojawiły się łzy.

– To znaczy, F...

– Cicho, Dennis – powiedział Peyna. Mówił łagodnie, ale patrzył srogo. – Wiem, kogo masz na myśli. Ale nie wypowiadaj tego imienia na głos.

Dennis spojrzał na niego ze szczerą wdzięcznością, bez słów.

– A teraz powiedz mi, z czym przyszedłeś – rzekł Peyna.

– Tak. Tak, dobrze.

Młody lokaj zawahał się na chwilę, usiłując się opanować i uporządkować myśli. Peyna czekał spokojnie, starając się nie okazywać rosnącego podniecenia.

– Widzi pan – zaczął wreszcie Dennis – trzy dni temu Tomasz kazał mi nocować u siebie, jak

to czasami robił. A o północy albo coś koło tego...

84

Dennis opowiedział historię, którą już znacie, ale należy mu przyznać, że nie próbował oszukiwać na temat strachu, jaki przeżył, ani też go pomijać. Gdy mówił, wiatr wył za oknami, a w miarę jak przygasał ogień na kominku, oczy Peyny płonęły coraz jaśniej. Oto, pomyślał, sprawy mają się o wiele gorzej, niż sobie wyobrażał. Nie tylko Piotr otruił króla, ale Tomasz był tego świadkiem.

Nic dziwnego, że młody król tak często bywał smutny i przygnębiony. Może plotki, które słyszało się po karczmach, że Tomasz jest już na poły szalony, nie odbiegały tak daleko od prawdy, jak to się Peynie wydawało.

Ale gdy Dennis przerwał, żeby napić się herbaty (Arlen nalał mu gorzkie resztki z dzbanka), Peyna odrzucił tę myśl. Gdyby Tomasz widział, jak Piotr otruił Rolanda, to czemu Dennis znalazł się tutaj... i to w tak wielkim strachu przed Flaggiem?

– Usłyszałeś coś jeszcze – powiedział Peyna.

– Tak, panie sędzio najwyższy – odparł Dennis. – Tomasz... majaczył przez pewien czas. Siedzieliśmy długo w ciemnościach.

Dennis usiłował mówić jaśniej, ale nie potrafił znaleźć słów, aby oddać straszne chwile spędzone w zamkniętym korytarzyku z Tomaszem krzyczącym przed nim w ciemnościach i kilkoma jeszcze żyjącymi psami zmarłego króla szczekającymi pod nimi. Żadne słowa nie opiszą zapachu panującego w tym miejscu – woni tajemnic, które skwaśniały niczym mleko wylane w ciemnościach. Nie potrafił też wyrazić rosnącego strachu, że Tomasz wciąż znajdując się we śnie oszalał.

Wykrzykiwał imię królewskiego czarnoksiężnika raz za razem; błagał króla, żeby spojrział do kielicha i zobaczył mysz, równocześnie płonąca i utopiona w winie. Dlaczego się tak na mnie gapisz? – wołał. A potem: Przyniosłem ci kieliszek wina, panie, żeby pokazać, że ja także cię kocham. W końcu krzyknął słowa, które Piotr poznałby z łatwością, słowa mające więcej niż czterysta lat: To Flagg! Flagg! To Flagg!

Dennis sięgnął po filiżankę, podniósł do ust, a potem pozwolił jej upaść. Rozprysła się na tysiąc kawałków na kamiennym kominku.

Wszyscy trzej patrzyli na potłuczoną porcelaną.

– A potem? – zapytał Peyna podejrzanie łagodnym głosem.

– Nic przez bardzo długi czas – powiedział Dennis przerywanym głosem. – Wzrok... przyzwyczaił mi się trochę do ciemności i zacząłem go widzieć. Zasnął... zapadł w sen przy tych

dwu otworkach z brodą opartą o pierś.

– I długo tak pozostawał?

– Nie wiem, panie. Psy uspokoiły się. I może ja... ja...

– Też się trochę zdrzemnąłeś? Myślę, że tak się stało, Dennis.

– A potem wyglądało na to, że się obudził. W każdym razie otworzył oczy. Zasunął otwory w ścianie i znów zapadły ciemności. Usłyszałem, że się porusza, i podciągnąłem nogi, żeby się o nie nie potknął... jego koszula nocna... musnęła moją twarz...

Dennis skrzywił się przypominając sobie wrażenie, jakie wywołał jej dotyk – jakby pajęczyny poruszonej oddechem.

– Udałem się za nim. Wydostał się na korytarz... Dalej za nim szedłem. Zamknął drzwi tak, że znowu niczym nie odróżniały się od ściany. Wrócił do swoich komnat, a ja za nim.

– Czy spotkaliście kogoś? – zapytał Peyna tak ostro, że Dennis podskoczył. – Kogokolwiek?

– Nie. Nie, panie sędzio najwyższy. Ani żywej duszy.

– Aha – odetchnął z ulgą Peyna. – To znakomicie. Czy coś jeszcze wydarzyło się tej nocy?

– Nie, panie. Poszedł do łóżka i spał jak zabity. – Dennis zawahał się, a potem dodał: – Ja nie zmrużyłem oka ani tej nocy, ani w następne.

– A rano?

– Nic nie pamiętał.

Peyna chrząknął. Złożył dłonie i patrzył przez palce na gasnący ogień.

– Czy poszedłeś jeszcze raz do tajnego przejścia? Nieoczekiwanie Dennis zapytał:

– A ty wróciłbyś tam, panie?

Tak odparł sucho Peyna. Ale chciałbym wiedzieć, czy ty to zrobiłeś? Tak.

– Oczywiście. Ktoś cię zobaczył?

– Nie. Sprzątaczką minęła mnie w przedpokoju. Pralnie znajdują się piętro niżej, jak wiem. Czulem zapach szarego mydła, takiego jak używa moja mama. A gdy już sprzątaczką sobie poszła, odliczyłem cztery kamienie od tego ze szczerbą i wszedłem do środka.

– Żeby zobaczyć, co widział Tomasz. Tak, panie.

– I widziałeś to?

– Tak, panie.

– Co to było? – zapytał Peyna, mimo że wiedział. – Gdy odsunąłeś klapki zasłaniające otwory w ścianie, to co zobaczyłeś?

– O panie, bawialnię króla Rolanda – powiedział Dennis. – Z tymi wszystkimi głowami na ścianach. I... panie... – mimo dogasającego na kominku ognia młody lokaj zadrżał. – One... jakby na mnie patrzyły.

– Ale jednej z nich nie widziałeś – powiedział Peyna.

– Ależ nie, widziałem je wszystk... – przerwał szeroko otwierając oczy. – Dziewięć! –

sapnął. – Te otworki – przerwał, a oczy miał już teraz wielkości spodków.

W bawialni znów zapadła cisza. Na dworze zimowy wiatr zawodził i jęczał. A wiele mil od nich Piotr, prawy król Delainu, kulił się nad maleńkim warsztatem tkackim wysoko na niebie i pracował nad liną tak cienką, że prawie niewidoczną.

W końcu Peyna ciężko westchnął. Dennis popatrzył na niego ze swojego miejsca przy kominku błagalnie... z nadzieją... ze strachem. Stary sędzia powoli pochylił się do przodu i dotknął jego ramienia.

– Słusznie zrobiłeś przychodząc tutaj, Dennisie, synu Brandona. Dobrze się też stało, że podałeś jakiś powód swojej nieobecności – całkiem zresztą wiarygodny. Przenocujesz dzisiaj u nas, na strychu. Jest tam zimno, ale myślę, że będzie ci się tu spało lepiej niż ostatnio. Mam rację?

Dennis powoli skinął głową, a potem z prawego oka popłynęła mu łza i z wolna potoczyła się po jego policzku.

– A czy twoja mama ma jakieś pojęcie, dlaczego musiałeś odejść?

– Nie.

– Więc może jej to nie dotknie. Arlen zaprowadzi cię na górę. O ile wiem, koce należą do niego, więc musisz mu je oddać. Ale leży tam trochę siana i jest czysto.

– Jeden koc w zupełności mi wystarczy, panie – powiedział Arlen.

– Cicho! Młoda krew jest gorąca nawet podczas snu, Arlenie. Twoja zaś już ostygła. A koce mogą okazać ci się potrzebne... na wypadek, gdyby przyśniły ci się karły i trolle.

Arlen uśmiechnął się lekko.

– Rano sobie jeszcze porozmawiamy, Dennisie – ale chyba przez jakiś czas nie zobaczysz swojej mamy; muszę ci to powiedzieć, chociaż widzę po twojej minie, że sam się już domyślasz, iż powrót do Delainu okazałby się dla ciebie niezdrowy.

Dennis próbował się uśmiechnąć, ale w oczach czaił mu się strach.

– Miałem na myśli coś więcej niż grypę, gdy wyruszyłem tutaj, taka jest prawda. A teraz okazało się, że wystawiłem na szwank zdrowie pana.

Peyna uśmiechnął się sztywno.

– Jestem stary i Arlen też. Ludzie w naszym wieku rzadko kwitną zdrowiem. Czasami są dlatego ostrożni aż do przesady... a czasami gotowi wiele poświęcić. – Zwłaszcza, pomyślał, jeśli mamy wiele do odkupienia. – Porozmawiamy sobie jeszcze rano. Teraz jednak należy ci się odpoczynek. Oświeć mu drogę, Arlenie.

Tak, panie.

– I zajdź jeszcze do mnie.

– Tak, panie.

Arlen wyprowadził wyczerpanego Dennisa z pokoju, zostawiając Peynę dumającego nad

dogasającymi płomieniami w kominku.

85

Gdy stary lokaj wrócił, Peyna powiedział cicho:

– Musimy teraz ułożyć plan, Arlenie, ale przedtem utocz nam trochę wina. Dobrze też zaczekać, aż chłopiec zaśnie.

– Panie, spał, zanim dotknął głową siana.

– Doskonale. Ale mimo to, utocz kroplę wina.

– Więcej i tak nie ma.

– Świetnie. Przynajmniej w drodze nie będą nas bolały głowy.

– Panie?

– Jutro wyruszamy na północ, Arlenie, wszyscy trzej. Wiesz o tym tak samo jak ja. Dennis twierdzi, że w Delainie szaleją bakterie – i tak też jest; zwłaszcza jedna czyha na nas. Jedziemy z powodów zdrowotnych.

Arlen powoli skinął głową.

– Byłoby zbrodnią zostawiać dobre wino poborcy podatków. Dlatego wypijemy je... a potem pójdziemy spać.

– Jak rozkażesz, panie. Oczy Peyny zabłyśły.

– Ale zanim udasz się do łóżka, wejdiesz na strych i zabierzesz koc, który zostawiłeś chłopcu wbrew mojemu stanowczemu i dokładnemu poleceniu.

Arlen popatrzył na Peynę otwierając głupkowato usta. Peyna wielce udatnie przedrzeźnił jego minę. Po raz pierwszy i ostatni podczas swego zatrudnienia u Peyny Arlen wybuchnął głośnym śmiechem.

86

Peyna położył się, lecz nie mógł zasnąć. Ale to nie wiatr mu przeszkadzał, tylko zimny śmiech rozbrzmiewający w jego własnej głowie.

Gdy już go nie mógł znieść, wstał, wrócił do bawialni i usiadł przed kominkiem, w którym popiół już stygł. Jego głowę otaczały białe obłoczki włosów. Nieświadom, jak komicznie wygląda (ale nawet, gdyby sobie z tego zdawał sprawę, nie przejąłby się), siedział zawinięty w swoje koce niczym najstarszy na świecie Indianin i patrzył w wygasły ogień.

Tracimy dumę przed upadkiem – mawiała mu matka, gdy był jeszcze dzieckiem, i Peyna to

zrozumiał. Duma prędzej czy później rozśmieszy siedzącego w nas obcego – mówiła też, ale wtedy tego nie pojmował... dopiero teraz. Dzisiejszego wieczoru obcy śmiał się do rozpuku. Za bardzo, by pozwolić mu zasnąć, nawet jeśli jutro czekał ciężki dzień.

Peyna potrafił docenić ironię sytuacji, w jakiej się znalazł. Całe życie służył prawu. Pojęcia takie, jak „ucieczka z więzienia” i „zbrojny bunt”, zawsze go napawały odrazą. Tak też było i teraz, ale mimo to musiał przyjąć do wiadomości pewne prawdy. Na przykład to, że w Delainie powstała machina buntu. Peyna wiedział, że szlachta, która zbiegła na północ, nazywała siebie „uchodźcami”, ale zdawał sobie sprawę, że niewiele brakuje, aby bardziej pasowało do nich określenie „buntownicy”. A jeśli miał zapobiec wybuchowi owej rebelii, powinien wykorzystać jej maszynię, aby pomóc zbiec z Iglicy więźniowi. To właśnie był żart, z którego obcy wewnątrz śmiał się tak głośno, że nie dawał mu zasnąć.

Działania podobne do tych, nad którym się teraz zastanawiał, przejmowały go wstrętem, ale musiał je podjąć, nawet gdyby miało to się źle dla niego skończyć (co było całkiem prawdopodobne). Piotr został niesłusznie uwięziony. Prawdziwy król Delaifiu nie siedział na tronie, tylko w zimnym, dwupokojowym więzieniu na szczycie Iglicy. A jeśli tylko bezprawie mogło przywrócić właściwy stan rzeczy, to trudno. Ale...

– Te serwetki – mruknął Peyna. Stale wracał do nich myślą. – Zanim odwołamy się do zbrojnej siły, aby uwolnić prawowitego króla i z powrotem osadzić go na tronie, trzeba zbadać sprawę serwetek. Powinno się go o to zapytać. Dennis... i może chłopak Staadów... tak...

– Panie? – odezwał się Arlen za plecami Peyny. – Źle się czujesz?

Arlen, czujny jak wszyscy lokaje, usłyszał, że jego pan wstał.

– Tak – zgodził się ponuro Peyna. – Ale lekarz nic nie pomoże.

– Przykro mi, panie.

Peyna odwrócił się do Arlena i zmierzył go swymi lśnącymi, zapadniętymi oczyma.

– Zanim zostaniemy banitami, chcę wiedzieć, dlaczego poprosił o dom lalek swojej matki... i serwetki do posiłków.

87

Mam wracać na zamek? – zapytał Dennis tak zachrypnięty, że w zasadzie mógł tylko szeptać. – Wracać tam, gdzie on jest?

– Jeśli uważasz, że nie możesz, nie nalegam – powiedział Peyna. – Ale moim zdaniem znasz zamek na tyle, żeby nie wejść mu w drogę. To znaczy, o ile wiesz, jak tam się wślizgnąć niepostrzeżenie. Źle by się stało, gdyby cię ktoś zauważył. Wyglądasz zbyt zdrowo jak na kogoś, kto powinien leżeć w łóżku.

Dzień był zimny i słoneczny. Śnieg na rozległych, łagodnie falujących wzgórzach Centralnych Baronii lśnił diamentowo, co wywoływało łzawienie oczu. Do południa zapadną na śnieżną ślepotę, i dobrze mi tak – pomyślał zrzędlawie Peyna. Obcy wewnątrz niego uznał, iż perspektywa taka jest bardzo zabawna.

Zamek Delain widniał w oddali, mając błękitnawo na horyzoncie, a jego mury i wieże przypominały ilustracje w książkach z bajkami. Dennis jednak nie czuł się jak szukający przygód bohater takich opowieści. W oczach miał strach, a na twarzy wyraz człowieka, który uciekł z klatki z lwami... tylko po to, żeby się okazało, że zostawił w niej drugie śniadanie i teraz musi po nie wrócić, chociaż całkiem już stracił apetyt.

– Znajdzie się jakiś sposób – powiedział. – Ale jeśli mnie wywęszy, to droga wejścia i miejsce ukrycia przestaną mieć jakiegokolwiek znaczenie. Jak mnie wyczuje, to koniec.

Peyna skinął głową. Nie chciał powiększać strachu chłopca, ale w tej sytuacji nie wolno mu było kłamać.

– Mówisz prawdę.

– I mimo to pragnie pan, żebym tam poszedł.

– Jeśli możesz.

Podczas skąpego śniadania Peyna powiedział Dennisowi, czego ma się dowiedzieć, i zaproponował kilka sposobów, za pomocą których Dennis może zdobyć te informacje. Teraz Dennis potrząsał głową nie w odmowie, ale ze zdziwieniem.

– Serwetki – powiedział. Peyna skinął głową.

– Serwetki.

Przerażony wzrok Dennisa powędrował w kierunku odległego zamku lśniącego gdzieś na horyzoncie.

– Umierając mój ojciec powiedział, że jeśli tylko nadarzy się okazja, żeby zrobić przysługę memu pierwszemu panu, nie wolno mi się zawahać. Myślałem, że dokonałem tego przychodząc tutaj. Ale jeśli muszę wracać...

Dołączył do nich Arlen, który zajmował się zamykaniem drzwi.

– Daj mi twój klucz, Arlenie – powiedział Peyna. Lokaj wręczył mu klucz, a Peyna przekazał go Dennisowi.

– Arlen i ja udajemy się na północ do – zawahał się i odchrząknął – uchodźców. Daję ci jego klucz do tego domu. Gdy dotrzemy do ich obozu, dam mój człowiekowi, którego znasz, o ile go tam znajdę. Ale chyba tak.

– Kto to? – zapytał Dennis.

– Ben Staad.

Twarz młodego lokaja załśniła radością.

– Ben? Jest z nimi?

– Przypuszczam, że tak – powiedział Peyna. Prawdę mówiąc wiedział, że cała rodzina Staadów dołączyła do uchodźców. Baczenie przysłuchiwał się, co w trawie piszczy, a uszy miał jeszcze wystarczająco dobre, aby mało co umknęło jego uwagi.

– I wyśle pan go na zamek?

Tak, jeśli się zgodzi – odparł Peyna.

– Po co? Niezupełnie rozumiem, panie.

– Ja też nie – powiedział Peyna z gniewem. Odczuwał jednak coś gorszego niż złość – miał w głowie chaos. – Spędziłem całe życie robiąc pewne rzeczy, bo wydawały mi się logiczne, i nie robiąc innych, które nimi nie były. Widziałem, co dzieje się z ludźmi kierującymi się intuicją albo nielogicznymi przesłankami. Czasami rezultaty okazywały się niedorzeczne i żenujące, a czasami po prostu straszne. A teraz co – sam chętnie popatrzyłbym w kryształową kulę.

– Nie rozumiem, panie.

– Ja też nie, Dennisie. Ja też nie. Którego dziś mamy? Dennis zaskoczony nagłą zmianą tematu zamrugał oczami.

– Ee, wtorek.

– Wtorek. Znakomicie. A teraz chciałbym ci zadać pytanie, które jeśli wierzyć przekłętej intuicji, może okazać się bardzo ważne. Jeśli nie znasz odpowiedzi albo nie jesteś jej pewien – na miłość boską, przyznaj się do tego! Jesteś gotów?

– Tak, panie – powiedział Dennis, chociaż nie był wcale o tym przekonany. Przenikliwy wzrok niebieskich, przykrytych gęstymi, siwymi brwiami oczu Peyny napawał go strachem. Pytanie niewątpliwie okaże się wielce trudne.

Peyna zadał mu je, a Dennis odprężył się. Nie miało ono dla niego wielkiego sensu – związane było z idiotyczną sprawą serwetek – ale znał na nie odpowiedź i udzielił jej.

– Jesteś pewien? – dopytywał się Peyna.

– Tak, panie.

– Znakomicie. A teraz słuchaj, co masz zrobić. Peyna mówił przez pewien czas, stojąc wraz ze swymi dwoma towarzyszami w mroźny i słoneczny poranek przed swym „ustroniem”, do którego miał już nie wrócić. Dennis słuchał z uwagą, a gdy Peyna kazał mu powtórzyć instrukcje, zrobił to całkiem dokładnie.

Dobrze – rzekł Peyna. – Doskonale.

– Cieszę się, że jest pan zadowolony.

– Nie jestem z niczego zadowolony w tej sprawie, Dennisie. Ani trochę. Jeśli znajdę Bena Staada pośród tych nieszczęsnych wyrzutków w Puszczy Kresowej, to wyślę go ze względnie bezpiecznego miejsca tam, gdzie grozi mu śmierć dlatego, że być może zdoła się w jakiś sposób przysłużyć królowi Piotrowi. Posyłam cię z powrotem do zamku, bo serce podpowiada mi, że serwetki, o które poprosił... i dom lalek kryją w sobie jakąś tajemnicę. Czasami wydaje mi się, że

prawie wiem, o co chodzi, a potem znowu mi to umyka. Jestem przekonany, że nie żądał ich bez celu. Ale nie mam pewności. – Peyna ze złością klepnął się po udzie. – Wystawiam dwu dzielnych młodzieńców na straszne niebezpieczeństwo i coś mi podpowiada, że robię słusznie, ale... nie wiem DLACZEGO!

A w głębi duszy człowieka, który kiedyś skazał chłopca za to, że płakał, obcy śmiał się, śmiał się i śmiał.

88

Dwaj starsi mężczyźni ruszyli w drogę. Wymienili z Dennisem uścisk dłoni, on zaś ucałował pierścień sędziego, na którym wryta była Wielka Pieczęć Delainu. Peyna zrezygnował ze swego stanowiska, ale nie potrafił rozstać się z sygnetem, który stanowił symbol wszystkiego, co prawo ma w sobie najlepsze. Wiedział, że od czasu do czasu popełniał błędy, ale nie załamywał się tym. Zdawał sobie sprawę, że na tej ziemi droga do piekła wybrukowana jest dobrymi chęciami – ale rozumiał też, że czasami tylko one się liczą. Być może aniołom nie grozi potępienie, ale istoty ludzkie nie mają tego szczęścia i zawsze znajdują się blisko piekła.

Nie chciał, żeby Dennis całował pierścień, ale chłopak się uparł. Potem Arlen uściśnął mu dłoń i życzył rychłego powrotu. Uśmiechając się (ale Peyna widział, że w oczach czai mu się strach) Dennis wyraził nadzieję, że im także wszystko pójdzie gładko. Potem młody lokaj zwrócił się na wschód, w stronę zamku, a dwaj starsi panowie udali się w kierunku zachodnim, na farmę niejakiego Karola Reechfula. Zajmował się on zawodowo hodowlą anduańskich psów husky, płacił bez skargi drastyczne podatki nakładane przez króla i w związku z tym uważano, że jest wiernym poddanym... ale Peyna wiedział, że Reechful pomagał uchodźcom obozującym w Puszczy Kresowej i ułatwiał innym nawiązanie z nimi kontaktu. Peyna nigdy nie przypuszczał, że będzie kiedykolwiek potrzebował usług Reechfula, ale teraz nadeszła właśnie taka chwila.

Najstarsza córka gospodarza, Naomi, powiozła Peynę i Arlena saniami ciągnionymi przez dwanaście najsilniejszych psów. W środę wieczorem znaleźli się na skraju Puszczy Kresowej.

– Kiedy dotrzemy do obozu uchodźców? – zapytał Peyna Naomi.

Dziewczyna cisnęła w ogień cienkie, paskudnie cuchnące cygare, które paliła.

– Za jakieś dwa dni, jeśli utrzyma się ładna pogoda. Cztery, o ile zacznie padać śnieg. Albo nigdy, jeżeli rozsiale się zamieć.

Peyna poszedł się położyć. Zapadł w sen prawie natychmiast. Może i nie miało to sensu, ale sypiał obecnie lepiej niż w ostatnich latach.

Następnego dnia pogoda utrzymała się, to samo w piątek. Tego dnia o zmroku – czwartego od czasu, gdy Peyna i Arlen rozstali się z Dennisem – dotarli do niedużego skupiska namiotów

i prowizorycznych szafasów, których Flagg szukał daremnie.

– Hej! Kto idzie i jakie jest hasło? – zawołał jakiś głos. Brzmiał pewnie, radośnie i nie słyszało się w nim lęku. Peyna rozpoznał go natychmiast.

– Naomi Reechful – odkrzyknęła dziewczyna – a hasło dwa tygodnie temu brzmiało „egzamin”. Jeśli się zdążyło zmienić, Benie Staad, to strzelaj, a ja wrócę cię straszyc!

Zza skały wyłonił się roześmiany Ben.

– Nie odważyłbym się stawić czoła twojemu duchowi, Naomi – jesteś dostatecznie przerażająca za życia!

Nie zwracając więcej uwagi na Bena dziewczyna zwróciła się do Peyny.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała.

– Tak – odparł. – Widzę.

I cieszę się, że tu trafiliśmy... bo coś mi mówi, iż zostało już bardzo mało czasu – pomyślał.

89

Piotr odnosił to samo wrażenie.

W niedzielę, dwa dni potem, jak Peyna i Arlen znaleźli się w obozie uchodźców, lina, według jego obliczeń, sięgała około trzydziestu stóp nad ziemię. Oznaczało to, że gdyby zawisł na jej końcu na wyciągniętych rękach, od powierzchni bruku dzieliłoby go jeszcze dwadzieścia jeden stóp. Zdawał sobie sprawę, że byłoby rozsądniej, gdyby popracował nad liną cztery miesiące dłużej – przynajmniej dwa. Gdyby spadając źle wylądował i złamał obie nogi, a strażnicy znaleźli go podczas obchodu jęczącego na kamieniach, zmarnowałby więcej niż cztery lata, po prostu dlatego, że zabrakło mu cierpliwości na kontynuowanie pracy przez jeszcze cztery miesiące.

Tego rodzaju rozumowanie spodobałoby się Peynie, ale Piotr miał stanowcze przecucie, że musi się spieszyć. Niegdyś Peyna wyśmiałby sugestie, że należy bardziej polegać na przecuciach niż na logice... ale teraz nie byłby chyba taki pewien siebie.

Piotrowi śnił się sen – powtarzał się co noc już prawie od tygodnia, i za każdym razem stawał się coraz dokładniejszy. Przedstawiał on Flagga pochylonego nad jakimś jaskrawo lśniącym przedmiotem – rzucającym niezdrowy, żółtozielony blask na twarz czarnoksiężnika. We śnie tym zawsze nadchodziła chwila, w której oczy maga rozszerzały się jakby w zdumieniu, a potem zwężały w wąskie, okrutne szparki. Brwi marszczyły się, czoło mroczyło, a gorzki grymas wykrzywił usta. Ten wyraz twarzy oznaczał dla Piotra jedną rzecz: śmierć. Flagg wypowiadał tylko jedno słowo pochylając się, aby zdmuchnąć błyszczący przedmiot, który gasł jak świeca pod oddechem czarnoksiężnika. Jeden wyraz, ale jaki. Słowo dobiegające z ust Flagga

było imieniem Piotra wypowiedzianym tonem gniewnego zaskoczenia.

Poprzedniej nocy, w sobotę, księżyc otaczała lisia czapa.

Strażnicy przypuszczali, że niedługo zacznie padać. Patrząc w niebo dziś po południu Piotr uznał, że mają racje. To ojciec nauczył Piotra czytać znaki przepowiadające nadchodzącą pogodę, a jego wspomnienie wzbudziło w Piotrze żal... i na nowo wznieciło w nim chłodny gniew... pragnienie, aby naprawić krzywdy.

Zrobię próbę pod osłoną ciemności i zamieci, pomyślał. Może spadnie trochę śniegu, który złagodzi upadek. Myśl ta wywołała uśmiech na jego twarzy – trzy cale śnieżnego puchu pomiędzy nim a kamieniami bruku, to tak czy siak bardzo mało. Albo niebezpiecznie cienka lina pęknie... albo go utrzyma. Zakładając, że utrzyma, będzie musiał skoczyć. A wtedy jego nogi zniosą upadek... albo nie.

A jeśli zniosą, to dokąd na nich pójdziesz? – szepnął cichy głos. Wszyscy, którzy mogli cię ochronić albo ci pomóc... na przykład Ben Staad – dawno już musieli uciekać z twierdzy... a o ile wiesz, nawet z terenu królestwa.

Musi w takim razie zdać się na los szczęścia. To rzecz, o której ojciec często mu opowiadał. Są królowie, którzy mają szczęście, a są i tacy, którym go brak. A gdy ty zostaniesz królem, przekonasz się, do których należysz. Ja jednak myślę, że dopisze ci ono.

Był królem Delainu – przynajmniej w duszy – od pięciu lat i uważał, że brak powodzenia, jakiego doznał, najlepiej zostałby zrozumiany przez rodzinę Staadów z ich przesławnym pechem. Ale może dzisiejsza noc wszystko zmieni.

Lina, nogi, szczęście. Albo wytrzymają, albo nie, być może równocześnie. Nieważne. Musi im zawierzyć bez względu na to, ile są warte.

– Dziś w nocy – mruknął odwracając się od okna... ale podczas kolacji wydarzyło się coś, co spowodowało, że zmienił zdanie.

90

Peyna i Arlen spędzili cały wtorek na pokonaniu dziesięciu mil dzielących ich od farmy Reechfula, i dotarli tam zupełnie wykończeni. Odległość do Zamku Delain była dwukrotnie większa, ale Dennis prawdopodobnie stukałby do Zachodniej Bramy – gdyby okazał się na tyle szalony, aby zrobić coś takiego – o drugiej po południu, mimo że dzień przedtem również odbył długi marsz. Taka jest oczywiście różnica między ludźmi młodymi i starymi. Ale co mógłby zrobić, jest nieistotne, bo Peyna dał mu bardzo dokładne polecenia (zwłaszcza jak na kogoś, kto twierdził, że nie ma pojęcia, do czego zmierza), a Dennis zamierzał wykonać je co do joty. W rezultacie zanim znalazł się na zamku, miało upłynąć jeszcze trochę czasu.

Przeszedłszy połowę odległości zaczął szukać miejsca, w którym mógłby ukryć się przez kilka dni. Do tej pory nie spotkał nikogo na drodze, ale minęło już południe i wkrótce ludzie zaczęli wracać z odbywającego się na zamku targu. Dennis nie chciał, żeby ktokolwiek go zauważył i zapamiętał. W końcu powinien teraz leżeć chory w domu. Wkrótce tedy znalazł schronienie, które wydało mu się odpowiednie. Była to opuszczona chata, niegdyś zadbana, ale teraz popadająca w ruinę. Dzięki Tomaszowi Dawcy Podatków na drogach wiodących do twierdzy znajdowało się wiele takich domostw.

Dennis pozostał tam aż do późnego popołudnia w sobotę – w sumie cztery dni. Ben Staad i Naomi ruszyli już w drogę powrotną z Puszczy Kresowej na farmę Peyny – dziewczyna poganiała swe psy zmuszając je do maksymalnego wysiłku. Wiadomość ta niewątpliwie poprawiłaby Dennisowi humor, ale niestety nie miał o tym pojęcia i czuł się bardzo samotny.

Na gorze nie znalazł nic do jedzenia, za to w piwnicy natknął się na kilka kartofli i trochę rzepy. Zjadł ziemniaki (Dennis zawsze nienawidził rzepy w przeszłości, teraz i tym bardziej potem), wykrawając nożem zgniłe miejsca – co oznaczało, że wyrzucał trzy czwarte. Została mu garść białych kulek wielkości gołębic jaj. Zjadł ich kilka, popatrzył na rzepę w koszyku i westchnął. Czuł, że bez względu na to, czy je lubi, czy nie, około piątku nie zostanie mu nic innego.

Jeśli będę odpowiednio głodny, pomyślał z nadzieją, to może zacząć mi smakować. Może po prostu pochłonę te stare rzepy i poproszę o jeszcze!

W końcu rzeczywiście musiał zjeść ich kilka, ale stało się to dopiero w sobotnie popołudnie. Wtedy to zaczęły wyglądać apetycznie, ale niestety nadal smakowały ohydnie.

Dennis przewidując, że nadchodzące dni okażą się trudne, zjadł je mimo to.

91

W piwnicy Dennis znalazł także parę starych rakiet. Paski okazały się trochę za szerokie, ale miał dużo czasu, żeby je skrócić. Sznurówki trochę już zbutwiały, na co Dennis nie znalazł sposobu, ale miał nadzieję, że wytrzymają. Będzie ich potrzebował tylko przez krótki czas.

Spał w piwnicy obawiając się zaskoczenia, ale gdy w czasie tych czterech dni świeciło słońce, przesiadywał w saloniku opuszczonego domu patrząc na przejeżdżających ludzi – niewielki ruch zaczynał się około trzeciej i przeważnie kończył o piątej, gdy zapadał wczesny zimowy zmrok. Salonik był smutnym miejscem. Kiedyś panowała tu wesołość, gdy wieczorem rodzina zbierała się, aby porozmawiać o zdarzeniach całego dnia. Teraz należał do myszy... no i oczywiście do Dennisa.

Peyna usłyszawszy, że młody lokaj potrafi czytać i pisać „całkiem niezłe jak na służącego”

i widząc, jak kreśli duże litery (miało to miejsce we wtorek po śniadaniu – ostatnim prawdziwym posiłku, jak Dennis jadł od czasu poniedziałkowego lunchu, który wspominał ze zrozumiałym sentymentem), dał mu kilka kart papieru i ołówek. Podczas długich godzin spędzonych w opuszczonym domu Dennis ciężko pracował nad listem. Pisał, skreślał, przepisywał, marszczył czoło, czytał, drapał się po głowie, ponownie ostrzył ołówek i pisał znowu. Wstydził się błędów ortograficznych i obawiał, że zapomni o którejś z informacji, jakie Peyna kazał mu umieścić. Kilka razy jego biedny wyczerpany umysł odmawiał współpracy, a wtedy Dennis żałował, że Peyna nie został godzinę dłużej w nocy i sam nie napisał listu albo nie podyktował go Arlenowi. Przez większość czasu jednak cieszył się, że ma jakieś zadanie. Całe życie ciężko pracował, więc nieróbstwo napełniało go niepokojem. Wolałby oczywiście zajęcie, przy którym pracowałyby jego silne mięśnie, a nie słaby umysł, ale praca jest pracą i Dennis był zadowolony.

W sobotnie południe list wydawał mu się zadowolający (i bardzo dobrze, bo zostały już tylko dwie kartki). Dennis przyglądał mu się z niejakim podziwem. Zajmował on obie strony i był najdłuższym tekstem, jaki zdarzyło mu się w życiu napisać. Zwinał go tak, że miał rozmiary pastylki, a potem wyjrzał przez okno bawialni z niecierpliwością czekając, kiedy będzie mógł wyruszyć. Podobnie jak Piotr ze swego saloniku na szczycie Iglicy, Dennis zobaczył zbierające się chmury; obaj nauczyli się od ojców – króla i lokaja tegoż władcy – jak czytać niebo, więc chłopiec wiedział, że jutro zacznie padać śnieg.

O czwartej długi, błękitnawy cień domu zaczął wypełzać spod fundamentów, a Dennis stracił ochotę na wymarsz. Czekano go zagrożenie... śmiertelne niebezpieczeństwo. Miał udać się tam, gdzie być może już teraz Flagg dumał nad swoimi piekielnymi czarami albo sprawdzał, co się dzieje z pewnym chorym lokajem. Jednak Dennis uznał, że jego uczucia nie są ważne – należało wypełnić obowiązek, więc jak to czynili lokaje w jego rodzinie od wieków, Dennis da z siebie wszystko.

Wyszedł z domu o zachodzie słońca, przypiął rakiety i ruszył przez pole prosto w stronę twierdzy zamkowej. Trochę się bał wilków, ale miał nadzieję, że ich nie napotka, a jeśli tak, to że zostawią go w spokoju. Nie wiedział, że Piotr zdecydował się podjąć niebezpieczną próbę ucieczki następnej nocy, ale podobnie jak Peyna – i sam Piotr – czuł, że trzeba się spieszyć, przyszłość wydawała mu się zachmurzona jak horyzont.

Brnąc przez opustoszałe, pokryte śniegiem pola Dennis rozmyślał nad tym, jak niezauważenie wejść do zamku. Wydawało mu się, że znalazł na to skuteczny sposób, oczywiście jeśli Flagg go nie wywęszy.

Zaledwie wspominał czarnoksiężnika, pośród nieruchomej białej pustaci zawył wilk. W mrocznej komnacie w zamkowych podziemiach Flagg poderwał się na fotelu, budząc się z drzemki nad uczoną księgą o czarach.

– Kto mnie wołał? – szepnął czarnoksiężnik, a dwugłowa papuga wydała z siebie ochrypły

wrzask.

Suchy i szorstki niczym skóra pająka głos Flagga zabrzmiał w uszach Dennisowi wędrującemu pośród wielkiego, pustego, białego pola. Lokaj stanął w miejscu wstrzymując oddech. Gdy wreszcie wypuścił powietrze, z jego ust wydobył się obłoczek pary. Dennis cały przemarzał, ale na czoło wystąpiły mu grube krople potu.

Usłyszał, jak trach, trach, trach! pękły mu zbutwiałe sznurowadła rakiet.

Znowu rozległo się wycie wilka. Brzmiało ono drapieźnie i bezlitośnie.

– Nikt – mruknął Flagg w swej bawialni.

Rzadko chorował – pamiętał tylko kilka takich wypadków w swoim długim życiu – ale przeziębził się podczas wyprawy na północ, śpiąc na zmarzniętej ziemi, i chociaż już wracał do zdrowia, jednak nie czuł się jeszcze najlepiej.

– Nikt. Przyśniło mi się, i to wszystko. Zdjął z kolan księgę, zamknął ją, położył na małym stoliku – blat jego pokrywała gustownie ludzka skóra – i wygodniej usadowił się w fotelu. Po chwili znowu zapadł w sen.

Na zachód od zamku, pośród pokrytych śniegiem pól, Dennis powoli uspokajał się. Z roztargnieniem wytarł kroplę gryzącego potu, która spłynęła mu do oka. Pomyślał o Flaggu... i w jakiś sposób czarnoksiężnik go usłyszał. Ale czarny cień jego myśli przeleciał nad nim tak, jak cień jastrzębia na chwilę zasłania kulącego się zająca. Dennis westchnął ciężko. Czuł, że nogi mu drżą. Spróbuje – zrobi wszystko, żeby więcej nie myśleć o czarnoksiężniku. Ale gdy nadeszła noc i na niebo wypłynął księżyc w swej niesamowitej lisiej czapie, okazało się, że łatwiej postanowić coś, niż tego dotrzymać.

92

O ósmej Dennis znalazł się na skraju pól i wszedł do Rezerwatu Królewskiego. Znał go całkiem nieźle. Pomagał ojcu, gdy ten służył staremu królowi na łowach, a Roland wybierał się na nie często, nawet gdy osiągnął podeszły wiek. Tomasz polował rzadziej, ale za każdym razem Dennis zobowiązany był mu towarzyszyć. Wkrótce więc natrafił na znajomą ścieżkę i tuż przed północą dotarł na drugi kraniec tej miniaturowej puszczy.

Stał za drzewem przyglądając się murom zamku. Aby do nich dojść, należało pokonać około pół mili otwartego, śniegiem tylko pokrytego terenu. Księżyc wciąż świecił, a Dennis aż nazbyt dobrze pamiętał o przechadzających się na nich wartownikach. Zanim ruszy przez ów otwarty teren, musi poczekać, aż książę Ailon przeprowadzi swój srebrny rydwan na drugą stronę świata. Ale nawet wtedy będzie znajdował się na widoku. Dennis od początku zdawał sobie sprawę, że to stanowi najniebezpieczniejszą część całej Wyprawy. Gdy rozstawał się z Peyną i Arlenem

w pełnym słońcu, ryzyko wydawało mu się do przyjęcia. Teraz uważał, że to szaleństwo.

Uciekaj – prosił tchórzliwy głosik w duszy Dennisa, ale chłopiec wiedział, że mu nie wolno. Ojciec nałożył na niego zobowiązanie, więc jeśli bogowie uważali, że ma zginąć usiłując je wypełnić, niech tak się stanie.

Dalekie, lecz wyraźne niczym głos słyszany we śnie rozległo się zawroźnienie miejskiego obwoływacza, dobiegające z głównej wieży zamku: Dwunasta! Wszystko w porządku...

Nic nie jest w porządku – pomyślał żałośnie Dennis. Ani jedna rzecz. Otulił się ciasniej swym cienkim płaszczem i rozpoczął trudne zadanie oczekiwania na zachód księżyca.

Opuścił on wreszcie niebo, a Dennis uznał, że pora ruszać. Czasu było coraz mniej. Wstał, odmówił krótką modlitwę i zaczął iść przez otwartą przestrzeń tak szybko, jak potrafił, obawiając się w każdej chwili wołania „kto idzie?” z murów zamku. Okrzyk jednak się nie rozległ. Chmury zgęstniały na nocnym niebie. Wszystko, co znajdowało się pod murami zamku, znalazło się w gęstych ciemnościach. W niespełna dziesięć minut Dennis znalazł się nad fosą. Usiadł na jej brzegu chrzęszcząc na śniegu i zdjął rakiety. Zsunął się na powierzchnię zamrożonej i również pokrytej śniegiem wody.

Bijące jak młotem serce Dennisa uspokoiło się. Znajdował się w cieniu muru zamkowego i nikt go nie zobaczy, chyba że któryś z wartowników popatrzy prosto w dół, a i to może nie.

Dennis nie przechodził na razie na drugą stronę fosy, bo lód przy zamkowym murze był cienki i słaby. Wiedział dlaczego; z cienkością lodu, niemiłym zapachem i omszałością wielkich bloków zewnętrznego muru wiązała się jego nadzieja na to, że uda mu się niespostrzeżenie wejść na zamek. Ostrożnie posuwał się na lewo, nasłuchując plusku płynącej wody.

Usłyszał w końcu i popatrzył w górę. Na wysokości oczu znajdował się okrągły, czarny otwór w murze. Leniwymi strumykami wypływała z niego mętna ciecz. Był to wylot zamkowego ścieku.

– Do dzieła – mruknął Dennis. Cofnął się o pięć kroków, podbiegł i skoczył. Odbijając się poczuł, jak lód osłabiony ciągłym napływem ciepłych nieczystości pęka mu pod stopami. Udało mu się jednak doskoczyć do omszałego wylotu rury. Był śliski, więc aby nie spaść, Dennis musiał wczepić się weń z całej siły. Podciągnął się wyżej podpierając się czubkami butów o nierówności muru i w końcu znalazł się w środku. Zatrzymał się na chwilę usiłując wyrównać oddech, a potem zaczął pełznąć rurą, która lekko wznosiła się w górę. Jako dziecko odkrył wraz z kilkoma kolegami te przejścia, ale rodzice szybko zakazali im tam chodzić, gdyż łatwo się w nich było zgubić, a ponadto w rurach owych grasowały szczury. Jednak Dennis pamiętał, w którym miejscu wyłoni się ze ścieku.

Godzinę później na opustoszałym korytarzu we wschodnim skrzydle zamku zazgrzytała krata nad kanałem – znieruchomiała – i znowu się poruszyła. Odsunięto ją częściowo na bok i w kilka chwil później wyłonił się z niego bardzo brudny (i śmierdzący) lokaj imieniem Dennis, i opadł

dyszac na zimną, kamienną posadzkę. Wolałby odpoczywać dłużej, ale ktoś mógł nadejść, nawet o tej nieprawdopodobnej godzinie. Umieścił więc kratę z powrotem na miejsce i rozejrzał się.

Nie od razu poznał, gdzie jest, ale to go nie zbiło z tropu. Ruszył w stronę rozgałęzienia znajdującego się w odległym końcu korytarza. Przynajmniej, pomyślał, w płątaniu ścieków pod zamkiem nie napotkał szczurów. Stanowiło to dużą ulgę. Przygotował się na ich obecność, nie tylko z powodu ponurych opowieści ojca, ale też dlatego, że rzeczywiście spotkał je kilkakrotnie, gdy jako mały chłopiec razem z kolegami penetrował kanały wydając radosne wrzaski – spotkanie z tymi gryzoniami zwiększało nastrój grozy.

Może po prostu widziałeś myszy i wyolbrzymiłeś je do rozmiarów szczurów – myślał obecnie Dennis. Ale nie była to prawda, chociaż młody lokaj nie miał się o tym dowiedzieć. Jego wspomnienie o szczurach w ściekach odpowiadało rzeczywistości. Od niepamiętnych czasów w kanałach panoszyło się ogromnie dużo wielkich, roznoszących zarazę gryzoni. Dopiero w ostatnich pięciu latach przestały się one roić w ściekach. Zostały wyniszczone przez Flagga. Czarnoksiężnik pozbył się kawałka obsydianu i sztyletu wrzucając je przez kratę podobną do tej, z której wyszedł Dennis wczesnego niedzielnego ranka. Wyrzucił je oczywiście dlatego, że na każdym z nich znajdowała się odrobina śmiertcionośnego Smoczego Piasku. Opary wydzielane przez owe ziarnka wygubiły szczury, część z nich paląc żywcem w płynącej rurami mętnej wodzie i dusząc resztę, zanim zdążyła uciec. Pięć lat później szczury jeszcze nie zdążyły powrócić, chociaż część trujących dymów wywietrzała. Większość, ale nie wszystko. Gdyby Dennis wszedł do kanału ściekowego nieco bliżej apartamentów Flagga, mógłby łatwo zginąć. Może miał szczęście, może chciał tak los, a może uratowały go modlitwy; nie mam zdania w tej sprawie. Relacjonuję historie, a nie wróżę z fusów, więc sami musicie wybrać przyczynę, dla której Dennis zachował życie.

93

Dotarł do rozgałęzienia, wyjrzał ostrożnie zza węgła i zobaczył młodego, zaspanego strażnika przechodzącego nieco dalej. Cofnął się. Serce znów zaczęło mu walić, ale czuł zadowolenie – wiedział, gdzie jest. Gdy popatrzył ponownie, strażnik zniknął.

Dennis szybko ruszył korytarzem, zbiegł po schodach i przeszedł następny. Posuwał się pewnie, bo przecież spędził całe życie na zamku. Znał go na tyle dobrze, żeby trafić ze wschodniego skrzydła, gdzie wyłonił się z kanału ściekowego, do dolnego zachodniego skrzydła, w którym przechowywano serwetki.

Ale ponieważ nikt nie powinien go widzieć, Dennis wybierał najmniej używane przejścia, jakie znał, i na dźwięk każdego kroku (prawdziwych albo wyobrażonych, których moim

zdaniem było więcej) cofał się do najbliższego załomu lub niszy. W ten sposób droga zabrała mu więcej niż godzinę.

Nigdy w życiu nie był tak głodny.

Zapomnij o przeklętym brzuchu, Dennisie – najpierw załatw sprawy pana.

Stał za ukrytymi w mroku drzwiami. Usłyszał, jak obwoływacz ogłasza czwartą. Miał już zamiar ruszyć, gdy od strony hallu rozległy się powolne, odbijane echem kroki... szczykowanie miecza w pochwie – skrzypienie skórzanych sztylp.

Dennis, zlany potem, wcisnął się, jak mógł, w cień.

Strażnik zatrzymał się tuż przed słabo ocienionymi drzwiami, za którymi skrył się Dennis. Stał przez chwilę dłubiąc w nosie, a potem pochylił się i wydmuchał go w palce. Lokaj kulił się zaledwie w odległości wyciągniętej ręki i był pewien, że strażnik za chwilę się odwróci... wybałuszy oczy... wydobędzie miecz... i położy kres życiu Dennisa, syna Brandona.

Proszę – pomyślał sztywny ze strachu chłopak. Błagam...

Czuł zapach strażnika – odór przetrawionego wina i przypalonego mięsa w jego oddechu oraz woń skwaśniałego potu.

Strażnik ruszył znowu... Dennis odprężył się... a potem wartownik zatrzymał się i wrócił do dłubania w nosie. Dennis miał ochotę wrzasnąć.

– Znam dziewczynę, która zwie się Marchy-Marchy-melda – strażnik zaczął śpiewać niskim, monotonnym głosem, grzebiąc równocześnie w nosie. Wydobył coś dużego i zielonego, obejrzał dokładnie, a potem pstryknął tym na ścianę. Płask. Ma siostrzyczkę o imieniu Es-a-merelda... Przepłynąłbym siódme morze... by całusa na jej słodkiej buzi złożyć! Titi riti titi ta, należy mi wina.

Z Dennisem działy się straszne rzeczy. W sposób nie wróżący nic dobrego zaczęło go swędzieć i łaskotać w nosie. Zaraz kichnie.

Idź sobie! – krzyknął w myśli. No rusz się, idioto!

Ale strażnik nie zdradzał na to ochoty. Najwyraźniej natrafił na złotą żyłę w lewym nozdrzu i zamierzał ją dokładnie wyeksploatować.

– Znam dziewczynę, która zwie się Darchy-Darchy-darla... Ma siostrzyczkę o imieniu Ruda Carla... i aż nie przestanę żyć... z ust jej lubyh mógłbym pić... Titi riti titi ta, należy mi wina.

Już ja ci dałbym wina, durniu! – pomyślał Dennis. No idźże stąd! Swędzenie w nosie stawało się nie do zniesienia, ale nie odważył się podrapać, bo strażnik mógł spostrzec ruch kątem oka.

Wartownik zmarszczył brwi, pochylił się, ponownie wydmuchał nos i nareszcie ruszył wciąż nucąc swą monotonną śpiewkę. Ledwo się oddalił, Dennis wcisnął swój własny nos w zgięte ramię i kichnął. Czekał na brzęk metalu świadczący o tym, że strażnik dobył miecza i odwrócił się, ale człowiek ów był zbyt zaspany i nieprzytomny po pijaństwie odbytym przed udaniem się na służbę. Dennis pomyślał, że niegdyś taki flejtuch zostałby już dawno wykryty i odesłany na

najdalsze krańce królestwa, ale teraz czasy się zmieniły. Szczęknięta klamka, zapiszczały otwierane drzwi, a potem zostały z trzaskiem zamknięte, tłumiąc śpiew strażnika, który znowu dotarł do refrenu. Dennis zamknął oczy i przez chwilę bezwładnie opierał się o ścianę czując, że pali go czoło i policzki, a nogi zamieniają się w bliźniacze sople lodu.

Na pięć minut zupełnie zapomniałem o głodzie! – pomyślał, a potem wpakował sobie pięść do ust, żeby stłumić chichot.

Wyrzwał ze swojej kryjówki, nie zauważył nikogo i skręcił w drzwi po prawej stronie. Znał je doskonale, chociaż pusty bujak i pudełko do robót ręcznych stanowiły dlań rzeczy nowe. Drzwi prowadziły do magazynu, w którym leżały stosy serwetek od czasów Kyli Dobrej. Nigdy przedtem go nie zamykano, a i teraz nie stało się to zwyczajem. Zajrzał do środka mając nadzieję, że jego odpowiedź na główne pytanie Peyny jest nadal zgodna z prawdą.

Owego promiennego poranka pięć dni temu, stojąc już na drodze Peyna zadał mu takie pytanie: Czy wiesz, skąd się biorą nowe zapasy serwetek?

Wydawało się ono proste, ale jak być może zauważyliście, wszystkie pytania sprawiają wrażenie prostych, jeśli się zna na nie odpowiedź, a okropnie trudnych, jeśli nie. To, że Dennis potrafił rozwiać wątpliwości Peyny, świadczy o jego uczciwości i szlachetności, które to cechy miał tak głęboko zakodowane, że zdziwiłby się, gdyby ktoś mu o nich powiedział. Wziął pieniądze – należące do Andersa Peyny – od Bena Staada za dopilnowanie, żeby serwetki były dostarczane. Tylko guldena, ale pieniądź jest pieniądzem, a zapłata zapłatą. Czuł się zobowiązany do sprawdzania od czasu do czasu, czy nie zapomniano o tej usłudze.

Opowiedział Peynie o wielkim magazynie (stary sędzia zdumiał się usłyszawszy o nim) i o tym, jak każdego sobotniego wieczoru około siódmej pokojówka brała dwadzieścia jeden serwetek, trzepała je, prasowała, składała i umieszczała na niedużym wózku. Stał on tuż za drzwiami magazynu. W niedzielę rano – o szóstej, czyli dwie godziny przed obecną chwilą – służący zabierał wózek na plac Iglicy. Stukał do zamkniętych drzwi u stóp brzydkiej, kamiennej wieży i jeden ze strażników wciągał wózek do środka, umieszczał serwetki na stole, z którego brano po jednej do każdego posiłku przez cały tydzień.

Peyna czuł się usatysfakcjonowany.

Dennis wszedł do środka, szukając pod koszulą listu, który napisał na opuszczonej farmie. Przeżył chwilę strachu, gdy nie mógł go znaleźć, ale odetchnął z ulgą, wreszcie go namacawszy. Trochę się tylko przesunął.

Podniósł serwetkę przeznaczoną na niedzielne śniadanie. Niedzielny obiad. Niewiele brakowało, a pominąłby też kolację tego dnia, lecz gdyby to zrobił, moja opowieść miałaby inne zakończenie – może lepsze, a może gorsze – nie wiem, ale na pewno inne. W końcu jednak Dennis uznał, że trzecia serwetka nada się najlepiej. W szparze między dwiema deskami podłogi na opuszczonej farmie Dennis znalazł szpilkę i wbił ją w ramiączko podkoszulka z grubego

plótka, jaki nosił pod odzieniem (a gdyby się nad tym lepiej zastanowił, przypiąłby nią list i oszczędził sobie przykrych chwil, ale jak wam już chyba mówiłem, Dennis nie należał do najbystrzejszych). Teraz jednak odpiął szpilkę i starannie przymocował nią list wewnątrz złożonej serwetki. – Mam nadzieję, że cię znajdzie, Piotrze – mruknął w ponurej ciszy panującej w magazynie wypełnionym stosami serwetek wykonanych wieki temu. – Niech cię znajdzie, królu.

Dennis wiedział, że teraz musi obmyślić sobie kryjówkę. Wkrótce zamek zacznie się budzić; chłopcy stajenni skierują się niepewnym krokiem do stajni, praczki do pralni, zaspani kuchcikowie do kuchni (myśl o tym spowodowała, że Dennisowi znowu zaczęło burczeć w brzuchu – teraz smakowałyby mu nawet znienawidzona rzepa – ale niestety jedzenie musiało jeszcze poczekać).

Wszedł głębiej do magazynu. Stosy serwetek górowały nad nim, a przejścia między nimi wiodły nieregularnymi zygzakami tworząc istny labirynt. Serwetki wydzierały słodkawy, suchy zapach bawełny. W końcu znalazł sobie ciemny kątek, który wydawał mu się bezpiecznym schronieniem. Przewrócił stos serwetek, uścielił sobie posłanie, a część podłożył pod głowę jako poduszkę.

Był to jeden z lepszych materacy, na jakich zdarzyło mu się leżeć, a prócz głodu czuł także senność po długim marszu i nocnych strachach. Zasnął więc natychmiast i nic mu się nie śniło. Możemy go tak zostawić, spoczywającego po pomyślnym zakończeniu pierwszej części zadania. Leży na boku, z podłożoną prawą ręką pod głowę, śpiąc na łożu z królewskich serwetek. Życzę ci, Czytelniku, żebyś dzisiejszej nocy spał tak słodko i niewinnie jak Dennis owego dnia.

94

W sobotnią noc, gdy Dennis zamarł w przerażeniu słysząc wycie wilka i czując przelatujący nad sobą cień myśli Flagga, Ben Staad i Naomi Reechful obozowali w ośnieżonym zagłębieniu trzydzieści mil od farmy Peyny... a raczej miejsca, które należało do Peyny, zanim pojawił się Dennis ze swoją opowieścią o królu, który chodził i mówił przez sen.

Założyli prowizoryczne obozowisko, jakie robi się w wypadkach, gdy postój ma trwać kilka godzin, a potem znowu trzeba ruszyć w drogę. Naomi zajmowała się swoimi ukochanymi psami, a Ben postawił nieduży namiot i rozpałił huczące ognisko.

Wkrótce dziewczyna pojawiła się przy nim i przygotowała posiłek z sarniny. Zjedli w milczeniu, a potem Naomi poszła, żeby sprawdzić, jak się mają psy. Spały wszystkie, z wyjątkiem jej ulubionej Frisky. Suka popatrzyła na swoją panią oczami o prawie ludzkim wyrazie i polizała ją po ręku.

– Zrobiliście dziś ładny kawałek drogi – powiedziała Naomi. – Śpij. Niech ci się przyśni księżycowy zając.

Frisky posłusznie ułożyła sobie łeb na łapach. Naomi uśmiechnęła się i wróciła do ogniska. Ben siedział przy nim obejmując kolana ramionami. Twarz miał ponurą i zamyśloną.

– Idzie śnieg.

– Znam się na chmurach równie dobrze jak ty, Benie Staad. A wróżki nałożyły księciu Ailon lisią czapę.

Ben rzucił okiem na księżyc i skinął głową. Potem znowu wpatrzył się w ognisko.

– Martwię się. Śnił mi się... no, wiesz, ten, czyjego imienia lepiej nie wymieniać.

Zapaliła cygare. Podsunęła paczuszkę zawiniętą w kawałek muślinu, aby jej zawartość nie wysychała, Benowi, lecz on potrząsnął odmownie głową.

– Mnie się chyba też śniło to samo – powiedziała. Starła się, żeby głos jej brzmiał niedbale, ale nie zdołała usunąć z niego lekkiego drżenia.

Zrobił wielkie oczy.

– A tak – odparła, jak gdyby zadał jej pytanie. – Patrzy w jakiś świecący przedmiot i wypowiada imię Piotra. Nigdy nie należałam do histerycznych dziewcząt, które wrzeszczą na widok myszy albo pająka, ale budząc się z tego snu mam ochotę krzyczeć.

Popatrzyła na niego z zawstydzeniem, ale i wyzywająco.

– Ile razy już ci się pokazał?

– Dwa.

– Mnie śnił się cztery razy z rzędu. I nie patrz na mnie, jakbyś się bała, że cię przezwę mazgajem. Ja też mam ochotę krzyczeć po przebudzeniu.

– A ten świecący przedmiot... pod koniec snu wydaje się, że on go zdmuchuje. Myślisz, że to świeca?

– Nie. Sama wiesz dobrze. Skinęła głową.

Ben zastanowił się.

– Coś o wiele niebezpieczniejszego niż świeca, moim zdaniem... Chyba poczęstuję się twoim cygarem, jeśli można.

Podawała mu. Ben zapalił je od ogniska. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu patrząc, jak iskry wznoszą się na wietrze, który rozwiewał na niebie wzory z drobnego śniegu. Podobnie jak światło w ich wspólnym śnie, iskry gasły. Noc była atramentowo-czarna. Ben czuł, że wiatr ma zapach śniegu. Idzie wielki śnieg – pomyślał.

Naomi jakby czytała w jego myślach.

– Myślę, że nadchodzi wielka zamięć, taka jak w opowiadaniach starych ludzi. Nie?

– Uhm.

Z zupełnie niepodobnym do jej zwykłego, bezpośredniego sposobu mówienia wahaniem

Naomi zapytała:

– Co oznacza ten sen? Potrząsnął głową.

– Nie umiem powiedzieć. Zagrożenie dla Piotra, tyle wiem. Ale jeśli ma on jeszcze jakieś inne znaczenie – o ile jestem w stanie się domyślić – to to, że musimy się pospieszyć. – Popatrzył na nią tak nagle i szczerze, że aż zapało jej dech. – Myślisz, że uda nam się dotrzeć do farmy Peyny już jutro?

– Powinno. Ale tylko bogowie wiedzą, co może się stać – pies złamie nogę, z lasu wyjdzie niedźwiedź, który nie zapadł w sen zimowy, i nas pożre, ale w zasadzie tak... powinno nam się udać. Wymieniłam wszystkie psy, które jechały z nami w tamtą stronę, poza Frisky, ale ona jest niezniszczalna. Jeśli śnieg nadejdzie wcześniej, zwolni nasze tempo, ale myślę, że pogoda jeszcze jakiś czas się utrzyma... tylko że im dłużej, tym gorzej potem będzie padać. W każdym razie tak mi się wydaje. Jeśli jednak utrzyma się dostatecznie długo i będziemy na zmianę biec obok sań, to chyba zdążymy. Ale i tak przecież musimy tam siedzieć i czekać, aż wróci twój przyjaciel, lokaj.

– Nie wiem. – Ben westchnął i potarł dłonią twarz. Faktycznie, co nam z tego przyjdzie? Cokolwiek miały oznaczać sny, wydawało się pewne, że wszelkie ważne wydarzenia odbędą się w zamku, a nie na farmie. Peyna wysłał Dennisa na zamek, ale jak zamierzał się on tam dostać? Ben nie wiedział, bo lokaj nie powiedział Peynie. A jeśli Dennisowi uda się wejść niepostrzeżenie, to gdzie się ukryje? Jest tysiąc nadających się do tego miejsc. Chyba że...

– Ben!

– Co? – odwrócił się do niej wyrwany brutalnie z zamyślenia.

– O czym teraz myślałeś?

– O niczym.

– Nieprawda. Oczy ci się zaświeciły.

– Tak? To pewnie myślałem o ciastkach. Pora spać. O świcie ruszamy.

Ale znalazłszy się w namiocie Ben długo jeszcze leżał, podczas gdy Naomi zapadła już w sen. W zamku jest tysiąc miejsc, w których można się ukryć. Ale do głowy przyszedł mu dwa. Pomyślał, że na pewno znajdzie Dennisa w jednym z nich... albo w drugim.

Nareszcie zasnął...

...i śnił mu się Flagg.

95

Piotr rozpoczął niedzielę jak zwykle – od gimnastyki i modlitwy.

Obudził się rześki i gotów na wszystko. Rzuciwszy okiem na niebo, aby ocenić zbliżanie się

zamieci, zjadł śniadanie.

Oczywiście używając serwetki.

96

W niedzielne południe każdy z mieszkańców Delainu wyszedł z domu co najmniej raz, żeby popatrzeć z zafascynowaniem na północ. Wszyscy zgadzali się, że nadchodząca zamieć stanie się tematem przyszłych legend. Chmury toczące się od północy były koloru matowoszarego jak wilcza skóra. Robiło się coraz cieplej, aż z sopli wiszących u okapów zaczęła kapać woda po raz pierwszy od wielu tygodni, ale starcy zgodnie powtarzali (każdemu, kto chciał słuchać), że ich to nie zwiedzie. Temperatura gwałtownie spadnie i w kilka godzin później – może dwie, a może cztery – zacznie sypać śnieg. I, jak twierdzili, będzie tak padać przez wiele, wiele dni.

O trzeciej po południu ci z farmerów w Centralnych Baroniach, którzy jeszcze nie utracili swego bydła, zaczęli zapędzać je pod dach. Krowy szły rycząc z niezadowolenia – śnieg stopniał i wyłoniła się spod niego zeszłoroczna trawa po raz pierwszy od miesięcy. Yosef, postarzały i posiwiwały, ale nadal żywotny siedemdziesięciodwulatek dopilnował, żeby wszystkie królewskie konie znalazły się w stajniach. Prawdopodobnie ktoś inny zajął się ludźmi króla. Kobiety wykorzystały ocieplenie susząc bieliznę pościelową, która normalnie zamarzłaby na sznurach, a gdy zapadł wczesny zmrok, wywołany nadchodzącymi burzowymi chmurami, wniosły ją do domu. Rozczarowały się – pranie nie wyschło. W powietrzu było za dużo wilgoci.

Zwierzęta okazywały niepokój. Ludzie łatwo wpadali w złość. Rozsądni karczmarze nie otwierali gospód. Zauważyli, że rtęć opada w barometrze, a długie doświadczenie nauczyło ich, że niskie ciśnienie powietrza skłania mężczyzn do bitki.

Delain przyczaił się przed nadchodzącą burzą i czekał.

97

Ben i Naomi na zmianę biegli koło sań. Dotarli do farmy Peyny o drugiej owego sobotniego popołudnia – mniej więcej o tej samej porze, gdy Dennis budził się na materacu z królewskich serwetek, a Piotr zaczynał jeść swój skromny lunch.

Naomi wyglądała naprawdę pięknie – wysiłek okraślił jej opalone policzki rumieńcem barwy jesiennych, czerwonych róż. Gdy sanie pośród naszczekiwań psów wjechały na podwórze Peyny, zwróciła swą śmiejącą się twarz do Bena.

– Bogowie – to rekordowy bieg! – zawołała. – Jesteśmy tu trzy, nie, cztery godziny

wcześniej, niż myślałam, gdy wyruszyliśmy! I zaden pies nie dostał zawału! Hej, Frisky! Hej! Dobry piesek!

Frisky, wielka czarno-biała suka z rasy anduańskiej husky o szarzielonych oczach, prowadziła zaprzęg. Podskakiwała szarpiąc się w uprzęży. Naomi uwolniła ją i razem zaczęły tańczyć na śniegu. Był to jakiś niesamowity walc zarazem wdzięczny i barbarzyński. Pies i pani jakby wymieniali uśmiechy wyrażając swe głębokie przywiązanie. Inne zwierzęta leżały na śniegu ciężko dysząc, najwyraźniej w świecie wyczerpane, ale ani Frisky, ani Naomi nie sprawiały wrażenia zmęczonych.

– Hej, Frisky! Hej, kochanie! Dobry piesek! Poprowadziłaś wspaniały wyścig!

– Ale po co? – zapytał ponuro Ben.

Wypuściła łapy psa i odwróciła się do niego z gniewem... jednak przygnębienie malujące się na jego twarzy rozbroiło ją. Podążyła za jego wzrokiem i zrozumiała, o co chodzi. Znaleźli się na miejscu, ale po co? Farma świeciła pustkami. Czemu, na wszystkich bogów, tak się spieszyli? Ten dom będzie równie pusty za godzinę... dwie... trzy. Peyna i Arlen udali się na północ, a Dennis znajdował się gdzieś w zamku. Albo w celi więziennej lub w trumnie czekając na pogrzeb, jeśli go złapano.

Podeszła do Bena i z wahaniem położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nie martw się – powiedziała. – Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy.

– Czyżby? – zapytał. – Zastanawiam się. – Przerwał i ciężko westchnął. Zdjął włóczkową czapkę, a jego złote włosy połyskiwały delikatnie w matowym, popołudniowym świetle. – Przepraszam, Naomi. Nie chciałem być szorstki. Ty i twoje psy dokonaliście cudu. Tylko że wydaje mi się, iż wciąż jesteśmy daleko od miejsca, w którym moglibyśmy się do czegoś przydać. Jestem bezradny.

Popatrzyła na niego, westchnęła i skinęła głową.

– Cóż – rzekła. – Wejźmy do środka. Może znajdziemy jakieś wskazówki, co robić dalej. A przynajmniej nie będziemy na dworze, kiedy się zacznie.

Nie odkryli żadnych wskazówek we wnętrzu budynku. Wyglądał jak najzwyczajniejszy dom opuszczony w pośpiechu. Ben nerwowo przeszukiwał pokój za pokojem, ale nie znalazł nic. Po godzinie padł w bawialni obok Naomi... na ten sam fotel, na którym siedział Anders Peyna słuchając niewiarygodnej opowieści Denni są.

– Gdybyż istniał jakiś sposób znalezienia go – powiedział Ben.

Spojrzał w górę i napotkał jej rozjaśniony radością i podnieceniem wzrok.

– Chyba jest! Jeśli tylko śnieg nie zacznie padać...

– O czym ty mówisz?

– F r i s k y! – zawołała. – Nie rozumiesz? Frisky może go wytropić! Ma wprost znakomity węch!

– Zapach ma już kilka dni – odparł potrząsając głową. – Nawet najlepszy tropiciel na świecie nie potrafiłby...

Frisky jest prawdopodobnie właśnie takim psem – odparła ze śmiechem Naomi. – A tropienie zimą jest zupełnie czym innym niż w lecie, Benie Staad. Latem ślad przepada szybko... wietrzeje, jak mówi mój ojciec, i szybko pokrywa go tysiąc innych zapachów. Nie tylko należących do innych ludzi i zwierząt, lecz także wonie traw, ciepłego wiatru, nawet niesione wodą. Ale zimą ślad się trzyma. Gdybyśmy znaleźli jakąś rzecz, która należała kiedyś do Dennisa... coś, co zachowało jego zapach...

– A co z resztą twojego zaprzęgu? – zapytał Ben.

– Otworzę tę szopę – wskazała gestem – i zostawię tam mój śpiwór i materac. Jeśli pokażę psom, gdzie leżą, a potem puszczę je wolno, same sobie coś znajdą do jedzenia – królika i tak dalej – a będą wiedziały, gdzie się schronić.

– I nie pójdą za nami?

– Nie, jeśli im zabronię.

– Potrafisz? – popatrzył na nią z podziwem.

– Nie – odparła niedbale Naomi. – Nie znam psiej mowy. Ani Frisky nie potrafi mówić ludzkim językiem, ale go rozumie. Jeśli powiem Frisky, ona przekaże to innym psom. Złowią sobie, co zechcą, ale nie oddalą się zbyt daleko od miejsca, gdzie jest moja pościel, zwłaszcza że nadchodzi zameć. A gdy się zacznie, znajdą schronienie w szopie, głodne czy też najedzone.

– Gdybyśmy znaleźli coś, co należało do tego chłopca – Dennisa – to naprawdę myślisz, że Frisky zdołałaby go wytropić?

– Aha.

Ben popatrzył na nią w zamyśleniu. Lokaj opuścił farmę we wtorek, teraz była niedziela. Ben nie wierzył, żeby jakikolwiek zapach mógł utrzymać się tak długo. Ale w domu znajdowało się coś, co miało na sobie woń Dennisa. Benowi wydawało się, że chyba lepiej podążyć za fałszywym tropem, niż nic nie robić. Właśnie konieczność siedzenia na miejscu denerwowała go najbardziej – wizja godzin spędzonych z założonymi rękoma, podczas gdy w innym miejscu działa się sprawy najwyższej wagi. W innych warunkach możliwość znalezienia się w zasypanym śniegiem domu wraz z dziewczyną tak piękną jak Naomi wprowadziłaby go w zachwyt, ale nie wtedy, gdy losy królestwa zależały od tego, czy znajdowali się o dwadzieścia mil bardziej na zachód czy wschód... a jego najlepszy przyjaciel walczył o życie mając do pomocy tylko głupiego lokaja.

– No? – zapytała żywo. – Co o tym myślisz?

– To bez sensu – powiedział. – Ale trzeba spróbować. Uśmiechnęła się szeroko.

– Czy mamy coś, co nim mocno pachnie?

– Tak – rzekł wstając. – Przyrowadź tu tego psa, Naomi, i niech wejdzie na górę. Na strych.

Chociaż większość ludzi tego nie wie, dla psów zapachy są jak barwy. Słabe wonie przypominają blade kolory jak wyblakłe pastele. Wyraźne zapachy są podobne do ostrych barw. Niektóre psy mają marne powonienie i odbierają zapachy podobnie, jak ludzie o słabym wzroku widzą kolory, postrzegając bladoniebieski jako szary, a ciemny brąz jako czarny. Węch Frisky zaś przypominał wzrok człowieka o sokolim oku, a zapach na strychu, gdzie nocował Dennis, okazał się bardzo mocny i wyraźny (niewątpliwie pomogło, że lokaj przez kilka dni się nie kąpał). Frisky powąchała siano, a potem koc, podsunęty jej przez PANIĄ. Czuła na nim także zapach Arlena, ale zignorowała go; był słabszy, zupełnie nie przypominał woni, jaką znalazła w sianie. Arlen pachniał cytryną i zmęczeniem, a Frisky od razu wyczuła, że woń ta należy do starszego człowieka. Zapach Dennisa okazał się o wiele bardziej podniecający i żywotny. Dla Frisky miał on barwę jaskrawo-niebieską, jak letnia błyskawica.

Szczeknęła, żeby pokazać, że zapamiętała już ten zapach i umieściła go w swym podręcznym katalogu woni.

– Doskonale. Dobry piesek powiedział DUŻY CHŁOPIEC. – Dasz radę za nim pójść?

– Da radę – rzekła pewnym głosem PANI. – Chodźmy.

– Za godzinę się ściemni.

– Właśnie – stwierdziła PANI i uśmiechnęła się. Gdy przybierała taki wyraz twarzy, Frisky wydawało się, że mogłaby umrzeć z miłości do niej.

– Nie zależy ci chyba na jej wzroku? DUŻY uśmiechnął się.

– Raczej nie – rzekł. – Wiesz, może to szaleństwo, ale wydaje mi się, że jeszcze uda nam się wejść do gry.

– Oczywiście, że tak – powiedziała. – Idziemy, Ben. Trzeba wykorzystać resztki dnia – wkrótce się ściemni.

Frisky z nozdrzami pełnymi jaskrawoniebieskiego zapachu szczeknęła niecierpliwie.

Owej niedzieli kolację Piotra przyniesiono dokładnie o szóstej. Ciężkie chmury zwieszały się nad Delainem, a temperatura zaczęła spadać, lecz wiatr jeszcze się nie zerwał i nie padał też śnieg. Po drugiej stronie placu, drżąc z zimna w skradzionym białym fartuchu kuchcika, stał zdenerwowany Dennis, ukryty w najgłębszym cieniu, jaki mu się udało znaleźć, zapatrzony

w pojedynczy bladożółty kwadrat światła na szczycie Iglicy – okno Piotra.

Więzień oczywiście nie miał pojęcia, że Dennis czeka – myślał głównie o tym, że bez względu na to, czy przeżyje, czy nie, je teraz swój ostatni posiłek w celi więziennej. Składał się on jak zwykle z twardego, słonego mięsa, na pół zgniłych kartofli i wodnistego piwa, ale zje wszystko. W ostatnich trzech tygodniach odżywiał się skąpo i przeznaczał całe dnie, oprócz czasu, kiedy pracował na warsztacie tkackim, na ćwiczenia – przygotowywanie fizyczne. Dziś jednak spożył wszystko, co mu przyniesiono. W nocy będzie potrzebował całej swojej siły.

Co się ze mną stanie? – pomyślał siadając przy stoliku i podnosząc serwetkę przykrywającą posiłek. Dokąd mam iść? Kto mi udzieli schronienia? Ktokolwiek? Mówi się, że należy zdać się na bogów... ale ty, Piotrze, chyba już w tym przesadziłeś.

Przestań. Będzie to, co ma być. A teraz jedz i więcej się nie zastanawiaj nad...

Ale tu jego niespokojne myśli urwały się, bo gdy strzepnął serwetkę, poczuł lekkie ukłucie, jakby oparzyła go pokrzywa.

Marszcząc brwi spojrzął w dół i zobaczył maleńką kropelkę krwi na czubku palca wskazującego prawej ręki. Pierwsza myśl Piotra pobiegła do Flagga. W bajkach na ostrzu igły zawsze znajdowała się trucizna. Może został właśnie otruty przez czarnoksiężnika. To przyszło Piotrowi do głowy w pierwszej chwili, i wcale nie było takie głupie. W końcu Flagg już kiedyś użył trującej substancji.

Piotr podniósł serwetkę i zobaczył, że przypięto do niej coś niedużego, zwiniętego i trochę usmarowanego... i błyskawicznie umieścił sobie ją z powrotem na kolanach. Przybrał spokojny wyraz twarzy, ukrywając całkowicie szalone podniecenie, jakie go ogarnęło na widok listu przyczepionego do serwetki.

Rzucił niedbale okiem w stronę drzwi, przejęty nagłym lękiem, że zobaczy jednego ze strażników – a może nawet samego Besona – przyglądającego mu się podejrzliwie. Ale nie ujrzał nikogo. Książkę stanowił przedmiot ciekawości zaraz potem, gdy znalazł się w Iglicy i wtedy gapiono się nań zachłannie, jakby był rzadką rybą w akwarium – niektórzy z pilnujących go przyprowadzali nawet swoje dziewczyny, żeby sobie popatrzyły na morderczego potwora (a gdyby ich na tym złapano, sami znaleźliby się za kratkami). Ale Piotr zachowywał się jak wzorowy więzień i szybko przestał być obiektem zainteresowania. W chwili obecnej nikt na niego nie patrzył.

Zmusił się, żeby zjeść cały posiłek, chociaż zupełnie stracił apetyt. Wolał nie narażać się na najmniejsze nawet ryzyko wzbudzenia podejrzeń – zwłaszcza teraz. Nie miał pojęcia, od kogo pochodził list ani jaka jest jego treść czy też dlaczego wzbudził w nim takie podniecenie. Lecz fakt, że przyszedł on zaledwie kilka godzin przed planowaną próbą ucieczki, wydawał mu się proroczy. Co jednak miał on zwiastować?

Gdy wreszcie skończył jedzenie, znów popatrzył na drzwi, upewnił się, że judasz jest

zamknięty, a potem poszedł do sypialni trzymając niedbale serwetkę w ręku, zupełnie jakby o niej zapomniał. Znalazszy się z dala od ewentualnych ciekawych oczu odpiął list (ręce trzęsły mu się tak, że znowu się ukłął) i rozwinął go. Kartkę zapisano ciasno po obu stronach pismem niezgrabnym i jakby dziecinnym, ale dającym się odczytać. Najpierw spojrzął na podpis... i oczy zaokrągliły mu się ze zdumienia. Na dole kartki widniało: Dennis – twój pszyjaciel i sługa na wieki.

– Dennis? – mruknął Piotr tak zdumiony, że nie zauważył, iż mówi na głos. – Dennis?

Wrócił do listu, którego nagłówek przyprawił go o przyspieszone bicie serca. Brzmiał on: Królu i Panie,

100

Królu i Panie, Jak pewnie pamientasz, pszez ostatnie pięć lat slurzyłem twemu bratu, Tomaszowi. W zeszłym tygodniu odkryłem, że nie zamordowałaś swego ojca Rolanda Dobrego. Wiem, kto to zrobił i Tomasz wie też. Ty też mógłbyś się dowiedzieć jak nazywa się ten czarny morderca, gdybym odważył się wymienić jego imię, ale ja się boję. Poszedłem do Peyny. Peyna poszed ze swoim lokajem, Arlenem, do wygnańców. Kazał mi wrócić na zamek i napisać do ciebie ten list. Powiedział, że uchodźcy mogą niedługo zostać buntownikami i że nie należy do tego dopuścić. Myśli, że masz jakieś plany, ale nie wie jakie. Kazał mi służyć tobie a ojciec powiedział mi to samo pszed śmiercią i to samo dyktuje mi serce, bo nasza rodzina zawsze służyła królom a ty jesteś naszym prawowitym władcą. Jeśli masz jakiś plan pomogę ci o ile potrafię, nawet ryzykując śmiercią. Gdy to czytasz, ja stoję po drugiej stronie Placu i patrzę na Iglicę, w której jesteś uwięziony. Jak masz plan, to bardzo proszę stań w oknie. Jak masz na czym pisać, żuć list, a ja spróbuję go w nocy zabrać. Machnij ręką dwa razy jeśli chcesz tak zrobić.

Twój pszyjaciel Ben jest z uchodźcami. Peyna powiedział, że go pszyśle. Wiem gdzie on (Ben) będzie czekał. Jeśli chcesz on (Ben) może tu pszyjść jutro. Albo za dwa dni, jeśli będzie padał śnieg. Wiem, że to ryzyko żuć list, ale chyba już mało czasu. Peyna też tak myśli. Będę patrzeć i czekać.

Dennis twój pszyjaciel i sługa na wieki.

101

Minęła dłuższa chwila, zanim Piotr zdołał zapanować nad zamętem, jaki ogarnął jego umysł. Myśl uporczywie wracała do jednego pytania: Co spowodowało, że Dennis tak drastycznie zmienił zdanie? Co, na wszystkich bogów, on takiego zobaczył?

Stopniowo zaczął rozumieć, że to nieważne – lokaj coś widział i to wystarczy.

Peyna. Dennis poszedł do Peyny, a ten wyczuł... no cóż, stary lis czegoś się domyślił. Myśli, że masz jakieś plany, ale nie wie jakie. Stary chytrus. Nie zapomniał prośby o dom lalek i serwetki. Nie wiedział dokładnie, o co chodzi, ale węszył podstęp. No i miał rację.

Co Piotr ma teraz zrobić?

Część jego duszy – bardzo znaczna – pragnęła wykonać plan do końca. Zebrał całą odwagę, żeby rozpocząć swą desperacką akcję – a teraz trudno mu było pogodzić się z tym, że ma dalej czekać. No i nagliły go także sny.

Ty też mógłbyś się dowiedzieć jak nazywa się ten czarny morderca, gdybym odważył się wymienić jego imię, ale ja się boję. Mimo to Piotr oczywiście domyślał się, o kogo chodzi, i właśnie dlatego uwierzył, że Dennis rzeczywiście natknął się na coś. Piotr czuł, iż Flagg może wkrótce zdać sobie sprawę ze zmiany sytuacji – i zniknie, zanim zdoła się ona rozwinąć.

Czy czekać jeden dzień to za długo?

Może. Albo i nie.

Piotra rozdzierało niezdecydowanie. Ben... Tomasz... Flagg... Peyna... Dennis... wszyscy migali mu przed oczyma jak postacie ze snu. Co robić?

W końcu sam sposób pojawienia się kartki pozwolił mu podjąć decyzję. Droga, jaką odbyła, przypięta do serwetki dokładnie tego wieczoru, gdy zamierzał wypróbować linę wykonaną dzięki serwetkom... to oznaczało, że powinien poczekać. Ale tylko jeden dzień. Ben nie będzie w stanie mu pomóc.

A Dennis? Co on mógłby zrobić?

I nagle olśniło go.

Piotr siedział na łóżku, skulony nad listem, marszcząc brwi. Teraz poderwał się, a oczy mu zabłyśły.

Popatrzył znowu na kartkę.

Jak masz na czym pisać, żuć list, a ja spróbuję go w nocy zabrać.

Tak, oczywiście, miał na czym pisać. Nie na serwetce, bo jej brak może zwrócić uwagę. Nie na liście Dennisa, bo został on zapisany po obu stronach, od góry do dołu.

Ale odwrotna strona pergaminu Valery była pusta.

Piotr wrócił do bawialni. Spojrzał na drzwi i zobaczył, że judasz jest zamknięty. Z pomieszczeń położonych poniżej dobiegał go przyciszony gwar strażników grających w karty. Podszedł do okna i dwukrotnie machnął ręką, mając nadzieję, że Dennis rzeczywiście gdzieś tam jest i go widzi. Niestety na tym musiał poprzestać.

Poszedł z powrotem do sypialni, odsunął ruchomy kamień i pogrzebawszy chwilę w zagłębieniu znalazł medalion i pergamin. Odwrócił go pustą stroną do wierzchu... ale czym będzie pisać?

Odpowiedź przyszła mu do głowy prawie natychmiast. Oczywiście tym samym co Valera.

Popracował nad swoim cienkim materacem i po krótkiej szarpaninie udało mu się rozpruć szew. Materac wypchano słomą, więc z łatwością znalazł kilka porządných, długich łądyg, których użyje jako piór. Potem otworzył medalion. Miał on kształt serca o zastrzonym szpicu. Piotr zamknął oczy i odmówił krótką modlitwę. Potem popatrzył na medalion i pociągnął jego ostrym końcem po swym przegubie. Krew popłynęła natychmiast – więcej niż po ukłuciu igły. Zanurzył w lepkiej cieczy pierwsze pióro i zaczął pisać.

102

Stojąc w mrocznym chłodzie po drugiej stronie placu Dennis zobaczył sylwetkę Piotra zbliżającą się do okna na szczycie Iglicy. Widział, jak dwukrotnie krzyżuje ręce nad głową. To znaczy, że rzuci list. Ryzyko zwiększało się zatem dwukrotnie – nie, trzykrotnie – ale młody lokaj był rad.

Przygotował się na dłuższe oczekiwanie, czując, jak odrętwienie obejmuje mu stopy. Wydawało mu się, że tkwi tu w nieskończoność. Obwoływacz ogłosił dziesiątą... potem jedenastą... a wreszcie dwunastą godzinę. Chmury zakryły księżyc, ale panowała dziwna jasność – była to jeszcze jedna oznaka nadchodzącej zamieci.

Dennisowi zaczęło się wydawać, że Piotr o nim zapomniał albo zmienił zdanie, gdy postać znowu pojawiła się koło okna. Lokaj wyprostował się krzywiąc się z bólu w kręgosłupie zeszywniałym od siedzenia w niewygodnej pozycji. Zdawało mu się, że coś spada wielkim łukiem... a potem sylwetka Piotra znikła. Po chwili zgasło też światło.

Dennis rozejrzał się na prawo i lewo, nie zobaczywszy nikogo, zebrał całą swoją odwagę i wybiegł na plac. Doskonale sobie zdawał sprawę, że może tam ktoś być – na przykład strażnik czujniejszy niż nieudolny śpiewak, na którego natknął się poprzedniej nocy – nikogo nie zauważył, ale nic na to nie mógł poradzić. Miał też w pamięci smutny los kobiet i mężczyzn świętych o parę kroków stąd. A może czają się gdzieś tu ich duchy?

Ale takie myśli nie stanowiły zbytnej pomocy, więc spróbował się ich pozbyć. Przede wszystkim należało znaleźć rzecz, którą rzucił Piotr. Teren wokół Iglicy pod oknem Piotra stanowiło idealnie płaskie pole pokryte śniegiem.

Czując się strasznie na widoku Dennis zaczął miotać się niczym niezdarny pies myśliwski. Nie był pewien, czy naprawdę widział, że spadło coś błyszczącego – ale wydawało mu się to trójwymiarowe. Toto mu się zgadzało; Piotr nie rzucałby kawałka papieru, który mógłby polecieć nie wiadomo gdzie. Ale co, i gdzie, to jest?

Mijały sekundy, minuty, a Dennis denerwował się coraz bardziej. Zaczął pełzać na

czworakach przyglądając się wydeptanym śladom powiększonym przez roztopy do ogromnych rozmiarów, które teraz zamarzały stając się twarde, lśniące i błękitnawe. Pot ciekł mu strugami po twarzy. Zaczęła go też dręczyć myśl, że zaraz opadnie mu na ramię czyjaś ręka, a gdy się odwróci, zobaczy pod czarnym kapturem wykrzywioną złośliwym uśmiechem twarz królewskiego czarnoksiężnika.

Trochę późna pora na zabawę w chowanego, co, Dennis? – powiedziałyby Flagg i chociaż na twarzy widniałyby nadal uśmiech, oczy jarzyłyby mu się morderczą, piekielną czerwienią. Co też tu zgubiłeś? A może ci pomóc?

Nie wymawiaj jego imienia! Na miłość boską, zamilcz!

Uczył to z największym wysiłkiem. Gdzie to jest? No, gdzie to leży?

Dennis pełzał w tę i z powrotem mając teraz ręce równie przemarznięte jak nogi. W tę i z powrotem, tu i tam. No, gdzie to jest? Źle, jeśli on tego nie odnajdzie. Jeszcze gorzej, jeżeli do rana nie spadnie śnieg i ktoś inny się na to natknie. Bogowie tylko wiedzą, co tam jest napisane.

Dennis usłyszał stłumiony głos obwoływacza, oznajmijący pierwszą. Przeszukiwał teraz obszar, który już raz sprawdził, i stopniowo wpadał w panikę.

Dość tego. Uspokój się, chłopcze.

Usłyszał głos ojca tak wyraźnie, że nie mógł go pomylić z nikim innym. Dennis czołgał się na czworakach z nosem przy ziemi. Teraz trochę się wyprostował.

Przestałeś cokolwiek widzieć, synu. Przerwij na chwilę i zamknij oczy. A gdy je otworzysz, popatrz dookoła siebie. Rozejrzyj się, ale bardzo uważnie.

Dennis zacisnął powieki, a potem szeroko je otworzył. Tym razem patrzył prawie od niechcenia, przebiegając wzrokiem cały ośnieżony, zdeptany obszar u stóp Iglicy.

Nic. Zupełnie...

Zaraz, zaraz. A tam!

Dennis zobaczył zaokrąglony fragment jakiegoś metalowego przedmiotu ledwo co wystający spod śniegu. Obok znajdował się ślad odcisnięty przez jego kolano – niewiele brakowało, a zdeptałby to coś podczas swych histerycznych poszukiwań.

Spróbował podnieść tę rzecz, ale za pierwszym podejściem tylko głębiej wgniół ją w śnieg. Dłoń tak mu zeszywniała z zimna, że nie mógł nią chwytać. Grzebiąc w śniegu w poszukiwaniu tajemniczego przedmiotu Dennis zdał sobie sprawę, że gdyby jego kolano znalazło się bezpośrednio nad nim, a nie obok, wbiłby go głębiej w śnieg nie zdając sobie z tego sprawy – kolana miał równie pozbawione czucia jak resztę ciała. A wtedy nigdy by tego nie odnalazł, pozostałby pod śniegiem aż do wiosennych roztopów.

Dotknął swego znaleziska siłą woli zginając palce i wydobył je na powierzchnię. Popatrzył ze zdziwieniem. Był to medalion – zrobiony chyba ze złota – w kształcie serca. Miał także złoty łańcuszek. Medalion był zamknięty, ale wystawał z niego złożony kawałek bardzo starego

papieru.

Dennis wydobył list ostrożnie trzymając go w dłoni, a potem zawiesił sobie medalion na szyi. Niezręcznie wstał i biegiem wrócił do kryjówki, jaką dawał mu cień. Bieg ten stanowił w pewnym sensie najgorszą część całego przedsięwzięcia. Nigdy w życiu nie czuł się tak wystawiony na wszelki atak jak wtedy. Z każdym krokiem zrobionym w stronę pokrzepiającego cienia budynków stojących po drugiej stronie placu zdawały się one cofać.

Wreszcie znalazł się we względnie bezpiecznym miejscu i przez chwilę stał dysząc i drżąc. Przyciął się w cieniach Czwartej Alei, gdzie wrócił mu oddech, po czym skierował się do zamku i wszedł przez kuchenną bramę do środka. Przy wrotach wiodących do samego zamku znajdował się strażnik, ale był on równie niedbały jak jego kolega poprzedniej nocy. Dennis odczekał chwilę i strażnik wreszcie sobie poszedł. Lokaj błyskawicznie znalazł się w środku.

Dwadzieścia minut później siedział bezpiecznie w magazynie serwetek. Rozwinął list i przyjrzał mu się dokładnie.

Jedna strona była dokładnie wypełniona pismem o starożytnym wyglądzie. Autor użył dziwnego, rdzawego atramentu, a Dennis nie potrafił nic odczytać. Odwrócił więc kartkę i wybałuszył oczy. Z łatwością rozpoznał „atrament”, jakiego użyto do napisania listu na tej stronie. – Och, królu Piotrze – jęknął.

Litery były zamazane i niewyraźne – autor nie miał bibuły do osuszenia „atramentu” – ale dawały się odczytać.

Chciałem uciekać dziś w nocy. Poczekam do jutra. Dłużej nie mogę. Nie idź po Bena. Nie ma czasu. Czekać niebezpiecznie. Mam linę. Cienką. Może pęknąć. Za krótka. Będę musiał skakać. Jutro o północy. Jeśli możesz, pomóż mi uciec w bezpieczne miejsce. Mogę być ranny. Wszystko w rękach bogów. Dziękuję, kochany Dennisie. Król Piotr.

Dennis przeczytał list trzykrotnie, a potem wybuchnął łzami radości. Światło nadziei, które wyczuwał Peyna, lśniło teraz pełnym blaskiem w sercu młodego lokaja. Sprawy szły pomyślnie i wkrótce wszystko zło zostanie naprawione.

Wracał co chwila do słów: Dziękuję, kochany Dennisie, napisanych królewską krwią. Piotr nie musiał tego dodawać, żeby jego list miał sens... a jednak to zrobił.

Piotrze, umarłbym za ciebie tysiąc razy – pomyślał Dennis. Schował list pod kaftan i położył się zapominając, że ciągle ma na szyi medalion. Tym razem nie zasnął od razu. Gdy zaś mu się to udało, po krótkim czasie został raptownie wyrwany ze snu. Drzwi magazynu otwierały się – ciche skrzypnięcie zawiasów wydawało się Dennisowi dzikim wrzaskiem. Zanim w jego otumanionym snem umyśle pojawiła się myśl, że został odkryty, spadł na niego szary cień o płonących oczach.

Owego poniedziałku śnieg zaczął padać około trzeciej rano – pierwsze jego płatki zamigotały Benowi przed oczyma, gdy stał wraz z Naomi na skraju Rezerwatu Królewskiego patrząc w stronę zamku. Frisky usiadła dysząc. Ludzie byli zmęczeni, suka także, lecz mimo to rwała się, żeby ruszyć dalej – ślad stawał się coraz wyraźniejszy. Pewnie poprowadziła ich od farmy Peyny do opuszczonego domu, gdzie Dennis spędził około czterech dni, żywiąc się surowymi kartoflami i myśląc niezyczliwie o rzepie, która okazała się równie nieprzyjemna jak to, co o niej sądził. Na tej pustej farmie w Centralnych Baroniach jaskrawoniebieski zapach, za którym podążała do tej pory, znajdował się prawie wszędzie – zaczęła więc biegać z nosem przy ziemi z pokoju do pokoju, szczekając z podniecenia i machając ogonem.

– Popatrz – powiedziała Naomi. – Nasz Dennis coś tu palił. – Wskazała na kominek.

Ben podszedł i przyjrzał się, ale nie udało mu się nic wymyślić – leżały tam tylko spopielone resztki papieru, które rozpadły się, gdy ich dotknął. Oczywiście były to próbne wersje listu do Piotra.

– Co teraz? – zapytała Naomi. – Poszedł stąd na zamek, to jasne. Tylko czy mamy ruszać za nim, czy nocować tutaj?

Była szósta. Na dworze zaczęło się już ściemniać.

– Myślę, że musimy iść – powiedział z namysłem Ben. – W końcu sama powiedziałaś, że potrzebny nam nos Frisky, a nie jej oczy... a ja jestem gotów przysiąc przed każdym trybunałem, że ma ona szlachetne powonienie.

Frisky siedząca pod drzwiami zaszczekała, jakby rozumiała, o czym mowa.

– Zgoda – rzekła Naomi.

Przyjrzał się jej uważnie. Odbyli długą drogę z obozu uchodźców i niewiele razy zatrzymywali się na odpoczynek. Wiedział, że powinni zostać... ale szalał z niepokoju.

– Dasz radę? – zapytał. – Nie mów, że tak, jeśli nie czujesz się na siłach, Naomi Reechful.

Podparła się pod boki i zmierzyła go wyniosłym spojrzeniem.

– Gdy ty padniesz, ja przejdę jeszcze sto mil, Benie Staad.

Ben wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Może się okazać i tak – odparł. – Ale najpierw przekażemy co nieco.

Zjedli szybko. Gdy skończyli, Naomi uklękła koło Frisky i szepnęła jej, że ma podjąć ślad. Suka nie kazała się prosić. Cała trójka opuściła farmę. Ben niósł wielki plecak, a Naomi niewiele mniejszy.

Dla Frisky zapach Dennisa stanowił niebieski, błyszczący ślad, jaskrawy jak drut naładowany elektrycznością. Natychmiast ruszyła za nim i zdziwiła się, gdy PANI ją odwołała.

Zaraz jednak zrozumiała, o co chodzi; gdyby była człowiekiem, uderzyłaby się z jękiem w czoło. W swej niecierpliwości podążyła za śladem wiodącym z powrotem. O północy znaleźliby się znowu na farmie Peyny.

– W porządku, Frisky – powiedziała Naomi. – Nie śpiesz się.

– Pewnie – wtrącił się Ben. – Masz tydzień lub dwa czasu. Albo i miesiąc.

Naomi rzuciła mu kwaśne spojrzenie. Ben roztropnie zamilkł. Oboje śledzili wzrokiem nos Frisky, węszący najpierw w bramie opuszczonej farmy, a potem na drodze.

– Straciła ślad? – zapytał Ben.

– Nie, zaraz go znajdzie – tak mi się przynajmniej wydaje, dodała w myślach. – Natrafiła na całe kłębowisko tropów i musi je rozplatać.

– Ale popatrz – rzekł z powątpiewaniem Ben. – Ona skręca na pole. To przecież bez sensu.

– Nie wiem. Myślisz, że Dennis poszedł do zamku drogą?

Ben Staad był człowiekiem, więc klepnął się w czoło.

– Jasne, że nie. Ależ ze mnie kretyn.

Naomi uśmiechnęła się słodko i nie powiedziała nic.

Na polu Frisky zatrzymała się na chwilę. Odwróciła się w stronę PANI i CHŁOPCA i szczeękła niecierpliwie, żeby za nią szli. Psy anduańskie są udomowionymi potomkami wielkich białych wilków, których mieszkańcy Północnej Baronii bali się w dawnych czasach, ale dzikie czy domowe były łowcami i tropicielami, zanim zaczęto używać ich do innych celów. Frisky znów wyodrębniła jaskrawoniebieską linię zapachu i niecierpliwiła się, chcąc ruszać dalej.

– Chodźmy – powiedział Ben. – Mam nadzieję, że znalazła właściwy trop.

– Oczywiście, że tak. Patrz!

Wskazała coś, co wyglądało na długą, płytką linię śladów na śniegu. Nawet w ciemnościach Ben i Naomi widzieli, że zostały one pozostawione przez rakiety.

Frisky zaszczekała znowu.

– Pośpieszmy się – rzekł Ben.

O północy znaleźli się koło Rezerwatu Królewskiego, a Naomi zaczęła żałować swej przechwałki o tym, jak to mogłaby iść jeszcze sto mil dalej niż Ben, bo czuła, że to jednak ona zaraz padnie ze zmęczenia.

Dennis szedł krócej, ale wyruszył po czterech dniach odpoczynku, miał rakiety i nie musiał czekać na psa, który niekiedy gubił trop i tracił czas na odszukanie go. Naomi czuła, że ma nogi jak z rozgrzanej gumy. Palily ją płuca. Kłuło ją w lewym boku. Zjadła kilka garści śniegu, ale nie ugasiło to jej szalonego pragnienia.

Frisky nie obciążona plecakiem mniej zapadała się w śnieg i zupełnie się nie zmęczyła. Naomi mogła iść po zmarzniętej skorupie śniegu, ale niedługo, gdyż zaraz natrafiła na miększe miejsce i zapadała się w puchu po kolana... a kilka razy po biodra. Raz wpadła po pas i szarpała

się w bezsilnej złości, aż Ben doznał do niej i pomógł jej wydobyć się na powierzchnię.

– Szkoda... że... nie mamy... sań – wysapała.

– Pobożne... życzenia – odsapał uśmiechając się mimo zmęczenia.

– Zabawne – szepnęła. – Cha, cha! Powinieneś zostać dworskim błaznem, Benie Staad.

– Rezerwat Królewski jest już blisko. Mniej śniegu... będzie łatwiej.

Pochylił się, oparł ręce na kolanach i dyszał ciężko. Naomi pomyślała nagle, że jest straszną egoistką zajmując się tylko sobą, podczas gdy Ben z pewnością czuje się znacznie gorzej niż ona – ważył o wiele więcej, no i niósł cięższy plecak. Zapadał się za każdym krokiem, sadził wielkie skoki w śniegu, jakby biegł w głębokiej wodzie, ale nie skarżył się i nie zwolnił kroku.

– Ben, w porządku?

– Nie – wysapał i uśmiechnął się. – Ale dam sobie radę, maleńka ślicznotko.

Nie jestem maleńka! – powiedziała z oburzeniem.

– Ale za to śliczna – odparł i zagrał jej na nosie.

– Nie daruję ci tego...

– Później – sapnął. – Biegnę do lasu. Ścigasz się? Tak więc ścigali się, a Frisky pędziła przed nimi kierując się śladem i Ben przegonił Naomi i jeszcze bardziej ją rozgniewał... ale równocześnie zaimponował jej.

104

Stali teraz patrząc na drugą stronę otwartego pola rozciągającego się na siedemdziesiąt konerów od skraju lasu, gdzie król Roland ongiś zgładził smoka, do murów zamku, w którym zabito jego samego. Spadło kilka płatków... potem jeszcze parę... i nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki powietrze wypełniło się śniegiem.

Mimo zmęczenia Ben przeżył moment radości i ukojenia. Popatrzył na Naomi i uśmiechnął się. Chciała zrobić nieprzyjemną minę, ale czuła, że to nie pasuje, więc po prostu odwzajemniła jego uśmiech. Po chwili wystawiła język i próbowała złapać płatek śniegu. Ben zaśmiał się cicho.

– Którędy on wszedł do środka, o ile mu się to w ogóle udało? – zapytała Naomi.

– Nie mam pojęcia – odparł Ben. Wychował się na farmie i nic nie wiedział na temat systemu zamkowej kanalizacji. Moglibyście powiedzieć, że niewiele na tym stracił, i mielibyście rację.

– Może ten twój uzdolniony pies wskaże nam, którędy się dostał do środka, o ile miało to miejsce.

– Naprawdę myślisz, że mu się udało, Ben?

– O, tak – rzekł Ben. – A co ty powiesz, Frisky? Na dźwięk swego imienia suka poderwała

się na nogi, powędrowała tropem na kilka stóp, a potem obejrzała się na nich.

Naomi popatrzyła na Bena. Chłopiec potrząsnął głową.

– Jeszcze nie – stwierdził.

Naomi odwołała półgłosem psa, który wrócił do nich skomlać.

– Gdyby umiała mówić, powiedziałałaby ci, że boi się stracić ślad. Śnieg go zasypuje.

– Nie będziemy długo czekać. Dennis korzystał z rakiet, ale nam trafiło się coś, czego on nie miał, Naomi.

– To znaczył – Osłona.

105

Mimo że Frisky powstrzymywana przez Bena niecierpliwiła się, czekali jeszcze piętnaście minut. Powietrze stało się ruchomą, białą chmurą. Śnieg pobilił ciemne włosy Naomi i blond czuprynę Bena; Frisky przywdziała chłodną lodowatą narzutę. Nie widzieli już przed sobą murów zamku.

– Dobra – powiedział półgłosem Ben. – Idziemy. Podążając za Frisky przeszli przez otwarte pole. Wielki pies posuwał się teraz wolniej, z nosem przytkniętym do śniegu, od czasu do czasu wygrzebując w nim dołek. Jaskrawoniebieski szlak zapachu blakł przysypywany białą, bezwonną substancją spadającą z nieba.

– Chyba za długo czekaliśmy – szepnęła idąca obok niego Naomi.

Ben nie odezwał się. Też tak sądził i robił sobie z tego powodu wyrzuty.

Nagle z wszechobecnej białości wyłonił się ciemny masyw zamkowego muru. Naomi wyprzedziła nieco Bena. Chłopiec chwycił ją za ramię.

– Nie zapominaj o fosie – szepnął. – Jest gdzieś tam przed nami. Przystąpisz jej krawędź, spadniesz i złamiesz sobie ka...

Udało mu się powiedzieć tylko tyle, gdy oczy Naomi zabłyśły przerażeniem. Wyrwała się z jego uchwytu.

– Frisky! – syknęła. – Hej! Frisky! Uważaj! Spadniesz! – Pobiegła za psem.

Ta dziewczyna jest kompletnie zwariowana, pomyślał Ben z odrobiną podziwu. A potem ruszył za nią.

Naomi martwiła się niepotrzebnie. Frisky zatrzymała się na krawędzi fosy. Węszyła pod śniegiem machając wesoło ogonem. Teraz chwyciła coś w zęby i wyciągnęła spod świeżego puchu. Odwróciła się do Naomi pytając wzrokiem: Dobry ze mnie piesek, prawda?

Dziewczyna zaśmiała się i objęła swoją ulubienicę.

Ben spojrział w stronę muru.

– Cicho! – szepnął do niej. – Jeśli strażnicy nas usłyszą, to jak nic skończymy w kamieniołomach. Co ty sobie wyobrażasz? Myślisz, że jesteś na własnym podwórku?

– Phi! Jeśli coś usłyszeli, to pomyślą, że to duch zimy, i uciekną do mamusi. – Mimo to mówiła też szeptem. A potem zanurzyła twarz w futrze Frisky i jeszcze raz powiedziała, jaki z niej dobry pies.

Ben pogłaskał zwierzaka po głowie. Dzięki padającemu gęsto śniegowi, żadne z nich nie czuło się tak okropnie wystawione na widok jak Dennis, gdy siedział w tym samym miejscu i zdejmował rakiety dopiero co odnalezione przez Frisky.

– Węch od bogów dany, ot co – rzekł Ben. – Ale co się stało, gdy zdjął rakiety, piesku? Czy wyrosły mu skrzydła i przeleciał nad Zachodnim Szańcem? Dokąd poszedł?

Jak gdyby odpowiadając na jego pytanie, Frisky wyzwoliła się z ich objęć i ślizgając się i zapadając w śnieg zeszła po stromym brzegu na zamarznąłą powierzchnię fosi.

– Frisky! – zawołała Naomi przyciszonym, ale przestraszonym głosem.

Suka stała na lodzie patrząc na nich, po kolana w śniegu. Leciutko merdała ogonem prosząc ich wzrokiem, żeby zeszli do niej. Nie szczekała; sama wyczuła, że lepiej nie, chociaż Naomi nie kazała jej być cicho. Ale ujadała w myślach. Zapach wciąż dawał się wyczuć, a ona chciała za nim iść, zanim zniknie do reszty, co miało nastąpić za parę minut.

Naomi popatrzyła pytająco na Bena.

– Tak – powiedział. – Oczywiście. Musimy. Chodź. Ale trzymaj ją przy nodze – nie pozwól jej się za bardzo oddalić. Tu się czai niebezpieczeństwo. Czuję to.

Wyciągnął rękę. Naomi chwyciła ją i razem zsunęli się na lód.

Frisky powoli poprowadziła ich w stronę zamkowego muru. Teraz musiała rozkopywać nosem śnieg, żeby podążać za tropem. Pokrywał go coraz bardziej gęsty, nieprzyjemny zapach – woń brudnej, ciepłej wody, odpadków, nieczystości.

Dennis wiedział, że lód robi się niebezpiecznie cienki w pobliżu wylotu rury. A nawet gdyby sobie z tego nie zdał sprawy, widział przed sobą pas wody szerokości trzech stóp.

Ben, Naomi i Frisky nie mieli takiego szczęścia. Uznali oni po prostu, że jeśli lód jest gruby przy zewnętrznym brzegu fosi, to będzie taki sam po drugiej stronie. A wzrok niewiele mógł im pomóc, bo widoczność znacznie zmniejszyła gęsto padający śnieg.

Z całej trójki Frisky miała najłabsze oczy, no i znajdowała się na przedzie. Wyostrzony słuch dał jej znać, że pod świeżym śniegiem trzaska lód... ale zapach bardzo ją absorbował, więc nie zwróciła uwagi na stłumione dźwięki... aż wreszcie lód pękł pod jej ciężarem i z pluskiem wpadła do wody.

– Frisky! Fr...

Ben zakrył Naomi usta dłonią. Zaczęła się mu wrywać. Ale chłopiec wiedział, na czym polega niebezpieczeństwo, i trzymał ją mocno.

Naomi niepotrzebnie się martwiła. Psy przecież potrafią pływać, a dzięki swej gęstej, lekko przetłuszczonej szubie Frisky lepiej radziła sobie w wodzie niż którakolwiek z istot ludzkich. Pośród kawałków popękane lodu i kulek śniegu, które szybko zamieniały się w gęstą maź i znikały, dopłynęła prawie do samego muru. Uniosła głowę wężąc, szukając zapachu... a gdy zrozumiała, skąd dobiega, wróciła do Bena i Naomi. Dotarła do krawędzi lodu i chciała wyjść z wody, ale lód pękł jej pod łapami. Spróbowała jeszcze raz. Naomi krzyknęła.

– Cicho, Naomi, bo jeszcze przed świtem możemy znaleźć się w lochach – powiedział Ben. – Chwyć mnie za kostki. – Puścił ją i położył się na brzuchu. Dziewczyna przykucnęła za nim i przytrzymała mu nogi tak, jak jej polecił. Leżąc na lodzie, Ben słyszał, jak jęczy on i pomrukuje. To mogło zdarzyć się któremuś z nas, pomyślał, a wtedy rzeczywiście znaleźlibyśmy się w kłopotach.

Rozstawił nogi, żeby lepiej rozłożyć ciężar, a potem złapał Frisky za przednie łapy poniżej miejsca, gdzie łączyły się z klatką piersiową.

– Do góry, mała – chrząknął Ben. – Mam nadzieję. – Pociągnął ją z całej siły.

Przez chwilę wydawało mu się, że lód pęknie pod ciężarem wciąganej nań Frisky – a potem on sam i za nim Naomi znajdą się w wodzie. Przechodził przez fosę niejedną raz, gdy szedł na zamek bawić się z Piotrem, a wtedy błękitne, letnie niebo i białe obłoki odbijały się w wodzie czyniąc ją prawdziwie piękną, niczym obraz. Nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, iż mógłby zginąć w niej podczas zamieci śnieżnej w czarną noc. No i brzydko pachniała.

– Wyciągnij mnie – szepnął. – Ten twój cholerny pies waży tonę!

– Nie waż się źle mówić o Frisky, Benie Staad. Ben zacisnął powieki i rozciągnął wargi w uśmiechu.

– Stokrotne przeprosiny. Ale jeśli nie zaczniesz mnie stąd wyciągać, to chyba się skąpię.

Udało jej się jakoś, chociaż Ben i Frisky razem ważyli trzy razy więcej niż ona. Ciało Bena leżącego twarzą do ziemi wryło koleinę w świeżym puchu, a w kroku zebrała mu się kupka śniegu, tak jak zgromadziłyby się w lemieszu drewnianego pługa.

W końcu – tak przynajmniej wydawało się Benowi i Naomi, chociaż cała sprawa trwała prawdopodobnie tylko kilka sekund – pierś Frisky przestała kruszyć lód i zaczęła wsuwać się na jego powierzchnię. Po chwili jej tylne łapy znalazły się na solidnym gruncie. A potem suka stała już na czterech nogach i energicznie się otrząsała. Brudna woda obryzgała Benowi twarz.

– Fuj! – wykrzywił usta wycierając się. – Dziękuję, Frisky!

Ale ona nie zwróciła na niego uwagi. Znowu patrzyła na mur zamkowy. Chociaż woda zamarzała na jej futrze tworząc brudne sople, interesowała się przede wszystkim zapachem. Czują go wyraźnie nad sobą, ale nie bardzo wysoko. Dobiegał z ciemnego miejsca. Nie było tam zimnej substancji pozbawionej zapachu.

Ben wstawał na nogi otrzepując się ze śniegu.

– Przepraszam, że tak krzyknęłam – szepnęła Naomi. – Gdyby to był jakikolwiek inny pies... myślisz, że mnie usłyszeli?

– Gdyby tak się stało, kazano by ci podać hasło – odszepnął Ben. – Bogowie, niewiele brakowało. – Teraz już widzieli otwartą wodę tuż pod starożytnym kamiennym murem zewnętrznego szańca Twierdzy Delain, bo wiedzieli, czego mają oczekiwać.

– Co teraz?

– Nie możemy przejść – szepnął Ben. – To jasne. Ale co zrobił on, Naomi? Dokąd stąd poszedł? Może pofrunął?

– Jeśli my...

Ale Naomi nie dokończyła myśli, bo wtedy właśnie Frisky ujęła sprawy w swoje łapy. Wszyscy jej przodkowie byli znakomitymi tropicielami, miała to we krwi. Kazano jej iść tym podniecającym, czarownym, jaskrawoniebieskim tropem i czuła, że nie jest w stanie go porzucić. Tak więc przysiadła na lodzie, napięła swe wytrenowane ciągnięciem sań mięśnie i skoczyła w ciemność. Jak mówiłem, wzrok był jej najsłabszym zmysłem i skoczyła naprawdę na ślepo; z brzegu lodu nie wiedziała czarnego otworu rury kanalizacyjnej.

Ale dostrzegła go znajdując się w wodzie, a nawet gdyby nie, miała swój nos i wiedziała, że otwór tam jest.

106

To Flagg – pomyślał na wpół rozbudzony Dennis, gdy skoczyła na niego czarna postać z płonącymi oczyma. To Flagg, znalazł mnie i teraz rozszarpie mi gardło swymi kłami.

Chciał krzyknąć, ale nie zdołał wydać głosu.

Paszcza intruza rzeczywiście rozwarła się; Dennis zobaczył wielkie białe zęby... i poczuł jęzor liżący mu twarz.

– Uf! – powiedział Dennis usiłując odepchnąć to coś. Ciężkie łapy oparły mu się na ramionach i Dennis opadł na materac z serwetek niczym powalony zapaśnik. Mlask, mlask. – Uf! – rzekł znowu Dennis, a ciemny, kudłaty kształt wydał z siebie niskie, radosne szczeknięcie, jakby chciał powiedzieć: Wiem, ja też się cieszę, że cię widzę.

– Frisky! – stłumionym głosem zawołał ktoś w ciemnościach. – Siad! Cicho bądź!

Mroczna postać to wcale nie Flagg, tylko bardzo duży pies; zbyt przypomina wilka, żeby czuć się przy nim bezpiecznie – pomyślał Dennis. Gdy dziewczyna odezwała się, zwierzę cofnęło się i usiadło. Patrzyło wesoło na Dennisa w milczeniu tłukąc ogonem o usłane z serwetek łóżko młodego lokaja.

W ciemnościach pojawiły się dwa następne cienie, jeden wyższy, drugi niższy. Strażnicy

zamkowi. Dennis chwycił za sztylet. Jeśli bogowie zechcą mu sprzyjać, da sobie radę z obydwoma. Jeśli nie, drogo odda życie w służbie swego króla.

Dwie postacie zatrzymały się w pewnej odległości od niego.

– No, chodźcie tu – powiedział Dennis i odważnym gestem uniósł sztylet (w zasadzie niewiele groźniejszy niż scyzoryk, zardzewiały i bardzo tępy).

– Najpierw wy dwoje, a potem wasz diabelski pies!

– Dennis? – głos był dziwnie znajomy. – Dennis, więc naprawdę udało nam się ciebie znaleźć?

Lokaj zaczął opuszczać sztylet, ale zaraz uniósł go ponownie. To jakaś sztuczka. Na pewno. Ale głos wydawał mu się bardzo podobny...

– Ben? – szepnął. – Ben Staad?

– To ja – potwierdziła wyższa postać, a serce Dennisa przepełniła radość. Cień zbliżył się powoli. Przestraszony lokaj znowu podniósł swą broń.

– Zaczekaj! Masz światło?

– Krzemień i stal.

– Skrzesaj ognia.

– Aha.

W chwilę później zabłysła wielka, żółta iskra, stanowiąca niewątpliwie zagrożenie pożarowe w magazynie wypełnionym suchymi serwetkami.

– Podejdz, Benie – powiedział Dennis, chowając swój pseudosztylet do pochwy. Podniósł się na nogi drżąc z radości i ulgi. Ben był tutaj. Jaka – magia pomogła mu w tym – lokaj nie wiedział – ale zdawał sobie sprawę, że coś się stało. Stopy zaplątały mu się w serwetki i byłby upadł, gdyby nie pochwytyły go silne ramiona Bena. Przyszedł tu i wszystko będzie dobrze, pomyślał Dennis, usiłując powstrzymać się od niemęskich łez.

107

Nastąpiła wielka wymiana opowieści – wy znacie je w zasadzie w całości, a to, o czym nie wiecie, da się opowiedzieć bardzo krótko.

Skok Frisky był strzałem w dziesiątkę. Trafiła prosto w wylot rury kanalizacyjnej, a potem odwróciła się, żeby zobaczyć, czy Ben i Naomi gotowi są za nią podążyć.

Gdyby tego nie zrobili, Frisky w końcu wyskoczyłaby z powrotem na lód – stanowiłoby to dla niej wielkie rozczarowanie, ale nie zostawiłaby swojej pani dla najwspanialszego zapachu świata. Frisky wiedziała o tym, ale Naomi nie miała takiej pewności. Nie odważyłaby się nawet odwołać suki bojąc się, że mogliby ją usłyszeć strażnicy. Zamierzała więc podążyć za nią. Nie

zostawiłaby Frisky, a gdyby Ben usiłował ją do tego skłonić, znokautowałaby go prawym sierpowym.

Martwiła się niepotrzebnie. Gdy tylko Ben zobaczył wylot rury, zrozumiał, którędy Dennis wszedł do zamku.

– Masz genialny węch, Frisky – powtórzył. Odwrócił się do Naomi. – Dasz radę?

– Jeśli wezmę rozbieg, to tak.

– Przypatrz się uważnie, gdzie lód staje się cienki, bo możesz się skapać. Grube ubranie szybko cię wciągnie na dno.

– Przyjrę się.

– Lepiej, żebym ja skoczył pierwszy – rzekł Ben. – Jeśli ci się nie uda, może zdołam cię złapać.

Cofnął się o kilka kroków i odbił tak silnie, że nieomal rozbił sobie głowę o górną krawędź rury. Podniecona Frisky wydała szczenięcie.

– Cicho, pies – powiedział Ben.

Naomi odsunęła się aż na krawędź fosy, stała tam przez chwilę (padał tak gęsty śnieg, że Ben jej nie widział), a potem ruszyła do przodu. Ben wstrzymał oddech modląc się, żeby dobrze oceniła, gdzie zaczyna się cienki lód. Gdyby pobiegła za daleko, nie złapałyby jej najdłuższe ramiona świata.

Ale wymierzyła odległość idealnie. Ben nie musiał jej pomagać; wystarczyło, że odsunął się jej z drogi, gdy lądowała w wylocie rury. Nie stłukła sobie nawet głowy tak jak on.

– Najgorszy był ten zapach – powiedziała Naomi, gdy kończyła relacjonować ich opowieść zachwyconemu Dennisowi. – Jak mogłeś go wytrzymać?

– No, cały czas przypominałem sobie, co się ze mną stanie, jeśli mnie złapią – rzekł lokaj. – Ilekroć to zrobiłem, powietrze poprawiało się.

Ben zaśmiał się i kiwnął głową, a Dennis przez chwilę patrzył na niego podejrzenie błyszczącymi oczyma. Potem zwrócił się do Naomi.

– Ale rzeczywiście śmierdzi tam okropnie – zgodził się. – Pamiętam, że nie pachniało tam najpiękniej, gdy byłem chłopcem, lecz nie aż tak. Może dzieci nie potrafią ocenić zapachu. Albo coś takiego.

– Chyba masz rację – powiedziała Naomi.

Frisky leżała na stercie królewskich serwetek, z łbem na przednich łapach, wodząc oczyma od jednej osoby do drugiej. Niewiele rozumiała z tego, o czym rozmawiali, a szkoda, bo gdyby potrafiła użyć ludzkiego języka, poinformowałaby Dennisa, że jego ocena, co stanowi naprawdę ohydny smród, nie zmieniła się zbytnio od czasów, gdy był chłopcem. Wszyscy troje czuli oczywiście zapach Smoczego Piasku. Frisky odbierała tę woń o wiele lepiej niż PANI i CHŁOPIEC. Ślad Dennisa zachował się nadal, teraz w formie plam i punktów na

zakrzywionych ścianach (w miejscach, gdzie lokaj dotykał ich rękoma; dnem ścieków płynęły nieczystości, które zmywały wszelki zapach). Nadal miał kolor jaskrawoniebieski. Druga woń była barwy ostrej żółci i wzbudzała we Frisky lęk. Suka wiedziała, że niektóre zapachy mogą zabić, i czuła, że jeszcze nie tak dawno temu ta woń też miała śmiertcionośne właściwości. Ale teraz traciła moc, no i poza tym ślad Dennisa omijał jej większe skupienia. Wkrótce potem, gdy dotarli do kraty, przez którą Dennis wyszedł ze ścieków, zaczęła gubić ów zapach – i nigdy w życiu nie zdarzyło jej się cieszyć z tego aż tak.

– Nie spotkałeś nikogo? Zupełnie? – zapytał z niepokojem Dennis.

– Nie – powiedział Ben. – Szedłem przodem jako zwiad. Kilka razy widziałem strażników, ale zawsze mieliśmy dosyć czasu, żeby się ukryć. Prawdę mówiąc mogliśmy wejść główną bramą i minąć dwudziestu strażników, z których może dwu zapytałoby, kto idzie. Większość z nich była pijana.

Naomi skinęła głową.

– Wartownicy – powiedziała. – Pijani w drzazgi. I to nie na straży gdzieś pod północną granicą jakiejś zakichanej prowincjonalnej baronii, o której nikt nigdy nie słyszał; pijani na zamku!

Przypominając sobie fałszującego, smarczącego śpiewaka Dennis ponuro skinął głową.

– Powinniśmy się chyba cieszyć. Gdyby wartownicy byli dziś tacy jak za czasów Rolanda, wszyscy troje znaleźlibyśmy się w Iglicy razem z Piotrem. Ale ja jakoś nie mogę.

– Powiem ci jedno – szepnął Ben. – Gdybym był Tomaszem, drżałbym ze strachu jak liść za każdym rzutem oka na północ, jeśli wszyscy jego ludzie są tacy jak ci, których widzieliśmy.

Naomi popatrzyła na niego z niepokojem.

– Módlmy się do wszystkich bogów, żeby nic się nie stało.

Ben kiwnął głową.

Dennis pochylił się i pogłaskał Frisky po łbie.

– Szłaś za mną od domu Peyny, tak? Mądry piesek. Frisky radośnie zamerdała ogonem.

Naomi powiedziała:

– Chętnie usłyszałabym historię o królu chodzącym we śnie, jeśli zechciałbyś ją jeszcze raz przedstawić.

Więc Dennis opowiedział, mówiąc dokładnie to samo co Peynie i co ja wam zrelacjonowałem, a oni słuchali urzeczeni jak dzieci, kiedy opowiada im się baśń o gadającym wilku w nocnym czepku babci.

Gdy skończył, wybiła siódma. Nad Delainem zabłysnął przyćmiony, szarawy blask, który miał stać się niewiele jaśniejszy w południe – nadchodziła bowiem największa zamieć owej zimy, a może nawet w całej historii Delainu. Wiatr wył pod okapami zamku jak stado duchów. Słyszeli go nawet zbiegowie w magazynie serwetek. Frisky podniosła głowę i zaskamlała niepewnie.

– Co teraz? – zapytał Dennis.

Ben, który po raz setny czytał list od Piotra, powiedział:

– Przed wieczorem nic. Na zamku wszyscy już się pobudzili, więc w żaden sposób nie uda nam się wyjść stąd niezauważenie. Idziemy spać. Trzeba nabrać sił. A dziś wieczorem, przed północą...

Ben mówił krótko. Naomi uśmiechnęła się. Dennisowi rozbłysły z podniecenia oczy.

– Tak! – zawołał. – Bogowie! Ben, jesteś genialny!

– No, ja bym się nie posuwała aż tak daleko – powiedziała Naomi, ale uśmiechała się tak szeroko, że istniało niebezpieczeństwo, iż głowa jej podzieli się na dwie części. Objęła Bena i serdecznie go ucałowała.

Chłopak spaşowiał (wyglądał, jakby miał „ekspłodować”, jak mawiano w owych czasach w Delainie), ale muszę wam też powiedzieć, że sprawiał wrażenie wielce zadowolonego.

– Czy Frisky pomoże nam? – zapytał, gdy wrócił mu oddech.

Na dźwięk swego imienia suka nadstawiła uszu.

– Jasne, że tak. Ale potrzebujemy też...

Omawiali swój plan jeszcze przez jakiś czas, a potem Ben ziewając nieomal zwichnął sobie szczękę. Naomi również wyglądała na wykończoną. Jak pewnie pamiętacie, nie spali już całą dobę, i w tym czasie pokonali sporą odległość.

– Dosyć – stwierdził Ben. – Pora spać.

– Hurra! – krzyknęła Naomi układając sobie posłanie z serwetek obok Frisky. – Nóg nie czuję...

Dennis delikatnie odchrząknął.

– Co się stało? – zapytał Ben.

Lokaj popatrzył na ich plecaki – wielki, należący do młodego Staada, i nieco mniejszy będący własnością panny Reechful.

– Pewnie nie macie... ee... nic do jedzenia? Naomi zawołała niecierpliwie:

– Jasne, że mamy! Co ty sobie myślisz... – A potem przypomniała sobie, że Dennis wyruszył z farmy Peyny sześć dni temu i od tej pory ukrywał się. Poblądł i wyglądał na niedożywionego, a twarz jego sprawiała wrażenie węższej i bardziej kościstej.

– Dennis, przepraszam, ależ z nas idioci! Kiedy ostatnio jadłeś?

Lokaj zastanowił się chwilę.

– Nie pamiętam dokładnie – powiedział. – Ale ostatni posiłek, jaki spożyłem przy stole, to lunch tydzień temu.

– Dlaczego nam nie powiedziałaś od razu? – krzyknął Ben.

– Bo zbyt się ucieszyłem na wasz widok – odparł Dennis i wyszczerzył zęby. Patrząc, jak otwierają plecaki i grzebią pośród resztek zapasów, poczuł burczenie w brzuchu. Ślina napłynęła mu do ust. Nagle coś sobie przypomniał.

– Ale nie macie rzepy?

Naomi spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Rzepy? Ja nie. A ty, Ben?

– Też nie.

Dennis uśmiechnął się błogo.

– To dobrze – powiedział.

109

Burza okazała się rzeczywiście potężna i do dziś opowiada się o niej w Delainie. Pięć stóp świeżego puchu spadło, zanim nad zamkiem zapadł wczesny zmrok. Tyle śniegu to dużo na jeden dzień, ale wiatr stworzył zasy o wiele wyższe. Gdy nastały ciemności, szalejąca zawierucha ustąpiła miejsca zawiei. W niektórych miejscach zamkowego muru wiatr nawiał śniegu na wysokość dwudziestu pięciu stóp, zasłaniając okna nie tylko na parterze i pierwszym piętrze, lecz także na drugim.

Pomyślicie pewnie, że sprzyjało to ucieczce Piotra, i może by tak było, gdyby nie to, że Iglica stała samotnie na środku placu. Niestety więc, właśnie koło niej wiało najbardziej. Nawet silny mężczyzna nie utrzymałby się tam na nogach, bo wiatr zmiotłby go z placu i cisnął nim o pierwszą napotkaną kamienną ścianę po drugiej stronie. Zawieja miała jeszcze jeden skutek – działała jak gigantyczna szczotka. Ledwo śnieg zdążył spaść, wiatr wywiewał go z placu. O zmroku pod murami zamku potworzyły się ogromne zasy, a inne zatarasowały wejścia do ulic znajdujących się po zachodniej stronie twierdzy, ale sam plac był goły. Znajdował się na nim tylko pokryty lodem bruk, czekający, aby połamać Piotrowi kości, o ile pęknie jego lina.

Ja zaś muszę wam teraz powiedzieć, że było to nieuniknione. Gdy chłopiec sprawdzał ją, utrzymała jego ciężar... ale istniała jeszcze jedna sprawa związana z owym tajemniczym „napięciem krytycznym”, o której Piotr nie miał pojęcia. Ani Yosef. Wiedzieli o niej poganiacze wołów i gdyby Piotr ich o to zapytał, podaliby mu starą zasadę, znaną żeglarzom, krawcowym i wszystkim innym używającym w swej pracy lin i nici: Im dłuższy powróż, tym łatwiej pęka.

Krótką lina, którą Piotr wypróbował, utrzymała go.

Ta zaś, której zamierzał powierzyć swe życie, miała około dwustu sześćdziesięciu pięciu stóp.

Zapewniam was więc, że musiała pęknąć pod jego ciężarem, a bruk pod Iglicą czekał, żeby go złapać, połamać mu kości i wykrwawić.

110

Owej długiej, wietrznej nocy miało miejsce wiele katastrof, a niejednej uniknięto, dokonano wiele bohaterskich czynów, z których część się powiodła, część zaś była skazana na niepowodzenie.

Sporo budynków w Centralnych Baroniach powywracał wiatr, podobnie jak domki leniwych świnek zdmuchniętych w bajce przez głodnego wilka.

Ludzie, którzy w ten sposób stali się bezdomni, albo zdołali przedrzeć się przez białe pustacie do zamkowej twierdzy, wiążąc się dla bezpieczeństwa linami, albo zbłądzili z delaińskiej Głównej Drogi i zgubili się pośród pól – ich zamarznięte, pogryzione przez wilki ciała odnaleziono dopiero na wiosnę.

Ale o siódmej wieczorem owego dnia śnieg zaczął się odrobinę przeredzać, a wiatr ucichł. Zawierucha kończyła się, więc mieszkańcy zamku poszli wcześniej spać. Nie pozostawało im nic innego. Dосypano węgla do kominków, zawinięto dzieci w kołderki, wypito ostatnie filiżanki herbaty i odmówiono modlitwy.

Światła gasły jedno po drugim. Obwoływacz krzyczał, jak potrafił najgłośniejszym głosem, ale o ósmej wiatr stłumił jego głos; to samo stało się o dziewiątej, dopiero o dziesiątej można go było usłyszeć, ale o tej porze prawie wszyscy już spali.

Tomasz także – ale nie przyszło mu to łatwo. Brakowało mu Dennisa, który zostałby z nim i dawałby mu poczucie bezpieczeństwa; lokaj ciągle jeszcze chorował. Kilka razy młodemu królowi przyszło do głowy posłać paza, żeby się dowiedział o jego stan zdrowia (albo nawet iść samemu, bo bardzo lubił Dennisa), ale zawsze mu coś przeszkodziło – dokumenty do podpisu... petycja do wysłuchania... no i oczywiście wino, które należało wypić. Tomasz miał nadzieję, że Flagg przyjdzie i da mu proszek na zaśnięcie... ale od czasu bezproduktywnej wyprawy na północ czarnoksiężnik stał się dziwnie zamknięty w sobie. Było to tak, jakby Flagg wiedział, że coś jest nie w porządku, ale nie potrafił powiedzieć co. Tomasz pragnął, żeby mag przyszedł do niego, lecz nie odważył się go zawezwać.

Jak zwykle wyjący wiatr przypominał chłopcu noc, kiedy to zmarł jego ojciec, więc młody król bał się, że przyjdzie mu z trudnością zasnąć... i że gdy już to nastąpi, przyśni mu się koszmarne sen, w którym Roland będzie krzyczał, wygłaszał tyrady, aż wreszcie wybuchnie

plomieniem. Tak więc chłopiec zrobił to, co czynił zazwyczaj; spędził cały dzień z butelką wina w dłoni, a jeśli bym wam powiedział, ile ich wypił ten dzieciuch, zanim wreszcie poszedł spać o dziesiątej wieczorem, nie uwierzylibyście mi – więc nie powiem. Ale było ich bardzo wiele.

Leżąc smętnie na sofie i pragnąc, by Dennis znalazł się na swoim zwykłym miejscu przy kominku, Tomasz pomyślał: Boli mnie głowa i jest mi niedobrze... czy warto być królem? Wątpię. Pewnie podzielilibyście jego zdanie... ale zanim Tomasz zdążył się nad tym lepiej zastanowić, zapadł w głęboki sen.

Spał prawie godzinę... a potem podniósł się i zaczął iść. Wyszedł przez drzwi, przemierzył przedpokoje, przypominając ducha w swej białej nocnej koszuli. Tego wieczora zobaczyła go zapóźniona sprzątaczką z naręczem prześcieradeł, a on tak przypominał starego króla Rolanda, że dziewczyna upuściła je i uciekła z wrzaskiem.

Tomasz, zamroczony snem, usłyszał ją, ale uznał, że to krzyczy jego ojciec.

Szedł dalej skręcając w rzadziej używany korytarz. Zatrzymał się w połowie i nacisnął tajemny kamień. Wszedł do sekretnego przejścia, zamknął za sobą drzwi i dotarł do końca korytarzyka. Odsunął klapki zasłaniające szklane oczy Dziewięciaka i chociaż nadal spał, przycisnął twarz do otworów, jakby chcąc zajrzeć do bawialni swego zmarłego ojca. I tak zostawimy na jakiś czas tego nieszczęsnego chłopca, w oparach wina i ze łzami żalu toczącymi się ze śpiących oczu na policzki.

Był on bowiem czasami okrutny, często smutny, ten pseudokról, a przede wszystkim cechowała go słabość... ale nawet teraz upierałbym się, że nie był naprawdę zły. Jeśli nienawidzicie go za to, co zrobił – i to, do czego dopuścił – rozumiem was, ale zdziwiłbym się, gdybyście nie czuli dla niego nawet odrobiny litości.

111

Kwadrans po jedenastej owej pamiętnej nocy zamieć wydała swoje ostatnie tchnienie. Potężny podmuch wiatru spadł na zamek. Pędził z prędkością stu mil na godzinę. Niczym wielka dłoń rozdarł rzednące chmury. Zza nich wyłonił się chłodny, wodnisty blask księżyca.

Na Trzeciej Wschodniej Ulicy stała przysadzista kamienna wieża zwana świątynią Wielkich Bogów; znajdowała się tam od niepamiętnych czasów. Wielu ludzi przychodziło się do niej modlić, ale teraz świeciła pustkami. I bardzo dobrze. Wieża nie była zbyt wysoka – karzeł w porównaniu z Iglicą – ale mimo to wystawała ponad sąsiednie budynki na Trzeciej Wschodniej i przez cały dzień musiała dawać odpór nieustającym atakom wiatru. Ostatniego podmuchu wieża nie wytrzymała. Górne trzydzieści stóp – wszystko z kamienia – po prostu odpadło, tak jak podczas zawiei spada kapelusze strachowi na wróble. Część wylądowała na ulicy, a reszta trafiła

na sąsiednie budynki. Rozległ się straszliwy huk.

Mieszkańcy kasztelu, zmęczeni wywołanym przez zamieć podnieceniem, głęboko już spali i nie zwrócili najmniejszej uwagi na upadek świątyni Wielkich Bogów (choć następnego dnia mieli wielce wydziwiać na widok pokrytych śniegiem ruin). Większość po prostu zamamrotała coś, przewróciła się na drugi bok, i zapadła w sen.

Niektórzy z wartowników – ci mniej pijani – także usłyszeli hałas i pobiegli zobaczyć, co się stało. Oprócz nich prawie nikt nie zwrócił uwagi na upadek wieży... poza kilkoma osobami, które już dobrze znacie.

Ben, Dennis i Naomi szykujący się do pomocy w ucieczce prawowitemu królowi usłyszeli huk siedząc w magazynie z serwetkami i przez moment patrzyli na siebie zaskoczeni. – Nie wiem, co to jest, ale to nieważne. Do roboty – powiedział Ben po chwili.

Beson i jego strażnicy, wszyscy pijani w trupa, nie usłyszeli, jak upada świątynia Wielkich Bogów, ale Piotr tak. Siedział na podłodze swej sypialni przesuwając w dłoniach tkaną linę i szukając z niepokojem słabych miejsc. Gdy usłyszał stłumiony przez śnieg grzmot padających kamieni, podniósł głowę, a potem przyskoczył do okna. Nie zobaczył nic; coś, co się zawaliło, znajdowało się po drugiej stronie Iglicy. Po krótkim zastanowieniu powrócił do swojej liny. Zbliżała się północ, a on doszedł do takiego samego wniosku co Ben. To nieważne. Kości rzucone. Teraz musi kontynuować dzieło.

W głębokim mroku tajnego przejścia Tomasz usłyszał przygłuszony huk padającej wieży i obudził się. Dobiegło go też ciche szczekanie psów pod nim i ze zgrozą zrozumiał, gdzie się znajduje.

Ten zaś, który spał lekko śniąc majaki, również został zbudzony przez upadek wieży. Stało się tak, mimo że znajdował się głęboko w trzewiach zamku.

– Katastrofa! – zawołała jedna z głów papugi.

– Pożar, powódź i ucieczka! – wrzasnęła druga. Flagg zbudził się. Mówiłem wam, że zło czasem jest dziwnie zaślepienie, i jest to prawda. Czasami bez żadnego powodu zapada w letarg. A teraz Flagg się przebudził.

112

Flagg powrócił ze swej ekspedycji na północ z lekką gorączką, poważnym przeziębieniem i skłopotaną głową.

Coś nie tak, coś jest nie tak. Wydawało mu się, że nawet mury zamku mu to szepczą... ale czarnoksiężnik za żadne pieniądze nie potrafił domyślić się co. Wiedział tylko, że owo nie znane mu „coś” ma ostre kły. Wydawało mu się, że biega mu w głowie jak fretka podgryzając to tu, to

tam. Zdawał sobie sprawę, kiedy owo stworzenie pojawiło się i zaczęło go gryźć: gdy wracał z bezowocnej wyprawy w poszukiwaniu buntowników. Bo... bo...

Bo buntownicy powinni się tam znajdować!

Ale ich nie wykrył, a Flagg nie znosił czuć się oszukany. Co gorsza, nienawidził wrażenia, że prawdopodobnie popełnił błąd. Jeśli pomylił się co do miejsca, gdzie można odnaleźć buntowników, to mógł także nie mieć racji i w innych sprawach. Jakich? Nie miał pojęcia. Śniły mu się koszmary. Małe, złośliwe zwierzątko biegało mu w głowie, dręcząc go, upierając się, że o czymś zapomniał, że coś dzieje się za jego plecami. Pędziło, gryzło, wybijało go ze snu. Flagg miał leki, które potrafiłyby go uwolnić od przeziębienia, ale żaden nie poskutkowałby przeciwko bestii rosnącej mu w głowie.

Co, u licha, jest nie tak?

Tysiące razy zadawał sobie to pytanie i w zasadzie wydawało się – przynajmniej z pozoru – że wszystko jest w porządku. Przez setki lat czarny chaos jego duszy nienawidził miłości, światła i porządku panujących w Delainie, i usilnie starał się je zniszczyć – obrócić w ruinę tak, jak ostatni lodowaty powiew zamieci zwałił świątynię Wielkich Bogów. Zawsze jednak coś mu przeszkadzało – jakaś Kyla Dobra, Sasha, coś albo ktoś. Ale teraz nie widział nic, co mogłoby w jakikolwiek sposób wpłynąć na bieg wypadków, chociaż szukał pilnie. Tomasz znajdował się całkowicie pod jego władzą; gdyby Flagg kazał mu wyskoczyć z najwyższego okna zamku, głupi dzieciak zapytałby tylko, o której godzinie ma to zrobić. Rolnicy jęczeli pod ciężarem morderczych podatków, jakie Tomasz na nich nałożył za poradą czarnoksiężnika.

Yosef powiedział kiedyś Piotrowi, że istnieje napięcie graniczne dla ludzi, tak samo jak dla lin i łańcuchów, i nie mylił się – rolnicy i kupcy delaińscy znaleźli się u kresu wytrzymałości. Lina, za pomocą której przymocowane są ciężary podatków do grzbietów obywateli, to wierność – królowi, krajowi, rządowi. Flagg wiedział, że jeśli nałoży odpowiednio duże obciążenie, wszystkie liny pękną, a głupie woły – bo tak myślał o ludności Delainu – ruszą galopem niszcząc wszystko, co znajdzie się na ich drodze. Pierwsze z nich wydostały się już na wolność i zgromadziły na północy. Teraz nazywali siebie uchodźcami, ale wkrótce przemianują się na buntowników. Pozbył się Peyny, a Piotr siedział zamknięty w Iglicy.

Co więc było nie tak?

Nic! Nic, do cholery!

Ale małe zwierzątko biegało, kręciło się, podgryzało i wiło. Podczas ostatnich tygodni czarnoksiężnik niejedną raz budził się zły zimnym potem, nie z powodu powracającej gorączki, lecz dlatego, że znowu przyśnił mu się okropny sen. Co stanowiło jego treść? Nie mógł sobie przypomnieć. Wiedział tylko, że budził się przyciskając lewą rękę do lewego oka, jakby został w nie zraniony, i czuł, że go piecze, chociaż nie widział, żeby stało się z nim coś złego.

Tej nocy czarnoksiężnik obudził się mając swój sen na świeżo w pamięci, ponieważ wrócił do przytomności przed jego zakończeniem. Oczywiście nastąpiło to na skutek upadku świątyni Wielkich Bogów.

– Hmm! – zawołał Flagg podrywając się w fotelu. Szeroko otworzył oczy, a na białe policzki wystąpił mu zimny pot.

– Katastrofa! – wrzasnęła jedna z głów papugi.

– Pożar, powódź, ucieczka! – krzyknęła druga. Ucieczka – pomyślał Flagg. Tak, to właśnie miałem na myśli, to właśnie dręczyło mnie przez cały czas.

Popatrzył na swoje dłonie i zauważył, że drżą. Rozgniewany tym widokiem wyskoczył z fotela.

– Zamierza uciec – mruknął przeciągając dłonią po włosach. – A w każdym razie chce spróbować. Ale jak? Jak? Na czym polega jego plan? Kto mu pomagał? Zapłacą za to głowami, przysięgam... i nie skończę z nimi od razu. Będą je tracić cal po calu... pół... ćwierć cala. Zanim umrą, oszaleją z bólu...

– Oszaleją! – krzyknęła jedna z głów papugi.

– Z bólu! – dodała druga.

– Zamknijcie się i dajcie mi pomyśleć! – zawył Flagg. Chwycił ze stojącego opodal stołu słoik wypełniony mętnym, brązowym płynem i cisnął w klatkę. Naczynie trafiło w metalowe pręty i roztrzaskało się; błysnęło jaskrawym, zimnym światłem. Dwie głowy papugi zaskrzeczały ze strachu, a potem ptak spadł ze swojego pręta i leżał nieprzytomny aż do rana.

Czarnoksiężnik nerwowo przechadzał się w tę i z powrotem. Wyszczrzył zęby. Nerwowo zaplatał dłonie. Krzesał butami zielonkawę iskry o pokrytą saletrą kamienną posadzkę swego laboratorium – czuło się w powietrzu zapach letnich błyskawic.

Jak? Kiedy? Kto mu pomagał?

Nie potrafił sobie przypomnieć. Szczegóły już zaczynały mu się zacierać. Ale...

– Muszę to wiedzieć! – szepnął. – Muszę!

Bo stanie się to niebawem; tyle wyczuwał. Chwila ta zbliżała się coraz bardziej.

Znalazł klucze i jednym z nich otworzył dolną szufladę biurka. Wyjął z niej pudełko wykonane z pięknie rzeźbionego grabowego drewna, zdjął pokrywkę i wyciągnął skórzany mieszek. Rozplatał zamykające go sznurki i ostrożnie wydobyl z niego kawałek skały, która wydawała się mieć wewnętrzne źródło światła. Kamień miał barwę mlecznobiałą jak oko ślepeca. Przypominał steatyt, ale w rzeczywistości był kryształem – magiczną kulą Flagga.

Czarnoksiężnik przeszedł się po komnacie gasząc lampy i świece. Po krótkim czasie

w pomieszczeniu zapadły kompletne ciemności. Mimo to Flagg z łatwością odnalazł swe biurko, omijając gładko przedmioty, o które ja czy wy obilibyście sobie golenie albo przewróciłibyście się. Mrok był niczym dla królewskiego czarodzieja; lubił go i widział w nim wszystko jak kot.

Usiadł i dotknął kryształu. Przytknął doń dłonie wymacując ostre kanty i zagłębienia.

– Pokaż mi – mruknął. – To rozkaz.

Z początku nie widział nic. Potem, stopniowo, pojawiła się wewnątrz niego poświata. Najpierw było to blade i rozmyte światełko. Flagg ponownie dotknął kryształu, tym razem czubkami palców. Poczuł, jak kamień zaczyna się rozgrzewać.

– Pokaż mi Piotra. To rozkaz. Chcę zobaczyć tego szczeniaka, który ośmiela się stanąć na mojej drodze, i jakie są jego plany.

Poświata stawała się coraz intensywniejsza... Z błyskiem w oczach, rozchylając cienkie, okrutne wargi, tak że załśniły obnażone zęby, Flagg pochylił się nad kryształem. W tej chwili Piotr, Ben, Dennis i Naomi rozpoznały swój sen – poznałyby blask, który oświetlił twarz czarnoksiężnika, w niczym nie przypominający światła świecy.

Mleczna poświata kamienia nagle znikła ustępując miejsca coraz jaskrawszemu światłu. Flagg mógł teraz zajrzeć w głąb kuli. Wybałuszył oczy... a potem zacisnął powieki nie dowierzając samemu sobie.

Ujrzał bowiem Saszę, w zaawansowanej ciąży, siedzącą przy łóżeczku małego chłopczyka. Dziecko trzymało tabliczkę. Na tabliczce wypisane były dwa słowa: BÓG i PIES.

Flagg ze zniecierpliwieniem przesunął dłońmi nad kryształem, który teraz stał się bardzo ciepły.

– Pokaż mi to, co muszę wiedzieć! To rozkaz! Kryształ ponownie stał się przejrzysty.

Tym razem ukazał się w nim Piotr bawiący się domem lalek matki, udający, że mieszkająca w nim rodzina została zaatakowana przez Indian... albo smoki... albo jakieś podobne bzdury. Stary król stał w drzwiach, obserwując syna, pragnąc się do niego przyłączyć...

– Phi! – zawołał Flagg znowu machając rękoma nad kryształem. – Po co przedstawiasz te stare głupstwa? Chcę wiedzieć, w jaki sposób on chce uciec... i kiedy! Pokaż mi! To rozkaz!

Kryształ stawał się coraz gorętszy. Flagg wiedział, że jeśli nie pozwoli mu wkrótce zgasnąć, rozpadnie się bezpowrotnie, a nie znajdzie tak łatwo następnego – tego musiał szukać przez trzydzieści lat. Mimo to nie zamierzał dać za wygraną, nawet jeśli kamień miałby się rozlecieć na milion kawałków.

– To rozkaz! – powtórzył i po raz trzeci mleczna poświata znikła. Czarnoksiężnik pochylił się nad magicznym kawałkiem minerału, aż emanujący z niego żar wycisnął mu łyzy. Otarł je... a potem mimo gorąca otworzył szeroko oczy z zaskoczeniem i wściekłością.

Zobaczył Piotra. Chłopak powoli zsuwał się po ścianie Iglicy. W grę musiała wchodzić zdradziecka magia, bo chociaż wykonywał dłońmi ruchy, jakby schodził po linie, nic takiego nie

było widać...

A może jednak?

Flagg pomachał ręką nad kryształem, żeby go trochę ochłodzić. Lina? Niezupełnie. Coś dało się zauważyć, coś... przypominającego babie lato albo pajęczą nić... lecz mimo to utrzymującego ciężar chłopca.

– Piotr – sapnął Flagg, a maleńka figurka obejrzała się na dźwięk jego głosu.

Czarnoksiężnik dmuchnął na kryształ, gasząc jego jaskrawe migotliwe światło. Siedział teraz w ciemnościach, mając w oczach jego blask.

Piotr. Ucieka. Gdzie? Kryształ pokazywał noc, a Flagg zobaczył, że wiatr mióttł śniegiem wokół zsuwającej się coraz niżej maleńkiej postaci. Czy miało to się zdarzyć dziś wieczorem? Jutro? W przyszłym tygodniu? Albo...

Flagg jednym ruchem poderwał się zza biurka. Oczy rozjarzyły mu się w ciemnościach panujących w komnacie.

A może już się zdarzyło?

– Dość tego – szepnął. – Na wszystkich bogów, jacy byli, są i będą, mam tego dosyć.

Przeszedł przez mroczny pokój i porwał wielki topór ze ściany. Mordercze narzędzie było nieporęczne, ale czarnoksiężnik posługiwał się nim z łatwością i pewnością siebie.

Czy znał je dobrze? O tak! Niejeden raz zamachnął się nim gdy mieszkał tu i działał jako Bili Hinch, najstraszliwszy kat w całej historii Delainu. To potworne ostrze ścięło setki głów. Wykonano je z dwukrotnie kutej stali anduańskiej, a nad nim znajdował się prywatny wynalazek Flagga – żelazna kula ze szpikulcami pokrytymi trucizną.

– DOŚĆ TEGO! – wrzasnął znów czarnoksiężnik z gniewem, lękiem i frustracją. Słyszając to nieprzytomna dwugłowa papuga wydała jęk.

Flagg zerwał z wieszaka płaszcz, jednym ruchem narzucił go sobie na ramiona i zapiął u szyi klamrę – skarabeusza wyklepanego w srebrze.

Miał tego dosyć. Nie pozwoli, żeby ten nienawistny chłopak pokrzyżował jego plany. Roland nie żył, Peyna stracił urząd, szlachta uciekła na wygnanie. Nikt nie podniesie krzyku z powodu śmierci księcia... zwłaszcza że zamordował on własnego ojca.

Jeśli jeszcze nie uciekłeś, drogi książę, to już nigdy ci się to nie uda – a coś mówi mi, że nadal jesteś w klatce. Ale dziś pewna część twojej osoby znajdzie się poza nią – sam się o to postaram.

Idąc korytarzem w stronę Bramy do Lochów Flagg wybuchnął śmiechem... który potrafiłby przyprawić o złe sny nawet posąg z marmuru.

Domysły Flagga okazały się słuszne. Piotr skończył badanie swej liny, ale wciąż jeszcze siedział w pokoju na wieży czekając, aż obwoływacz oznajmi północ, gdy czarnoksiężnik wypadł z Bramy do Lochów i ruszył w stronę Iglicy. Świątynia Wielkich Bogów upadła kwadrans po jedenastej; za piętnaście dwunasta kryształ pokazał Flaggowi to, czego chciał się dowiedzieć (i chyba zgodzicie się ze mną, że poprzednio dwukrotnie też w pewien sposób ukazywał mu prawdę), a gdy mag znalazł się na placu, do północy brakowało jeszcze dziesięciu minut.

Brama do Lochów znajdowała się po północno-wschodniej stronie Iglicy. Po drugiej stronie mieściło się skromniejsze wejście do zamku, zwane Bramą Handlarzy. Między Bramą do Lochów i Bramą Handlarzy można było przeprowadzić prostą linię. Dokładnie pośrodku niej znajdowała się, oczywiście, Iglica.

Prawie w tej samej chwili gdy Flagg wyłonił się z Bramy do Lochów, Ben, Naomi, Dennis i Frisky pojawili się w Bramie Handlarzy. Nic o tym nie wiedząc zbliżali się do siebie. Między nimi znajdowała się Iglica, ale wiatr przycichł i grupa Bena powinna była usłyszeć stukot butów Flagga na bruku, a czarnoksiężnik leciutkie skrzywienie nie naoliwionego koła. Ale wszyscy oni, nawet Frisky (która wróciła do dawnej roli psa pociągowego), pozostawali w głębokim zamyśleniu.

Ben i jego towarzysze znaleźli się pierwsi na miejscu.

– Teraz – zaczął Ben i w tej chwili po drugiej stronie, mniej niż czterdzieści kroków po obwodzie wieży od miejsca, gdzie stali, Flagg zaczął walić w potrójnie zamknięte Drzwi Strażników.

– Otwierać! – zawołał. – Otwierać... w imię króla!

– Co, – zaczął Dennis, ale Naomi zamknęła mu usta żelaznym uchwytem i popatrzyła przerażonym wzrokiem na Bena.

W chłodnym, poburзовym powietrzu głos dotarł na samą górę do Piotra. Był przygłuszony, ale bardzo wyraźny.

– Otwierać, w imię króla! Chciałeś powiedzieć – w imię diabła – pomyślał Piotr.

Dobry i odważny chłopiec stał się dobrym i dzielnym mężczyzną, ale na dźwięk tego zachrypniętego głosu i wspomnienie wąskiej, bladej twarzy i zaczerwienionych, zawsze ukrytych pod kapturem oczu, Piotr poczuł, jak lodowacieją mu ręce i nogi, a w żołądku rozpala mu się ognista kula. W ustach miał suchość. Włos mu się zjeżył. Gdyby ktoś wam kiedyś powiedział, że

jeśli człowiek jest dobry i dzielny, to znaczy, że nigdy nie odczuwa lęku, nie wiercie mu. W owej chwili Piotr bał się, jak nigdy w życiu.

Flagg przyszedł po mnie.

Chłopiec wstał i przez chwilę myślał, że się przewróci, bo nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Śmierć waliła w Drzwi Strażników, żądając, żeby ją wpuszczono.

– Otwierać! Wstawać, zawszone moczymordy! Beson, ty pijacki skunksie!

Nie spiesz się – powiedział sobie Piotr. Jeśli zaczniesz działać zbyt szybko, popełnisz błąd i będziesz pracować na jego korzyść. Nikt jeszcze nie wyszedł go wpuścić. Beson jest pijany – przy kolacji miał już nieco w czubie, a teraz pewnie leży jak kłoda. Flagg nie ma klucza, inaczej nie traciłby czasu na dobijanie się. Więc... krok po kroku. Tak jak sobie zaplanowałeś. On najpierw musi wejść do środka, a potem pokonać wszystkie trzysta stopni. Jeszcze masz szansę wygrać.

Poszedł do sypialni i wyciągnął przetyczki ze swego prostego łóżka. Mebel rozpadł się. Piotr chwycił jeden z bocznych prętów i zaniósł go do ba wialni. Zmierzył on zawczasu jego długość i wiedział, że jest większy niż szerokość okna, i sprawdził, że chociaż pokrywała go rdza, w środku był jeszcze mocny. Mam nadzieję – pomyślał. Śmiesznie by było, gdyby lina wytrzymała, ale poszło zakotwiczenie.

Wyjrzał przez okno. Nie widział teraz nikogo, ale zauważył na placu trzy postacie idące w kierunku Iglicy, tuż przedtem, nim Flagg zaczął walić do drzwi. Znaczyło to, że Dennis znalazł pomocników. Czy jednym z nich był Ben? Piotr nie śmiał o tym marzyć. A trzecia osoba? I po co wózek? Nie miał teraz czasu szukać odpowiedzi na te pytania.

– Otwierać, psy! W imię króla! Otwierać, w imię Flagga! Otwierać! Otwierać!

W nocnej ciszy Piotr usłyszał daleko pod sobą łoskot odsuwanych żelaznych sztab. Domyślał się, że drzwi się otwarły, ale nie zarejestrował tego dźwięku. Chwila ciszy... a potem rozległo się charczenie.

116

Pechowy strażnik, który w końcu otworzył drzwi na wezwanie Flagga, żył mniej niż cztery sekundy po odsunięciu trzeciej sztaby w Drzwiach Strażników. Spostrzegł koszmarną bladą twarz, wściekle czerwone oczy i czarny płaszcz, powiewający na wietrze niczym skrzydła kruka. Krzyknął. W powietrzu rozległ się suchy świst. Strażnik, na poły pijany, podniósł wzrok dokładnie w chwili, gdy topór Flagga rozplątał mu czaszkę.

– Następnym razem, gdy ktoś będzie was wzywał w imieniu króla, ruszcie się prędzej, a nie będziecie musieli rano sprzątać! – ryknął Flagg. Śmiejąc się dziko kopnął na bok martwe ciało

i ruszył korytarzem w stronę schodów. Jeszcze nie wszystko stracone. W porę spostrzegł niebezpieczeństwo. Wiedział to.

Czuł to.

Otworzył drzwi po prawej stronie i znalazł się na głównym korytarzu wiodącym z sali sądowej, w której Peyna niegdyś wymierzał sprawiedliwość. Na końcu owego korytarza zaczynały się schody. Czarnoksiężnik popatrzył w górę śmiejąc się straszliwie.

– Idę, Piotrze! – zawołał radośnie, a jego głos odbijał się echem coraz wyżej, aż dotarł tam, gdzie znajdował się chłopiec, który zabierał się do przywiązania liny do pręta wyjętego z łóżka. – Idę, Piotrze, zrobić coś, co powinno zostać załatwione dawno, dawno temu!

Uśmiech Flagga stał się jeszcze szerszy i czarnoksiężnik wyglądał teraz strasznie – przypominał demona, który dopiero co wydobył się z jakiejś cuchnącej otchłani. Uniósł topór katowski; krople krwi zamordowanego strażnika kapnęły mu na twarz i spłynęły niczym łzy po policzkach. – Idę, drogi Piotrze, uciąć ci głowę! – wrzasnął Flagg i ruszył schodami w górę.

Jeden. Trzy. Sześć. Dziesięć.

117

Lina plątała się w drżących dłoniach Piotra. Węzeł, który przedtem wykonywał z łatwością setki razy, teraz rozpadł się i trzeba było zacząć od nowa.

Nie daj mu się zastraszyć – mówił sobie.

To przecież idiotyczne. Bał się, drżał z przerażenia. Tomasz zdumiałby się słysząc, że Piotr zawsze obawiał się Flagga – po prostu umiał to lepiej ukryć.

Jeśli ma cię zabić, to niech sam to zrobi! Nie musisz go wyręczać!

Myśl ta pojawiła się w jego głowie... ale wydawało mu się, że została wypowiedziana głosem matki. Ręce Piotra uspokoiły się nieco, co pozwoliło mu wreszcie przywiązać linę do zakotwiczenia.

118

Będę woził twoją głowę na łąku siodła przez tysiąc lat! – zawołał Flagg. Piął się coraz wyżej po kręconych schodach. – Ależ to będzie piękne trofeum!

Dwudziesty stopień. Trzydziesty. Czterdziesty. Krzeszał obcasami iskry. Oczy mu lśniły. Jego uśmiech był jak trucizna.

– IDE, PIOTRZE! Siedemdziesiąty – jeszcze dwieście trzydzieści stopni.

Jeśli kiedykolwiek obudziliście się w środku nocy w obcym miejscu, to wiecie, że wystarczy znaleźć się samemu w ciemnościach, żeby się zdrowo najeść strachu; a teraz wyobraźcie sobie, że budzicie się w tajemnym przejściu z oczyma przy otworach, przez które widać pokój, gdzie – jak sami kiedyś widzieliście – zamordowano waszego ojca!

Tomasz krzyknął. Nikt go nie usłyszał (może poza psalm znajdującymi się poniżej, ale też w to wątpię, bo były na to zbyt stare i głuche, no i same robiły za dużo hałasu).

W Delainie istniał pewien przesąd dotyczący chodzenia we śnie, w który i u nas się wierzy. Sądzono mianowicie, że jeśli lunatyk obudzi się, zanim trafi do swego łóżka, grozi mu obłąd.

Tomasz prawdopodobnie znał ten pogląd. Jeśli tak, to mógł teraz poświadczyć, że nie ma w nim źdźbła prawdy. Bardzo się przestraszył, krzyknął, ale nie znalazł się nawet na krawędzi szaleństwa.

Prawdę mówiąc strach trwał krótko – krócej, niż myślicie – i Tomasz znów popatrzył przez otwory w ścianie. Może wam się to wydać dziwne, ale musicie pamiętać, że przed ową okropną nocą, gdy Flagg przyniósł królowi swój kielich wina po odejściu Piotra, Tomasz spędził niejedną miłą chwilę w ciemnym korytarzu. Przyjemność połączona była z poczuciem winy, ale mimo to chłopiec cieszył się, że znajduje się blisko ojca. Teraz, gdy znalazł się tutaj znowu, ogarnęła go nostalgia.

Zobaczył, że komnata prawie wcale się nie zmieniła. Wypchane głowy wciąż wisały na ścianach – łos Bonsey, ryś Craker, Snapper – wielki, biały niedźwiedź z północy. No i oczywiście smok Dziewięciak, przez którego oczy teraz patrzył, ze strzałą Młot na Wrogów umieszczoną powyżej.

Bonsey...

Craker...

Snapper...

Dziewięciak.

Pamiętam wszystkie imiona – pomyślał Tomasz z pewnym zdziwieniem. I nie zapomniałem o tobie, tato. Chciałbym, żebyś żył i żeby Piotr był wolny, nawet gdyby nikt na świecie nie wiedział, że istnieję. Przynajmniej mógłbym spać spokojnie.

Niektóre meble przykryto białymi pokrowcami, ale nie większość. Kominiek dawno już ostygł, leżał w nim jednak opał. Tomasz spostrzegł z rosnącym zaskoczeniem, że stary szlafrok ojca wisi na swoim miejscu, na haczyku koło drzwi do łazienki. Kominiek był zimny, ale jedna zapalka sprawiłaby, że wróciłby do życia, hucząc i rozsiewając ciepło; wystarczyłoby, żeby

w bawialni pojawił się ojciec i komnata ożyłyby.

Nagle Tomasz zdał sobie sprawę, że odczuwa coś niesamowitego – pragnienie, by pójść do komnaty ojca. Chciał zapalić ogień.

Miał ochotę nałożyć szlafrok Rolanda. Pragnął napić się jego miodu, nawet gdyby okazał się skwaśniały albo gorzki. Wydawało mu się... pomyślał, że może udałoby mu się tam zasnąć.

Na twarzy chłopca pojawił się blady, zmęczony uśmiech; decyzja została podjęta. Tomasz nie bał się ojcowskiego ducha. Miał raczej nadzieję, że się mu on ukaze. Gdyby tak się stało, miałby mu coś do powiedzenia. Przeprosiłby go.

120

IDE, PIOTRZE! – zawył Flagg szczerząc zęby. Pachniał posoką i śmiercią; w oczach płonął mu morderczy ogień. Topór katowski świstał i smagał powietrze, ostatnie krople krwi rozprysły się na ścianach.

– IDE! PRZYCHODZĘ PO TWOJĄ GŁOWĘ! Stopień za stopniem kręconych schodów, coraz wyżej, Flagg pędził niczym demon śmierci. Sto stopni. Sto dwadzieścia pięć.

121

Szybciej – sapnął Ben do Dennisa i Naomi. Temperatura zaczęła spadać, ale cała trójka była złana potem. Częściowo stanowiło to rezultat wysiłku wszyscy ciężko pracowali. Ale w większości powodem był strach. Słyszeli krzyki Flagga. Wzbudziły one lęk nawet w męznym sercu Frisky. Cofnęła się odrobinę, skuliła i zaskomlała.

122

IDE, SZCZENIAKU!

Jest już blisko – głos brzmiał wyraźniej, bez echa.

– IDE NAPRAWIĆ ZANIEDBANIA!

Podwójne ostrze świstało i cięło powietrze.

123

Tym razem węzeł trzymał się.

Bogowie, dopomóżcie – pomyślał Piotr i jeszcze raz spojrzął za siebie w stronę coraz głośniejszego brzmiącego Flagga. Pomóżcie, bogowie!

Przerzucił jedną nogę przez okno. Siedział teraz okrakiem na parapecie jak w siodle Peonii, opierając jedną stopę na podłodze, a drugą zwieszając nad otchłanią. Na kolanach trzymał zwój liny i żelazny pręt. Wyrzucił linę i przyglądał się, jak opada. W połowie splątała się i musiał nią szarpać jak rybak wędką, zanim się nie wyprostowała.

Potem odmówił ostatnią modlitwę, chwycił pręt i zablokował go w poprzek okna. Lina umocowana była pośrodku. Piotr przełożył drugą nogę na zewnątrz, z całej siły trzymając się pręta. Teraz na parapecie miał już tylko siedzenie. Odwrócił się przyciskając brzuch do lodowatej krawędzi parapetu. Pod nogami otwierała mu się przepaść. Pręt pewnie siedział w futrynie okna.

Piotr lewą ręką puścił pręt i chwycił swą cienką linę. Zatrzymał się na moment, opanowując strach.

Zamknął oczy i zwolnił uchwyt prawej dłoni. Całym ciężarem wisiał teraz na linie. Nie było odwrotu. Na dobre i złe, życie jego zależało teraz od plecionki z włókien wyprutych z serwetek. Piotr zaczął, powoli zsuwać się na dół.

124

IDE...

Dwieście.

– PO TWOJĄ GŁOWĘ...

Dwieście pięćdziesiąt.

– DROGI KSIAŻĘ!

Dwieście siedemdziesiąt pięć.

125

Ben, Dennis i Naomi widzieli Piotra ciemną sylwetkę na tle zakrzywionej ściany Iglicy wysoko nad głowami – wyżej, niż odważyłby się pójść najśmielszy z akrobatów.

– Szybciej – sapnął, prawie jęknął Ben.

– Walczymy o życie. Nasze... i jego.

Zaczęli opróżniać wózek jeszcze żwawiej... ale prawdę mówiąc w zasadzie zrobili już, co mogli.

126

Flagg gnał po schodach, kaptur spadł mu z głowy, pęd rozwiewał jego rzadkie, ciemne włosy. Już prawie był na miejscu.

127

Wiatr osłabł, ale stał się bardzo zimny. Owiewał policzki Piotra i jego gołe ręce, pozbawiając je czucia. Chłopiec zsuwał się powoli, poruszając się z dużą ostrożnością. Wiedział, że jeśli straci kontrolę nad szybkością, spadnie. Przed nim pojawiały się coraz to nowe wielkie bloki kamienne – wkrótce zaczęło mu się wydawać, że pozostaje bez ruchu, a przesuwa się sama Iglica. Oddychał szybko. Zimny, suchy śnieg bił go po twarzy. Lina była cienka – jeśli ręce mu jeszcze bardziej zdrtwieją, nie będzie jej czuł.

Jak daleko już zszedł?

Nie miał odwagi popatrzeć w dół.

Nad nim pojedyncze nitki, uczenie splecione w sposób, w jaki kobiety tkają chodniki, zaczęły pękać. Piotr o tym nie wiedział, i tak chyba było lepiej. Osiągnął już prawie napięcie graniczne.

128

Szybciej, królu Piotrze! – szepnął Dennis. Trójka przyjaciół skończyła już opróżnianie wózka; teraz mogli tylko patrzeć. Piotr znajdował się mniej więcej w połowie drogi.

– Jest tak wysoko – jęknęła Naomi. – Jeśli spadnie...

– Jeśli spadnie, to się zabije – powiedział Ben bezdźwięcznym tonem, który zamknął im usta.

129

Flagg znalazł się na szczycie schodów i dysząc ciężko popędził korytarzem. Pot wystąpił mu

na twarz. Usta wykrzywił mu straszliwy uśmiech.

Odłożył wielki topór i odsunął pierwszą z trzech zasuw na drzwiach do komnat Piotra. Otworzył drugą... i przerwał. Głupio było tak po prostu wpaść do środka, o, bardzo głupio. Ptaszek w klatce może próbuje w tej chwili uciec, a może stoi przy drzwiach gotów rozwalić Flaggowi głowę, gdy ten znajdzie się w środku.

Otworzył judasz i zobaczył pręt z łóżka umieszczony w oknie. Natychmiast zrozumiał wszystko i wydał ryk wściekłości.

– Nie tak łatwo, moja ptaszyno! – zawył. – Zobaczymy, czy ci się będzie dobrze latać, jak odetnę linę!

Szarpnięciem otworzył trzecią zasuwę i wpadł do pokoju Piotra z toporem nad głową. Jeden szybki rzut oka na okno wywołał ponownie uśmiech na jego twarzy. Czarnoksiężnik zdecydował, że jednak nie przetnie liny.

130

Piotr zsuwał się coraz niżej. Mięśnie ramion drżały mu z wyczerpania. W ustach czuł suchość; nie pamiętał, żeby kiedykolwiek doznał takiego pragnienia. Wydawało mu się, że wisi na tej linie strasznie długo i serce wypełniła mu niemiła pewność, że już nigdy więcej nie będzie pił. Przeznaczone mu było zginąć, ale nie to okazało się najgorsze. Miał umrzeć spragniony. W tej chwili właśnie to wydawało mu się nie do przyjęcia.

Wciąż nie miał odwagi popatrzeć w dół, ale odczuwał niesamowity przymus – równie nieodparty jak siła, która skłoniła jego brata do pójścia do bawialni ojca, – żeby spojrzeć w górę. Usłuchał jej – i około dwustu stóp wyżej zobaczył bladą twarz Flagga wykrzywioną w morderczym grymasie.

– Cześć, ptaszyno! – zawołał czarnoksiężnik. – Mam topór, ale chyba nie okaże się potrzebny. Odłożyłem go, widzisz. – Flagg wysunął puste ręce.

Piotr poczuł, jak traci siłę w dłoniach i ramionach – wystarczył sam widok nienawistnej twarzy maga. Skupił się na tym, żeby nie wypuścić liny. Przestał ją czuć – ale wiedział, że nadal ją trzyma, bo widział, że wydobywa się z jego zaciśniętych dłoni. Dyszał ciężko.

Teraz popatrzył na dół... i zobaczył trzy białe krążki uniesionych w górę twarzy. Były one bardzo, bardzo małe – nie znajdował się dwadzieścia stóp nad przemrożonym brukiem ani nawet czterdzieści; od ziemi dzieliło go jeszcze sto stóp, co odpowiada wysokości trzeciego piętra naszych budynków.

Chciał się poruszyć, ale stwierdził, że nie może – jeśli nawet drgnie, spadnie. Tak więc wisiał bez ruchu obok ściany wieży. Zimny, drobny śnieg bił go po twarzy, a na górze, w celi

więziennej, Flagg zaczął się śmiać.

131

Dlaczego on się nie rusza?! – zawołała Naomi chwytając Bena za ramię dłonią we włóczkowej rękawicze. Wpatrywała się w wolno obracającą się postać Piotra. Sposób, w jaki zwieszała się ona na linie, nieodparcie przywodził na myśl człowieka powieszzonego.

– Co się z nim stało?!

– Nie...

Nad nimi jadowity śmiech Flagga nagle umilkł.

– Kto tam? zawołał czarnoksiężnik. Jego głos brzmiał niczym grom, zwiastun śmierci. –
Odpowiadać, jeśli chcecie zachować głowy! Kto tam?

Frisky zaskomliła i przytuliła się do nóg Naomi.

– Bogowie, już po nas – powiedział Dennis. – Co robić, Ben?

– Czekać – rzekł poważnie Ben. – A jeśli zejdzie na dół – walczyć. Na razie poczekamy, co się dalej stanie. Musimy...

Ale na tym skończyło się ich oczekiwanie, bo w następnych sekundach wiele – nie wszystkie, ale bardzo dużo spraw zostało rozwiązanych.

132

Flagg spostrzegł cienkość liny Piotra i jej białość – i w mig zrozumiał wszystko, od początku do końca – również rolę serwetek i domu lalek. Środki ucieczki znajdowały się cały czas tuż pod jego nosem i niewiele brakowało, żeby ich nie dostrzegł. Ale... zobaczył coś jeszcze. Końce pękających w napiętej linie włókien na wysokości mniej więcej piętnastu stóp.

Czarnoksiężnik mógł z łatwością przesunąć pręt, na którym opierał dłoń, i w ten sposób wysłać Piotra w przepaść, tak że może nawet jego zakotwiczenie uderzyłoby go jeszcze w głowę, gdy już znalazłby się na ziemi. Mógł uderzyć toporem i przeciąć cienką linę.

Ale wołał, żeby sprawy poszły własnym tokiem i w chwilę potem, gdy pytał „kto tam”, stało się to, co było nieuniknione.

Lina osiągnęła kres swojej wytrzymałości. Pękła niczym zbyt napięta struna w lutni.

– Żegnaj, ptaszyno! – zawołał Flagg wychylając się, żeby lepiej widzieć, jak Piotr spada. Śmiał się. – Żeg...

Nagle zamilkł, a oczy zaokrągliły mu się jak wtedy, gdy patrzył w kryształ i zobaczył

małą postać zsuwającą się wzdłuż ściany Iglicy. Otworzył usta i wydał wściekły wrzask. Okrzyk ten obudził w Delainie więcej ludzi niż upadek Wieży.

133

Piotr usłyszał i wyczuł, że lina pękła. Twarz owiał mu lodowaty wiatr. Chłopiec próbował przygotować się do upadku, wiedząc, że to kwestia mniej niż sekundy. Jeśli nie zginie natychmiast, ból będzie nie do zniesienia.

I właśnie wtedy wylądował na wielkiej zaspie królewskich serwetek, które Frisky przywiozła z zamku na środek placu w ukradzionym wozie – serwetek wylądowanych w pośpiechu przez Bena, Dennisa i Naomi. Rozmiar tego stosu – który przypominał wielki, biały stóg siana – nie jest dokładnie znany, bo Ben, Dennis i Naomi podawali różne na ten temat informacje. Może to, co twierdził Piotr, jest najdokładniejsze, bo to w końcu on na nim wylądował – a uważał, że ten nieporządny, cudowny, zbawczy stos serwetek musiał mieć co najmniej dwadzieścia stóp wysokości i, o ile wiem, Piotr chyba się wiele nie pomylił.

134

Jak powiedziałem, upadł prosto na środek stosu serwetek, robiąc w nim zagłębienie. A potem przewrócił się na plecy i leżał nieruchomo. Ben usłyszał, jak w górze Flagg wyje ze złości, i pomyślał: Nie wysilaj się, czarnoksiężniku, i tak ci się udało. On nie żyje, mimo że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy.

A potem Piotr usiadł. Wyglądał na oszołomionego, ale niewątpliwie żył. Mimo obecności Flagga i tego, że w ich stronę mogli już biec strażnicy, Ben krzyknął z radości. Był to okrzyk zwycięstwa. Ben chwycił Naomi i pocałował ją.

– Hura! – zawołał Dennis śmiejąc się jak szalony. – Niech żyje król!

Wysoko w górze znów rozległ się wrzask Flagga – wołanie ptaka-demonia pozbawionego swej ofiary. Okrzyki radości, wiwaty i wymiana pocałunków urwały się, jak nożem uciął.

– Zapłacicie za to głową! – ryknął Flagg. Szalał z wściekłości. – Zapłacicie głową, wszyscy! Straż, do Iglicy! Do Iglicy! Królobójca uciekł! Do Iglicy! Zabić mordercę! Zabić jego bandę! Zabić ich wszystkich!

W oknach zabudowań zamkowych otaczających z czterech stron plac Iglicy zaczęły się zapalać światła... a z dwu kierunków dobiegł tupot biegnących nóg i szczęk dobywanych mieczy.

– Zabić księcia! – wołał histerycznie Flagg ze szczytu Iglicy. – Zgładzić jego bandę! ZABIĆ

ICH WSZYSTKICH!

Piotr usiłował wstać, lecz potknął się i z powrotem upadł. Jakiś głos nalegał, że musi podnieść się na nogi, uciekać, bo zginie... ale drugi głos podszeptował mu, że przecież już nie żyje albo jest poważnie ranny i wszystko jest złudzeniem rojonym przez gasnący umysł. Wydawało mu się, że wylądował na łożu z tych samych serwetek, wokół których krążyły jego myśli przez ostatnie pięć lat... więc czymże to mogło być jak nie snem?

Poczuł uchwyt silnego ramienia Bena i zrozumiał, że wszystko to dzieje się w rzeczywistości.

– Piotrze, żyjesz? Naprawdę żyjesz?

– Nic mi się nawet nie stało – powiedział Piotr. – Musimy stąd uciekać.

– Królu! – zawołał Dennis padając na kolana przed zaskoczonym Piotrem z nieco głupawą miną. – Przysięgam ci wierność na zawsze!

– Potem! – krzyknął Piotr, śmiejąc się wbrew samemu sobie. Tak jak przedtem Ben pomógł mu wstać, tak teraz on podciągnął Dennisa na nogi. – Uciekajmy stąd!

– Którędy? – zapytał Ben. Domyślał się – tak sarno jak Piotr – że Flagg zaczął już schodzić na dół.

– Z tego, co słyszę, zbliżają się ze wszystkich stron. Prawdę mówiąc Ben był zdania, że to wszystko jedno, bo i tak czeka ich nierówna walka i śmierć. Ale mimo oszołomienia Piotr wiedział doskonale, gdzie chce się znaleźć.

– Do Bramy Zachodniej – powiedział. – Szybko! Biegiem!

Cała czwórka ruszyła pędem, a za nimi Frisky.

135

Mniej więcej o pięćdziesiąt jardów od Bramy Zachodniej Piotr i jego towarzysze natknęli się na grupę siedmiu zaspanych, zdezorientowanych strażników. Większość z nich schroniła się przed burzą w jednej z ciepłych Dolnych Kuchni zanikowych, popijając miód i powtarzając, że oto dzieje się coś, o czym będą opowiadać wnukom. Nie wiedzieli, że na razie znają dopiero połowę opowieści. „Przewodził” im chłopak dwudziestoletni w stopniu Jastrzębia... który mniej więcej odpowiada naszemu kapralowi. Trzeba mu przyznać, że nie pił i był w miarę przytomny. Co więcej, pragnął wykonać swój obowiązek.

– Stać, w imieniu króla! – zawołał, gdy Piotr z przyjaciółmi zbliżyli się do jego nieco większej grupki. Chciał, żeby jego rozkaz zabrzmiał jak grom, ale moim obowiązkiem jest relacjonować prawdę, więc muszę powiedzieć, że głos Jastrzębia przypominał raczej kwiknięcie.

Piotr oczywiście nie miał broni, ale Ben i Naomi mieli krótkie miecze, a Dennis swój

zardzewiały sztylet. Cała trójka stanęła przed Piotrem, zasłaniając go. Ręce Bena i Naomi powędrowały do rękojeści mieczy. Dennis zdążył już wyciągnąć swoją broń.

– Stać! – zawołał Piotr i jego głos zabrzmiał rzeczywiście niczym huk gromu. – Nie dobywać mieczy!

Zaskoczony, nawet zdumiony Ben rzucił okiem na Piotra.

Wystąpił on naprzód. Stał wyprostowany, w jego oczach odbijał się blask księżyca, a lekki, chłodny wiatr muskał mu długą brodę. Miał na sobie prosty strój więźnia, ale na jego twarzy malował się władczy wyraz.

– Mówisz: stać w imię króla – powiedział. Spokojnie zbliżał się do przerażonego Jastrzębia, aż odległość pomiędzy nimi wyniosła mniej niż sześć cali. Strażnik cofnął się, chociaż trzymał w dłoni miecz, a ręce Piotra były puste. – Ja zaś wam powiadam, Jastrzębiu: to ja jestem królem.

Strażnik oblizwał wargi. Obejrzał się na swoich ludzi.

– Ale... – zaczął. – Ty...

– Jak się nazywacie? – zapytał cicho Piotr.

– Panie... to znaczy... więźniu... ty... ja... – jąkał się młody żołnierz, aż wreszcie powiedział bezradnie: – Nazywam się Galen.

– A wiesz, kim ja jestem?

– Tak – warknął jeden ze strażników.

– Znamy cię, morderco.

– Nie zabiłem ojca – rzekł spokojnie Piotr. – Zrobił to królewski czarnoksiężnik. Teraz ściga nas, a ja wam radzę – bardzo poważnie – trzymać się od niego z daleka. Wkrótce przestanie dręczyć Delain; obiecuję wam to w imieniu ojca. A teraz pozwólcie mi przejść.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Galen podniósł miecz, jakby chciał nim przeszyć Piotra. Ten zaś ani drgnął. Był winien bogom swoją śmierć; dług ten miał wobec nich od chwili, gdy jako wrzeszczące niemowlę wyszedł z łona matki. Jest to dług, jaki ma każdy mężczyzna i każda kobieta na świecie. Jeśli przyszło mu go teraz zapłacić, niech tak się stanie... ale był prawowitym królem, nie buntownikiem ani uzurpatorem i nie ucieknie ani nie cofnie się pozwalając swym przyjaciółom walczyć z tym młodym chłopcem.

Miecz zadrżał. Potem Galen opuścił go dotykając czubkiem bruku.

– Przepuście ich – mruknął. – Może zamordował, a może nie – ale to królewskie łajno i nie chcę w nie wdepnąć, bo jeszcze w nim utonę.

– Miałeś mądrą matkę, Jastrzębiu – stwierdził ponuro Ben.

Tak, przepuście go – powiedział nieoczekiwanie inny głos. – Na bogów, nie zamierzę się na takiego – jeszcze mi odpadnie ręka.

– Zapamiętam was – rzekł Piotr. Zwrócił się do przyjaciół. – Za mną – rzekł. – Szybko. Wiem, czego mi potrzeba i gdzie to znaleźć.

W tej chwili Flagg wypadł przez wrota Iglicy wydając taki ryk wściekłości, że młodzi strażnicy stracili resztki ducha. Cofnęli się i ruszyli biegiem rozpierzchając się na wszystkie cztery strony świata.

– Chodźcie – rzekł Piotr. – Za mną. Do Bramy Zachodniej!

136

Flagg biegł tak szybko jak nigdy w życiu. Wyczuwał nadchodzący upadek jego planów, który miał nastąpić dosłownie w ostatniej chwili. Nie może do tego dopuścić! Wiedział też, podobnie jak Piotr, gdzie to wszystko musi się zakończyć.

Minął drżących ze strachu strażników nie poświęcając im chwili uwagi. Odetchnęli z ulgą myśląc, że ich nie spostrzegł... ale pomylili się. Zobaczył ich wszystkich i zapamiętał każdego; po śmierci Piotra głowy ich zdobić będą zamkowe mury przez rok i dzień, pomyślał. A smarkacz odpowiedzialny za patrol – ten najpierw umrze tysiąc razy w lochach.

Przebiegł pod Bramą Zachodnią i skierował się Głównym Zachodnim Pasażem do zamku. Zaspani ludzie, którzy wybiegli w nocnych strojach zobaczyć, co to za zamieszanie, kulili się na widok jego płonącego oblicza i usuwali się na bok, krzyżując palce, aby odstraszyć zło... bo teraz Flagg wyglądał prawdziwie – jak sam diabeł. Przeskoczył przez poręcz przy pierwszych napotkanych schodach pewnie lądując na równe nogi (stał, którą miał podkute buty, załśniła zielonkawo niczym oczy rysia) i popędził na górę.

W kierunku apartamentów Rolanda.

137

Medalion – sapnął w biegu Piotr do Dennisa. – Masz jeszcze medalion, który ci rzuciłem?

Dennis pomacał się po szyi, znalazł złote serduszko – z zaschniętą krwią Piotra na czubku – i skinał głową.

– Daj mi.

Dennis podał mu go w biegu. Piotr nie zakładał medalionu na szyję, tylko owinął sobie jego łańcuszek wokół przegubu tak, że serduszko podskakiwało w rytm kroków rzucając krwistozłote błyski w świetle pochodni na ścianach.

– Już niedługo, przyjaciele – wydyszał Piotr. Skręcili. Piotr zobaczył przed sobą drzwi do komnat ojca. Tu właśnie ostatni raz widział Rolanda. Był on królem odpowiedzialnym za życie i dobrobyt tysięcy; ale też i starszym panem wdzięcznym za szklaneczkę wina na rozgrzewkę

i kwadrans rozmowy z synem. Tu właśnie wszystko się skończy.

Pewnego razu jego ojciec zabił smoka strzałą zwaną Młot na Wrogów.

Teraz – pomyślał Piotr; pulsowało mu w skroniach, a serce biło jak oszalone – muszę spróbować zgładzić innego potwora, o wiele potężniejszego, za pomocą tej samej broni.

138

Tomasz zapalił ogień, nałożył szlafrok ojca i przysunął fotel Rolanda do kominka. Czuł, że zaraz zaśnie głęboko i był z tego bardzo zadowolony. Ale gdy już siedział, kiwając się sennie, patrząc na zawieszane na ścianach trofea niesamowicie połyskujące szklanymi oczyma, wydawało mu się, że pragnie jeszcze dwu rzeczy – przedmiotów nieomal świętych, których nie ośmieliłby się dotknąć za życia ojca. Ale Roland zmarł, więc Tomasz wziął sobie krzesło, stanął na nim i zdjął łuk ojca i jego wielką strzałę, Młot na Wrogów, ze ściany nad głową Dziewięciaka. Przez chwilę patrzył w jedno z zielonkawobursztynowych oczu smoka. Kiedyś wiele przez nie zobaczył, a teraz, zaglądając w nie dostrzegł tylko swoją własną bladą twarz, przypominającą oblicze więźnia wyglądającego zza krat celi.

Chociaż w pokoju panowało zimno (ogień ogrzeje go trochę, ale głównie w okolicy kominka, i to za jakiś czas), wydawało mu się, że strzała jest dziwnie ciepła. Przypomniał sobie niejasno usłyszaną w dzieciństwie starą legendę, według której broń użyta do zgładzenia smoka nigdy nie traciła jego gorąca. Wygląda, że to prawda – pomyślał sennie Tomasz. Ciepło strzały nie budziło w nim lęku, przeciwnie, czuł się dziwnie bezpiecznie. Chłopiec usiadł trzymając niedbale łuk w jednym ręku, a Młot na Wrogów emanujący swym dziwnym, usypiającym ciepłem w drugim, nie zdając sobie sprawy, że jego brat właśnie szukał tej oto broni, a Flagg – sprawca narodzin i główny strażnik Tomasza – znajdował się tuż za nim.

139

Tomasz nie zastanawiał się, co by było, gdyby zastał drzwi do ojcowskich komnat zamknięte na klucz, a i Piotrowi nie przyszło to do głowy – w dawnych czasach nigdy tego nie robiono i jak się okazało, nie zmieniło się to do dziś.

Wystarczyło, że Piotr nacisnął klamkę. Wpadł do środka, a pozostali za nim. Frisky cała zjeżona ujadła wściekle. Rozumiała ona prawdziwą naturę rzeczy lepiej niż ludzie, zapewniam was. Coś się zbliżało, coś o czarnym zapachu przypominającym trujące opary, które czasami zabijają górników we Wschodniej Baronii, jeśli zapuszczą się zbyt głęboko. Frisky zmuszona

przez okoliczności była gotowa walczyć z właścicielem owej woni; walczyć, a nawet zginać. Ale gdyby potrafiła mówić, powiedziałyby im, że zbliżający się czarny zapach nie należał do człowieka; gonił ich potwór, jakieś przerażające Coś.

– Piotrze, co... – zaczął Ben, ale Piotr nie zwrócił na niego uwagi. Wiedział, czego potrzebuje. Przebiegał przez komnatę na drżących ze zmęczenia nogach, spoznał na głowę Dziewięciaka i sięgnął po łuk i strzałę, które zawsze nad nią wisiły. Dłoń jego zatrzymała się w pół drogi.

Obydwa przedmioty znikły.

Dennis, który wszedł jako ostatni, zamknął za sobą i zaryglował drzwi. Teraz padło na nie pojedyncze uderzenie. Solidne płyty z twardego, grabowego drewna, wzmocnione żelaznymi sztabami, jęknęły.

Piotr obejrzał się przez ramię szeroko otwierając oczy. Dennis i Naomi cofnęły się. Frisky stanęła przed swoją panią warcząc głucho. Dookoła jej szarozielonych tęczęwek widać było białka.

– Przepuścić mnie! – ryknął Flagg. – Przepuścić mnie przez te drzwi!

– Piotrze! – krzyknął Ben i dobył miecza.

– Odsuń się! – zawołał w odpowiedzi Piotr. – Jeśli chcesz żyć, cofnij się! Cofnąć się wszyscy!

Rozpierzchli się, a w tej samej chwili pięść Flagga świecąca teraz błękitnym płomieniem znowu uderzyła w drzwi. Zawiasy, rygiel i metalowe taśmy pękły równocześnie z hukiem jak wystrzał armatni. Błękitny blask przebił się przez szpary między deskami. Potem grube deski rozpadły się. Potraskane kawałki drewna rozprysły się na wszystkie strony. Szczątki drzwi stały jeszcze przez chwilę, a potem z trzaskiem wpadły do środka.

Flagg stał na korytarzu. Kapture spadł mu z głowy. Twarz jego pokrywała śmiertelna bladość. Wargi przypominające paski surowego mięsa odsłaniały białe zęby. W oczach lśnił blask ogni piekielnych.

W dłoni trzymał swój ciężki topór kata.

Stał tak jeszcze przez chwilę, a potem wszedł do środka. Popatrzył na lewo i zobaczył Dennisa. Spojrzał w prawo i dostrzegł Bena i Naomi z warczącą Frisky skuloną u jej nóg. Zauważył ich... zarejestrował dla dalszych potrzeb... i przestał o nich myśleć. Przeszedł przez szczątki drzwi patrząc już tylko na Piotra.

– Spadłeś, ale nie zginałeś – powiedział. – Może ci się wydaje, że twój Bóg okazał się dla ciebie łaskawy. Ale ja ci mówię, że to moi bogowie zachowali ciebie dla mnie. Módl się, żeby pękło ci teraz serce. Padnij na kolana i błagaj o to, bo ja ci powiadam, iż śmierć ode mnie okaże się dla ciebie straszliwsza, niż to sobie możesz wyobrazić.

Piotr stał w poprzednim miejscu, między Flaggiem a fotelem ojca, na którym siedział

Tomasz, nie zauważony jeszcze przez nikogo. Piotr odpowiedział na diabelskie spojrzenie Flagga bez strachu. Przez chwilę wydawało się, że czarnoksiężnik ugnie się pod spokojnym wzrokiem chłopca, ale potem nieludzki uśmiech pojawił się znowu na jego ustach.

– Ty i twoi przyjaciele narobiliście mi sporo kłopotów, książę – wysyczał Flagg. – Mnóstwo kłopotów. Powinienem być zakończyć twój nędzny żywot dawno temu. Teraz położę kres wszelkim problemom.

– Wiem, kim jesteś – odparł Piotr. Chociaż bezbronny, mówił spokojnie i bez lęku. – Myślę, że ojciec też to wiedział, tylko był słaby. Teraz ja jestem królem i rozkazuję ci!

Piotr wyprostował się na całą swoją wysokość. Ogień na kominku odbił się w jego oczach sprawiając, że zaśniły one płomieniem. W tej chwili wyglądał on w każdym calu na króla Delainu.

– Precz stąd. Wynoś się z Delainu na zawsze. Jesteś wygnany. PRECZ!

Ostatnie słowo Piotr wypowiedział potężniej, tak jakby towarzyszyły mu inne głosy – należały one do wszystkich królów i królowych, jacy kiedykolwiek panowali w Delainie od czasów, gdy zamiast zamku stały tylko gliniane chaty, a przerażeni ludzie gromadzili się przy ogniskach podczas ciemnych zimowych nocy, gdy wyły wilki, a trolle wrzeszczały i obżerały się w Dawnych Wielkich Puszczech.

Flagg jakby drgnął... a nawet się skulił. Potem ruszył do przodu bardzo, bardzo powoli. Trzymał swój wielki topór w lewej ręce.

– Rozkazywać będziesz na tamtym świecie – szepnął. – Twoja ucieczka tylko ułatwi mi sytuację. Sam mógłbym o tym pomyśleć – i pewnie w końcu przyszedłoby mi to do głowy – żeby ci w niej dopomóc! Twoja głowa potoczy się do ognia i poczujesz, jak płoną ci włosy, zanim zrozumiesz, że już nie żyjesz. Będziesz gorzał tak jak Roland... a mnie dadzą za to medal na placu Iglicy! Czyż w końcu nie zamordowałeś własnego ojca dla korony?

To ty go zabiłeś – powiedział Piotr. Flagg zaśmiał się.

– Ja? Ja? Zwariowałeś w tej Iglicy, mój chłopcze. – Flagg uspokoił się. Oczy mu zaśniły. – Ale przypuśćmy – tylko na chwilę – że tak, to co? Kto w to uwierzy?

Piotr wciąż miał łańcuszek z medalionem owinięty dookoła przegubu. Teraz wysunął rękę i podniósł go, a medalion zaczął się kołysać hipnotyzujące, rzucając na ścianę krwawe błyski. Na jego widok oczy Flagga rozszerzyły się, a Piotr pomyślał: Poznaje! Na wszystkich bogów, on go poznaje!

– Zabiłeś mojego ojca używając sposobu, jaki zastosowałeś już kiedyś w przeszłości. Zapomniałeś, co? Widzę to po twoich oczach. Gdy Leven Valera stanął na twojej drodze za złych czasów Alana II, jego żona została otruta. Okoliczności wydawały się wskazywać ponad wszelką wątpliwość na Valerę... tak jak i moja wina sprawiała wrażenie bezspornej.

– Gdzie to znalazłeś, smarkaczu? – szepnął Flagg, a Naomi wydała jęk.

– O tak, zapomniałeś już – powtórzył Piotr. – Myślę, że prędzej czy później istoty takie jak ty zaczynają się powtarzać, bo znają tylko kilka prostych sztuczek. Po jakimś czasie zawsze znajdzie się ktoś, kto je przejrzy. I to chyba jest naszym jedynym ratunkiem.

Medalion kołysał się w blasku ognia.

– Kto się tym przejmuje? Kto uwierzy? Niejeden. Gdyby nawet mieli wątpliwości co do całej reszty, uwierzą, że jesteś tak stary, jak podpowiada im serce, potworze.

– Daj mi to!

– Zabiłeś Eleanor Valerę i zabiłeś mojego ojca.

– Tak, przyniosłem mu wino – powiedział Flagg ciskając wzrokiem pioruny – i śmiałem się, gdy płonęły mu wnętrzności, a jeszcze bardziej, kiedy prowadzono cię na szczyt Iglicy. Ale ci, którzy usłyszeli, że się do tego przyznaję, wkrótce stracą życie, a nie ma świadka na to, jak niosłem wino do jego komnat! Widzieli tylko ciebie!

A wtedy zza pleców Piotra odezwał się nowy głos. Nie był on silny; wręcz przeciwnie – ledwo go się dało usłyszeć, no i drżał. Ale na jego dźwięk wszyscy – w tym Flagg – oniemieli ze zdziwienia.

– Ktoś jeszcze cię zobaczył – powiedział brat Piotra, Tomasz, z ukrytego w cieniach ojcowskiego fotela. – Ja cię widziałem, czarnoksiężniku.

140

Piotr odsunął się na bok i zrobił w tył zwrot, wciąż trzymając medalion w wyciągniętej dłoni.

Tomasz! – chciał powiedzieć, ale nie zdołał, tak zaskoczyły go zmiany, jakie zaszły w bracie. Utył i jakby postarzał się. Zawsze bardziej przypominał Rolanda niż Piotr, ale teraz podobieństwo stało się wręcz niesamowite.

Tomasz! – spróbował jeszcze raz i nagle zobaczył, dlaczego łuk i strzała nie znajdowały się na swoim miejscu nad głową Dziewięciaka. Łuk leżał na kolanach Tomasza, a strzała nasadzona była na cięciwę.

Wtedy właśnie Flagg krzyknął i rzucił się naprzód z uniesionym nad głową katowskim toporem.

141

Nie był to okrzyk wściekłości, lecz przerażenia. Strach ściągnął bladą twarz Flagga i zjeżył

...i nagle zniknął.

Piotr szeroko otworzył oczy. Ben Staad krzyknął. Przez chwilę ubranie czarnoksiężnika zachowało jego kształt; na sekundę strzała z przedziurawionym serduszkiem na grocie zawisła w powietrzu. Potem szaty zapadły się, a Młot na Wrogów z łoskotem upadł na podłogę. Z czubka jego stalowego grotu unosił się dym. Podobne zjawisko miało miejsce, gdy wiele lat temu Roland wyciągnął go z gardła smoka. Serduszko przez moment lśniło matową czerwienią, a jego kształt na zawsze odbił się na kamieniach, gdzie upadło po zniknięciu czarodzieja.

Piotr zwrócił się do brata.

Niezwykłe opanowanie Tomasza załamało się. Nie przypominał już teraz Rolanda; wyglądał jak przestraszony i okropnie zmęczony mały chłopiec.

– Przepraszam, Piotrze – powiedział i zaczął płakać. – Nawet nie wiesz, jak mi przykro. Pewnie mnie teraz zabijesz, a ja wiem, że na to zasługuję – ale zanim to zrobisz, chcę ci powiedzieć jedno. Zapłaciłem za wszystko. O tak. Płaciłem, płaciłem, płaciłem. A teraz zabij mnie, jeśli tak ci się podoba.

Tomasz odrzucił w tył głowę i zamknął oczy. Piotr podszedł do niego. Pozostali wstrzymali oddech patrząc z napięciem.

Piotr delikatnie podniósł brata z ojcowskiego fotela i chwycił w objęcia.

Trzymał go tak, aż minęła pierwsza burza łez, po czym powiedział mu, że jest jego najukochańszym bratem na zawsze; a potem płakali obaj siedząc pod wypchaną głową smoka, u stóp mając ojcowski łuk, aż w pewnym momencie pozostali wyślizgnęli się z komnaty zostawiając ich samych.

142

Czy żyli potem długo i szczęśliwie?

Nie. Nikomu to się nie zdarza, bez względu na to, co mówią baśnie. Trafiały się dobre dni, tak jak i wam, no i złe, o których także sami coś niecoś wiecie. Odnosili zwycięstwa i ponosili klęski, co wam też nie jest obce. Czasami wstydzili się za siebie, wiedząc, że nie stanęli na wysokości zadania, a niekiedy mieli świadomość, że sprostali wymaganiom swego Boga. Ogólnie mówiąc żyli tak, jak potrafili, wszyscy razem i każdy z osobna; jedni dłużej, a drudzy krócej, ale zawsze odważnie i uczciwie, za co ich kocham i wcale się tego nie wstydzę.

Tomasz i Piotr poszli razem do nowego Sędziego Najwyższego Delainu, a Piotra ponownie zamknięto w areszcie. Jego druga wizyta w więzieniu okazała się o wiele krótsza niż pierwsza – trwała tylko dwie godziny. Tomasz potrzebował piętnastu minut na opowiedzenie swojej historii, a sędzia najwyższy, mianowany za aprobatą Flagga, mały, zastraszonego człowieczek, zużył

pozostałą godzinę i trzy kwadransy na sprawdzenie, czy straszliwy czarnoksiężnik rzeczywiście zniknął.

Zarzuty zostały obalone w całości.

Wieczorem wszyscy Piotr, Tomasz, Ben, Naomi, Dennis, a nawet Frisky – spotkali się w dawnych komnatach Piotra. Poczęstował on wszystkich winem, a pies też dostał trochę na spodku. Tylko Tomasz wołał nie pić alkoholu.

Piotr chciał, żeby brat został z nim, ale Tomasz się uparł – moim zdaniem słusznie – że gdyby został, ludzie rozdarliby go na strzępy za to, do czego dopuścił.

– Byłeś tylko dzieckiem – powiedział Piotr – a ten potwór cię terroryzował.

Tomasz odparł ze smutnym uśmiechem:

– To po części prawda, ale ludzie o tym nie będą pamiętać, Piotrze. Nie zapomną Tomka Dawcy Podatków i znajdą mnie wszędzie. Przeszukają każdy kąt. Flagg zniknął, ale ja jestem na miejscu. Moja głowa to być może przedmiot mało ważny, ale mimo to bardzo pragnąłbym ją zachować jeszcze przez jakiś czas. – Zastanowił się przez chwilę i mówił dalej: – Będzie dla mnie najlepiej, jeśli odejdę. Zazdrość i nienawiść są jak malaria. Teraz mi przeszły, ale kto wie, czy po kilku latach twoich rządów nie nastąpi nawrót. Widzisz, już siebie co nieco poznałem. Muszę odejść, Piotrze, i to dziś wieczorem. Im prędzej, tym lepiej.

– Ale... dokąd pójdziesz?

– Na poszukiwania – odparł Tomasz. – Skieruję się chyba na południe... Mam wiele rzeczy na sumieniu, sporo spraw, za które powinienem odpokutować.

– Czego chcesz szukać? – zapytał Ben.

– Flagg – odrzekł Tomasz. – On gdzieś tam się kryje. Na tym świecie albo drugim, ale jest. Wiem o tym, wiatr przynosi mi zapach jego trucizny. Udało mu się uciec w ostatniej chwili. Wy też go doskonale czujecie. Znajdę go i zabiję. Pomszczę naszego ojca i odkupię mój wielki grzech. Pójdę najpierw na południe, bo wyczuwam, że właśnie tam się ukrywa.

Piotr rzekł:

– A kto będzie ci towarzyszył? Ja nie mogę – za wiele jest tutaj do zrobienia. Ale nie pozwolę ci wyruszyć samemu! – Wyglądał na bardzo zmartwionego, a gdybyście widzieli mapę z owego okresu, zrozumielibyście dlaczego – w tamtych czasach na południu były same białe plamy.

Wzbudzając powszechne zdziwienie Dennis powiedział:

– Ja pójdę, królu.

Obaj bracia odwrócili się do niego z zaskoczeniem. Ben i Naomi zrobili to samo, a Frisky podniosła głowę znad swojego wina, które chleptała z entuzjazmem (zapach podobał jej się bardzo – miał kolor chłodnej, aksamitnej purpury; był prawie tak dobry, jak smak). Dennis oblał się rumieńcem, ale nie usiadł.

– Zawsze byłeś dla mnie dobrym panem, Tomaszu, i – za przeproszeniem Waszej Królewskiej Mości – coś mówi mi, że jesteś nim dla mnie nadal. A skoro to właśnie ja znalazłem tę mysz i wysłałem cię do Iglicy, królu...

– Phi! – zawołał Piotr. – To wszystko już zapomniane.

– Nie dla mnie – odparł z uporem Dennis. – Możesz powiedzieć, że też byłem młody i nie wiedziałem, co robię, ale ja też chcę odpokutować za moje błędy.

Spojrzał nieśmiało na Tomasza.

– Pójdę z tobą, panie Tomaszu, jeśli mnie ze sobą weźmiesz; przyłączam się do twoich poszukiwań.

Tomasz ze łzami w oczach odparł:

– Przyjmuję cię z radością, poczciwy Dennisie. Mam nadzieję, że gotujesz lepiej niż ja.

Wyruszyli jeszcze tego wieczora pod osłoną ciemności – dwie pieszne postacie z plecakami oddalające się w mrok. Obejrzeni się raz i pomachali rękoma.

Trójka pozostających odpowiedziała tym samym. Piotr płakał tak, jakby miało mu pęknąć serce; prawdę mówiąc był prawie pewien, że to nastąpi.

Już go nigdy nie zobaczę – pomyślał.

No cóż, widzieli się jeszcze, a może i nie; a myślę, że chyba jednak tak. Mogę wam tylko powiedzieć, że Ben i Naomi się pobrali, Piotr rządził długo i dobrze, a Tomasz i Dennis przeżyli wiele niesamowitych przygód i spotkali Flagga, któremu stawili czoło.

Ale teraz robi się już późno, a to należy do zupełnie innej opowieści, którą przedstawię wam innym razem.